

**JULIAN SIEMIONOW**

**SIEDEMNAŚCIE MGNIEŃ  
WIOSNY**

(Przełożył: Zdzisław Romanowski)

**Wydawnictwo MON**

**1985**

## KTO JEST KTO?

Początkowo Stirlitz nie uwierzył: wydało mu się - w ogrodzie śpiewa słowik. Powietrze było chłodne, błękitnawe i chociaż dookoła czuło się wiosenne nieśmiałe tony, śnieg leżał jeszcze obfity i pozbawiony tej wewnętrznej niebieskości, która poprzedza zawsze nocną odwilż.

Słowik śpiewał w leszczynie opadającej ku rzece obok dąbrowy. Czerniały potężne konary starych drzew. Nie czuło się jeszcze towarzyszącego wiosnie silnego zapachu zeszlorocznych brzozowych i dębowych zbutwiałych liści, a mimo to słowik śpiewał donośnie - kłaskał, zanosił się trelem łamiącym się i bezbronnym w tym ciemnym, cichym parku.

Słońce zaszło i czarne gałęzie drzew rzucały na biały śnieg fioletowe równe cienie.

Zamarznie, biedny, pomyślał Stirlitz i otuliwszy się płaszczem wrócił do domu. I pomóc mu nie można: tylko jeden ptak nie wierzy ludziom - słowik. Popatrzył na zegarek. Klaus zaraz przyjdzie, pomyślał. Zawsze jest dokładny. Sam go prosiłem, żeby szedł ze stacji lasem, tak aby z nikim się nie spotkać. To nic. Poczekam. Tutaj jest tak pięknie.

Tego agenta Stirlitz zwykł przyjmować tutaj, w małej willi na brzegu jeziora - w swoim najwygodniejszym zakonspirowanym lokalu. Trzy miesiące namawiał obergruppenführera SS Pohla, aby mu przyznał pieniądze na nabycie willi u dzieci tancerzy Opery, którzy zginęli w czasie bombardowania. Dziateczki żądały sporo, Pohl, odpowiadający za politykę gospodarczą SS i SD, kategorycznie odmawiał Stirlitzowi: Pan zwariował, mówił, proszę wynająć coś skromniejszego. Skąd te ciągoty do przepychu? Nie możemy szastać pieniędzmi na prawo i lewo. To nieuczciwe w stosunku do narodu, który dźwiga ciężar wojny.

Stirlitz musiał więc przywieźć tu swojego szefa - naczelnika działu politycznego służby bezpieczeństwa. Trzydziestoczteroletni brigadeführer SS Walter Schellenberg od razu zrozumiał, że o lepszym miejscu dla rozmów z poważnymi agentami trudno wprost marzyć. Przez podstawione osoby sporządzono akt kupna i niejaki Bolsen, naczelny inżynier chemicznego zakładu imienia Roberta Leya, otrzymał prawo korzystania z willi. Inżynier wynajął za wysoką zapłatą plus dobre wyżywienie dozorcę. Bolsenem był standartenführer SS von Stirlitz.

Skończywszy nakrywać do stołu Stirlitz włączył radio. Londyn nadawał wesołą muzykę. Orkiestra Amerykanina Glena Millera grała utwór z *Serenady w dolinie słońca*. Ten film spodobał się Himmlerowi i w Szwecji zakupiono jedną kopię. Od tej pory film dość często

oglądano w podziemiach na Prinzbrechtstrasse, szczególnie w okresie nocnych bombardowań, kiedy nie można było przesłuchiwać aresztowanych.

Stirlitz zadzwonił na dozorcę i gdy tamten przyszedł, powiedział:

- Przyjacielu, dzisiaj może pan pojechać do miasta, do dzieci. Jutro proszę wrócić o szóstej rano i jeśli ja do tej pory nie odjadę, proszę mi zaparzyć mocnej kawy, najmocniejszej, jaką tylko pan potrafi...

*12.2.1945 (godzina 18 minut 38)*

„- Jak pastor sądzi, czego w człowieku jest więcej: szlachetności czy podłości?

- Myślę, że pół na pół.

- To niemożliwe.

- To pewne.

- A Bóg znajduje się w każdym człowieku?

- Oczywiście.

- A gdzie go się można dopatrzeć w führerze? W Goringu? Gdzie ta boskość tkwi w Himmlerze?

- Zadaje pan trudne pytania. Mówimy przecież o naturze ludzkiej.

- Pan cały czas bardzo sprytnie wykręca się od odpowiedzi na pytania, które mnie męczą. Pan nie daje odpowiedzi: tak lub nie, a każdy człowiek poszukujący wiary pragnie konkretów: tak lub nie. A u pana jest «ależ nie», «jednak nie», «raczej nie»... I właśnie to, muszę wyznać, odpycha mnie nie tyle od pana metody, ile od pana rutyny.

- Pan odnosi się z niechęcią do mojej rutyny. A jednak z obozu koncentracyjnego przyszedł pan właśnie do mnie. Interesujące, jak to pogodzić?

- Proszę pana, czuję się skrepowany, być może jestem niedyskretny, ale pani Eisenstadt powiedziała mi... Pan był kiedyś w gestapo?

- Byłem.

- Rozumiem. Dla pana to bolesne wspomnienie. Ale czy nie wydaje się panu, że po wojnie trzoda nie potrafi panu uwierzyć?

- Mało to ludzi siedziało w gestapo?

- A jeśli trzodzie szepną, że jej pasterza podrzucali jako prowokatora do cel innych aresztowanych, tych, którzy nie wrócili? A wróciły przecież jednostki na miliony... Komu wtedy będzie pan głosił ją prawdę?

- Rzecz jasna, że takimi metodami można zniszczyć, kogo się zechce.

- I co wtedy?

- Wtedy? Uważam, że moim zadaniem będzie demaskować kłamstwa. Demaskować tak długo, póki mnie będą słuchali. A gdy nie będą słuchali, umrę duchowo.

- Duchowo. To znaczy, że żywym człowiekiem z krwi i kości pan pozostanie?

- Pan Bóg zadecyduje. Może pozostanę.

- Pańska religia zabrania samobójstwa?

- Właśnie dlatego go nie popełnię.

- Dyskutuje pan w sposób bardzo materialistyczny.

- Dyskutuję przecież z materialistą.

- A więc potrafi pan walczyć ze mną moją własną bronią?

- Jestem do tego zmuszony.

- Niech pan posłucha... W imię dobra pańskich wiernych proszę, żeby skontaktował się pan z moimi przyjaciółmi. Adres dam. Zawierzę panu pastorowi adres moich towarzyszy... Przecież nie zdradzi pan niewinnych...”

Stirlitz skończył przesłuchiwać to nagranie, szybko podniósł się i podszedł do okna, żeby nie spotkać spojrzenia tego, który wczoraj prosił pastora o pomoc, a teraz uśmiechał się, słuchając swego głosu, pił koniak i łapczywie zaciągał się papierosem.

- Z papierosami u pastora nie było najlepiej? - zapytał Stirlitz nie odwracając się.

Stał u okna, dużego, na całą ścianę, i patrzył, jak wrony biją się na śniegu o chleb: stróż dostawał podwójną porcję żywności i dlatego lubił ptaki. Stróż nie wiedział, że Stirlitz pracuje w SD, i myślał, że willa należy albo do homoseksualistów, albo do handlarzy: ani razu nie przyjeżdżała tu żadna kobieta, a gdy zbierali się mężczyźni, prowadzili długie ciche rozmowy, jedli wyszukane potrawy, pili pierwszorzędne trunki.

- Tak, umęczyłem się tam. Staruszek to gaduła, a ja się aż skręcałem bez papierosa.

Agent nazywał się Klaus. Zwerbowano go dwa lata temu - sam się do tego pchał: dawny korektor szukał mocnych wrażeń. Pracował jak artysta, rozbijał rozmówców szczerością i ostrością wypowiedzianych sądów. A może on jest chory? myślał coraz częściej Stirlitz przypatrując się Klausowi. Pragnienie zdrady to też swego rodzaju choroba. Ciekawe: Klaus w pełni przelicytował samego Lombrosa - jest groźniejszy od wszystkich przestępców, których widziałem, a jaki przy tym elegancki i miły.

Wrócił do stolika, siadł naprzeciwko Klause, uśmiechnął się do niego.

- A więc? - zapytał. - Jest pan przekonany, że stary zorganizuje panu kontakt?

- Tak, to sprawa załatwiona. Najbardziej lubię pracować z inteligentami i duchownymi. Wie pan, ze zdumieniem czasem obserwuję, jak człowiek sam kroczy ku swojej zgubie. Ma ma się nawet ochotę powiedzieć: Stój, wariacie! Dokąd?

- Tego nie warto robić - powiedział Stirlitz. - To byłoby nierozumne.

- Czy nie ma pan rybnych konserw? Dostaję bzika bez ryby. Fosfor, wie pan, zapotrzebowanie komórek mózgowych.

- Jakie pan chce?

- Lubię w oliwie...

- Oczywiście... Ale jakiej produkcji? Naszej czy...

Klaus roześmiał się.

- Może to jest niepatriotyczne, ale lubię żywność i napoje wyprodukowane w Ameryce albo we Francji.

- Przygotuję dla pana skrzynkę prawdziwych francuskich sardynek. W oliwie, bardzo pikantne. Dużo fosforu... Wie pan, wczoraj przejrzałem pańskie akta.

- Dużo bym dał, żeby w nie zajrzeć.

- To nie takie interesujące, jak się wydaje. Kiedy pan mówi, śmieje się, skarży się na ból wątroby - to robi wrażenie, jeśli uwzględnić, że przedtem przeprowadzał pan niebezpieczną operację... A w pana aktach - nuda; raporty, donosy - wszystko się pomieszało: pańskie donosy, donosy na pana... Interesujące jest co innego: podliczyłem, że dzięki pańskiej inicjatywie zostało aresztowanych dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi. Przy czym wszyscy milczeli na pana temat. Wszyscy bez wyjątku. A w gestapo ostro ich obrabiali...

- Dlaczego mówi mi pan o tym?

- Nie wiem. Próbuję chyba analizować... Interesował pana ich dalszy los?

- Bo ja wiem? Mnie interesowała walka. To, co się z nimi stanie - nie wiem... A co się stanie z nami? Ze wszystkimi ludźmi na świecie?

- Też prawda - zgodził się Stirlitz.

- I jeszcze... Pośród niewolników nie można być w pełni wolnym. Można być tylko najbardziej wolnym spośród nich. Ja w ciągu tych wszystkich lat korzystałem z całkowitej duchowej swobody.

Stirlitz zapytał:

- A kto przyszedł do pastora przedwczoraj wieczorem?

- Nikt.

- Około dziewiątej?

- Pan się myli - odpowiedział Klaus. - W każdym razie od was nikt nie przyszedł. Byłem sam.

- Jest pan przekonany, że stary będzie pracował dla pana?

- Będzie. W ogóle czuję w sobie powołanie opozycjonisty, trybuna, wodza. Ludzie podporządkowują się mojej energii, logice myślenia.

- Dobrze. Tylko niech się pan zanadto nie przechwala. Teraz o samej sprawie. Kilka dni pomieszka pan w pewnym naszym mieszkaniu... Później czeka pana poważna robota, w dodatku nie po mojej linii...

Stirlitz mówił prawdę: koledzy z gestapo poprosili go, by im na tydzień wypożyczył Klause; w Kolonii złapano dwóch rosyjskich radiotelegrafistów. Ujęto ich przy robocie, przy nadajniku. Milczeli, trzeba im było podsunąć kogoś dobrego. Stirlitz obiecał odnaleźć Klause.

- Niech pan weźmie z popielatej teczki kartkę papieru - powiedział Stirlitz - i proszę pisać, co następuje: *Standarfenführer! Jestem śmiertelnie zmęczony, u kresu sił. Uczciwie pracowałem, ale dalej nie mogę. Chcę odpocząć...*

- Po co to? - zapytał Klaus podpisując list.

- Myślę, że nie zaszkodzi panu tygodniowy pobyt w Innsbrucku - odpowiedział Stirlitz.

- Tam czynne jest kasyno, a młode narciarki jak dawniej zjeżdżają z gór. Bez tego listu nie będę w stanie podarować panu tygodnia szczęścia.

- Dziękuję - powiedział Klaus.

- I proszę sobie dobrze przypomnieć: nikt pana nie widział u pastora?

- Nie muszę sobie przypominać. Nikt.

- Mam na myśli i naszych ludzi.

- Jeśli wasi prowadzili obserwację domu starego, mogli mnie zauważyć. Ale raczej nie. Ja nie widziałem nikogo.

Stirlitz przypomniał sobie, jak tydzień temu Klaus wkładał ubranie więźnia, kiedy to organizowano spektakl z przepędzeniem więźniów przez wioskę, w której mieszkał obecnie pastor Schlag. Przypomniał sobie twarz Klause tydzień temu: jego oczy promieniowały dobrocią i męstwem, już wszedł w rolę, którą miał odegrać.

Ten list wrzucimy po drodze do pana nowego mieszkania - powiedział Stirlitz. - I niech pan napisze jeszcze jeden, do pastora Ażeby nie było podejrzeń. Nie będę panu przeszkadzał, zaparzę kawę.

Kiedy wrócił, Klaus trzymał w ręku kartkę papieru.

- *Uczciwość wiąże się z działaniem* - uśmiechając się, zaczął czytać Klaus. - *Wiara wiąże się z walką. Nauczanie uczciwości przy pełnej bezczynności to zdrada: i wiernych, i*

*samego siebie. Człowiek może sobie darować nieuczciwość, potomność - nigdy. Dlatego nie mogę wybaczyć sobie bezczynności. Bezczynność to gorzej niż zdrada. Odchodzę. Niech pan sobie usprawiedliwia: z pomocą Boga... No, jak? Dobrze?*

- Ostro. Powiedz pan, nie próbował pan pisać prozy? Albo wierszy?

- Nie. Gdybym potrafił pisać, czyż zostałbym... Klaus nagle urwał i spojrzał ukradkiem na Stirlitza.

- Niech pan kontynuuje, oryginalne. Rozmawiamy otwarcie. Pan chciał powiedzieć, że gdyby pan umiał pisać, nie zacząłby pan pracować dla nas?

- Coś w tym sensie.

- Nie coś w tym sensie, ale właśnie to pan chciał powiedzieć. Prawda?

- Tak.

- Zuch. Dlaczego ma pan kłamać przede mną? Proszę wypić whisky i ruszamy, już ściemniło się, niedługo chyba przylecą.

- To mieszkanie jest daleko?

- W lesie, dziesięć kilometrów stąd. Tam spokojnie, wyśpi się pan do jutra.

Już w samochodzife Stirlitz zapytał:

- O byłym kanclerzu Brüningu pastor nic nie wspomniał?

- Mówiłem panu przecież o tym: od razu zamykał się w sobie. Bałem się na niego naciskać.

- Prawidłowo pan postąpił. O Szwajcarii także milczał?

- Zupełnie.

- Dobrze. Dobierzemy się do niego z innej strony. Ważne, że zgodził się pomagać komuniście. Dobra jest, pastorze!

Stirlitz zabił Klause strzałem w skroń. Stali na brzegu jeziora. Znajdowali się w strefie zakazanej, ale posterunek straży, Stirlitz wiedział to dokładnie, był odległy o dwa kilometry, zaczął się już nalot, a w czasie nalotu strzału z pistoletu nie słychać. Obliczył, że Klaus spadnie z betonowej platformy - przedtem łapali tu ryby - prosto do wody.

Klaus wleciał do wody jak wór. Stirlitz rzucił za nim pistolet (wersja samobójstwa na tle nerwowego wyczerpania zarysowała się dokładnie, wskazywały na to listy wysłane przez samego Klause), zdjął rękawice i poszedł przez las do swojego samochodu. Wioska, gdzie mieszkał pastor Schlag, oddalona była o 40 kilometrów. Stirlitz obliczył, że dotrze do niego w ciągu godziny, przewidział wszystko, nawet możliwość zdobycia alibi na ten czas.

12.2.1945 (godzina 19 minut 56)

Z partyjnej charakterystyki członka NSDAP od 1930 r. gruppenführera SS Krügera: „Rzeczywisty Aryjczyk, oddany Führerowi. Charakter nordycki, twardy. Wobec przyjaciół koleżeński i towarzyski; bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Wzorowy w życiu rodzinnym, związków kompromitujących go nie miał. W pracy wykazał się jako niezastąpiony mistrz swego dzieła...”

...Po tym, jak Rosjanie w styczniu 1945 roku zdobyli Kraków i miasto, tak starannie zaminowane, pozostało całe, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Kaltenbrunner wezwał do siebie szefa wydziału wschodniego gestapo, Krügera.

Kaltenbrunner milczał długo, przyglądając się dużej mięsistej twarzy generała, a potem bardzo cicho zapytał:

- Czy ma pan jakieś usprawiedliwienie wystarczająco obiektywne, żeby Führer mógł panu uwierzyć?

Kanciasty, prostoduszny na pierwszy rzut oka Krüger oczekiwały tego pytania. Był przygotowany, aby na nie odpowiedzieć. Ale przedtem musiał odegrać całą gamę uczuć: w ciągu piętnastu lat należenia do SS i partii nauczył się aktorstwa. Wiedział, że od razu odpowiadać nie można, podobnie jak nie można całkowicie zaprzeczać swej winie. Nawet w domu łapał się na tym, że stał się zupełnie innym człowiekiem. Początkowo, wprawdzie rzadko, rozmawiał z żoną, szeptem, po nocach, ale wraz z rozwojem specjalnej techniki - a jak nikt inny znał osiągnięcia w tej dziedzinie - przestał w ogóle dawać wyraz temu, co czasami pozwalał sobie myśleć. Nawet w lesie, spacerując z żoną, milczał albo mówił o głupstwach, bo w centrali w każdej chwili mogą wynaleźć aparat nagrywający z odległości co najmniej kilometra.

Stopniowo dawny Krüger przestawał istnieć; w jego miejsce, w miejsce znanego wszystkim i zewnątrznie zupełnie nie zmienionego człowieka pojawił się inny, stworzony przez poprzedniego, zupełnie nikomu nie znany generał, obawiający się nie tylko mówić, ale nawet myśleć.

- Nie - powiedział Krüger nachmurzywszy się, tłumiąc westchnienie - dostatecznego usprawiedliwienia nie mam. I nie mogę mieć. Jestem żołnierzem, jest wojna, i żadnego pobbłażania w stosunku do siebie nie oczekuję.

Grał trafnie. Wiedział, że im bardziej surowo będzie się sądził, tym mniej ořeza zostawi w rękach Kaltenbrunnera.



- Niech pan nie będzie babą - powiedział Kaltenbrunner zapalając papierosa i Krüger zrozumiał, że wybrał właściwą linię postępowania. - Trzeba przeanalizować fiasko, żeby to się nie powtórzyło.

Krüger powiedział:

- Obergruppenführerze, rozumiem, że wina moja jest olbrzymia. Ale chciałbym, żeby pan wysłuchał standartenführera Stirlitz. Stirlitz zna dokładnie naszą operację i może potwierdzić, że wszystko zostało przygotowane jak najbardziej starannie i rzetelnie.

- Jaki związek z operacją miał Stirlitz? - Kaltenbrunner wzruszył ramionami. - On jest z wywiadu i w Krakowie zajmował się innymi problemami.

- Wiem, że w Krakowie zajmował się on zaginionym V-2, ale ja uważałem za swój obowiązek wtajemniczyć go we wszystkie szczegóły naszej operacji, sądziłem bowiem, że po powrocie zamelduje albo reichsführerowi, albo panu o tym, jak zorganizowaliśmy pracę. Oczekiwałem jakichś dodatkowych poleceń od pana, ale nic nie otrzymałem.

Kaltenbrunner zawołał sekretarza, powiedział:

- Proszę, niech się pan dowie, czy Stirlitz z szóstego wydziału był umieszczony na liście osób włączonych do operacji „Schwarzefer”. Czy Stirlitz był przyjęty przez kierownictwo po przyjeździe z Krakowa, a jeśli był, to przez kogo. Niech pan zainteresuje się także, jakie tematy poruszał w rozmowie.

Krüger zrozumiał, że zbyt wcześnie zaczął podstawiać pod cios Stirlitz.

- Całą winę ponoszę ja osobiście - zaczął mówić opuściwszy głowę, wyduszając z siebie głucho, ciężkie słowa. - Będzie mi bardzo przykro, jeśli pan ukarze Stirlitz. Szanuję go głęboko jako oddanego bojownika. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie i mogę zmasać swoją winę tylko krwią na polu bitwy.

- A kto będzie walczył z wrogami tutaj? Ja? Sam? To zbyt proste umrzeć za ojczyznę i führera na froncie! Być tutaj, pod bombami, i wypalać rozpalonym żelazem wszelkie paskudztwo, to o wiele bardziej skomplikowane! Tutaj jest potrzebne nie tylko męstwo, ale i rozum! Dużo rozumu, Krüger!

Krüger zrozumiał: nie zostanie wysłany na front.

Sekretarz bezszelestnie otworzył drzwi i położył na biurku Kaltenbrunnersa kilka cienkich teczek. Kaltenbrunner przekartkował tecki i popatrzył pytająco na sekretarza.

- Nie - powiedział sekretarz. - Po przyjeździe Stirlitz od razu przestawił się na prace związane z poszukiwaniem strategicznego nadajnika pracującego dla Moskwy.

Krüger postanowił kontynuować swoją grę, pomyślał bowiem, że Kaltenbrunner, jak wszyscy okrutni ludzie, jest skrajnie sentymentalny.

- Obergruppenführerze, mimo wszystko proszę pana o pozwolenie udania się na front.

- Niech pan siada - powiedział Kaltenbrunner. - Jest pan generałem, a nie babą. Dzisiaj może pan odpocząć, ale jutro dokładnie, ze szczegółami opisz mi pan całą operację. Wtedy pomyślimy, dokąd pana skierować. Ludzi mało, a roboty dużo.

Bardzo dużo roboty.

Gdy Krüger wyszedł, Kaltenbrunner wezwał sekretarza i powiedział

- Zbierzcie dla mnie wszystkie dane o Stirlitzu za ostatni rok, dwa, ale tak, aby nie dowiedział się o tym Schellenberg. Stirlitz jest cennym pracownikiem i odważnym człowiekiem i nie należy rzucać na niego cienia. Po prostu zwyczajna przyjacielska wzajemna kontrola... I proszę przygotować nominację dla Krügera: wyślemy go na zastępcę szefa gestapo w Pradze - tam teraz jest gorąco.

*15.2.1945 (godzina 20 minut 30)*

Z partyjnej charakterystyki członka NSDAP od 1938 r. Holtoffa, obersturbbannführera SS (IV Wydział RSHA): „Rzeczywisty Aryjczyk. Charakter zbliżony do nordyckiego, wytrwały. Z kolegami w pracy podtrzymuje dobre stosunki. Ma bardzo dobre wyniki w pracy. Sportowiec. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Kawaler. Związków kompromitujących nie miał. Odznaczony nagrodami Führera, ma podziękowania Reichsführera SS...”

Stirlitz postanowił, że dzisiaj zwolni się wcześniej i pojedzie z Prinzalbrechtstrasse do Nauen; przy rozwidleniu dróg znajdowała się tam w lesie maleńka restauracyjka. Syn Paula, beznogi Kurt, podobnie jak przed rokiem czy przed pięciu laty zawsze jakimś cudem zdobywający wieprzowinę, ugaszczał swoich stałych klientów prawdziwą golonką z kapustą.

Gdyby nie bombardowania, mogłoby się wydawać, że wojny w ogóle nie ma: tak samo jak dawniej grała radiola i niski głos Bruno Warnkego śpiewał: *O jak pięknie było nad Möggelsee...* Stirlitzowi nie udało się jednak wyrwać wcześniej. Przyszedł do niego Holtoff z gestapo i powiedział:

- Wygląda na to, że się trochę zaplątałem. Albo mój aresztowany jest psychicznie chory, albo trzeba przekazać go wam, wywiadowi... Ten facet w kółko powtarza to samo, co mówią przez radio te angielskie świny.

Stirlitz poszedł do gabinetu Holtoffa i przesiedział tu do dziewiątej wieczorem, słuchając histerycznych krzyków astronoma, aresztowanego przez miejscowe gestapo w Wannsee.

- Czy wy nie macie oczu?! - krzyczał astronom. - Nie rozumiecie, że wszystko skończone? Zginęliśmy! Czy nie rozumiecie, że każda nowa ofiara to obecnie zbrodnia? Cały czas twierdziliście, że występujecie w imieniu narodu. A więc odejdźcie! Pomóżcie resztkom narodu. Skazujecie na zgubę nieszczęsne dzieci. Jesteście fanatykami, nienasyconymi fanatykami, którzy dorwali się do władzy! Jesteście syci, palicie papierosy i pijecie kawę! Dajcie nam żyć jak ludziom!

Astronom nagle zamilkł, wytarł pot z czoła i cicho zakończył.

- Albo zabijcie mnie jak najprędzej tutaj...

- Niech pan poczeka - powiedział Stirlitz. - Krzyk nie jest argumentem. Ma pan jakieś konkretne propozycje?

- Co ? - z lękiem zapytał astronom.

Spokojny głos Stirlitza, jego powolny sposób mówienia, uśmiech oszołomiły astronoma, który przyzwyczał się w więzieniu do krzyków i bicia. Okazuje się, że do takich rzeczy przywyka się szybko, a odzwyczajają od nich powoli.

- Pytam, jakie są pana konkretne propozycje? W jaki sposób, pańskim zdaniem, mamy ocalić dzieci, kobiety, starców? Co pan proponuje zrobić w tym celu? Krytykować i złościć się zawsze jest lekko. Natomiast znacznie trudniej wysunąć rozumny program działania.

- Odrzucam astrologię - odpowiedział astronom - ale odnoszę się z szacunkiem do astronomii. Pozbawiono mnie katedry w Bonn.

- Ach to dlatego tak się złościsz, ty psie! - krzyknął Holtoff.

- Proszę poczekać - powiedział Stirlitz zmarszczywszy brwi. - Nie trzeba krzyżeć, doprawdy... Niech pan mówi dalej...

- Żyjemy w roku niespokojnego słońca. Wybuchy protuberancji, wysłanie olbrzymiej dodatkowej masy energii słonecznej wpływa na ciała niebieskie, na planety i gwiazdy, wpływa na naszą maleńką ludzkość...

- Pan prawdopodobnie - zapytał Stirlitz - postawił jakiś horoskop?

- Horoskop to intuicyjna, być może nawet genialna nieodpowiedzialność. Nie, ja wychodzę ze zwykłego, absolutnie nie genialnego założenia o wzajemnym powiązaniu wszystkiego, co żyje na ziemi, z niebem i słońcem... Pomaga mi to dokładniej i trzeźwiej ocenić to, co się dzieje na mojej ojczystej ziemi...

- Bardziej szczegółowa rozmowa z panem na ten temat wydaje mi się nader interesująca - powiedział Stirlitz. - Zapewne mój przyjaciel pozwoli panu teraz pójść do celi, parę dni odpocząć, a później wrócimy jeszcze do tego.

Kiedy astronoma wyprowadzono, Stirlitz powiedział:

- Ten człowiek jest w pewnym stopniu niepoczytalny, czyżbyś tego nie widział? Wszyscy uczeni, pisarze, artyści są w jakiś sposób niepoczytalni. Trzeba mieć do nich specjalne podejście. Należy pamiętać, że ci ludzie żyją swoim, wymyślonym przez nich samym życiem. Skieruj tego oryginała do naszego szpitala na ekspertyzę. Mamy teraz zbyt wiele odpowiedzialnej pracy, żeby tracić czas na nieodpowiedzialnych, chociaż być może utalentowanych gadułów.

- Ale on mówi jak prawdziwy Anglik z londyńskiego radia... Albo jak przekłety socjaldemokrata, który się zwał z Moskwą.

- Ludzie wynaleźli radio po to, żeby je słuchać. I on nasłuchiwał się. Nie, to niepoważne. Będzie bardziej celowe spotkać się z nim za parę dni. Jeśli to rzeczywiście poważny naukowiec, zwrócimy się do Müllera albo Kaltenbrunnera z prośbą, aby dali mu dobry przydział i ewakuowali w góry, gdzie znajduje się teraz kwiat naszej nauki. Niech pracuje; kiedy będzie miał dużo chleba z masłem, wygodny domek w górach w sosnowym lesie, na który nie spadają bomby, przestanie wygadywać głupstwa. Nieprawdaż?

Holtoff uśmiechnął się:

- Gdyby każdy miał swój domek w górach, dużo chleba z masłem i nie byłoby żadnych bombardowań, nikt by nie gadał...

Stirlitz spojrzał uważnie na Holtoffa, a ten, nie wytrzymawszy jego spojrzenia, zaczął nerwowo przekładać papiery na biurku z miejsca na miejsce. Minęła dłuższa chwila, nim Stirlitz szeroko i przyjacielsko uśmiechnął się do swojego młodszego towarzysza pracy.

*15.2.1945 (godzina 2 minut 44)*

#### STENOGRAM NARADY U FÜHRERA

Obecni: Keitel, Jodl, Havell - łącznik z ministerstwa spraw zagranicznych, reichsleiter Bormann, obergruppenführer SS Fegelein - łącznik Kwatery reichsführera SS, minister przemysłu Rzeszy Speer, a także admirał Voss, komandor podporucznik Ludde-Neurath, admirał von Puttkamer, adiutanci, stenografistki.

Bormann: Kto tam ciągle chodzi? To przeszkadza! I proszę ciszej, panowie wojskowi.

Puttkamer: Poprosiłem pułkownika von Belov, żeby dał mi sprawozdanie o sytuacji luftwaffe we Włoszech.

Bormann: Ja nie o pułkowniku. Wszyscy mówią, i to powoduje dokuczliwy, stały szum.

Hitler: Mnie to nie przeszkadza. Panie generale, na mapę nie są naniesione zmiany w Kurlandii na dzień dzisiejszy.

Jodl: Mój Führerze, nie zwrócił pan uwagi: oto poprawki na dziś rano.

Hitler: Znaczkę na mapie są bardzo drobne. Dziękuję, teraz widzę.

Keitel: Generał Guderian znowu nalega na przetransportowanie naszych dywizji z Kurlandii.

Hitler: To nierozumny plan. Teraz wojska generała Rendulicia, zostawszy na głębokim tyle Rosjan, czterysta kilometrów od Leningradu, wiążą od czterdziestu do siedemdziesięciu rosyjskich dywizji. Jeśli wycofamy stamtąd nasze wojska, stosunek sił pod Berlinem od razu się zmieni, bynajmniej nie na naszą korzyść, jak to wydaje się Guderianowi. Jeśli więc wycofamy wojska z Kurlandii, na każdą niemiecką dywizję pod Berlinem przypadnie przynajmniej trzy rosyjskie.

Bormann: Trzeba być trzeźwym politykiem, panie feldmarszałku...

Keitel: Jestem wojskowym, a nie politykiem.

Bormann: To nierozdzielne pojęcia w wieku totalnej wojny.

Hitler: Na to, żeby ewakuować wojska znajdujące się teraz w Kurlandii, potrzeba, uwzględniając doświadczenie operacji „Libawa” - co najmniej pół roku. To śmieszne. Zostały nam godziny, właśnie godziny, żeby odnieść zwycięstwo. Każdy, kto umie patrzeć, analizować, wyciągać wnioski, zobowiązany jest odpowiedzieć sobie na jedno tylko pytanie: czy możliwe jest bliskie zwycięstwo? Przy tym nie proszę, żeby odpowiedź była bezmyślna w swej kategoryczności. Mnie nie urząda ślepa wiara, szukam wiary rozumnej. Nigdy dotąd świat nie znał takiego paradoksalnego, pełnego sprzeczności sojuszu, jakim jest koalicja aliantów. Podczas gdy cele Rosji, Anglii i Ameryki są diametralnie przeciwstawne, nasz cel jest wspólny dla nas wszystkich. Podczas gdy oni działają kierowani różnorodnością swoich ideologii, my mamy jedno dążenie, któremu podporządkowane jest całe nasze życie. Podczas gdy sprzeczności między nimi rosną i będą rosły, nasza jedność, jak nigdy dotąd, stała się monolitem, o co walczyłem przez wiele lat tej ciężkiej i wielkiej kampanii. Próbować burzyć koalicję naszych wrogów dyplomatycznymi czy innymi środkami jest utopią. W najlepszym razie utopią, jeśli nie przejawem paniki i ślepoty politycznej. Jedynie zadając im ciężkie ciosy na polu walki, jedynie demonstrując im niezłomność naszego ducha i niezniszczalność naszej siły przyspieszymy koniec tej koalicji, która rozpadnie się przy wtórze naszych zwycięskich armat. Nic tak nie działa na demokracje zachodnie, jak demonstracja siły. Nic tak nie otrzeźwi Stalina, jak dezorientacja Zachodu z jednej strony i nasze ciosy - z drugiej. Proszę wziąć pod uwagę, Stalinowi przyjdzie teraz prowadzić wojnę nie w lasach Briańska i nie na polach Ukrainy. Jego wojska są na terytorium Polski, Rumunii, Węgier. Rosjanie, zetknąwszy się bezpośrednio z „nieojczyzną”, są już osłabieni, w pewnym stopniu zdemoralizowani. Ale nie na Rosjan i nie na Amerykanów zwracam w tym momencie maksimum uwagi. Obracam swój

wzrok na Niemców. Tylko nasz naród może odnieść i jest zobowiązany odnieść zwycięstwo. Dziś cały kraj stał się obozem warownym. Cały kraj - mam na myśli Niemcy, Austrię, Norwegię, część Węgier i Włoch, znaczną część terytorium Protektoratu Czech i Moraw, Danię, część Holandii. To serce europejskiej cywilizacji. To koncentracja mocy - materialnej i duchowej. W nasze ręce dostał się budulec zwycięstwa. Od nas, od wojskowych, zależy teraz, w jakim stopniu i jak szybko wykorzystamy ten budulec dla naszego zwycięstwa. Uwierzcie mi, po pierwszych druzgocących ciosach naszych armii koalicja sojuszników rozsypie się. Egoistyczne interesy każdego z nich biorą górę nad strategicznym widzeniem problemu.

W celu przybliżenia godziny naszego zwycięstwa proponuję: szósta armia pancerna SS zaczyna kontrnatarcie pod Budapesztem, zabezpieczając tym samym trwałość południowego bastionu narodowego socjalizmu w Austrii i na Węgrzech i przygotowując -wyjście na skrzydło Rosjan. Proszę wziąć pod uwagę, że właśnie tam, na południu, w Nagykata, mamy siedemdziesiąt tysięcy ton ropy naftowej. Nafta to krew pulsująca w arteriach wojny. Prędzej zgodzę się na poddanie Berlina niż na utratę tej ropy naftowej, która gwarantuje mi zachowanie Austrii, jej połączenie z włoskim milionowym ugrupowaniem Kesselringa. Dalej: Grupa Armii „Wisła”, zebrawszy rezerwy, przeprowadzi decydujące kontrnatarcie na skrzydło Rosjan, wykorzystując do tego teren Pomorza. Wojska reichsführera SS, przerwawszy obronę Rosjan, wychodzą na ich tyły i przejmują inicjatywę: wspierane przez Grupę „Stettin” przecinają front Rosjan. Sprawa dowozu rezerw to dla Stalina prawdziwy problem. Odległości działają przeciwko niemu. Natomiast na naszą korzyść. Siedem linii obronnych wokół Berlina praktycznie czyni go niedostępnym, pozwoli nam ponadto naruszyć kanony sztuki wojennej i przerzucić na zachód znaczną grupę wojsk z południa i północy. Będziemy mieli czas. Stalin będzie potrzebował dwa, trzy miesiące na przegrupowanie rezerw. Nam na przerzucenie armii potrzeba pięciu dni, biorąc pod uwagę odległości w Niemczech, jak również to, że rzucimy wyzwanie tradycyjnej strategii.

Jodl: Byłoby jednak wskazane pogodzić ten problem z tradycjami strategii.

Hitler: Mówimy nie o detalach, ale o całości. Ostatecznie szczegóły zawsze mogą być ustalone w sztabach przez grupy wąskich specjalistów. Wojskowi mają ponad 4 miliony ludzi zorganizowanych w mocną pięść oporu. Zadanie polega na tym, żeby tą mocną pięścią oporu zadać druzgocący cios. Stoimy obecnie na granicach z sierpnia 1938 roku. Nasza armia jest dwa razy większa niż wówczas. Nasza nienawiść jest ogromna, a wola zwycięstwa niezmiernie wielka. A więc pytam was - czyż nie wygramy pokoju drogą wojny? Czyż sukces wojskowy nie rodzi sukcesu politycznego?

Keitel: Jak powiedział reichsleiter Bormann - wojskowy jest dziś równocześnie politykiem.

Bormann: Nie zgadza się pan?

Keitel: Zgadzam się.

Hitler: Proszę mi na jutro przygotować konkretne propozycje, panie feldmarszałku.

Keitel: Tak, mój Führerze. Przygotujemy ogólny szkic, a jeśli pan go zatwierdzi, zaczniemy rozpracowywanie wszystkich szczegółów.

Po zakończeniu narady, gdy wszyscy zaproszeni rozeszli się, Bormann wezwał dwóch stenografów.

- Proszę zaszyfrować to, co wam teraz podyktuję, i dopilnować rozesłania w imieniu Kwatery Głównej do wszystkich wyższych oficerów wehrmachtu:

*W swoim historycznym przemówieniu w dniu 15 lutego w Kwaterze Głównej nasz Führer naświetlił położenie na frontach, ponadto powiedział: „Nigdy dotąd świat nie znalazł takiego paradoksalnego, pełnego sprzeczności sojuszu, jakim jest koalicja aliantów”.  
Następnie...*

## **ZA KOGO ONI MNIE TAM UWAŻAJĄ**

### **(Zadanie)**

Z partyjnej charakterystyki członka NSDAP od 1933 r. non Stirlitza, Standartenführera SS, VI Wydział RSHA: „Rzeczywisty Aryjczyk. Charakter nordycki, odporny. Z kolegami w pracy podtrzymuje dobre stosunki. Bez zarzutu wypełnia służbowe obowiązki. Bezlitosny w stosunku do wrogów Znakomity sportsmen: mistrz Berlina w tenisie. Kawaler. Związków kompromitujących go nie zauważono. Odznaczony nagrodami Führera, ma podziękowanie Reichsführera SS...”

Stirlitz wrócił do domu o pierwszym zmierzchu. Lubił luty: śniegu prawie nie było, rankiem słońce oświetlało wysokie wierzchołki sosen i wydawało się, że już lato i można pojechać nad Moggelsee łowić ryby lub drzemać na leżaku.

W swoim maleńkim domku w Babelsbergu, blisko Poczdamu, mieszkał teraz zupełnie sam: jego gospodyni tydzień temu wyjechała do Turyngii do krewnych, załamała się nerwowo z powodu nie kończących się nalotów.

Teraz sprzątała u niego młodziotka córka właściciela knajpki „Dom Myśliwego”. Na pewno Saksonka, myślał Stirlitz patrząc jak dziewczyna radzi sobie z dużym odkurzaczem w salonie. Czarna, a oczy ma niebieskie. Prawda, mówi z akcentem berlińskim, ale mimo wszystko pochodzi chyba jednak z Saksonii.

- Która godzina? - zapytał.

- Około siódmej.

Stirlitz się uśmiechnął. Szczęśliwa dziewczyna. Może sobie pozwolić na to „około siódmej”. Najszczęśliwsi ludzie na ziemi to ci, których stać na luksus nieliczenia się z czasem... Mówi jednak jak mieszkanka Berlina. Nawet z domieszką dialektu meklemburskiego.

Usłyszawszy szum podjeżdżającego samochodu zapytał:

- Zobacz, panienko, kogo tam przyniosło.

Po chwili dziewczyna zajrzała do gabinetu. Stirlitz siedział w wygodnym fotelu obok kominka.

- Do pana z policji - rzekła.

Wstał, poprawił mundur i poszedł do przedpokoju. Zastał już tu unterführera SS z koszyczkiem w ręku.



- Panie standartenführerze, pański szofer zachorował, przywiozłem panu przydział w zastępstwie.

- Dziękuję - powiedział Stirlitz - proszę położyć to w lodówce. Panienska wam pomoże.

Usadowił się na powrót w fotelu. Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy do gabinetu weszła dziewczyna i zatrzymawszy się u drzwi, cicho powiedziała:

- Jeśli Herr Stirlitz chce, mogę zostawać i na noc.

Dziewczyna pierwszy raz zobaczyła tyle żywności, domyślił się. Biedna dziewczyna. Popatrzył na nią, znowu poprawił mundur i odpowiedział:

- Panienko... połowę kiełbasy i ser możesz sobie wziąć i bez tego...

- Co pan, Herr Stirlitz - odpowiedziała. - Ja nie z powodu jedzenia.

- Jesteś zakochana we mnie, tak? Śnią ci się moje siwe włosy, prawda?

- Siwi mężczyźni podobają mi się najbardziej.

- Dobrze, panienko, do siwizny jeszcze powrócimy. Po twoim ślubie... Jak masz na imię?

- Marie... Ja już mówiłam. Marie.

- Tak, tak, wybacz mi, Marie. Weź kiełbasę i nie kokietuj mnie. Ile masz lat?

- Dziewiętnaście.

- O, zupełnie dorosła dziewczyna. Dawno przyjechałaś z Saksonii?

- Dawno. Jak przeprowadzili się tu moi rodzice.

- No, idź, Marie, idź, odpocznij. Boję się, żeby nie zaczęli bombardować. Będziesz się bała iść w czasie nalotu.

Kiedy dziewczyna wyszła, Stirlitz zakrył okna ciężkimi, maskującymi światło zasłonami i zapalił stojącą lampę. Nachylił się do kominka i dopiero wtedy zauważył, że polana są ułożone tak, jak on to lubił: w równą studzienkę, i nawet kora brzoźowa przygotowana na podpałkę, leżała na niebieskiej grubej podstawce. Nie mówiłem jej o tym. Albo nie... Powiedziałem. Mimochodem. Dziewczyna umie zapamiętywać, myślał zapalając korę. My wszyscy traktujemy młodych jak starzy nauczyciele i z boku rzeczywiście wygląda to bardzo śmiesznie. Ja też przyzwyczailem się myśleć o sobie jak o starcu: czterdzieści siedem lat...

Począł, aż ogień na kominku rozpałił się, podszedł do i włączył je. Usłyszał Moskwę: nadawali stare romanse. Przypomniał sobie, jak to Göring powiedział kiedyś swoim sztabowcom: „To niepatriotyczne słuchać wrogiego radia, ale czasami bierze mnie chęć posłuchać, jakie bzdury o nas gadają. Sygnały o tym, że Göring słucha wrogiego radia, otrzymywano i od jego służącej, i od szofera. Jeżeli „nazi nr 2” w taki sposób próbuje sobie stworzyć alibi, to świadczy to o jego tchórzostwie i braku wiary w dzień jutrzejszy. Wprost

przeciwnie, myślał Stirlitz, nie powinien skrywać tego, że słucha obcego radia. Mógłby komentować te audycje, złośliwie je wyśmiewając. To na pewno podziałałoby na Himmlera, nie odznaczającego się szczególną lotnością umysłu.

Romans zakończył się cichą fortepianową frazą. Daleki głos moskiewskiego spikera, najwidoczniej Niemca, zaczął podawać częstotliwość fal, na których należało słuchać audycji w piątki i środy. Stirlitz zapisywał cyfry: to była informacja przeznaczona dla niego, czekał na nią już sześć dni. Zapisywał cyfry w równą kolumnę; cyfr było dużo i widocznie obawiając się, że Stirlitz nie zdąży wszystkiego zapisać, spiker przeczytał je jeszcze raz.

A potem znowu rozległy się wspaniałe rosyjskie romanse. Stirlitz wyjął z biblioteczki tomik Montaigne'a, przyłożył cyfry na słowa i zestawiał je z kodem ukrytym wśród mądrych prawd wielkiego francuskiego myśliciela. Za kogo oni mnie uważają? pomyślał. Za geniusza czy za wszechmocnego? To przecież niemożliwe...

Miał wszelkie powody, aby tak myśleć, bowiem zadanie przekazane mu przez moskiewskie radio brzmiało:

ALEKS DO JUSTASA

*Według naszych wiadomości w Szwecji i w Szwajcarii pojawili się wyżsi oficerowie służby bezpieczeństwa SD i SS, którzy szukali dojścia do rezydentury sojuszników. W szczególności w Bernie ludzie SD starali się nawiązać kontakt z pracownikami Allana Dullesa. Musicie wyjaśnić, czy te próby kontaktów są: 1) dezinformacją, 2) osobistą inicjatywą wyższych oficerów SD, 3) realizacją zadań centrum.*

*W wypadku jeśli ci pracownicy SD i SS wypełniają polecenia Berlina, trzeba wyjaśnić koniecznie, kto posłał ich z tym zadaniem. Konkretnie: kto z czołowych przywódców Rzeszy szuka kontaktów z Zachodem.*

*Aleks*

Aleksem był kierownik radzieckiego wywiadu, a Justasem - standartenführer Stirlitz, znany w Moskwie jako pułkownik Maksym Maksymowicz Isajew tylko trzem przywódcom.

Sześć dni przed tym, nim ta depesza trafiła do rąk Justasa, Stalin, zapoznawszy się z ostatnimi raportami radzieckiej tajnej służby za granicą, wezwał do „Bliźniej daczy” szefa wywiadu i powiedział mu: Tylko przedszkolaki w polityce mogą uważać Niemcy za ostatecznie osłabione i dlatego niegroźne... Niemcy to ściśnięta do końca sprężyna, którą trzeba i należy złamać jednakowym naciskiem z obu stron. W przeciwnym wypadku, jeśli nacisk z jednej strony przekształci się w podparcie, sprężyna może, prostując się, uderzyć w przeciwnym kierunku. I to będzie mocne uderzenie, po pierwsze dlatego, że fanatyzm

hitlerowski jest tak samo silny jak dawniej, a po drugie, że wojenny potencjał Niemiec bynajmniej nie jest do końca wyczerpany. Dlatego wszystkie próby porozumienia się faszystów z antyradzieckimi kołami Zachodu powinny być przez was rozpatrywane i brane pod uwagę. Naturalnie - kontynuował Stalin - powinniście sobie zdawać sprawę, że głównymi osobami w tych ewentualnych separatystycznych rozmowach będą najprawdopodobniej najbliżsi towarzysze walki Hitlera, posiadający autorytet i wśród aparatu partyjnego, i wśród społeczeństwa. Oni, jego bliscy współtowarzysze powinni stać się obiektem waszej stałej obserwacji. Nie ulega wątpliwości, że najbliżsi współpracownicy tyрана zdradzą go, żeby ocalić własne życie. Tak się dzieje w każdej politycznej grze. Jeśli przegapicie tę okoliczność, miejcie pretensje do samych siebie. Czeką jest bezlitosna - nie spiesząc się dodał Stalin - nie tylko w stosunku do wrogów, ale i wobec tych, którzy świadomie czy nieświadomie dają wrogom szansę zwycięstwa...

Gdzieś daleko zawyły syreny lotniczego alarmu i od razu zaszczekały zenitówki. Elektrownia wyłączyła światło i Stirlitz długo siedział przy kominku.

Jeśli zamknę wyciąg kominka, pomyślał leniwie, za trzy godziny usnę. Jak to się mówi, zasną w Panu... Właśnie w ten sposób mało co nie zasnęliśmy kiedyś z babcią, która zbyt wcześnie zamknęła piec, a w nim były jeszcze takie same drewna czarno-czerwone, z takimi samymi niebieskawymi płomieniami. A dym, którym zatruliśmy się, był bezbarwny. I zupełnie bez zapachu...

Poczekawszy, aż głównie zupełnie czernieją i znikną zmijowate niebieskie płomyki, Stirlitz zamknął wyciąg i zapalił dużą świecę. Gdzieś w pobliżu dały się słyszeć dwa głośne wybuchy. Bomby burzące, stwierdził. Potężne bomby. Chłopcy świetnie bombardują. Wprost wspaniale. Szkoda by było oczywiście, jeśliby mieli mnie ukatrupić w tych ostatnich dniach. Nasi nawet śladów by nie znaleźli. W ogóle to najgorzej zginąć bez wieści. Saszeńka - zobaczył nagle twarz żony. - Saszeńka mała i Saszeńka duży... Właśnie teraz umierać nie pora. Teraz trzeba za wszelką cenę jakoś wybrnąć. Samotnie żyć lżej, bo nie tak strasznie umierać. Ale umrzeć zobaczywszy syna byłoby ciężko...

Przypomniał sobie przypadkowe spotkanie późną nocą w Krakowie. Przypomniał sobie, jak syn przychodził do niego do hotelu, jak szeptali, włączywszy radio, i jak ciężkie było rozstanie z synem, który zrzędzeniem losu pracował również w wywiadzie. Stirlitz wiedział, że syn jego znajduje się teraz w Pradze, którą powinien ocalić od wysadzenia - tak samo jak z majorem Wichrem ocalili Kraków.

W czterdziestym drugim roku, w czasie bombardowania, pod Wielkimi Łukami zabity został szofer Stirlitza - spokojny, wiecznie uśmiechający się Fritz Roschke. Chłopak był uczciwy: Stirlitz wiedział, że nie chciał zostać informatorem gestapo i że nie napisał na niego ani jednego donosu, chociaż ci z czwartego wydziału RSHA prosili go o to dosyć natarczywie.

Stirlitz, wyleczywszy się z kontuzji, pojechał pod Karlshorst, gdzie mieszkała wdowa po Roschkem. Kobieta leżała w nie opalonym pokoju i bredziła. Półtoraroczny syn Roschkego Heinrich pełzał po podłodze i cichutko płakał: krzyżeć chłopak już nie mógł, gdyż miał uszkodzone struny głosowe. Stirlitz wezwał lekarza. Kobietę zawieziono do szpitala - stwierdzono zapalenie płuc. Chłopca Stirlitz zabrał do siebie. Jego gospodyni, stara dobra kobieta, wykapała malca i napoiwszy go gorącym mlekiem, chciała go położyć w swoim pokoju.

- Proszę pościelić mu w sypialni - powiedział Stirlitz. - Może ja właśnie bardzo lubię słuchać, jak po nocach płaczą maleńkie dzieci.

Staruszka śmiała się: - Co w tym może być przyjemnego. Tylko udręka. - Ale uczyniła tak, jak życzył sobie pan domu.

Obudziła się o drugiej. Z sypialni dobiegał głośny płacz dziecka. Staruszka włożyła ciepły pikowany szlafrok, szybko poprawiła włosy i zeszła na dół. Zobaczyła światło w sypialni. Stirlitz chodził po pokoju z chłopczykiem owiniętym w koc na rękach i coś mu cicho śpiewał. Nigdy nie widziała takiej twarzy u Stirlitza, zmienił się nie do poznania. Pomyślała nawet w pierwszej chwili, czy to on. Jego twarz, zwykle surowa, nabrała teraz niemal kobiecego wyrazu.

Nazajutrz rano gospodyni podeszła do drzwi sypialni i długo nie mogła się zdecydować, czy zastukać. Zwykle Stirlitz o godzinie siódmej zasiadał do stołu. Lubił, żeby grzanki były gorące, dlatego przygotowywała je przed samą siódmą. Wiedziała, że o raz na zawsze ustanowionym czasie wypija on filiżankę kawy bez mleka i cukru, potem smaruje grzanek marmoladą i wypija drugą szklanekę kawy - tym razem z mlekiem. W ciągu czterech lat, które gospodyni przeżyła w domu Stirlitza, jej pracodawca nigdy nie spóźnił się do stołu. A tymczasem teraz była już ósma, a w sypialni panowała cisza. Cichutko uchyliła drzwi i zobaczyła, że Stirlitz i malec śpią razem na szerokim łóżku. Chłopczyk leży w poprzek posłania, opierając pięty o plecy Stirlitza, który zwinął się w kłębek na samym skraju łóżka. Standartenführer widocznie usłyszał, jak gospodyni uchyliła drzwi, gdyż od razu otworzył oczy i uśmiechnąwszy się przyłożył palec do ust. Mówił szeptem, nawet w kuchni, gdzie zaszedł dowiedzieć się, czym zamierza karmić chłopca.

- Mówił mi krewny - zaczęła gospodyni z uśmiechem - że tylko Rosjanie śpią z dziećmi w jednym łóżku...

- Tak? - zdziwił się Stirlitz. - A czy jest w tym coś złego?

- To nieprzyzwoicie...

- To znaczy, że pani uważa mnie za człowieka nieprzyzwoitego? - Stirlitz zaśmiał się głośno.

Gospodyni wyraźnie się zmieszała.

- O, panie Stirlitz, jak tak można... Pan chciał dziecku zastąpić rodziców. To szlachetnie z pańskiej strony.

Stirlitz zadzwonił do szpitala. Powiedziano mu, że Anna Roschke umarła przed godziną. Zdobył więc informacje, gdzie żyje rodzina zabitego szofera i Anny. Matka Fritza odpowiedziała, że mieszka samotnie, ale jest bardzo chora i nie ma możliwości utrzymywać wnuka. Rodzina Anny zginęła w Essen w czasie nalotu lotnictwa brytyjskiego. Stirlitz, dziwiąc się sam sobie, odczuł radość: teraz będzie mógł usynowić chłopca. Zrobiłby to, gdyby nie obawa o przyszłość Heinricha. Wiedział, jaki los czeka dzieci tych, którzy stali się wrogami Rzeszy: dom dziecka, obóz koncentracyjny, później - krematorium...

Na razie wysłał chłopca w góry do Turynii - do rodziny gospodyni.

- Pani ma rację - powiedział jej w czasie śniadania - dzieci są zbyt uciążliwe dla samotnych mężczyzn.

Nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się wymuszenie. Miała wielką ochotę wygarnąć mu, że okrucieństwem jest przywiązać do siebie małego, a po trzech tygodniach wysłać go w góry do nowych ludzi, do których znowu będzie musiał się przyzwyczajać, nabierać zaufania do tych, co nocą śpią obok i kołyszac śpiewają spokojne, dobre pieśni.

- Rozumiem. Wydaje się to pani okrucieństwem. Ale co mają robić ludzie mojego zawodu? Czy będzie lepiej, jeżeli po raz drugi zostanie sierotą?

Gospodynię zawsze zaskakiwała umiejętność Stirlitza odgadywania jej myśli.

- O nie - powiedziała - w żadnym wypadku nie uważam, że jest pan okrutny. Postępuje pan bardzo mądrze. Z całą pewnością.

Sama już teraz nie wiedziała, czy mówi szczerze, i przestraszyła się, że Stirlitz znowu odczyta jej myśli.

Stirlitz wstał i wzięwszy świecę, podszedł do biurka. Wyjął kilka kartek papieru i rozłożył przed sobą niby karty w pasjansie. Na jednej kartce narysował grubego wysokiego człowieka. Chciał napisać na dole: Göring, ale nie zrobił tego. Na drugiej kartce narysował

głowę Goebbelsa, na trzeciej wydatną, przeciętą szramą twarz Bormanna. Pomyślał chwilę i napisał na czwartej kartce Reichsführer SS. To był tytuł jego szefa, Heinricha Himmlera.

...Pracownik wywiadu, znalazłszy się w centrum ważnych wydarzeń, powinien jak aktor wykazać się ogromną wrażliwością, nawet uczuciowością; z tym, że w ostatecznym rachunku wszelkie emocje powinien podporządkować żelaznej i dokładnej logice.

Stirlitz, gdy niekiedy nocą pozwalał sobie na luksus czucia się Isajewem, rozważał: co to znaczy być prawdziwym pracownikiem wywiadu? Zebrać informacje, usystematyzować obiektywne dane i przekazać je centrali, aby tam je politycznie uogólnili i podjęli właściwą decyzję? Czy też wysunąć swoje, zupełnie osobiste wnioski, nakreślić własną perspektywę, przedstawić własne obliczenia? Isajew sądził, że jeśli wywiad zajmować się będzie planowaniem polityki, to może się okazać, że będzie mnóstwo propozycji, a mało faktów. Bardzo źle, gdy wywiad jest całkowicie podporządkowany z góry ustalonej linii politycznej: tak zdarzyło się z Hitlerem, który uwierzywszy w słabość Związku Radzieckiego nie wysłuchał nieśmiałych opinii wojskowych, że Rosja nie jest taka słaba, jak się to wydaje. Źle jest również, gdy wywiad usiłuje podporządkować sobie politykę. Idealna sytuacja jest wtedy, gdy pracownik wywiadu widzi perspektywę rozwoju wydarzeń i proponuje politykom szereg ewentualnych, najbardziej z jego punktu widzenia celowych decyzji.

Pracownik wywiadu, myślał Isajew, może wątpić w doskonałość swoich przewidywań, nie ma natomiast prawa wątpić w obiektywność przekazywanych przez siebie materiałów. Przystępując obecnie do ostatecznego przeglądu całego materiału, zebranego w ciągu tych wszystkich lat, Stirlitz powinien więc rozważyć wszystkie za i przeciw: problem dotyczył losów Europy i omylić się przy analizie nie było wolno.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

### (Göring)

Lotnik z pierwszej wojny światowej, bohater Niemiec kaizerowskich, Göring, po pierwszym wystąpieniu hitlerowców uciekł do Szwecji. Zaczął tam pracować jako pilot lotnictwa cywilnego i pewnego razu, w czasie burzy, cudem udało mu się wylądować w pobliżu zamku Roklstadt. Poznał tam córkę pułkownika von Focka, Karin von Katzow, odtąd jego żonę, wyjechał do Niemiec, spotkał się z führerem, wziął udział w demonstracji narodowych socjalistów w dniu 9 listopada 1923 roku, został ranny, wywinął się jakoś od aresztowania i wyemigrował do Innsbrucka, gdzie Karin już na niego czekała. Nie mieli pieniędzy, ale właściciel hotelu utrzymywał ich bezpłatnie. Był, podobnie jak Göring, narodowym socjalistą. Potem inny właściciel hotelu zaprosił Göringa do Wenecji. Mieszkali -tam do roku 1927, kiedy to w Niemczech ogłoszona została amnestia. W ciągu niespełna sześciu miesięcy Göring został posłem do Reichstagu razem z jedenastoma innymi nazistami. Hitler nie mógł kandydować - był Austriakiem. Karin pisała w tym czasie do swojej matki w Szwecji: *W Reichstagu Hermann siedzi razem z generałem von Enn z Bawarii. Obok wielu kryminalnych typów z Czerwonej Gwardii z gwiazdami Dawida i Czerwonymi Gwiazdami - zresztą to jedno i to samo. Kronprinz przysłał Hermannowi depezę tej treści: „Tylko pan ze swoją postawą wojskową może reprezentować Niemców”.*

Trzeba było przygotowywać się do nowych wyborów. Decyzją Führera Göring odszedł od partyjnej pracy: pozostał jedynie deputowanym do Reichstagu. Jego zadanie w tym okresie to nawiązanie łączności z możliwymi tego świata - partia, która zamierzała zagarnąć władzę, powinna mieć szerokie kontakty. Zgodnie z decyzją partii wynajął on elegancki pałacyk na Badenstrasse: przyjmował tu księcia Hohenzollerna, księcia Koburga i innych magnatów. Duszą przyjęć była Karin: czarująca kobieta, arystokratka, córka jednego z wyższych dostojników Szwecji, obecnie żona „bohatera wojny”, „wygnańca, bojownika”, „przeciwnika zgniłej demokracji zachodniej” nie będącej w stanie przeciwstawić się bolszewickiemu wandalizmowi. Imponowała wszystkim.

W dniu przyjęcia wcześniej rano przyjeżdżał zawsze przywódca partyjnej berlińskiej organizacji hitlerowców - Goebbels. Był on łącznikiem między partią a Göringiem. Goebbels siadał do pianina, a Göring, Karin i Thomas, syn Karin z pierwszego małżeństwa, śpiewali

pieśni ludowe: w domu przywódcy nazistów nie znoszono wyuzdanych rytmów amerykańskiego jazzu.

Właśnie tu, do pałacyku wynajętego za pieniądze partii, 5 stycznia 1931 roku przyjechał Hitler, Schacht i Thyssen. Właśnie w tym szykownym pałacyku zawiązał się spisek finansowych i przemysłowych magnatów z przywódcą narodowych socjalistów Hitlerem, który wezwał robotników Niemiec, „aby zrzucili jarzmo kominternowskiego bolszewizmu i zdemoralizowanego imperializmu i przekształcili Niemcy w państwo ludu”.

Po puczu Röhma, gdy w opozycji do Führera znalazło się wielu weteranów, mówiło się: Göring przestał być Hermannem, stał się prezydentem. Nie przyjmuje towarzyszy partyjnych, poniża ich, każąc czekać w kolejce do swej kancelarii... Ugrzązł w zbytku.

Początkowo mówili o tym półgłosem jedynie szeregowi członkowie partii. Ale gdy Göring w 1935 roku zbudował pod Berlinem pałac Karinhall, poskarżyli się na niego Hitlerowi już nie szeregowi narodowi socjaliści, ale czołowi przywódcy: Ley i Sauckel. Goebbels wyraził pogląd, że demoralizacja Göringa rozpoczęła się jeszcze w owym pałacyku.

- Zbytek wciąga - mówił. - Trzeba jakoś pomóc Göringowi wygrzebać się z tego. Za bardzo nam wszystkim jest drogi.

Hitler pojechał do Karinhall, obejrzał pałac i powiedział:

- Zostawcie Göringa w spokoju. W końcu on tylko jeden wie, jak należy prezentować się dyplomatom. Niechaj Karinhall będzie rezydencją dla przyjęć gości zagranicznych. Hermann zasłużył na to. Będziemy uważali, że Karinhall należy do społeczeństwa, a Göring jedynie tam mieszka.

Göring spędzał czas na czytaniu Juliusza Verne'a i Karola Maya - to byli jego najbardziej ulubieni pisarze. Tutaj w Karinhall polował na oswojone jelenie, a wieczorami przesiadywał w sali kinowej: mógł oglądać pięć przygodowych filmów pod rząd. W czasie seansu uspokajał swoich gości tymi słowami:

- Nie denerwujcie się, wszystko dobrze się skończy.

Stąd, z Karinhall, po obejrzeniu filmów przygodowych odleciał do Monachium przyjmować kapitulację Chamberlaina; do Warszawy - obejrzeć rozstrzelanie w getcie, do Żytomierza - zaplanować likwidację Słowian.

W kwietniu 1942 roku, gdy Kolonia w wyniku nalotu amerykańskich bombowców została spalona i zburzona, Göring doniósł führerowi, że w bombardowaniu brało udział trzysta nieprzyjacielskich samolotów. Gauleiter Kolonii Groche, posiwiły w ciągu jednej doby, sprostował Göringa: w nalocie uczestniczyło osiemset bombowców, a luftwaffe była bezsilna, nic nie mogła zrobić, aby ocalić miasto.



Hitler w milczeniu patrzył na Göringa i tylko grymas pogardy pojawił się na jego twarzy. Potem wybuchnął: - Ani jedna nieprzyjacielska bomba nie spadnie na niemieckie miasta! Kto mówił o tym narodowi! Kto zapewniał o tym naszą partię? Czytałem w książkach o hazardowych grach i znam pojęcie bluffu! Niemcy to nie zielone sukno stołu, na którym można uprawiać hazard. Pan ugrzązł w zadowoleniu i zbytku, Göring. Pan żyje w dni wojny niby imperator albo żydowski plutokrata! Pan strzela z łuku do jeleni, a mój naród zabijają armaty i samoloty wroga! Misja wodza to wielkość narodu! Dola wodza - skromność! Profesja wodza - wcielać w czyn obietnice!

Z orzeczenia lekarzy przydzielonych marszałkowi Rzeszy dowiedziano się, że Göring, wysłuchawszy tych słów Hitlera, wrócił do domu i położył się do łóżka z wysoką temperaturą; dostał silnego szoku nerwowego.

Tak więc w 1942 roku Göring, „nazi nr 2”, oficjalny następca Hitlera został po raz pierwszy poddany takiej poniżającej krytyce, i to w obecności otoczenia Führera. To wydarzenie od razu znalazło się w aktach Himmlera i na drugi dzień, nie pytając o pozwolenie Hitlera, reichsführer SS zarządził podsłuch wszystkich rozmów telefonicznych „najbliższego współpracownika führera”.

Zresztą po raz pierwszy Himmler przez tydzień podsłuchiwał rozmowy marszałka Rzeszy po owym skandalu z jego bratem Albertem, kierownikiem eksportu zakładów „Skoda”. Albert, mający opinię obrońcy pokrzywdzonych, napisał na blankiecie brata pismo do komendanta obozu Mauthausen: *Niezwłocznie proszę zwolnić profesora Kischa, przeciwko któremu nie ma poważnych dowodów*. I podpisał się Göring. Bez inicjałów. Przestraszony komendant obozu koncentracyjnego zwolnił od razu dwóch Kischów: jeden z nich był profesorem, a drugi działaczem podziemia politycznego.

Sporo wysiłku kosztowało Göringa, żeby wybronić brata: usunął go spod ciosu, opowiedziawszy tę historię führerowi jako ciekawą anegdotę.

Mimo to Hitler po dawnemu powtarzał Bormannowi: Nikt inny nie może być moim następcą, tylko Göring. Po pierwsze - nigdy nie prowadził samodzielnej polityki, po drugie - jest popularny wśród narodu i po trzecie - jest głównym obiektem karykatur w nieprzyjacielskich gazetach.

Taka była opinia Hitlera o człowieku, który dokonał konkretnej roboty zagarnięcia władzy, o człowieku, który zupełnie szczerze powiedział kiedyś żonie nocą w łóżku:

- To nie ja żyję, to Führer żyje we mnie...

15.2.1945 (godzina 22 minut 32)

Z partyjnej charakterystyki członka NSDAP od 1939 r. obergruppenführera SS, kierownika IV Wydziału RSHA (gestapo) Müllera. „Rzeczywisty Aryjczyk. Charakter nordycki, opanowany. Towarzyski i koleżeński z przyjaciółmi i kolegami w pracy. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Wzorowy w życiu rodzinnym, związków kompromitujących go nie miał. W pracy dał się poznać jako wybitny organizator...”

Szef służby bezpieczeństwa SD Ernst Kaltenbrunner mówił z silnym wiedeńskim akcentem. Wiedział, że to złościło führera i Himmlera, i dlatego w swoim czasie pobierał korepetycje u specjalisty, chcąc się nauczyć prawdziwego „hochdeutsch”. Ale z tego przedsięwzięcia nic pożytecznego nie wyszło. Lubił Wiedeń, żył Wiedniem i nie mógł zmusić się, żeby chociaż godzinę dziennie mówić „hochdeutsch” zamiast swoim wesołym, choć i pospolitym wiedeńskim dialektem. Dlatego ostatnio Kaltenbrunner przestał się podszycać pod Niemca i rozmawiał ze wszystkimi, jak mu było wygodniej - po wiedeńsku. Do podwładnych zwracał się nawet z insbruckim akcentem. Austriacy w górach mówią zupełnie odrębnie i Kaltenbrunner miał nieraz cichą satysfakcję, gdy zapędzony przez niego w ślepy zaułek podwładny, zmieszany i zdenerwowany, bał się prosić o powtórzenie niezrozumiałego słowa.

Kaltenbrunner popatrzył na szefa gestapo obergruppenführera SS Müllera i powiedział:

- Nie chcę wzbudzać w panu podejrzliwości w stosunku do towarzyszy partyjnych i towarzyszy walki, ale fakty mówią same za siebie: po pierwsze, Stirlitz, wprawdzie pośrednio, niemniej jest związany z fiaskiem krakowskiej operacji. Był tam, a miasto w wyniku dziwnego zbiegu okoliczności pozostało nie tknięte, chociaż miało wylecieć w powietrze. Po drugie, zajmował się zaginioną V-2, ale nie znalazł jej i V-2 zniknęła, i proszę Boga, żeby utonąła po prostu w błotach międzyrzecza Wisły i Wisłoki... Po trzecie, również i teraz pracuje nad uporządkowaniem sytuacji na odcinku broni odwetu i chociaż otwartych wpadek na jego koncie nie ma, ale sukcesów, rzucających się w oczy osiągnąć też nie widzimy. A porządkować to przecież oznacza nie tylko pakować za kraty inaczej myślących. To także pomoc dla tych, którzy myślą rzeczowo i perspektywicznie... Po czwarte, wędrujący nadajnik, pracujący na rzecz strategicznego - sądząc po szyfrze - wywiadu bolszewików, który on miał pod swoją pieczę, działa nadal w okolicy Berlina. Byłbym zadowolony, Müller, gdyby pan od razu rozwiał moje podejrzania. Jestem przychylnie nastawiony do Stirlitza i chciałbym otrzymać od pana fakty obalające wątpliwości, które się nagle we mnie zrodziły.

Müller pracował całą noc, był potwornie zmęczony, w skroniach mu szumiało. Dlatego odpowiedział, nie uciekając się do zwykłych sobie rubasznych żartów:

- Nie miałem nigdy żadnych sygnałów w jego sprawie. A od błędów i niepowodzeń w naszej pracy nikt nie jest ubezpieczony.

- A więc panu się wydaje, że to ja się mylę? - W pytaniu Kaltenbrunnera zabrzmiały twarde nuty i Müller mimo zmęczenia odczuł je.

- Dlaczego... - odpowiedział. - Wszelkie podejrzenia trzeba zawsze wszechstronnie przeanalizować, temu w końcu służy mój aparat. Czy ma pan jeszcze jakieś fakty?

Okruch tytoniu utknął Kaltenbrunnertnerowi w tchawicy, rozkaszał się, twarz mu posiniała, żyły na szyi nabrzmiały, stały się szkarłatne.

- Jakby to panu powiedzieć - rzekł wycierając łzy. - Prosiłem, żeby przez parę dni utrwać na taśmie jego rozmowy z naszymi ludźmi. Ludzie, którym bezwzględnie wierzę, otwarcie mówią o fatalnej sytuacji, o tępotcie wojskowych, o kretynizmie Ribbentropa, o bałwanie Göringu, o tych Okropnościach, które oczekują nas wszystkich, jeśli Rosjanie wedrą się do Berlina... A Stirlitz powiada: „Głupstwo, wszystko w porządku, sprawy idą normalnie”. Miłość do ojczyzny i Führera nie polega na tym, żeby ślepo kłamać przyjacielom w pracy... Spytałem sam siebie: A czy to czasami nie dureń? Mamy przecież wielu tępaków, którzy bezmyślnie powtarzają abrakadabrę Goebbelsa. Nie, on nie jest durniem. Dlaczego w takim razie nie jest szczery? Albo nie wierzy nikomu, albo boi się czegoś. Może coś knuje i dlatego chce być kryształowo czysty. Ale co knuje w takim razie? Wszystkie prowadzone przez niego operacje wymagają wyjazdów za granicę, do neutralów. Zapytałem siebie: A czy on stamtąd wróci? A jeśli wróci, to czy nie związał się tam z opozycjonistami i innymi łajdakami? Na te pytania nie mogłem znaleźć żadnej odpowiedzi.

Müller milczał:

- Czy przejrzy pan najpierw jego akta, czy też mam je wziąć?

- Niech pan weźmie - powiedział Kaltenbrunner, który zdążył już wcześniej przestudiować wszystkie materiały. - Muszę jechać do Führera.

Müller popatrzył pytająco na Kaltenbrunnera. Czekał na jakieś wieści z bunkra, ale Kaltenbrunner nic nie powiedział. Z dolnej szuflady biurka wyjął butelkę napoleona, podał Müllerowi kieliszki i zapytał:

- Pił pan dużo?

- Nic nie piłem.

- A dlaczego ma pan czerwone oczy?

- Nie spałem, było dużo roboty w Pradze. Nasi ludzie wpadli tam na trop działalności organizacji podziemnych.

- Kruger będzie dobrym pomocnikiem. To doskonały służbista, chociaż brakuje mu fantazji. Proszę wypić łyk koniaku, to pana ożywi.

- Ja przeciwnie, po koniaku robię się ospały. Lubię wódkę.

- Po tym gatunku to panu nie grozi. - Kaltenbrunner uśmiechnął się i podniósł swój kieliszek. - Prosit!

Wypił jednym haustem, grdyka podskoczyła mu w górę.

Zdrowo pije, pomyślał Müller cedząc trunek. Teraz na pewno należy sobie drugi kieliszek.

Kaltenbrunner zapalił najtańszego mocnego papierosa „Karo1” i zapytał:

- Powtórzemy?

- Z przyjemnością - odpowiedział Müller.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

### (Goebbels)

Stirlitz odłożył kartkę papieru z podobizną grubej postaci Göringa i wziął następną, z profilem Goebbelsa. Z powodu jego licznych przygód w Babelsbergu, gdzie znajdowała się wytwórnia filmowa Rzeszy i gdzie mieszkaly aktorki, przezwano go „babelsberskim byczkiem”. W aktach Goebbelsa znajdowało się nagranie rozmowy pani Goebbels z Göringiem z czasów, gdy minister propagandy Rzeszy był zajęty czeską aktorką Lidą Baarovą. Göring powiedział wtedy:

- On chyba kiedyś kark skręci z powodu tych bab. Człowiek, który reprezentuje naszą ideologię, hańbi się przypadkowym związkiem z brudną Czeszką!

Führer radził Frau Goebbels, by wystąpiła o rozwód.

- Poprę panią - powiedział - a z pani mężem, dopóki nie nauczy się prowadzić, tak jak przystoi prawdziwemu narodowemu socjaliście - człowiekowi o wysokiej moralności, który powinien święcie wypełniać obowiązki wobec rodziny - nie będę się osobiście spotykał...

Teraz to wszystko zeszło na dalszy plan. W styczniu tego roku Hitler przyjechał do Goebbelsa na urodziny. Przywiózł pani Goebbels bukiet kwiatów i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie, ale objechałem cały Berlin, zanim dostałem kwiaty. Gauleiter Berlina parteigenosse Goebbels kazał zamknąć wszystkie kwaciarnie, bo totalnej wojnie nie potrzeba kwiatów...

Kiedy po czterdziestu minutach Hitler odjechał, Magda Goebbels powiedziała uszczęśliwioną:

- Do Göringów führer nigdy by nie pojechał...

Berlin leżał w gruzach, linia frontu przebiegała o sto czterdzieści kilometrów od stolicy tysiącletniej Rzeszy, a Magda Goebbels święciła swoje prywatne zwycięstwo. Obok niej stał mąż o poblądłej ze szczęścia twarzy. Po sześcioletniej przerwie führer znów odwiedził jego dom...

Stirlitz narysował duże koło i zaczął powoli zakreślać je wyraźnymi, równymi liniami. Przypominał sobie wszystko, co wiązało się z dziennikami Goebbelsa. Wiedział, że interesował się nimi reichsführer i dokładał kiedyś wszelkich starań, żeby w jakiś sposób się z nimi zapoznać. Stirlitzowi udało się przejrzeć fotokopie zaledwie paru stron. Miał fenomenalną

pamięć, fotografował wzrokiem tekst i zapamiętywał wszystko mechanicznie, bez żadnego wysiłku.

*W Anglii panuje epidemia grypy - pisał Goebbels. - Nawet król jest chory. Dobrze by było, gdyby ta influenza stała się fatalna dla Anglii, ale to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.*

*2 marca 1943 r. Nie zaznam spokoju, dopóki z Berlina nie zostaną wywiezieni wszyscy Żydzi. Po rozmowie ze Speerem pojechałem do Göringa. Ten narodowy socjalista ma w piwnicy 25 000 butelek szampana! Był ubrany w tunikę, której kolor wywołał we mnie odrazę. Ale cóż zrobić, trzeba go brać takim, jaki jest.*

Stirlitz uśmiechnął się, przypomniał sobie, że Himmler dosłownie tak samo wyraził się kiedyś o Goebbelsie. Było to w czterdziestym drugim roku. Goebbels przebywał wówczas na letniku, ale nie z rodziną, w dużym domu, lecz w maleńkiej skromnej wiejskiej chatce. Domek stał obok jeziora i ogrodzenie można było minąć idąc przez szuwary, woda sięgała tam do kostek. Przyjeżdżały do niego aktorki, Jechały koleją podmiejską, a następnie szły piechotą przez las. Goebbels uważał, że wożenie do siebie kobiet autem byłoby zbędnym luksusem, niegodnym narodowego socjalisty. Sam przeprowadzał je przez szuwary, a potem rano, gdy posterunki SS jeszcze spały, odprowadzał je na stację. Himmler oczywiście dowiedział się o tym. Wtedy właśnie powiedział: „Trzeba go brać takim, jaki jest...”

(W tym wiejskim domku Goebbels postawił parafę na zarządzeniu przysłanym mu z kancelarii Göringa, zobowiązującym berlińskie gestapo do zlikwidowania w terminie trzydniowym sześćdziesięciu tysięcy Żydów zatrudnionych w przemyśle; właśnie tu napisał list do Alfreda Rosenberga, proponując wymordowanie trzech milionów Czechów - zamiast półtora miliona, jak to było zaplanowane; tu przygotowywał plan kampanii propagandowej w sprawie zniszczenia Leningradu...)

*Göring mówił mi - kontynuował Goebbels w swych dziennikach - że Afryka jest nam niepotrzebna. Musimy myśleć o sile Anglo-Amerykanów. Stracimy Afrykę tak czy owak. Skierował tam swego zastępcę z luftwaffe, feldmarszałka A. Kesselringa. Ciągłe pytał mnie, skąd bolszewicy biorą rezerwy żołnierzy i broni? Dziwił się, jak brytyjska plutokracja może współpracować z bolszewikami, wspominając szczególnie o pozdrowieniach Churchilla z okazji dwudziestopięciolecia Armii Czerwonej. Bardzo dobrze wyrażał się o antybolszewickiej propagandzie. Zrobiły na nim wrażenie moje dalsze plany w tej dziedzinie. Jest jakiś apatyczny. Trzeba go ożywić. Bez niego wszelka praca kierownicza jest niemożliwa.*

*Göring mówi: „Nasze klęski na Wschodzie ci dranie, generałowie, tłumaczą warunkami rosyjskiej zimy, a to jest kłamstwo! Paulus bohater! Przecież ten człowiek niedługo będzie*

występował w moskiewskim radio! Dlaczego okłamujemy naród, że Paulus zginął jak bohater? Führer nie odpoczywał trzy lata. Żyje jak spartanin. Siedząc w bunkrze nie widzi światła dziennego. Trzy lata wojny są straszniejsze dla niego niż pięćdziesiąt normalnych lat. Ale on nie chce mnie słuchać. Führera trzeba uwolnić od dowodzenia armią. Jak zawsze w okresie kryzysu w łonie partii jego najbliżsi współbojownicy powinni zespolic się wokół niego i ocalić go”.

Göring nie karmi się iluzjami na temat, co się z nami stanie, jeśli przegramy wojnę. Ile nas będzie kosztować sam problem żydowski? Wojna zakończy się politycznym krachem, zgodziłem się z nim. Zaproponowałem mu w tym miejscu stworzenie zamiast Komitetu Trzech, Rady do Spraw Obrony Rzeszy na czele z człowiekiem, który pomagał Führerowi w przeprowadzeniu rewolucji. Göring był wstrząśnięty, długo się wahał, ale potem wyraził zgodę. Chce pokonać Himmlera. Funka i Leya pokonałem ja. Speer jest moim człowiekiem. Göring postanowił polecieć do Berlina zaraz po powrocie z Włoch. Tam spotka się z nami. Speer porozmawia przedtem z Führerem. Ja też. Problem kandydatury zadecydujemy później.

9 marca 1943 r. Przyleciałem do Winnicy. Spotkałem Speera. Powiedział mi, że Führer czuje się dobrze, ale jest zły na Göringa z powodu bombardowań Niemiec. Zostałem przyjęty przez Führera i jestem szczęśliwy, że spędziłem z nim cały dzień. Szczegółowo zameldowałem mu o nalotach na Berlin. Słuchał mnie uważnie i strasznie wymyślał Göringowi. W związku z Göringiem mówił o generałach. Powiedział, że nie wierzy żadnemu z nich, i właśnie dlatego dowodzi armią.

12 marca 1943 r. Polecilem wydrukować w naszej prasie wiadomość o reparacjach, jakie Anglicy żądają od narodu niemieckiego w przypadku naszej klęski. To wstrząśnię Niemcami. Przez dwie godziny klóciłem się z Ribbentropem, który domaga się, aby uważać Francję za kraj suwerenny i nie rozpowszechniać na jej terytorium naszej propagandy. Chwała Bogu, Göring zaczął częściej pokazywać się publicznie. Trzeba umacniać jego autorytet.

12 kwietnia 1943 r. Wyjechałem na konferencję zwołaną przez Göringa na temat problemu kryzysu w kierownictwie. Przyjechaliśmy z Funkiem do Freising i tu chwycił mnie atak. Wezwałem profesora Morela, który zabronił mi jechać dalej. Na konferencji Sauckel walczył ze Speerem.

20 kwietnia 1943 r. Demonstracja dla uczczenia 54-lecia urodzin Führera. Odwiedził mnie Ley i opowiedział o konferencji w Obersaltzbergu. Nie podobala mu się atmosfera. Nie wierzy, że Göring będzie kierować sprawami Rzeszy, gdyż skompromitował się, jeśli idzie o lotnictwo i bombardowania. Führer jest zadowolony, że moje stosunki z Göringiem uległy poprawie. Uważa, że gdy w imię dobra ojczyzny dostojnicy partyjni się zjednoczą, wygrywa na

*tym on i NSDAP. Przyszedł Speer. Jego zdaniem, Göring jest już przemęczony, a Sauckel ma paranoję. Schirach, jak powiedział Führer, dostał się pod wpływ reakcjonistów z Wiednia i dlatego w swoich wystąpieniach torpeduje ideę wojny totalnej.*

Stirlitz zmiął kartki z podobiznami Göringa i Goebbelsa, zapalił je nad płomieniem świecy, cisnął w kominek. Rozrzucił popiół żelaznym pogrzebaczem, po czym wrócił do biurka i sięgnął po papierosy. Goebbels otwarcie prowokował Göringa, myślał Stirlitz. W swoim dzienniku pisał dla siebie i dla potomności... Za bardzo chytrze. Dlatego wszystko wyszło na wierzch. Histeryk, postępował niezbyt zręcznie. Widocznie zbytnio demonstrował swą miłość do führera. Czy to przypadkiem nie po rozmowie, którą być może przeprowadził z Himmlerem, zapadł na tę nagłą dyplomatyczną chorobę i wycofał się z konferencji w Obersaltzbergu, konferencji, której ideę sam Goringowi podsunął?

Stirlitz spojrział na dwie pozostałe kartki: Himmler i Bormann.

Göringa i Goebbelsa wykluczam. Göring prawdopodobnie mógłby wszcząć rozmowy z aliantami, ale jest w opałach, nikomu nie wierzy, brakuje mu siły politycznej. Goebbels? Nie. Ten nie. Jest fanatykiem, wytrwa do końca. Jeden z dwóch: Himmler albo Bormann. Na kogo z nich postawić. Na Himmlera? Chyba nigdy nie będzie w stanie pójść na rokowania - wie, jaką nienawiść budzi jego imię... Tak, na Himmlera...

Właśnie w tym czasie Göring, wychudły, blady z pękającą od bólu głową, wracał do siebie do Karinhall z bunkra Hitlera. Dziś rano wyjechał samochodem w kierunku frontu, dotarł do tego miejsca, gdzie przedarły się rosyjskie czołgi. Wprost stamtąd udał się do Hitlera.

- Na froncie panuje dezorganizacja - powiedział. - Wszystko sprawia wrażenie zupełnego rozkładu. Żołnierze mają bezmyślne spojrzenia. Widziałem pijanych oficerów. Natarcie bolszewików rodzi w armii strach, zwierzęcy strach. Sądzę...

Hitler słuchał go z półprzymkniętymi oczami, przytrzymując prawą ręką łokieć lewej, trzęsącej się.

- Sądzę... - powtórzył Göring.

Ale Hitler nie pozwolił mu dokończyć. Wstał ciężko. Wytrzeszczył zaczerwienione oczy.

- Zabraniam panu w przyszłości wyjeżdżać na front - powiedział swoim dawnym silnym głosem. - Zabraniam panu szerzyć panikę.

- To nie panika, ale prawda. - Po raz pierwszy w życiu Göring przeciwstawił się Hitlerowi i od razu poczuł, jak lodowacieją mu palce u nóg i rąk. - To jest prawda, mój Führerze, i moim obowiązkiem jest powiedzieć panu tę prawdę!



- Niech pan zamilczy! I niech się pan lepiej zajmie lotnictwem, Göring! I proszę nie leżć tam, gdzie potrzebna jest spokojna głowa, intuicja i siła. To - jak się okazało - nie dla pana. Zabraniam panu wyjeżdżać na front raz na zawsze.

Göring był zmiażdżony i poniżony, czuł, jak za jego plecami śmieją się te nędzne kreatury - adiutanci wodza.

W Karinhall czekali już na niego sztabowcy luftwaffe: wychodząc z bunkra polecił zebrać swoich ludzi. Ale nie udało się zacząć narady, adiutant zameldował, że przyszedł reichsführer SS Himmler. - Prosił o rozmowę sam na sam - szepnął adiutant.

Göring przyjął reichsführera u siebie w bibliotece. Himmler był jak zawsze uśmiechnięty i spokojny. Usiadł na krześle, zdjął okulary i długo przecierał szkła zamszem, a potem bez żadnego wstępu powiedział:

- Führer nie może być dłużej wodzem narodu.

- Cóż więc robić? - machinalnie odpowiedział Göring, nie zdążywszy się nawet porządnie przestraszyć słów wypowiedzianych przez przywódcę SS.

- Mówiąc ogólnie, to w bunkrze są wojska SS - tak samo spokojnie ciągnął Himmler - ale rzecz ostatecznie nie na tym polega. Führer ma sparaliżowaną wolę. Nie może podejmować decyzji. Mamy obowiązek zwrócić się do narodu.

Göring popatrzył na grabą czarną teczkę leżącą na kolanach Himmlera. Przypomniawszy sobie, jak w czterdziestym czwartym roku jego żona rozmawiając z przyjaciółką powiedziała: „Lepiej przyjedź do nas, wolę nie rozmawiać przez telefon, bo nas podsłuchują”. Göring przypomniał sobie, jak wówczas zastukał palcami po stole i dał żonie znak. „Nie mów o tym, to szaleństwo”. Teraz patrząc na czarną teczkę, myślał, że może znajduje się tam dyktafon i że ta rozmowa za dwie godziny będzie odtworzona führerowi. To oznaczałoby oczywiście koniec.

Może sobie mówić, co chce, myślał Göring o Himmlerze. Ojciec prowokatorów nie może być porządnym człowiekiem. Pewnie już wie, jak mnie dziś führer upokorzył. Przyszedł doprowadzić do końca swoją rozgrywkę.

Himmler ze swej strony wiedział, co myśli „nazi nr 2”. Dlatego westchnąwszy, postanawiał mu pomóc. Powiedział:

- Pan jest następcą, a więc pan zostanie prezydentem. Ja zaś - kanclerzem Rzeszy.

Rozumiał, że naród nie pójdzie za nim jako za wodzem SS. Potrzebny mu był figurant.

Göring odpowiedział, znów automatycznie:

- To niemożliwe... - Odczekał chwilę i dodał bardzo cicho, licząc na to, że szept nie zostanie zarejestrowany przez ewentualny dyktafon: - To niemożliwe. Jeden człowiek powinien sprawować obie te godności.

Himmler uśmiechnął się lekko, posiedział chwilę w milczeniu, a potem wstał energicznie, wymienił z Göringiem nazistowskie pozdrowienie i wyszedł z biblioteki.

*15.2.1945 (godzina 23 minut 54)*

Stirlitz wyszedł z gabinetu udając się do garażu. Bombardowanie trwało nadal, ale ataki koncentrowały się obecnie gdzieś w rejonie Zossen - tak mu się przynajmniej wydawało. Otworzył bramę, usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Horch zagrał równo i mocno.

Dalej w drogę, powiedział sobie w myślach po rosyjsku i włączył radio. Nadawano muzykę lekką. W czasie nalotów zwykle nadawano coś wesołego. To weszło w zwyczaj; jeśli obrywali na froncie albo nasilały się ataki z powietrza, radio prezentowało wesoły, żartobliwy program. Pojedziemy szybko, żeby nie trafić pod bomby. Podobno najczęściej bomby trafiają w nieruchome cele. Noc jest wprawdzie księżycowa, ale jeśli pojedziemy siedemdziesiątką, to prawdopodobieństwo trafienia zmniejsza się dokładnie siedemdziesiąt razy...

Jego radiooperatorzy - Erwin i Kät - mieszkali w Köpenick, na brzegu Sprewy. Obydwoje już spali. Ostatnio kładli się wcześniej, gdyż Kät oczekiwała dziecka.

- Świetnie wyglądasz - powiedział Stirlitz. - Należysz do tych rzadko spotykanych kobiet, którym spodziewane macierzyństwo dodaje uroku.

- Cięża każdą kobietę czyni piękną - odrzekła Kät. - Tylko po prostu nie miałeś dotychczas okazji tego zauważyć.

- Nie miałem okazji. - Stirlitz uśmiechnął się. - Dobrze to powiedziałaś.

- Napijesz się kawy z mlekiem?

- Skąd macie mleko? Och, zapomniałem przywieźć... Niech to...

- Sprzedałem ubranie - odpowiedział Erwin. - Ona musi pić mleko.

Stirlitz pogłodził Kät po policzku i zapytał:

- Zagrasz nam coś?

Kät usiadła do pianina i przejrzawszy nuty wybrała Bacha. Stirlitz odszedł od okna i spytał cicho Erwina:

- Sprawdziłeś, czy nie wetknęli ci jakiejś sztuczki w wywietrznik?

- Sprawdziałem, nic nie ma. Czyżby twoi kamraci z SD znowu wynaleźli jakieś świństwo?

- Licho ich wie. Rozumiesz. - Stirlitz mówił powoli, dobitnie. - Interesuję się aktualnie tym, który z wyższych bonzów zamierza rozpocząć separatystyczne pertraktacje z Zachodem. W grę wchodzi oczywiście tylko hitlerowskie kierownictwo, a nie jakieś osoby z niższego szczebla. Jak ci się podoba takie zadanie, co? Dobre? Tam widocznie sądzą, że jeśli nie

wpadłem w ciągu dwudziestu lat, znaczy, że jestem wszechmocny. Byłoby nieźle, gdybym został zastępcą Hitlera. Albo po prostu przemienił się w Führera, co? Zaczynam głądzić, nie uważasz?

- Do twarzy ci z tym - powiedział Erwin. Zauważywszy, że mężczyźni zamilkli, Kät przestała grać.

- Jak ty chcesz rodzić, dziewczyno? - zapytał Stirlitz.

Uśmiechnęła się.

- O ile wiem, nie wynaleziono jeszcze nowego sposobu.

- Rozmawiałem przedwczoraj z pewnym lekarzem położnikiem... Nie chcę was straszyć, chociaż sam porządnie się przestraszyłem. Ten stary lekarz jest zdania, że w czasie porodu z reguły można określić narodowość rodzącej.

- Nie rozumiem - powiedział Erwin.

Kät urwała w pół frazy.

- Nie bój się, najpierw posłuchaj, a później pomyślimy, jak z tego wybrnąć. Rozumiesz, kobiety krzyczą w czasie porodu.

- Dobre sobie - odpowiedziała Kät. - A ja myślałam, że śpiewają piosenki.

Stirlitz pokręcił głową i westchnął.

- Rozumiesz, kobiety krzyczą w takiej chwili w swoim ojczystym języku. I to nawet w dialekcie tej miejscowości, w której się urodziły. A więc ty powinnaś krzyczeć „mamusiu” po rizańsku...

Kät grała nadal, ale Stirlitz zobaczył, że oczy jej zasły łzami.

- Co robić? - zapytał Erwin.

- A gdyby tak wyprawić was do Szwecji? Wydaje mi się, że potrafię tego dokonać.

- I pozbawisz się łączności? - zapytała Kät.

- Ja mogę zostać - oświadczył Erwin.

Stirlitz przecząco pokręcił głową.

- Sama nie możesz jechać, tylko razem z nim. Jako inwalida wojenny, Erwin wymaga sanatoryjnego leczenia. Zaproszenia przyślą wam wasi niemieccy krewni ze Sztokholmu. Samą cię nie puszcza. Przecież to jego wujek, a nie twój, uważany jest przez nas za szwedzkiego faszystę.

- Zostaniemy tutaj - powiedziała Kät. - Nie bój się, będę krzyczała po niemiecku.

- Możesz ewentualnie dorzucić trochę rosyjskich przekleństw, ale koniecznie z berlińskim akcentem - zażartował Stirlitz. - Rozstrzygniemy to jutro. Trzeba całą sprawę rozważyć bez pośpiechu i bez emocji. No a teraz najwyższy czas zabrać się do roboty. Cóż

Erwin, trzeba wyjść w eter. W zależności od tego, co mi jutro odpowiedzą, podejmiemy decyzję.

Po pięciu minutach wyszli z domu. Erwin niósł walizkę, w której znajdowała się radiostacja. Odjechali piętnaście kilometrów w kierunku Rangsdorfu i tu w lesie Stirlitz wyłączył silnik. Bombardowanie trwało. Erwin popatrzył na zegarek i powiedział:

- Zaczynamy?

- Zaczynamy.

*JUSTAS DO ALEKSA*

*W dalszym ciągu jestem przekonany, że żaden z poważnych polityków Zachodu nie podejmie rozmów z SS. Ale ponieważ otrzymałem zadanie, przystępuję do jego realizacji. Uważam, że będzie można je wypełnić, jeśli przekażą część otrzymanych przez was danych Himmlerowi. Mając zapewnioną jego pomoc, potrafię w przyszłości rozpocząć bezpośrednią obserwację osób, które według was mogą wchodzić w rachubę jako kandydaci do ewentualnych rokowań. Mój „donos” w tej sprawie do Himmlera (szczegóły ustalą na miejscu, bez konsultacji z wami) pomoże mi poinformować was o wszystkich nowościach: zarówno w sensie potwierdzenia waszej hipotezy, jak i obalenia jej. Innej drogi w obecnej chwili nie widzę. W wypadku akceptacji proszę przekazać mi zgodą przez kanał Erwina.*

*Justas*

Doniesienie to wywołało w Moskwie efekt podobny do wybuchu bomby.

- Ten człowiek w tej chwili jest o krok od krachu - powiedział kierownik centrali. - Jeśli pójdzie wprost do Himmlera, wpadnie z miejsca i nic go nie uratuje. Nawet jeśli założymy, że Himmler zdecyduje się podjąć rozgrywkę. Nie ma się zresztą nad czym zastanawiać. Stirlitz to nie żadna figura w sensie jakiegokolwiek współuczestnictwa w rozgrywkach reichsführera SS. Przekażcie mu jutro rano niezwłoczny i kategoryczny zakaz w tej sprawie.

Tego, co wiedziała centrala, nie mógł wiedzieć Stirlitz. Wiadomości zebrane przez centralę podczas ostatnich miesięcy dawały zupełnie nieoczekiwane wyobrażenie o Himmlerze.

## **INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA**

**(Himmler)**

Obudził się od razu - jak gdyby ktoś szarpnął go za ramię. Siadł na łóżku i szybko się rozejrzał. Panowała cisza. Fosforyzujące wskazówki małego budzika wskazywały godzinę

piątą. Wcześniej, pomyślał Himmler, trzeba jeszcze pospać, chociażby godzinę. Ziewnął i obrócił się ku ścianie. Przez otwarty lufcik dolatywał szum lasu. Wieczorem padał śnieg i Himmler wyobraził sobie, jak pięknie musi być teraz w tym spokojnym, bezludnym, zimowym lesie. Przyszła mu nagle myśl, że bałby się sam pójść do lasu, bałby się, jak niegdyś w dzieciństwie.

Wstał, narzucił szlafrok i podszedł do biurka. Nie zapalając światła usiadł na skraju drewnianego fotela i położył dłoń na słuchawce czarnego telefonu. Trzeba zadzwonić do córki, pomyślał. Dziewczyna się ucieszy. Ma tak mało radości.

Pod szkłem dużego biurka leżały dwie fotografie sporego formatu: dwóch chłopców uśmiechało się figlarnie i beztrosko.

Himmler ujrzał nagle oczami wyobraźni Bormanna i pomyślał, że ten łajdak winien jest temu, że nie może zatelefonować do córki i powiedzieć: „Dzień dobry, szczurku, to ja, ojciec. Co ci się śniło, moje ty słoneczko?” Nie może też zadzwonić i do chłopców, a to dlatego, że nie urodzili się w legalnym związku. Himmler pamiętał milczenie Bormanna, gdy w czterdziestym trzecim roku poprosił z partyjnej kasy o osiemdziesiąt tysięcy marek pożyczki; chciał zbudować dla Marty, matki dwóch swoich synów, niedużą willę w Bawarii, z dala od bombardowań. Pamięta, jak führer, dowiedziawszy się o tym od Bormanna, spoglądał na niego, Himmlera, ze zdumieniem w czasie obiadów w Kwaterze Głównej. Z tego powodu nie mógł się również rozwieść z żoną, chociaż nie mieszkał już z nią od sześciu lat.

Bormann nie jest tu winien, myślał dalej Himmler, ja sam nie jestem w porządku. Z moim nieszczęściem to tłuste bydlę nie ma nic wspólnego. Zdecydowałbym się jako reichsführer na wszystkie poniżenia związane z rozwodem. Zdecydowałbym się na rozwód, mimo że statut SS zabrania rozbijania rodziny. Ale nigdy nie potrafiłbym sprawić bólu córce. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie czasy, kiedy cierpiał biedę i kiedy mieszkał z żoną w małym, ciemnym i zimnym pokoju w Norymberdze. Zaledwie osiemnaście lat temu. Był wtedy sekretarzem Gregora Strassera, „brata” führera. Miotał się po Niemczech, sypiał na dworcach, odżywiał się chlebem i lurą, nazywaną kawą, montując kontakty między organizacjami partyjnymi. Wtedy, w 1927 roku, nie rozumiał jeszcze, że idea Strassera stworzenia sztafet ochronnych SS zrodziła się w związku z rozpoczynającą się walką z Rohmem, wodzem SA. Himmler wierzył wówczas, że stworzenie SS jest konieczne dla obrony przywódców partii przed czerwonymi. Świącie był wtedy przekonany, że głównym celem czerwonych jest likwidacja wielkiego wodza, jedynego przyjaciela Niemców pracujących - Adolfa Hitlera. Powiesił nad swoim biurkiem ogromny jego portret. Gdy pewnego razu Hitler zajechał do

Strassera i zobaczył przed swoim portretem chudziutkiego, piegowatego młodego człowieka, powiedział:

- Czy warto jednego z liderów partii wywyższać tak bardzo ponad pozostałych narodowych socjalistów?

Himmler odpowiedział:

- Należę do partii, która nie ma lidera, ale wodza!

Hitler zapamiętał to.

Proponując führerowi nominację Himmlera na reichsführera nowo tworzonych oddziałów SS, Strasser liczył na to, że SS będzie przede wszystkim służyło jemu, Strasserowi, w jego walce przeciwko Röhmowi, w walce o wpływy w partii i u führera. Dwustu esesmanów zebrało się pod jego dowództwem, zaledwie dwustu. Ale bez SS nie byłoby zwycięstwa führera w 1933 roku. Himmler zdawał sobie z tego sprawę. Tymczasem po zwycięstwie führer mianował go zaledwie szefem policji kryminalnej Monachium. Do Himmlera przyjechał Gregor Strasser, człowiek, który przyjmował go do partii, ten, który wysunął ideę powołania oddziałów SS, teoretyk i ideolog partii. W tym okresie Strasser znalazł się w opozycji wobec Führera, oświadczając wprost weteranom partii, że Hitler sprzedał się potentatom przemysłu ciężkiego, tym krwawym kapitalistom, Kruppowi i Thyssenowi. „Naród poszedł za nami tylko dlatego, że ogłosiliśmy świętą wojnę potentatom finansowym żydowskiego i niemieckiego pochodzenia. On źle skończy, Heinrich - mówił wtedy Strasser - SS może się stać jeszcze większą siłą i w pana mocy będzie skierować ruch na właściwe tory, by znowu był uczciwy i szlachetny, jak na początku”.

Ale Himmler przerwał wówczas Strasserowi powiedziawszy, że wierność wobec Führera jest obowiązkiem każdego członka NSDAP.

- Może pan wystąpić ze swoimi wątpliwościami na zjeździe, ale wykorzystywanie własnego autorytetu dla prowadzenia walki opozycyjnej jest sprzeczne z prawem - przynosi to szkodę jedności partii.

Himmler śledził uważnie to, co dzieje się w centrali. Widział, że upojenie zwycięstwem zepchnęło w pewnym stopniu konkretne prace na dalszy plan, że przywódcy partii w Berlinie występują na wiecach, spędzają noce na przyjęciach dyplomatycznych, jednym słowem kosztują słodkich owoców narodowego zwycięstwa. Himmler uważał, że przedwcześnie. I w ciągu miesiąca zorganizował w Dachau pierwszy pokazowy obóz koncentracyjny.

- To dobra szkoła wychowania poprzez pracę, szkoła niemieckiego wychowania obywatelskiego tych ośmiu milionów, które głosowały na komunistów - mówił Himmler. -

Głupio sadzać całe te osiem milionów do obozów koncentracyjnych. Trzeba najpierw stworzyć atmosferę terroru w jednym obozie i stopniowo wypuszczać stamtąd tych, co się załamali, i komunistów, i ich sympatyków. Ci wypuszczeni będą najlepszymi propagatorami praktyk narodowego socjalizmu. Oni potrafią wpoić i przyjacielom, i dzieciom religijne posłuszeństwo wobec naszego reżimu.

Osobisty przedstawiciel Göringa spędził w Dachau wiele godzin, a potem zapytał Himmlera:

- Czy nie sądzi pan, że obóz koncentracyjny spotka się z ostrym potępieniem w Europie i Ameryce chociażby z tego względu, że to ośrodek sprzeczny z konstytucją?

- Dlaczego uważa pan aresztowanie wrogów reżimu za sprzeczne z Konstytucją?

- Dlatego że większość ludzi aresztowanych przez pana nie była nawet w gmachu sądu.

Ani aktu oskarżenia, ani nawet pozoru praworządności...

Himmler obiecał przemyśleć ten problem. Przedstawiciel Göringa odjechał, a Himmler napisał prywatny list do Hitlera, w którym uzasadniał konieczność aresztowania i osadzania w obozie koncentracyjnym bez sądu i śledztwa.

*Jest to - pisał do Führera - humanitarny środek ochrony wrogów narodowego socjalizmu przed gniewem ludu. Gdybyśmy nie zamknęli wrogów narodu w obozach koncentracyjnych, nie moglibyśmy gwarantować za ich życie: lud dokonałby nad nimi samosądu.*

W tym samym dniu Himmler zorganizował olbrzymi wiec, na którym powtórzył to słowo w słowo, a nazajutrz jego przemówienie zostało wydrukowane we wszystkich gazetach.

Gdy pod koniec 1933 roku w berlińskiej policji, podporządkowanej bezpośrednio Göringowi, wybuchł skandal łapówkowy, Himmler wyjechał nocą z Monachium i rano otrzymał audiencję u Führera. Poprosił wodza, aby oddał „sprzedajną policję starego reżimu” pod kontrolę „najlepszych synów ludu” - SS.

Hitler nie chciał skrzywdzić Göringa. Mocno uściskał rękę Himmlerowi i odprowadziwszy go do drzwi gabinetu, z bliska badawczo zajrzał w oczy, po czym uśmiechnąwszy się wesoło, zauważył:

- Na przyszłość proszę jednak przysyłać swe rozumne propozycje dzień wcześniej. Mam na myśli pańską notatkę dla mnie i identyczne wystąpienie w Monachium.

Himmler wyjechał zdenerwowany. Ale po miesiącu, bez wezwania do Berlina został mianowany szefem policji politycznej Meklemburgii i Lubeki; jeszcze po miesiącu szefem politycznej policji w Badenii, 21 grudnia - Hesji, 24 grudnia - Bremy, 25 - Saksonii i Turyngii, 27 - Hamburga. W ciągu tygodnia został szefem policji całych Niemiec z wyjątkiem Prus, które

po dawnemu podlegały Göringowi. Hitler zaproponował pewnego razu Göringowi kompromisowe rozwiązanie: mianowanie Himmlera szefem tajnej policji całej Rzeszy, ale z podporządkowaniem go Göringowi. Marszałek Rzeszy przyjął tę kompromisową propozycję Führera. Dał swojemu sekretarzowi polecenie załatwienia w kancelarii Führera nominacji Himmlera na zastępcę ministra spraw wewnętrznych i szefa tajnej policji, z prawem brania udziału w posiedzeniach rządu wtedy, gdy dyskutuje się tam sprawy policji. Frazę i „bezpieczeństwa Rzeszy” wykreślił własnoręcznie. To byłoby zbyt dużo dla Himmlera.

Gdy Himmler przeczytał tę wiadomość w gazetach, poprosił współpracowników kierujących prasą, aby skomentowali jego nominację w inny sposób. Göring popełnił zasadniczy błąd idąc na kompromis. Zapomniał, że nikt nie unieważnił głównego tytułu Himmlera - „Reichsführer SS”. I oto nazajutrz we wszystkich centralnych gazetach ukazał się komentarz: „Walne zwycięstwo narodowosocjalistycznej jurysprudencji - zjednoczenie w rękach Reichsführera SS Himmlera kryminalnej i politycznej policji, gestapo i żandarmerii. To ostrzeżenie dla wszystkich wrogów Rzeszy: karząca ręka narodowego socjalizmu wznosi się nad każdym opozycjonistą, nad każdym przeciwnikiem wewnętrznym i zewnętrznym”.

Przeniósł się do Berlina, do eleganckiej willi „Am Donnerstag”, obok Ribbentropa. I gdy świętowano zwycięstwo nad komunistami, Himmler, razem ze swym pomocnikiem Heydrichem, zaczął zbierać materiały na swojego byłego szefa Gregora Strassera. Himmler miał nad nim osobistą pieczę. Zrozumiał bowiem, że może odnieść pełne zwycięstwo jedynie wtedy, gdy przeleje krew Strassera, swego nauczyciela i pierwszego kierownika. Dlatego ze szczególną starannością gromadził skrzętnie wszystkie fakty, które mogły zaprowadzić Strassera pod mur.

W czerwcu 1934 roku Hitler wezwał Himmlera na rozmowę w sprawie przyszłych antyröhmowskich akcji. Himmler czekał na to. Rozumiał, że akcja przeciwko Röhmowi to jedynie pretekst do zlikwidowania wszystkich tych, z którymi Hitler rozpoczynał swą karierę. Dla tych ludzi Adolf Hitler był człowiekiem, bratem w partii, teraz zaś Adolf Hitler powinien się stać dla Niemiec wodzem i bogiem. Weterani partii stali się dla niego ciężarem. Himmler rozumiał to doskonale, słuchając, jak Hitler ciska gromy na tych „absolutnie nielicznych weteranów”, którzy znaleźli się pod wpływem wrogiej agitacji. Hitler nie mógł mówić całej prawdy nikomu, nawet najbliższym przyjaciółom. Himmler rozumiał i to, pomógł Führerowi. Położył na biurko akta czterech tysięcy weteranów, praktycznie wszystkich tych, z którymi Hitler zaczynał budować partię narodowosocjalistyczną. Przewidział trafnie, że Hitler nie zapomni tej przysługi: nic się tak nie ceni, jak pomoc w usprawiedliwieniu zbrodni.



Ale Himmler poszedł jeszcze dalej - przeniknąwszy zamysły Führera, postanowił stać mu się do tego stopnia niezbędnym, aby przyszłe akcje podobnego rodzaju odbywały się wyłącznie z jego inicjatywy.

Dlatego w czasie jazdy do willi Göringa zainscenizował przedstawienie: podstawiony agent w mundurze röhmowskiego SA strzelił w kierunku otwartego samochodu Führera. Wówczas Himmler, zakrywszy wodza swym ciałem, krzyknął, pierwszy w partii:

- Mój Führerze, jaki jestem szczęśliwy, że mogę oddać za pana życie!

Dotąd nikt nie mówił „mój Führerze”. Himmler stał się autorem zwrotu adresowanego do boga, do „swojego boga”.

- Od tej chwili łączy nas z panem braterstwo krwi, Heinrich - powiedział Hitler i te jego słowa usłyszeli stojący dookoła ludzie.

A po przeprowadzeniu akcji likwidacji Röhma, po rozstrzelaniu swego nauczyciela Strassera i czterech tysięcy weteranów partii pismacy niezwłocznie stworzyli mit o tym, że właśnie Himmler stał obok Führera od samego początku ruchu.

Odtąd, wymieniając przyjacielskie uściski dłoni z Göringiem, Hessem i Goebbelsem podczas „tafelrunde” u Führera, gdzie byli dopuszczani tylko najbliżsi, Himmler kompletował materiały na „swoich towarzyszy walki”.

*16.2.1945 (godzina 03 minut 12)*

Po odwiezieniu Erwina do domu, Stirlitz jechał bardzo powoli. Był zmęczony, jak po każdym seansie łączności z centralą.

Droga prowadziła przez las. Wiatr ucichł. Niebo było czyste, gwiazdziste.

Moskwa ma rację, gdy zakłada możliwość rokowań, rozmyślał. Nawet jeśli nie mają żadnych konkretnych danych, taka ewentualność jest możliwa, logicznie uzasadniona. W Moskwie wiedzą o swarach, jakie się toczą wokół Führera. Najpierw chodziło im o to, by być bliżej Führera. Teraz możliwy jest proces odwrotny. Właściwie wszyscy, i Göring, i Bormann, i Himmler, i Ribbentrop, zainteresowani są w tym, żeby utrzymać Rzeszę. Separatystyczny pokój dla każdego, kto potrafiłby go osiągnąć, oznaczać będzie osobisty ratunek. Każdy z nich myśli o sobie, a nie o losach Niemiec i Niemców. W tym wypadku pięćdziesiąt milionów Niemców stanowi jedynie karty w ich grze o własną skórę. Dopóki trzymają w swoim ręku armię, policję, SS - mogą zwrócić Rzeszę w dowolnym kierunku, byle tylko otrzymać gwarancję osobistej nietykalności...

Ostra smuga światła oślepiła go nagle. Zmrużył powieki i automatycznie nacisnął hamulec. Z krzaków wychynęli dwaj motocykliści w mundurach SS. Stanęli w poprzek drogi i jeden z nich skierował peem w samochód Stirlitza.

- Dokumenty! - zawołał.

Stirlitz podał mu legitymację i zapytał:

- A o co chodzi?

Motocyklista obejrzał dokument i zsalutowawszy, odpowiedział:

- Ogłoszono alarm. Szukamy radiotelegrafistów.

- No i jak? - zapytał Stirlitz chowając legitymację do kieszeni. - Dotąd bez skutku?

- Pana samochód jest pierwszy.

- Chcecie zajrzeć do bagażnika?

Motocyklista skwitował to uśmiechem.

- Na szosie są dwa leje, proszę zachować ostrożność, standartenführerze.

- Dziękuję - powiedział Stirlitz. - Zawsze jestem ostrożny.

To w związku z Erwinem, domyślił się, zamykają drogi na wschód i południe. Prawdę mówiąc, dosyć naiwnie, chociaż w zasadzie prawidłowo, jeśli miałyby się do czynienia z dyletantem, który nie zna Niemiec.

Objechał leje. Były świeże. Przez okno dolatywała woń spalenizny.

Wróćmy do naszych baranów, podjął rozmyślenia. Zresztą to nie takie barany, jak ich rysują Kukryniksy i Jefimow. A więc wytrych, który dobieram na swój użytek: osobiste zainteresowanie zawarciem pokoju Ribbentropa, Göringa czy Bormanna. Kiedy już rozpracuję najwyższe sfery Rzeszy, warto by, w sposób jak najbardziej dokładny, przypatrzeć się Speerowi; człowiek, który kieruje przemysłem Niemiec, to nie tylko utalentowany inżynier, to na pewno także poważny polityk. Tą postacią, od której nici wiodą do ludzi interesów Zachodu - dotąd porządnie się nie zajmowałem.

Zatrzymał samochód koło jeziora. Nie widział w ciemności wody, ale wiedział, że brzeg zaczyna się zaraz za tymi sosnami. Lubił przyjeżdżać tu latem, gdy w nasyconym żywicą powietrzu rysowały się brązowe pnie drzew, a promienie słońca przebijały iglaste potężne korony. Szedł wtedy w zarośla, kładł się wśród wysokiej trawy i godzinami leżał nieruchomo. Najpierw myślał, że ciągnie go spokój i bezludność tej okolicy. Nie ma gwarych plaży, a wysokie żółto-niebieskie sosny i biały piasek wokół ciemnego jeziora podkreślają miły nastrój. Ale później znalazł jeszcze kilka takich spokojnych, bezludnych miejsc w pobliżu Berlina - i dębowe zagajniki nad Nauen, i rozległe lasy koło Sachsenhausen, które wydawały się granatowe, szczególnie na wiosnę, gdy zaczynały topnieć śniegi odkrywając brązową ziemię. Wtedy zrozumiał, że dlatego ciągnie go do tego właśnie małego jeziora, że wychował się nad Wołgą, w pobliżu Gorochowca, gdzie były dokładnie takie same żółto-błękitne sosny i biały piasek, i czarna toń pokryta wodorostami. Tęsknota za tym jeziorem była czymś nie do

pokonania i czasami Stirlitz bał się tego swego stałego pragnienia. Odjeżdżał stąd bowiem rozbity, rozmiękczone, ciągnęło go do picia. Gdy w dwudziestym drugim roku wyjechał na polecenie Dzierżyńskiego z Władywostoku z resztkami białej armii i pracował najpierw w kręgach emigracyjnych na terenie Japonii, Mandżurii i Chin, początkowo nie było mu tak ciężko, bo w tych krajach azjatyckich nic nie przypominało mu domu. Nostalgia nawiedziła go wówczas, gdy „zgubiwszy”, paszport wyjechał do Australii, żeby tam, w konsulacie w Sydney, zameldować o sobie, o von Stirlitzu, okradzionym w Szanghaju. Wtedy właśnie, w czasie jazdy przygodnym samochodem z Sydney do Canberry, przeżył ów napad nostalgii. Jechał przez olbrzymie lasy i zdawało mu się, że jest gdzieś na Tambowszczyźnie. Gdy jednak samochód stanął na siedemdziesiątej ósmej mili koło baru, a Stirlitz poszedł położyć trochę, póki jego towarzysze nie zjedzą sandwiczki, zrozumiał wtedy, że te gaje są zupełnie inne niż w Rosji - eukaliptusowe, o delikatnym, bardzo przyjemnym, ale zupełnie nieojczystym zapachu. Otrzymawszy nowy paszport i przepracowawszy rok w hotelu u gospodarza Niemca, który finansowo wspierał faszystów, Stirlitz przeniósł się na własną prośbę do Nowego Jorku - zaczął tam pracować w niemieckim konsulacie, wstąpił w szeregi NSDAP i tu właśnie wypełnił pierwsze zadanie tajnej służby Rzeszy. Do Portugalii przeniesiono go już oficjalnie jako oficera SD. Pracował tam w misji handlowej do czasu wybuchu rewolucji w Hiszpanii. Wówczas, po raz pierwszy w życiu, pojawił się w Burgos w mundurze oficera SD. Odtąd większą część czasu spędzał w Berlinie, z krótkimi wyjazdami do Tokio (tam przed wojną ostatni raz widział Sorge), do Paryża, do Berna. I jedynym miejscem, do którego go ciągnęło, gdziekolwiek by się znajdował, było to właśnie maleńkie jezioro w sosnowym lesie. To miejsce w Niemczech było jak gdyby „jego Rosją”, tutaj czuł się u siebie w domu, tutaj mógł godzinami leżeć w trawie i patrzeć na obłoki. Przyzwyczajony do oceniania zdarzeń i ludzi, do analizowania najmniejszych zmian w nim zachodzących, doszedł do wniosku, że tęsknota do tego właśnie sosnowego lasu jest absolutnie logiczna, że nie ma w niej nic mistycznego, niewytłumaczalnego. Zrozumiał to, gdy pewnego razu przyjechał tutaj na cały dzień, zabrawszy przygotowane przez gospodynię śniadanie: parę kanapek z kielbasą i serem, butelkę mleka, termos z kawą. Wziął ze sobą spinning - była pora żerowania szczupaka - i dwie wędki. Kupił również pół bochenka czarnego chleba, żeby przynęcić karpia, w takich jeziorach - wiedział o tym - jest dużo karpia. Rozkruszył trochę chleba obok szuwarów, potem wrócił do lasu, rozłożył na kocu śniadanie, opakowane skrupulatnie w celofanowe woreczki jak atrapy w witrynie sklepu. I nagle, gdy już nalał do składanego niebieskiego kubka nieco mleka, poczuł awersję do tych nadających się na wystawę kanapek. Zaczął więc łamać czarny chleb i jeść go dużymi kęsami zapijając mlekiem i zrobiło mu się słodko-gorzko, równocześnie wesoło i

smutno. Przypomnił sobie taką samą trawę, taki sam niebieski las i ręce matki, pamiętał tylko jej palce długie i czułe, i taki sam czarny chleb, mleko w glinianym kubku i osę, która uządliła go w szyję, i biały piasek, i wodę, do której pobiegł z płaczem, i śmiech matki, i cienkie bzykanie komarów.

Czemu się zatrzymałem? pomyślał Stirlitz przechadzając się powoli po ciemnym lesie. Ach tak, chciałem odpocząć... A więc odpocząłem. Żebym tylko nie zapomniał zabrać zgęszczonego mleka, gdy pojedę jutro do Erwina po odpowiedź od Aleksa. Muszę zaraz włożyć puszkę do samochodu, położyć ją na przednim siedzeniu.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

(Himmler)

Himmler wstał z krzesła, podszedł do okna; zimowy las był niewypowiedzianie piękny - w księżycowym świetle iskrzyły się ośnieżone gałęzie, dookoła panował kojący spokój.

Patrząc na ten bajkowy krajobraz, nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie nagle moment rozpoczęcia akcji przeciwko człowiekowi najbliższemu dla Führera - przeciwko Hessowi. Właśnie wtedy Himmler znalazł się o milimetr od zguby. Hitler był człowiekiem paradoksalnych decyzji: Himmler otrzymał od swych ludzi taśmę filmową z Hessem w łazience uprawiającym onanizm. Himmler od razu pojechał z tą taśmą do Hitlera i wyświetlił ją na ekranie. Führer wpadł we wściekłość. Mimo nocy polecił wezwać do siebie Göringa i Goebbelsa, a Hessa zatrzymać w poczekalni. Göring przyjechał pierwszy - bardzo blady. Himmler wiedział, dlaczego marszałek Rzeszy jest tak przestraszony. Przeżywał on aktualnie burzliwy romans z wiedeńską tancerką. Hitler poprosił swych przyjaciół, aby obejrzeni „te bezceństwa Hessa”. Göring rechotał. Hitler skrzyczał go: „Jak można być tak bezdusznym?!”

Wezwał Hessa do gabinetu, podbiegł do niego i zaczął krzyczeć:

- Ty brudny, śmierdzący łajdaku! Onanizujesz się!

Himmler, Göring i Goebbels zrozumieli, że są świadkami upadku giganta, drugiego człowieka hitlerowskiej partii.

- Tak - odpowiedział Hess, nieoczekiwanie dla wszystkich bardzo spokojnie. - Tak, mój Führerze! Nie będę tego ukrywał! Dlaczego to robię? Dlaczego nie śpię z aktorkami? - Nie popatrzył w tym momencie na Goebbelsa, ale ten wcisnął się głębiej w krzesło (dojrzał właśnie skandal z jego kochanką, czeską aktorką Baarovą). - Dlaczego nie jeżdżę w nocy do Wiednia na spektakle baletu? Dlatego, że żyję tylko jednym: naszą ideą. A nasza narodowosocjalistyczna partia i ty, Adolfie, to dla mnie jedno i to samo. Nie mam czasu na osobiste życie. Żyję samotnie...

Hitler zmiękł, podszedł do Hessa, objął go niezręcznie, pogłaskał po głowie.

Hess wygrał walkę. Himmler poczuł dreszcz przerażenia. Wiedział, że Hess umie się mścić.

Kiedy Hess wyszedł, Hitler powiedział:

- Himmler, niech mu pan poszuka żony. Rozumiem tego wspaniałego i oddanego ruchowi człowieka. Proszę mi pokazać fotografie kandydatek: on przyjmie moją rekomendację.

Himmler w mgnieniu oka zorientował się, że teraz o wszystkim zadecyduje jedna chwila. Należy ją natychmiast wykorzystać. Poczekawszy więc, aż Göring i Goebbels udadzą się do domów, powiedział:

- Mój Führerze, uratował pan dla narodowego socjalizmu jego wiernego bojownika. Wszyscy cenimy ofiarność Hessa. Nikt nie potrafiłby tak mądrze rozstrzygnąć jego losu. Dlatego niech mi pan pozwoli przywieźć jeszcze inne materiały. Są bowiem inni ludzie, pańscy żołnierze, którym trzeba pomóc tak samo jak Hessowi.

I przywiózł Hitlerowi akta przywódcy tzw. Frontu Pracy - Leya. Ley był alkoholikiem, jego pijackie awantury nie były tajemnicą dla nikogo oprócz Hitlera. Himmler przywiózł także akta „babelberskiego byczka” - Goebbelsa; jego liczne związki z kobietami wcale nie czystej krwi szokowały prawdziwych narodowych socjalistów. Na stole Hitlera znalazły się także tej nocy materiały kompromitujące Bormanna.

- Nie, nie - Hitler zaczął bronić Bormanna - on ma dużo dzieci. To plotka.

Himmler nie starał się go przekonywać, ale zauważył, z jaką wyostrzoną ciekawością führer przeglądał materiały; jak kilkakrotnie czytał raporty agentów. I właśnie wtedy Himmler zorientował się, że zdobył Führera ostatecznie.

Jubileusz dziesięciolecia Himmlera jako wodza SS Hitler polecił obchodzić w całych Niemczech. Od tego czasu wszyscy gauleiterzy - partyjni szefowie prowincji - zrozumieli, że Himmler jest jedynym po Hitlerze człowiekiem posiadającym pełnię władzy. Wszystkie miejscowe organizacje NSDAP zaczęły wysyłać podstawowe informacje pod dwoma adresami: do Hessa i do Himmlera. Materiały, które przychodziły do Himmlera od szczególnie zaufanych grup agentów, nie szły przez wydziały, lecz od razu trafiały do jego osobistych opancerzonych archiwów; były to kompromitujące dane o przywódcach hitlerowskiej partii. A w roku 1942 Himmler włożył do swojego safesu pierwsze dokumenty kompromitujące samego Führera...

W czterdziestym trzecim roku, po klęsce pod Stalingradem, zdecydował się pokazać te dokumenty jednemu ze swych najbliższych przyjaciół - doktorowi Kerstenowi, lekarzowi i masażysty. Zamknawszy starannie drzwi, wydobyl z safesu kopię historii choroby Führera. Kersten po przeczytaniu tych akt był tak zaskoczony, że aż usiadł z wrażenia. Z historii choroby wynikało niezbitie, że führer przeszedł bardzo ciężką odmianę syfilisu.

Przejrzawszy wszystkie siedemdziesiąt stronic, Kersten powiedział cicho:

- Teraz rozumiem różne spostrzegane wcześniej objawy... To przecież jest pierwsze stadium paraliżu postępującego. On już nie jest normalny psychicznie...

- Może pan się zgodzi go leczyć? - zapytał Himmler.

- Führer jest zbyt niebezpiecznie chory, żeby mógł zmieniać lekarzy. Kto zechce jego zguby, ten podsunie mu innych lekarzy...

Wtedy właśnie Himmler wyraził milczącą zgodę szefowi swego politycznego wywiadu, brigadeführerowi SS Walterowi Schellenbergowi, na wysondowanie zachodnich sojuszników, w jakim stopniu są oni gotowi zawrzeć honorowy pokój z Niemcami. Obserwował, jak spiskowcy z opozycji generalskiej prowadzili swoją grę z Allanem Dullesem, przedstawicielem wywiadu amerykańskiego w Bernie. Szczególnie długo siedział nad doniesieniem jednego ze spiskowców: przedstawiciele Zachodu z obawy przed bolszewizmem odnosili się pozytywnie do rozmów o zawarciu odrębnego pokoju z Rzeszą, mieli jednak zastrzeżenia w stosunku do Hitlera, którego z powodu jego niezrównoważonych decyzji nie uważali za człowieka zasługującego na zaufanie. Szukali raczej grupki inteligentnych i rozsądnych ludzi, takich jak np. reichsführer SS...

Byłem żalonym tchórzem, kontynuował rozmyślania Himmler, wsłuchując się w ciszę sosnowego lasu. Dwudziestego lipca czterdziestego czwartego roku w ciągu pięciu godzin po zamachu na Hitlera mogłem zostać führerem Niemiec. Korzystając z chwilowego chaosu i paniki, mogłem wziąć w swoje ręce wszystko w Berlinie. Miałem możliwość nie zamykać Herdlera do więzienia, lecz posłać go do Dullesa z propozycją zawarcia pokoju. Führera, Goebbelsa i Bormanna można było po prostu rozstrzelać, tak samo jak w trzydziestym czwartym roku Strassera. Niechby i oni miotali się po pokoju, padali do nóg i prosili o litość. Chociaż nie... Hitler by nigdy nie prosił. Zresztą i Goebbels chyba też nie. Na pewno prosiłby o litość Bormann. On kocha życie i chyba bardziej trzeźwo patrzy na świat... A ja okazałem się małoduszny, wspominałem swoje najlepsze dni, spędzone u boku Führera, i zachowałem się jak szmata... Pozwoliłem, żeby zwyciężyły we mnie sentymenty...

Himmler postarał się wyciągnąć z tej lipcowej przegranej jak najwięcej osobistych korzyści. Pucz w Berlinie stłumił Goebbels, ale Himmler odebrał mu owoce zwycięstwa. Wiedział, na co należy kłaść nacisk. Fanatyk Goebbels mógł oddać swe zwycięstwo, ogłuszony faszystowską frazeologią przez niego samego stworzoną i dlatego z taką pasją przez niego przyjmowaną. Himmler wmówił więc Goebbelsowi konieczność podkreślenia roli SS i gestapo w zdławieniu buntu.

- Powinniśmy wyjaśnić narodowi - powiedział Goebbelsowi - że w żadnym innym państwie nie udałoby się tak dokładnie unieszkodliwić bandy najemnych morderców, gdyż nigdzie nie istnieje tak wierna, oddana idei i bohaterska formacja, jak nasze oddziały SS.

W prasie i radio zaczęła się kampania poświęcona „zwycięstwu SS”. Führer był w tym czasie również dobrze usposobiony do Himmlera. Wydawało się więc, że generalna klęska zmieni się dla Himmlera w walne zwycięstwo; szczególnie w dniu dziewiętnastego listopada, gdy führer, po raz pierwszy w historii Rzeszy, polecił jemu, właśnie jemu - reichsführerowi SS - aby wygłosił zamiast niego uroczyste przemówienie w Monachium.

Zapamiętał na całe życie to błogie uczucie, gdy wszedł na trybunę Führera, a obok niego, ale niżej, tam gdzie przedtem stał również i on - tłoczyli się Goebbels, Göring, Ribbentrop, Ley... W tym momencie oni wszyscy oklaskiwali go, na jego znak wyrzucali ręce w hitlerowski pozdrowieniu i odgadując przerwy wszczynali owację, którą momentalnie podchwytywała cała sala. Mogli go nienawidzić, uważać za niegodnego tej wielkiej roli. Mogli - ale etyka narodowego socjalizmu obowiązywała ich, tym bardziej przed frontem dwóch tysięcy gauleiterów, którzy tu zjechali. Musieli więc oddawać wszelkie honory właśnie jemu - Himmlerowi.

Bormann... Ach, jakże on nienawidził Bormanna! Właśnie Bormann, zaniepokojony takim wzlotem Himmlera, potrafił go zwyciężyć. Znał Führera jak nikt inny, wiedział, że jeśli Hitler lubi człowieka i wierzy mu, to nie wolno powiedzieć o tym człowieku złego słowa. Dlatego właśnie Bormann rzekł kiedyś führerowi:

- Okazuje się, że nie można w pełni liczyć na armię. Wielkim szczęściem naszego narodu jest to, że mamy dywizje SS - ostoję naszej idei narodowego socjalizmu. Tylko wódz SS, mój przyjaciel Himmler, może wziąć na siebie dowodzenie wschodnim frontem, Grupą Armii „Wisła”. Jedyne pod jego dowództwem SS i podporządkowana mu armia odrzucą Rosjan i zdruzgocą ich.

Następnego dnia Himmler przybył do Kwatery Głównej Führera. Przywiózł rozkaz, w myśl którego gauleiterzy Niemiec, uprzednio podporządkowani Bormannowi, winni obecnie równolegle podlegać i jemu, reichsführerowi SS. Przygotował - jego zdaniem - śmiertelny cios dla Bormanna. Toteż zdziwił się trochę, gdy Hitler tak lekko zatwierdził ten rozkaz. Zrozumiał wszystko dopiero w minutę później, po podpisaniu przez Führera papierów. - Gratuluję panu, Himmler. Został pan mianowany głównodowodzącym Grupą Armii „Wisła”. Nikt prócz pana nie potrafi skutecznie rozgromić bolszewików. Nikt prócz pana nie potrafi postawić buta na gardle Stalinowi i podyktować mu moich warunków pokoju!



To był krach. Mijał styczeń 1945 roku i żadnej nadziei na zwycięstwo nie było. Do diabła z sentymentalnymi iluzjami! Jest jedno wyjście: niezwłoczny pokój z Zachodem i wspólna walka przeciwko bolszewikom.

Himmler podziękował oczywiście Führerowi za tak wysoką i honorową nominację i wrócił do swojego sztabu. Potem odwiedził Göringa - ale rozmowa ta nic nowego do sprawy nie wniosła.

I oto teraz obudził się... Nie może spać, wsłuchuje się w ciszę lasu sosnowego i boi się zatelefonować do opuszczonej przez siebie córki, bo może się o tym dowiedzieć Bormann. Boi się też dzwonić do maleństw i ich matki, którą musi kochać potajemnie dlatego, że nie chce skandalu, wiadomo bowiem, że führer nie wybacza, jak on to nazywa, „moralnego plugastwa”.

Przeklęty syfilityk! Moralne plugastwo... Himmler z nienawiścią popatrzył na aparat telefoniczny. Cała ta machina, którą budował przez osiemnaście lat, pracowała teraz przeciwko niemu. Koniec, powiedział w duchu, koniec. Jeśli natychmiast nie zacznę o siebie walczyć, zginąłem!

Mógł przewidywać na podstawie informacji agenturalnych, że głównodowodzący wojsk we Włoszech feldmarszałek Kesselring nie będzie protestował przeciwko rozmowom z Zachodem. Wiedzieli o tym jedynie Schellenberg i Himmler. Dwaj agenci, którzy przekazali i tę wiadomość, zostali zlikwidowani; w drodze powrotnej urządzono im katastrofę samolotową. Z Włoch prowadzi bezpośredni kanał wywiadowczy do Szwajcarii. A w Szwajcarii znajduje się szef amerykańskiej służby wywiadowczej w Europie, Allan Dulles. A to już poważna sprawa. To bezpośredni kontakt poważnych ludzi, tym bardziej że przyjaciel Kesselringa, szef SS we Włoszech, obergruppenführer Karl Wolf, jest człowiekiem oddanym Himmlerowi. Himmler podniósł słuchawkę telefonu i powiedział: - Proszę do mnie wezwać pilnie obergruppenführera Karla Wolfa.

Karl Wolf był dowódcą jego osobistego sztabu. Himmler wierzył mu. Wolf zacznie rozmowy z Zachodem w jego, Himmlera, imieniu.

## UKŁAD SIŁ

Gdy pastora przywieziono na pierwsze przesłuchanie, Stirlitz nie zamierzał montować żadnej z nim historii; wypełniał po prostu rozkaz Schellenberga. Rozmawiając z pastorem w ciągu trzech dni, nabrał szacunku do tego starego człowieka o godnym, acz pełnym dziecięcej naiwności zachowaniu.

W czasie tych rozmów, a także zaznajamiając się z jego aktami, zastanawiał się nad tym, w jaki sposób pastor mógłby mu się w przyszłości przydać.

Przekonawszy się dobitnie, że pastor nie tylko nienawidzi faszyzmu, ale że nawet gotów jest okazać pomoc istniejącemu podziemi (a o tym dowiedział się przesłuchując nagranie jego rozmowy z prowokatorem Klausem) - Stirlitz w przyszłych akcjach rezerwował miejsce i dla pastora Schlaga. Nie mógł się jednak zdecydować, do jakiego rodzaju działalności byłoby najbardziej celowe go wykorzystać.

Stirlitz nigdy nie próbował zgadywać szczegółów rozwoju przyszłych wydarzeń. Często wspominał pewien epizod - czytał o tym kiedyś w pociągu. Było to w czasie, gdy jechał do Ankary, wbiło mu się to w pamięć na całe życie. „Pewnego razu - pisali dociekliwi literaturoznawcy - zapytano Puszkina, co stanie się z cudowną Tatianą. Zapytajcie o to ją samą, ja nie wiem - odpowiedział podrażniony Puszkina...”

Stirlitz dyskutował z matematykami i fizykami szczególnie po aresztowaniu przez gestapo fizyka Rungego, który zajmował się problemem atomu. Interesowało go zagadnienie, w jakim stopniu teoretycy nauki mogą zaplanować jakieś odkrycie. To jest niemożliwe, odpowiadali. Określamy jedynie kierunek poszukiwań, a cała reszta powstaje w procesie doświadczeń.

W pracy wywiadu sprawa wygląda dokładnie tak samo. Gdy operację planuje się zbyt dokładnie, można oczekiwać fiaska. Dojrzeć szansę, ukierunkować się na te czy inne węzłowe zadania, zwłaszcza gdy pracuje się w pojedynkę, właśnie w ten sposób można z większym prawdopodobieństwem osiągnąć sukces.

A więc pastor, powiedział sobie. Zajmiemy się nim. Teraz gdy Klaus został zlikwidowany, pastor praktycznie znalazł się pod moją osobistą kontrolą. Meldowałem Schellenbergowi o tym, że kontaktów pastora z eks-kanclerzem Brüningiem nie udało się ustalić.

Wszystko wskazuje na to, że Brüning przestał się starym interesować.

Stirlitz natomiast, po otrzymaniu rozkazu centrali, postanowił się zająć specjalnie osobą pastora.

*16.2.1945 (godzina 04 minut 45)*

Z charakterystyki członka NSDAP od 1939 r. Eismanna, obersturmbannführera SS (IV wydziału RSHA): „Rzeczywisty Aryjczyk. Charakter zbliżony do nordyckiego, zrównoważony. Z towarzyszami pracy podtrzymuje dobre kontakty. Obowiązki służbowe wypełnia bez zarzutu. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Sportowiec, zdobył nagrody na zawodach strzeleckich. Wzorowy w życiu rodzinnym. Związków kompromitujących go nie miał. Odznaczony nagrodami Reichsführera SS...”

Müller wezwał obersturmbannführera Eismanna późną nocą. Po koniaku z Kaltenbrunnerem przespał się już trochę i czuł się wypoczęty. Rzeczywiście, to jakiś szczególny koniak, myślał masując szyję dużym i wskazującym palcem prawej ręki. Od naszego boli głowa, a ten przynosi ulgę. W potylicy wprowadzie trzeszczy, ale to ciśnienie, to normalne...

Eismann spojrział na Müllera płonącymi oczyma i na twarzy jego pojawił się rozbrajający, dziecięcy uśmiech.

- Głowa mi pęka - powiedział. - Marzę jak o zbawieniu o siedmiu godzinach snu. Nigdy nie przypuszczałem, że brak snu może być najstraszniejszą torturą.

- Pewien nasz agent, Rosjanin, dawniej zakamieniały bandyta, opowiadał mi, że oni w łagrach przygotowywali sobie jakiś szczególny napój z herbaty, tzw. czefir. Odurzał, ale i dodawał sił. Może i my spróbujemy? - Müller zaśmiał się nieoczekiwanie. - Tak czy owak przyjdzie nam kiedyś pić ten napój w ich łagrach, czy nie lepiej więc wcześniej opanować technologię?

Müller darzył Eismanna pełnym zaufaniem, dlatego pozwalał sobie z nim na takie półzartobliwe rozmowy.

- Niech pan posłucha - zaczął poważnie. - Coś się tutaj dziwnego zaczyna dziać. Dzisiaj wzywał mnie szef. Nasi zwierzchnicy to fantaści... Stać ich na fantazjowanie, bo nie mają konkretnej pracy. Wydawać decyzje potrafi po odpowiedniej tresurze nawet szympanś w cyrku. Wie pan, nasz szef ostrzy sobie zęby na Stirlitza.

- Na kogo?

- Tak, tak. Na Stirlitza. Jedyne człowiek w wywiadzie Schellenberga, którego darzyłem sympatią. Spokojny chłop, zrównoważony, nie demonstruje gorliwości. Nie bardzo wierzę tym, którzy kręcą się wokół kierownictwa i występują bez potrzeby na naszych wiecach. A on jest

małomówny... Lubię małomównych. Przyjaciel milczek - to prawdziwy przyjaciel. A jeśli wróg - to wróg. Szanuję takich wrogów. Można się czegoś od nich nauczyć.

- Znam Stirlitza osiem lat - powiedział Eismann. - Byłem z nim pod Smoleńskiem i widziałem go w czasie bombardowań. Jest wykuty z krzemienia i stali.

Müller zmarszczył się.

- O, widzę, że zebrało się panu na metafory. Zmęczenie? Proszę zostawić metafory naszym ideologicznym bonzom. My, szaraki, powinniśmy operować rzeczownikami i czasownikami: „ten a ten spotkał się”, „ona powiedziała”, „tamten przekazał”... Pan więc nie dopuszcza myśli...

- Nie - odpowiedział Eismann. - Nie mogę uwierzyć w nieuczciwość Stirlitza.

- Ja również.

- Trzeba więc będzie w sposób taktyczny przekonać o tym Kaltenbrunnera.

- Po co? - zapytał po chwili milczenia Müller. - A jeśli on chce, żeby Stirlitz był nieuczciwy? Po co go od tego odwozić? Ostatecznie Stirlitz nie jest z naszego wydziału, lecz z szóstego. W razie czego niech Schellenberg się martwi...

- Schellenberg zażąda dowodów. I pan wie, że poprze go w tym reichsführer.

- Myśli pan?

- Jestem przekonany.

- Dlaczego?

- Trudno mi to wytłumaczyć. Jestem po prostu przekonany.

Müller znowu zaczął masować tył głowy dużym i wskazującym palcem prawej ręki.

- A więc co robić? - zapytał.

Eismann wzruszył ramionami.

- Osobiście uważam, że powinniśmy być do końca uczciwi wobec siebie samych - to określa wszystkie nasze działania i czyny.

- Działania i czyny to jedno i to samo - zauważył Müller. - Jak ja zazdroszczę tym, którzy wyłącznie wypełniają rozkazy. Chciałbym tak. „Być uczciwym”... Pomyślałby kto, że ja tylko o tym myślę, jak być nieuczciwym. Proszę bardzo, daję panu szansę pozostania uczciwym: niech pan weźmie te materiały - Müller podsunął Eismannowi kilka teczek z maszynopisami - i wyda o nich opinię. Do końca uczciwą. Będę się na niej opierał, gdy pójde meldować szefowi o rezultatach inspekcji.

- Dlaczego właśnie ja mam to zrobić, obergruppenführerze? - zapytał Eismann.

Müller zaśmiał się.

- Gdzie się podziała pańska uczciwość, mój przyjacielu? Gdzie? Zawsze łatwo jest radzić: „bądź uczciwy”. A każdy tylko myśli o tym, jakby swą nieuczciwość przedstawić jako uczciwość. Nie mam racji?

- Proszę bardzo, jestem gotów napisać raport.

- Jakiej treści?

- Napiszę, że znam Stirlitza wiele lat i że mogę za niego ręczyć.

Müller milczał chwilę, wiercił się w fotelu, a potem podsunął Eismannowi kartkę papieru.

- Proszę pisać - powiedział.

Eismann wyciągnął pióro, długo zastanawiał się nad pierwszym zdaniem, a potem napisał swym kaligraficznym pismem:

*Naczelnik IV wydziału, obergruppenführer SS Müller.*

*Uważając standartenführera SS von Stirlitza za prawdziwego Aryjczyka, oddanego idealom Führera i NSDAP, proszę o zwolnienie mnie z obowiązku zajmowania się jego weryfikacją...*

Müller wysuszył kartkę bibułą, przeczytał ją dwukrotnie i powiedział półgłosem:

- No cóż... Zuch. Zawsze odnosiłem się do pana z pełnym zaufaniem. Teraz jeszcze raz przekonałem się o pana przyzwoitości, Eismann.

- Dziękuję panu.

- Nie ma pan za co dziękować. To ja panu dziękuję. Proszę wziąć te trzy teczki. Na podstawie zawartych w nich materiałów sporządzi pan pozytywną opinię o pracy Stirlitza. Nie muszą chyba pana uczyć, zna pan na pewno takie sformułowania, jak: mistrzowsko wykonywana praca w wywiadzie, subtelność oficera śledczego, męstwo prawdziwego narodowego socjalisty... Ile zajmie to panu czasu?

Eismann przejrzał pobieżnie teczki i powiedział:

- Żeby wszystko było dobrze wykończone, potrzeba mi tygodnia.

- Nie przesadzajmy, daję panu pięć dni.

- Dobrze.

- I niech pan się postara szczególnie dobrze przedstawić Stirlitza w jego pracy z tym pastorem. - Müller wskazał palcem jedną z teczek. - Kaltenbrunner sądzi, że ktoś przez duchownych próbuje nawiązać kontakt z Zachodem: Watykan i tak dalej...

- Dobrze.

- Życzę powodzenia. Niech pan jedzie do domu i się wyśpi.

Gdy Eismann wyszedł, Müller schował jego pismo do osobnej teczki i siedział długo w zamyśleniu. Potem zawołał drugiego swojego współpracownika, obersturmbannführera Holtoffa.

- Niech pan posłucha - powiedział, nie zaproponowawszy nawet, aby tamten usiadł. Holtoff należał do młodych. - Powierzam panu zadanie w najwyższym stopniu tajne i ważne.

- Tak jest, obergruppenführerze...

Ten będzie gorliwy, pomyślał Müller. Temu nasze zabawy jeszcze się podobają, pograża się w nie z głową. Ten napięcie diabli wiedzą co... To dobrze... Będzie materiał do przetargu z Schellenbergiem.

- A więc tak - kontynuował Müller. - Musi pan przestudiować wszystkie te materiały: praca standartenführera Stirlitza za ostatni rok. Dotyczą one broni odwetu... to jest broni atomowej... Dotyczą fizyka Rungego. W ogóle teczka nabita, ale niech pan się postara przekopać przez to wszystko. Gdyby powstały jakieś problemy, proszę przyjść wprost do mnie.

Gdy Holtoff, stropiony, ale starający się to ukryć, wychodził z gabinetu szefa gestapo, Müller zatrzymał go jeszcze i dodał:

- Niech pan wyciągnie parę jego wcześniejszych spraw, z frontu, i zobaczy, czy nie przecinały się ze sobą drogi Stirlitza i Eismanna.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

(Dulles)

I gestapo, i abwehra, i kontrwywiad Vichy wiedziały, że przez Francję w niespokojne dni lata 1942 roku winien przejechać jakiś Amerykanin. Gestapo i resort admirała Canarisa rozpoczęły polowanie na tego człowieka.

Na dworcach i w szklanych budynkach lotnisk dyżurowali tajni agenci, wpijając oczy w każdego, kto w jakikolwiek sposób mógł przypominać Amerykanina.

Nie potrafili go przychwycić. Ten człowiek umiał zniknąć w restauracji i nieoczekiwanie pojawić się w samolocie. Mądry, przezorny, spokojny i mężny - zmylił niemiecką służbę bezpieczeństwa, kontrwywiad Vichy i cudem dostał się pod koniec 1942 roku do neutralnej Szwajcarii.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu. Trzymał stale w ustach prostą angielską fajkę, niewiele mówił, często się uśmiechał. Ujmował swych rozmówców życzliwym sposobem bycia, umiejętnością słuchania, poczuciem humoru, przyznawaniem racji innym, jeśli sam się pomylił.

Gdyby ludzie Himmlera, Canarisa i Petaina wiedzieli, kim był ten człowiek, dołożyliby prawdopodobnie dziesięciokrotnie więcej starań, żeby dostać go w swe ręce. Tym człowiekiem był Allan Dulles, główny rezydent wywiadu amerykańskiego w Europie.

W Szwajcarii zaczęto o nim wkrótce mówić jako o osobistym przedstawicielu prezydenta Roosevelta.

Dulles opublikował sprostowanie w prasie. Wyglądało ono interesująco. Amerykanin rozumiał, że zarówno pogłoska, jak i dziwne sprostowanie będą działały na jego korzyść. Nie omylił się: już w pierwszym miesiącu pobytu w Bernie zaczęli do niego ze wszystkich stron ciągnąć rozmaici ludzie, z których wywiady na całym świecie tworzą zazwyczaj swoje agentury.

Przed rozpoczęciem pracy na szeroką skalę Dulles bardzo dokładnie przestudiował materiały dotyczące jego współpracowników.

- Tu w niebieskiej teczce - wyjaśnił mu człowiek z FBI - są wszyscy ci, którzy mają krewnych i bliskich przyjaciół w krajach osi i krajach neutralnych. W tej teczce - osoby urodzone w Niemczech i w Europie, a także ci, którzy mają rodziców Niemców. Tutaj nazwiska tych, z którymi korespondują wasi współpracownicy... A tutaj...

Dulles przerwał mu zdziwiony:

- Jaki to ma wszystko związek ze sprawą?

- Niech pan daruje, ule...

- Interesuje mnie, co następuje: czy któryś z ludzi współpracujących ze mną był aktywistą Instytutu Niemiecko-Amerykańskiego? Czy jest członkiem partii komunistycznej? Co z jego rodziną? Czy małżeństwo jest trwałe, czy żona jest, przypuśćmy, histeryczką, a męża z tej przyczyny ciągnie do kieliszka i marzy on tylko o tym, żeby rzucić w diabły całe ognisko rodzinne? A jeśli chodzi o krewnych w Niemczech czy we Włoszech, to ktoś z moich dalszych krewnych osiadł w Niemczech jeszcze w ubiegłym wieku.

Gdy resortowi Himmlera udało się umieścić w domu Dullesa swojego agenta (miła, pracowita kucharka, zatrudniona u Allana Dullesa, była współpracownikiem szóstego wydziału RSHA), Schellenberg i Himmler dowiedzieli się wiele ciekawych rzeczy. Wspomniany agent donosił na przykład, że podręczną i najbardziej ulubioną książką Dullesa jest książka Chińczyka Sung Tsy *Sztuka wojenna*. W książce tej chiński teoretyk formułował zasady szpiegostwa, które były praktykowane w Chinach jeszcze przed naszą erą. Agent gestapo potrafił sfotografować *Biblię* z olbrzymią ilością uwag na marginesie, zrobionych przez amerykańskiego wywiadowcę. Specjalnie zaznaczył miejsce, gdzie mowa jest o tym, że Jozue posłał dwóch ludzi do Jerycha z poleceniem, aby potajemnie wypatryli tam wszystko. „...Weszli w dom niewiasty wszetecznej imieniem Rahab”. Było to, jak się wydawało Dullesowi, o czym wspominał on przyjaciółom, pierwsze świadectwo tego, co zawodowi wywiadowcy nazywają dziś „adresem ukrycia”. Rahab ukryła szpiegów u siebie w domu, a potem wyprowadziła ich z miasta, a Izraelici zagarnąwszy Jerycho wybili mieczem wszystkich, pozostawiając przy życiu tylko Rahab i jej rodzinę. Właśnie wtedy powstała tradycja nagradzania tych, którzy pomagają wywiadowi.

Jedną z ulubionych książek Dullesa była powieść Defoe *Robinson Crusoe*. Równie często powracał on do *Dziennika roku zarazy*. Te książki napisał jeden z najwspanialszych pracowników wywiadu. Daniel Defoe był nie tylko samodzielnym organizatorem dużej siatki wywiadowczej; został on także pierwszym szefem angielskiego wywiadu, o czym świat dowiedział się wiele lat po jego śmierci.

Biografia Dullesa juniora na pierwszy rzut oka nie odznaczała się niczym szczególnym. Adept sztuki, przeszedł drogę dyplomaty, wywiadowcy, polityka, adwokata. Przyjaźnił się z generałem Hofmanem, który pierwszy, jeszcze w 1919 roku, wysunął teorię „skoku na czerwony Wschód”. Obalał rządy na Bliskim Wschodzie i doprowadzał do władzy dyktatorów w Ameryce Łacińskiej, ale robił to bynajmniej nie w interesie Stanów Zjednoczonych - służył



królom naftowym Rockefellerowi i Mellonowi. W latach trzydziestych John i Allan Dullesowie nawiązali bliskie stosunki z koncernami niemieckimi Thyssena, z „I. G. Farbenindustrie”, z koncernami „Robert Bosch”. Allan Dulles został przedstawicielem tych niemieckich koncernów w Ameryce. Przed wybuchem drugiej wojny światowej Dulles został dyrektorem „Schröder Trust Company”. Kurt von Schröder był gruppenführerem SS; osobiście przedstawionym przez Himmlera führerowi. Gdy zaczęła się wojna z nazistami, Allan Dulles był bliski krachu. Ocalili go opiekunowie, Rockefellerzy i Mellonowie. „Potrzebny jest nam człowiek, który zna Niemcy lepiej od nas. Ostatecznie jest on obywatelem Ameryki, a od pomyłek w przeszłości nikt nie był ubezpieczony”. Właśnie Dullesowi zostały powierzone interesy USA w Europie.

*17.2.1945 (godzina 10 minut 03)*

Gdy obergruppenführer Wolf wyszedł z gabinetu Himmlera, reichsführer przez dłuższy czas siedział bez ruchu. To nie był strach, tak mu się w każdym razie wydawało. Po prostu pierwszy raz w życiu stał się zdrajcą. Znał zdrajców, nawet nie przeszkadzał im, obserwując, kto wyjdzie zwycięsko w lipcu 1944 roku, ale teraz sam dokonywał aktu państwowej zdrady: za rokowania z wrogiem był tylko jeden rodzaj kary - śmierć.

Karl Wolf wracał do Włoch po to, żeby wejść w bezpośredni kontakt z Dullesem - wyższy oficer SS z wyższym pracownikiem wywiadu aliantów. Himmler zdjął swoim zwyczajem okulary - dzisiaj miał okulary bez oprawy, takie jakie noszą nauczyciele w szkołach - i zaczął powoli przecierać szkła zamszową szmatką. Poczł, że coś się w nim zmieniło. Początkowo nie rozumiał istoty tej zmiany, ale później uśmiechnął się. Zaczął działać, uświadomił sobie. Najgorsze to męczące odrętwienie podobne do sennego koszmaru.

Wezwał Schellenberga. Szef wywiadu politycznego zgłosił się już po minucie - zdawało się, że siedział w poczekalni, a nie u siebie na drugim piętrze.

- Wolf leci, aby nawiązać kontakt z Dullesem - powiedział Himmler splatając palce.
- To mądry krok.
- To szaleństwo, Schellenberg, to szaleństwo i awanturnictwo.
- Ma pan na myśli ewentualną wpadkę?
- Mam na myśli cały kompleks spraw. To pan, wszystko to pana robota! Pan mnie nakłonił do tego kroku!
- Jeśli Wolf wpadnie, wszystkie materiały przyjdą do nas.
- Mogą najpierw trafić do wiedeńczyka...

Schellenberg popatrzył pytająco na szefa. Himmler wyjaśnił nachmurzony:

- Do Kaltenbrunnera. I ja nie wiem, gdzie te materiały zostaną następnie przesłane: do Bormanna czy do mnie. Pan wie, co robi Bormann, jak tylko otrzyma podobne materiały. Może pan sobie wyobrazić, jak zareaguje Führer, gdy zobaczy to wszystko, w dodatku z komentarzami Bormanna.

- Analizowałem i tę możliwość.

Himmler zmarszczył brwi. Pragnął teraz tylko jednego - zawrócić Wolfa i uznać rozmowę z nim za niebyłą.

- Analizowałem tę możliwość - powtórzył Schellenberg. - Po pierwsze Wolf jest zobowiązany rozmawiać z Dullesem nie w swoim imieniu, a tym bardziej nie w pańskim, ale w imieniu feldmarszałka Kesselringa, któremu podlega we Włoszech. Wolf jest zastępcą głównodowodzącego we Włoszech, nie podlega więc panu bezpośrednio...

Feldmarszałek Kesselring był w swoim czasie pomocnikiem Göringa do spraw luftwaffe. Uważano go za człowieka Göringa.

- Dobrze - powiedział Himmler. - Pan to przemyślał wcześniej, czy przyszło to panu teraz do głowy?

- Przyszło mi to do głowy, jak tylko dowiedziałem się o wyprawie Wolfa - odpowiedział Schellenberg. - Czy mogę zapalić?

- Proszę bardzo.

Schellenberg zapalił - od trzydziestego szóstego roku palił tylko camele, innych papierosów nie uznawał. Pewnego razu w czterdziestym drugim, gdy Ameryka przystąpiła do wojny, zapytano go: „Skąd ma pan nieprzyjacielskie papierosy?” Schellenberg odpowiedział: „Zaprawdę - kupisz amerykańskie papierosy, a powiedzą, że sprzedałeś ojczyznę...”

- Przemyślałem wszystkie ewentualności - ciągnął Schellenberg - nawet te najbardziej przykre.

- To znaczy? - Himmler nasrożył się. Po chwili jednak doszedł do równowagi, pomyślał rozsądnie, że coś może się stać przykrego, skoro wszystko tak dobrze się układa.

- A cóż będzie, jeśli Kesselring albo, co gorsza, jego opiekun Göring potrafią udowodnić swoje alibi w tej historii?

- Nie dopuścimy do tego. Niech pan pomyśli o tym wcześniej.

- My tak, ale Kaltenbrunner i Müller?

- Dobrze, dobrze - powiedział zrezygnowany Himmler. - A więc co pan proponuje?

- Proponuję ustrzelić jednym strzałem dwa zające.

- To niemożliwe - oświadczył Himmler jeszcze bardziej zmęczonym, przygasłym głosem. - Zresztą nie jestem myśliwym...

- Führer mówi, że sojusznicy znajdują się na krawędzi rozłamu, prawda? Wynika z tego, że doprowadzenie do rozłamu między nimi stanowi jedno z naszych głównych zadań? Jak postąpi Stalin dowiedziawszy się o separatystycznych rozmowach, które prowadzi obergruppenführer SS Wolf z sojusznikami zachodnimi? Nie podejmuję się przewidywać, co konkretnie zrobi Stalin, ale że zacznie działać, w to nie wątpię ani przez chwilę. Wyprawa Wolfa, którą zaszyfrujemy jako dezinformację Stalina na wielką skalę - służy sprawie Führera. Nasza wersja: rozmowy to bluff wobec Stalina. Tak wytłumaczymy Führerowi operację na wypadek wpadki.

Himmler podniósł się z krzesła. Podeszedł do okna i długo patrzył na ruiny Berlina. Ze szkoły szli chłopcy i śmiali się wesoło. Dwie kobiety pchały przed sobą wózki z dziećmi. Himmler pomyślał nagle: pojechałbym z radością do lasu i przenocował u ogniska. Jaki Walter jest mądry, Boże...

- Pomyślę o tym, co pan powiedział - stwierdził nie odwracając się Himmler. Chciał zebrać dla siebie owoce zwycięstwa tamtego. Schellenberg oddałby je z radością reichsführerowi - zawsze oddawał jemu i Heydrichowi swoje sukcesy.

- Będą pana interesowały szczegóły, czy też mam je przemyśleć sam? - zapytał Schellenberg.

- Niech pan przemyśli sam - odpowiedział Himmler, ale gdy Schellenberg podeszedł do drzwi, odwrócił się i powiedział: - Właściwie w tej sprawie nie powinno być szczegółów. Co pan ma na myśli?

- Po pierwsze, osłonę operacji... To znaczy, trzeba będzie podstawić jakąś figurę, kogoś obcego, nie od nas, do rozmów z Zachodem... A następnie my przekazemy materiały o tym człowieku Führerowi. Jeśli okaże się to potrzebne... Będzie to zwycięstwo naszego wywiadu: udaremniłoby podstępne plany wrogów - mówiąc językiem Goebbelsa. Po drugie, Wolfa będzie obserwować w Szwajcarii tysiące par oczu. Chcę, aby oprócz tysiąca zachodnich sojuszników było tam pięciu, sześciu moich ludzi. Wolf nie będzie wiedział o naszych ludziach, będą oni przekazywali informacje bezpośrednio do mnie. To będzie, poza wszystkim innym, trzecie alibi. W wypadku krachu trzeba będzie poświęcić Wolfa, ale materiały z nadzoru nad nim znajdują się w naszych aktach.

- W pana aktach - poprawił go Himmler. - W pana aktach.

Znowu go przestraszyłem, pomyślał Schellenberg. Takie szczegóły wzbudzają w nim lęk. On tylko wyraża zgodę, a potem trzeba robić wszystko samemu.

- Kogo chce pan tam wysłać?

- Mam dobrych kandydatów - odpowiedział Schellenberg. - Ale to są już szczegóły, które mogę załatwić sam, nie odrywając pana od ważniejszych zajęć.

Na liście kandydatów do wypełnienia pierwszego zadania Schellenberg umieścił von Stirlitza z jego „podopiecznym” pastorem.

*17.2.1945 (godzina 10 minut 05)*

Ranę Erwin powinien przyjąć odpowiedź z centrali, myślał Stirlitz jadąc powoli ulicami w kierunku jego domu. Na tylnym siedzeniu leżał wielki adapter. Erwin był oficjalnie właścicielem niedużej firmy naprawy adapterów, co dawało mu możliwość podróżowania po kraju celem obsługi klientów.

Na ulicy powstał zator. W czasie nocnego bombardowania zawałiła się ściana pięciopiętrowego domu i pracownicy oddziałów drogowych razem z policjantami szybko i sprawnie oczyszczali drogę dla przejazdu.

Stirlitz obejrzał się: za jego horchem stało już z trzydzieści samochodów. Młody chłopak, kierowca ciężarówki, krzyknął do Stirlitza:

- Jeśli teraz znowu przylecą, zaczniesz się zamęt, i schować się nie ma gdzie.

- Nie przylecą - odpowiedział Stirlitz patrząc na niebo. Pułap ciężkich chmur wisiał bardzo nisko. Noc była ciepła, pomyślał Stirlitz, a teraz zrobiło się chłodniej, chyba spadnie śnieg. Przypomniał mu się tamten astronom... Rok niespokojnego słońca. Wszystko jest ze sobą wzajemnie powiązane na tym globie. Wszyscy jesteśmy powiązani ze sobą nawzajem, ziemia związana jest ze słońcem, słońce z galaktyką. Stirlitz uśmiechnął się szeroko. Podobnie jak w agenturalnej sieci gestapo...

Schutzmann stojący przed nim machnął energicznie ręką i krzyknął gardłowo:

- Przejeżdżać!

Nigdzie na świecie, myślał Stirlitz, policjanci nie rozkazują z taką pasją, nigdzie nie czynią takich władczych gestów pałką jak u nas. Złapał się na tym, że pomyślał o Niemczech i Niemcach jak o swoim kraju i swoim narodzie. Inaczej mi nie wolno. Gdybym oddzielał własną osobę, na pewno dawno bym wpadł.

Droga była wolna i Stirlitz nacisnął na gaz. Wiedział, że ostre zakręty niszczą gumy, że opony są już teraz towarem deficytowym, ale mimo wszystko lubił ostre zakręty, żeby guma piszczała i śpiewała, a samochód przechylał się niby łódka w czasie sztormu.

W Köpenick, na rogu ulicy, przy której mieszkali Erwin i Kat, znów stał policyjny kordon.

- Co się stało? - zapytał Stirlitz.

- Zbombardowana ulica - odpowiedział młodziutki blady schutzmann. - Rzucili jakąś dużą bombę.

Stirlitz poczuł, jak pot występuje mu na czoło.

- Dom numer dziewięć? - zapytał. - Też?

- Tak, zburzony zupełnie.

Zaparkował samochód przy krawężniku i poszedł najbliższym zaułkiem w prawo. Drogę zastąpił mu ten sam policjant o chorowitym wyglądzie.

- Wzbronione.

Stirlitz odgiął klapę marynarki i pokazał znaczek SD. Schutzmann zasalutował i powiedział:

- Saperzy obawiają się, czy nie ma tu bomb o opóźnionym działaniu.

- W takim razie wylecimy razem w powietrze - odpowiedział Stirlitz i poszedł ku ruinom domu numer dziewięć.

Czuł ogromne, nieludzkie zmęczenie, ale wiedział, że musi iść swoim normalnym, sprężystym krokiem i tak właśnie szedł, a na twarzy miał swój nieodłączny sceptyczny uśmiech. Przed oczami stała mu Kät. Wskazując na swój duży zdeformowany brzuch powiedziała: „To dziewczynka”.

- Wszyscy zginęli? - zapytał Stirlitz policjanta, który obserwował pracę strażaków.

- Trudno powiedzieć. Trafiło rankiem. Było dużo sanitarek.

- Czy coś z rzeczy ocalało?

- Trochę... Widzi pan, jak kasza.

Stirlitz pomógł płaczącej kobiecie z dzieckiem przenieść łóżeczko i wrócił do samochodu.

*17.2.1945 (godzina 10 minut 05)*

- Mamusiu! - krzyczała Kät. - Boże. Mamo-o-o-o! Pomóście!

Leżała na stole. Przywieźli ją, ranną, do kliniki położniczej: miała w dwóch miejscach kontuzjowaną głowę. Wykrzykiwała jakieś słowa bez związku, rosyjskie, rizańskie słowa skargi.

Lekarz, który przyjmował chłopca wrzaskliwego, ochrypniętego, dużego, powiedział do położnej:

- Polka, a jakiego olbrzyma urodziła.

- Ona nie jest Polką - powiedziała położna.

- A kto? Rosjanka? Czeszka?

- Według dokumentów to Niemka - odrzekła położna. - W palcie miała dowód na nazwisko Katherine Kinn.

- Może to było cudze palto?

- Być może - zgodziła się. - Proszę popatrzeć, jaki rozkoszny bęben. Chyba z pięć kilogramów. Po prostu wspaniały... Czy pan sam zadzwoni na gestapo, czy ja mam to zrobić później!

- Niech pani zadzwoni - odpowiedział lekarz - ale jeszcze nie teraz.

A więc stało się, myślał Stirlitz z uczuciem pustki wewnątrz. Jestem teraz zupełnie sam... Siedział długo w swoim gabinecie, zamknąwszy się, nie odpowiadając na telefony. Machinalnie policzył, że było ich dziewięć. Dwóch ludzi dzwoniło do niego długo, widocznie z jakąś ważną sprawą, może podwładni - oni zawsze oddają dużo sygnałów. Pozostałe były krótkie: tak dzwonią albo szefowie, albo przyjaciele.

Stirlitz wyciągnął z biurka kartkę papieru i zaczął pisać:

*REICHSFÜHRER SS HEINRICH HIMMLER*

*Ścisłe tajne. Do rąk własnych.*

*Reichsführerze!*

*Działając w imię dobra narodu, zwracam się do Pana z następującą sprawą. Dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, że za plecami Pana grupa osób z SD usiłuje nawiązać kontakt z wrogiem, badając grunt dla zawarcia ewentualnego sojuszu z przeciwnikiem. Nie mogę potwierdzić tych wiadomości konkretnymi faktami, ale proszę przyjąć mnie i wysłuchać uwag na ten temat. Sprawa wydaje mi się nadzwyczaj ważna i nie cierpiąca zwłoki. Proszę pozwolić mi, abym wykorzystując własne kontakty poinformował Pana bardziej szczegółowo o wszystkim i przedstawił swój program odnośnie do planu, który, niestety, wydaje mi się bardzo zbliżony do prawdy.*

*Heil Hitler*

*Standartenführer SS von Stirlitz*

Wiedział, na kogo powinien się powołać w tej rozmowie. Przed trzema dniami w czasie nalotu zginął pewien kinooperator z Portugalii, nazwiskiem Pueblos Wassermann. Był to człowiek mający wiele kontaktów i poufnych powiązań ze Szwedami.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

### (Schellenberg)

Z partyjnej charakterystyki członka NSDAP, kierownika wydziału VI RSHA Waltera Schellenberga: „Rzeczywisty Aryjczyk. Charakter nordycki; odważny, surowy. Z przyjaciółmi i kolegami w pracy szczerzy, towarzyski, przyjacielski. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Wzorowy w życiu rodzinnym. Kandydatura żony została zatwierdzona przez Reichsführera SS. Związków kompromitujących go nie miał. Wspaniały sportsmen. W pracy dał się poznać jako wyróżniający się organizator”.

Prawdopodobnie poza swoim masażystą, doktorem Kerstenem, Himmler wierzył jak sobie samemu tylko Schellenbergowi. Obserwował go od początku lat trzydziestych, gdy Schellenberg jeszcze się uczył. Wiedział, że ten dwudziestotrzyletni piękny mężczyzna, po nauce w kolegium jezuickim, ukończył historię sztuki na uniwersytecie i otrzymał stopień naukowy. Wiedział także, że jego ulubionym profesorem na uniwersytecie był Żyd. Wiedział, że Schellenberg początkowo wyśmiewał szczytne ideały narodowego socjalizmu i nie zawsze dobrze wyrażał się o führerze. Schellenbergowi zaproponowano pracę w wywiadzie w tym okresie, gdy czuł się rozczarowany postawą niemieckiej inteligencji. Przyjął więc propozycję Heydricha.

Jego chrztem bojowym był tzw. „Salon Kitty”. Szef policji kryminalnej Nebe wytypował ze swojej kartoteki do tego salonu najbardziej eleganckie prostytutki Berlina, Monachium i Hamburga. Potem na polecenie Heydricha wyszukał ładne młode żony dyplomatów i wyższych oficerów, kobiety, które były zmęczone samotnością (mężowie ich spędzali dni i noce na naradach, podróżowali po Niemczech, wyjeżdżali za granicę). Żony nudziły się, żony pragnęły rozrywki. Znajdowały tę rozrywkę w „Salonie Kitty”, gdzie zbierali się dyplomaci z Azji, Ameryki i Europy.

Eksperci wydziału technicznego służby bezpieczeństwa Rzeszy sprokurowali w tym salonie podwójne ściany i umieścili w nich aparaturę podsłuchową i aparaturę do wykonywania zdjęć. Idee Heydricha wcielał w życie Schellenberg, był on gospodarzem tego salonu, pełniąc rolę światowca-rajfura.

Werbunek szedł dwoma torami: skompromitowani dyplomaci zaczęli pracować w wydziale u Schellenberga, a skompromitowane żony wojskowych, różnych osobistości i działaczy Trzeciej Rzeszy kierowano do resortu szefa gestapo, Müllera.

Samego Müllera nie dopuszczono do pracy w salonie; jego chłopski wygląd i wulgarne żarty mogłyby odstraszyć gości. Wtedy właśnie poczuł swoją zależność od tego dwudziestopięcioletniego młodego człowieka.

- Myśli, że ja zacznę podszczypywać te jego puszczałskie - powiedział Müller do swojego pomocnika. - Szkoda wysiłku. W naszej wiosce na takie baby mówiło się po prostu: glista.

Gdy więc pewnego razu pani Heydrich w czasie dłuższej nieobecności męża zadzwoniła do Schellenberga i poskarżyła mu się na nudę, a on zaproponował jej przejażdżkę za miasto, Müller, który dowiedział się o tym niezwłocznie, uznał, że najwyższy czas skrócić kark temu lalusiowi. Nie należał do grupy tych weteranów gestapo, którzy lekceważyli Schellenberga, uważając go za niepoważną postać; piękniś wypożycza z biblioteki książki po łacinie i hiszpańsku, ubiera się jak pierwszy elegant, nie kryje się ze swoimi romansami, chodzi do Prinzalbertstrasse piechotą, odprawiawszy szofera. Gada, śmieje się, pije... Czy tak postępuje poważny wywiadowca?...

Müller, człowiek o chłopskim zdrowym rozsądku, szybko reagujący na wszystko, co nowe, zrozumiał, że Schellenberg jest w ich szeregach pierwszym przedstawicielem młodego pokolenia i że taki beniaminek może pociągnąć za sobą innych.

Schellenberg zawiózł panią Heydrich nad podmiejskie jezioro. Była to jedyna kobieta, którą szanował: mógł z nią dyskutować o wyrafinowanej Helladzie i wulgarności Rzymu. Chodzili więc po brzegu jeziora i rozmawiali z ożywieniem. W tym czasie dwaj masywni młodzieńcy z resortu Müllera kąpali się w lodowatej wodzie. Schellenberg nie przypuszczał, że ci dwaj amatorzy zwariowanej kąpieli mogą być agentami gestapo. Uważał, że agent nie powinien tak otwarcie ściągać na siebie powszechnej uwagi. Chłopska chytryść Müllera zwyciężyła tym razem metodyczną logikę Schellenberga. Agenci mieli sfotografować „obiekty”, jeżeli zdecydują się one, według słów Müllera, „wleźć w krzaki”. Obiekty jednak nie szły w krzaki. Wypiwszy kawę na tarasie kawiarni wrócili do miasta. Müller nie dał mimo to za wygraną, wychodząc z założenia, że ślepa zazdrość jest najgorsza. Dlatego położył na biurku Heydricha doniesienie o tym, że jego żona i Schellenberg spacerowali we dwoje w lesie i spędzili pół dnia nad brzegiem jeziora.

Heydrich przeczytawszy doniesienie nie odezwał się ani słowem. Cały dzień minął więc Müllerowi na niepewności. Wieczorem, zadzwoniwszy uprzednio po Müllera, Heydrich wszedł do gabinetu Schellenberga i poklepał go po plecach.

- Jestem dzisiaj w złym nastroju, trzeba się czegoś napić. Zaraz tu przyjdzie Müller.



I we trzech do czwartej rano włączyli się po małych brudnych knajpach, przysiadali do stolików rozhisteryzowanych prostytutek i spekulantów walutą, śmiali się, żartowali, razem ze wszystkimi śpiewali ludowe pieśni. Dopiero nad ranem Heydrich z pobladłą nagle twarzą przysunął się blisko do Schellenberga i zaproponował mu wypicie bruderszaftu. Kiedy wypili, Heydrich przykrył dłonią kieliszek Schellenberga i patrząc mu prosto w oczy powiedział:

- Teraz niech pan słucho: do pańskiego kieliszka wsypałem truciznę. Jeśli nie powie mi pan natychmiast całej prawdy o tym, jak spędził pan czas z panią Heydrich, umrze pan. Jeśli powie pan prawdę, nawet gdyby była dla mnie straszna, dam panu odtrutkę.

Schellenberg zrozumiał wszystko. Umiał w lot orientować się w sytuacji. Przypomniawszy sobie dwóch zuchów z kwadratowymi twarzami, którzy kąpali się w jeziorze, zobaczył biegające oczy Müllera, jego nienaturalny uśmiech, i powiedział:

- Cóż, pani Heydrich zadzwoniła do mnie. Nudziła się i pojechałem z nią nad jezioro Pleuner. Mogę przedstawić panu świadków, którzy wiedzą, jak spędziliśmy czas. Spacerowaliśmy i mówiliśmy o wielkości Grecji, którą zgubili donosiciele, sprzedawszy ją Rzymowi. Zresztą zgubiło Grecję nie tylko to. Tak, byłem z panią Heydrich i podziwiam tę kobietę, żonę człowieka, którego uważam za naprawdę wybitną jednostkę. Gdzie odtrutka?

Heydrich uśmiechnął się, nalał do kieliszka trochę martini i podał Schellenbergowi.

Pół roku później Schellenberg, przyszedłszy do Heydricha, powiedział:

- Chcę się ożenić, ale moja przyszła teściowa jest Polką.

Sprawa została rozpatrzona przez reichsführera SS Himmlera, który osobiście obejrzał fotografię jego przyszłej żony i teściowej. Wezwano specjalistów z resortu Rosenberga. Badano cyrklem budowę czaszki, wielkość głowy, oceniano kształt uszu. Himmler dał Schellenbergowi zezwolenie na zawarcie małżeństwa.

Na weselu Heydrich, podpiwszy sobie nieźle, wziął Schellenberga pod rękę, zaprowadził do okna i powiedział:

- Myśli pan, że ja nie wiem, że siostra pańskiej żony wyszła za mąż za żydowskiego bankiera?

Schellenberg poczuł w sobie pustkę, ręce mu zlodowaciały.

- Skończmy z tym - powiedział Heydrich i nagle westchnął.

Schellenberg nie rozumiał wówczas powodu tego westchnienia. Zrozumiał to znacznie później, gdy się dowiedział, że dziadek szefa służby bezpieczeństwa Rzeszy był Żydem i grał na skrzypcach w operetce wiedeńskiej.

Pierwsze próby kontaktów z Zachodem Schellenberg podjął w 1939 roku. Zaczął prowadzić skomplikowaną grę z dwoma pracownikami angielskiego wywiadu - z Bestem i Stevenssem.

Nawiązawszy kontakt z tymi ludźmi, chciał uchodzić w ich oczach za jednego z przywozów antyhitlerowskiego spisku generałów. Zamierzał polecieć do Londynu, skontaktować się z wyższymi pracownikami angielskiego wywiadu, ministerstwa spraw zagranicznych i rządu. Przygotowując oficjalnie prowokację przeciwko Wielkiej Brytanii, Schellenberg chciał jednocześnie zbadać możliwość nawiązania kontaktów z Downing Street.

W przeddzień odlotu Schellenberga do Londynu zadzwonił do niego Himmler. Powiedział urywanym głosem, że na Hitlera dokonano właśnie w Monachium zamachu. Führer uważa, że jest to na pewno dzieło angielskiego wywiadu i dlatego trzeba koniecznie wykraść Anglików, Besta i Stevensa, i przywieźć ich do Berlina.

Schellenberg zainscenizował wielki spektakl w Venlo w Holandii. Ryzykując życie, wykradł Besta i Stevensa. Przesłuchiwał ich całą noc, a na podstawie tego, że stenografistka przepisywała później protokoły na maszynie o trzy razy większych czcionkach, Schellenberg wysnuł wniosek, że materiały bezzwłocznie idą do führera: Hitler nie mógł czytać drobnego druku, mógł czytać jedynie duże wytłuszczone litery.

Führer uważał, że zamach na niego został zorganizowany przez „Czarną Kapełę”, którą kierował jego były przyjaciel, a teraz wróg, Strasser młodszy, oraz Anglików Besta i Stevensa.

W tym czasie całkiem przypadkowo został aresztowany cieśla Esler, który usiłował przekroczyć nielegalnie granicę szwajcarską. Na torturach przyznał się, że zamach na Hitlera przygotował on sam. Gdy tortury stały się nie do wytrzymania, Esler uściślił informację, powiedział, że później, przed samym zamachem, przyłączyli się do niego jeszcze dwaj ludzie.

Schellenberg był przekonany, że ci dwaj należeli do „Czarnej Kapeli” Strassera i że żadnego związku z Anglikami tu nie ma.

Hitler wystąpił nazajutrz w prasie z oskarżeniem, że Anglicy kierują akcjami nienormalnych terrorystów. Zaczął wtrącać się do śledztwa. Schellenberg, chociaż mu to przeszkadzało, nic oczywiście zrobić nie mógł.

Po trzech dniach, gdy śledztwo dopiero nabierało rozmachu, Hitler zaprosił do siebie Hessa, Himmlera, Heydricha, Bormanna, Keitla i Schellenberga. Sam pił słabą herbatę, gości zaś częstował szampanem i czekoladą.

- Heydrich - powiedział - musi pan zastosować wszystkie nowości medycyny i hipnozy. Jest pan zobowiązany dowiedzieć się od Eslera, kto był z nim w kontakcie. Nie mam wątpliwości, że zamach został przygotowany za granicą.

Nie czekając na odpowiedź, Hitler zwrócił się do Schellenberga:

- No, jakie jest pańskie zdanie o Anglikach? Spotykał się pan przecież z nimi w czasie rozmów w Holandii.

Schellenberg odpowiedział:

- Będą walczyli do końca, mój Führerze. Jeśli zajmiemy Anglię, wycofają się do Kanady. A Stalin będzie się cieszył widząc, jak walczą ze sobą bracia Anglosasi i Niemcy.

Wszyscy zamarli. Himmler, wtuliwszy się w krzesło, dawał Schellenbergowi rozpaczliwe znaki, ale ten nie widział Himmlera i ciągnął dalej swoje.

- Oczywiście nie ma nic gorszego jak domowa kłótnia - w zamyśleniu, spokojnym tonem odpowiedział Hitler. - Nie ma nic gorszego jak kłótnia między bliskimi, ale przecież Churchill mi przeszkadza. Dopóki oni w Anglii nie staną się realistami, ja będę, ja muszę, ja nie mam prawa z nimi nie walczyć.

Po wyjściu od Führera Heydrich powiedział Schellenbergowi:

- Całe szczęście, że Hitler był w dobrym nastroju, inaczej oskarżyłby pana, że kontakty z Intelligence Service uczyniły z pana anglofila. I bez względu na to, jak by mi było ciężko, posadziłbym pana do celi; i bez względu na to, ile by mnie to kosztowało, rozstrzelałbym pana - oczywiście na jego rozkaz.

Mając trzydzieści sześć lat Schellenberg został szefem wywiadu politycznego Trzeciej Rzeszy.

Gdy agentura Himmlera doniosła swojemu szefowi, że Ribbentrop przygotowuje plan zamachu na Stalina (minister spraw zagranicznych Rzeszy chciał pojechać do Stalina osobiście, jakoby w celu rokowań, i zabić go przy użyciu specjalnego wiecznego pióra), reichsführer podchwycił tę ideę, przyszedł z nią pierwszy do Hitlera i polecił Schellenbergowi przygotować dwóch agentów. Jeden z tych agentów, jak twierdził, znał krewnych mechanika w garażu Stalina.

Z krótkofalowymi aparatami radiowymi, zrobionymi w formie papierosów „Kazbek”, dwaj agenci zostali przetrzuceni przez linię frontu do Rosji.

Von Stirlitz wiedział, kiedy ci ludzie mieli przelecieć linię frontu. Moskwa została uprzedzona, agenci schwytani.

Wpadki Schellenberga były kompensowane umiejętnościami perspektywicznego myślenia i dokładnego analizowania sytuacji. Właśnie Schellenberg powiedział Himmlerowi, jeszcze w połowie 1944 roku, że najbardziej niebezpieczną postacią w ciągu najbliższego roku stanie się dla niego nie Hermann Göring, nie Goebbels, ani nawet nie Bormann.

- Speer - powiedział on - Speer będzie naszym najważniejszym przeciwnikiem. Speer to informacja wewnętrzna o przemyśle i obronie. Speer jest obergruppenführerem SS. Speer to uzbrojenie, to tyły i front, to przede wszystkim koncern IG - czyli bezpośredni tradycyjny związek z Ameryką. Speer jest związany z Schwerinem von Krosick. To finanse. Schwerin von Krosick rzadko kiedy skrywa swój opozycyjny stosunek wobec działalności Führera. Nie wobec idei Führera, ale właśnie wobec jego czynów. Speer to milcząca potęga. To wielki przemysł, który został teraz stworzony i który stanie się odnowicielem powojennych Niemiec, to mózg, serce i ręce przyszłości. Wiem, nad czym teraz pracują nasi przemysłowcy skupieni wokół Speera. Pracują nad dwoma zagadnieniami: jak wycisnąć maksimum zysków i jak te zyski odprowadzić do zachodnich banków.

Wysłuchawszy tych argumentów Schellenberga, Himmler po raz pierwszy pomyślał o tym, że klucz do tajemnicy Speera może odnaleźć, zawładnąwszy archiwum Bormanna, gdyż jeśli związki przemysłowców z neutralami i Ameryką nie on wykorzystywał, to na pewno mógł je wykorzystywać Bormann.

*18.2.1945 (godzina 11 minut 46)*

Schellenberg spotkał Stirlitza w sekretariacie reichsführera.

- Pan jest następny - powiedział Stirlitzowi dyżurny adiutant, wpuszczając do Himmlera naczelnika wydziału gospodarczego SS obergruppenführera Pohla.

- Myślę, że obergruppenführer nie zabawi tam długo, ma kilka drobnych spraw.

- Dzień dobry, Stirlitz - powiedział Schellenberg. - Szukam pana.

- Dzień dobry - odpowiedział Stirlitz. - Co pan taki mizerny? Zmęczenie?

- To widać?

- Bardzo.

- Zajdźmy do mnie, jest mi pan właśnie potrzebny.

- Wczoraj prosiłem reichsführera o audiencję.

- Co za sprawa?

- Osobista.

- Przyjdzie pan za godzinę, półtorej - powiedział Schellenberg. - Niech pan poprosi o przesunięcie terminu audiencji. Reichsführer będzie u siebie do końca dnia.

- Dobrze - mruknął Stirlitz - ale obawiam się, że to nie wypada.

- Zabieram von Stirlitza - powiedział adiutantowi Schellenberg. - Proszę przesunąć godzinę przyjęcia na wieczór.

- Tak jest, brigadeführerze!

Schellenberg wziął Stirlitza pod rękę. Wychodząc z gabinetu powiedział wesoło:

- Co za głos, prawda? Melduje niby aktor operetki, z wyraźnym pragnieniem podobania się audytorium.

- Zawsze mi żal adiutantów - powiedział Stirlitz. - Muszą ciągle zachowywać się wieloznacznie, w przeciwnym bowiem wypadku wszyscy dowiedzieliby się, że są zbędni.

- Nie ma pan racji. Adiutant jest bardzo potrzebny. Jest czymś w rodzaju ładnego psa myśliwskiego; pogadać do niego można w wolnych chwilach, a jeśli dobra rasa - inni myśliwi będą ci go zazdrościli.

- Znałem jednego adiutanta - kontynuował Stirlitz - który spełniał rolę impresaria: opowiadał wszystkim o genialności swego szefa. W końcu urządzono mu... katastrofę samochodową; za dużo gadał i to drażniło.

Schellenberg zaśmiał się.

- Wymyślił pan to, czy rzeczywiście tak było?

- Oczywiście wymyśliłem...

Przy wejściu na główne schody spotkali Müllera.

- Heil Hitler, przyjaciele! - powiedział.

- Heil Hitler, przyjacielu - odparł Schellenberg.

- Heil - powiedział Stirlitz nie podnosząc ręki.

- Cieszę się, że was widzę, szatany - zaczął Müller. - Pewno znowu przygotowujecie jakiś kolejny chytry podstęp?

- Przygotowujemy - odpowiedział Schellenberg. - A czemu by nie.

- Z pana chytrnością nasza nie może się równać - wtrącił Stirlitz. - W porównaniu z panem jesteśmy niewinnymi barankami.

- O mnie pan mówi? - zdziwił się Müller. - A właściwie to nawet przyjemnie, gdy uważają cię za szatana. Ludzie umierają, pamięć o nich zostaje.

Müller po przyjacielsku poklepał po ramieniu Schellenberga i Stirlitza i wszedł do gabinetu jednego ze swoich podwładnych; lubił tak wchodzić bez uprzedzenia, zwłaszcza w czasie nudnych przesłuchań.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

(Churchill)

Gdy Hitler w ostatnich miesiącach wojny powtarzał jak zaklęcie, że sprawa rozpadu sojuszu anglo-radziecko-amerykańskiego jest kwestią tygodni, gdy zapewniał wszystkich, że Zachód zwróci się jeszcze po decydującej klęsce o pomoc do Niemców, wielu ludziom wydawało się to przejawem maniakalności führera - do końca wierzy w wytwory własnej wyobraźni. Jednak w tym wypadku Hitler opierał się na faktach: wywiad Bormanna już w połowie 1944 roku zdobył w Londynie szczególnie tajny dokument. W dokumencie tym zawarty był następujący fragment autorstwa Churchilla: „Nastąpiłaby straszliwa katastrofa, gdyby rosyjskie barbarzyństwo zniszczyło kulturę i niepodległość starożytnych państw europejskich”. Pisał on to w swoim tajnym memorandum w październiku 1942 roku, gdy Rosjanie byli nie w Polsce, ale pod Stalingradem, nie w Rumunii, ale koło Smoleńska, nie w Jugosławii, ale pod Charkowem.

Prawdopodobnie Hitler nie wydałby rozkazów karzących śmiercią za jakiegokolwiek próby rokowań, gdyby dowiedział się o zacieklej walce poglądów w latach 1943-1944 między Anglikami i Amerykanami na temat kierunku głównego uderzenia armii sojuszników. Churchill upierał się przy lądowaniu wojsk na Bałkanach. Motywował konieczność tego w ten sposób: „Problem wygląda następująco: czy jesteśmy gotowi pogodzić się z komunizacją Bałkanów i być może Włoch? Trzeba sobie dokładnie zdawać sprawę z tych korzyści, które osiągną mocarstwa zachodnie, jeśli ich armie zajmą Budapeszt i Wiedeń, wyzwolą Pragę i Warszawę...”

Trzeźwo myślący Amerykanie rozumieli, że plany Churchilla zmierzającego do tego, aby zadać główny cios Hitlerowi nie we Francji, ale na Bałkanach, są wyjątkowo egoistyczne. Zdawali oni sobie sprawę z tego, że zwycięstwo punktu widzenia Churchilla uczyni z Wielkiej Brytanii hegemoną na Morzu Śródziemnym, w rezultacie czego właśnie Wielka Brytania okazałaby się panem Afryki, arabskiego Wschodu, Włoch, Jugosławii i Grecji. Układ sił w tym wypadku ukształtowałby się wyraźnie nie na korzyść Stanów Zjednoczonych - i lądować postanowiono we Francji.

Ostrożny i odważny polityk Churchill mógłby w określonej, krytycznej sytuacji nawiązać kontakt z tymi, którzy znajdowali się w opozycji wobec führera, aby stworzyć wspólny front, będący w stanie zatrzymać pęd Rosjan ku brzegom Atlantyku, czego Churchill

obawiał się najbardziej. Ale takich sił, po likwidacji spiskowców latem 1944 roku, w Niemczech nie było. Jednakże, jak sądził Churchill, ostrożny „romans” z tymi z kierownictwa Rzeszy, którzy próbowali doprowadzić do kapitulacji wehrmachtu na Zachodzie - chociaż mało realny z powodu zdecydowanej postawy Roosevelta i prorosyjskich nastrojów na całym świecie - jednakże taki „romans” pozwoliłby zastosować bardziej twardą politykę w stosunku do Stalina.

Gdy więc wywiad wojskowy doniósł Churchillowi, że Niemcy szukają kontaktu z sojusznikami, powiedział on:

- Wielkiej Brytanii można zarzucić powolność, zuchwałość, humorystyczną wręcz skłonność do analizowania... Ale nikt jej nie może oskarżyć o zdradę, i modłę się do Boga, by nigdy nie można jej było o to oskarżyć... Jednakże - dodał i oczy jego nabrały blasku stali, i tylko gdzieś w samej ich głębi migwały iskierki uśmiechu - zawsze prosiłem, aby przeprowadzać dokładne rozgraniczenie między dyplomatyczną grą, mającą na celu umocnienie wspólnoty narodów, a zwykłą nierozumną zdradą. Tylko Azjaci mogą uważać cienką i skomplikowaną grę dyplomatyczną za podstęp...

- Jednak w wypadku, gdy to będzie celowe, gra może okazać się nie grą, ale bardzo poważną sprawą - powiedział zastępca szefa wywiadu.

- Według pana gra to rzecz niepoważna? Gra to najpoważniejsza rzecz na świecie. Gra i malarstwo. Cała reszta to rzeczy powierzchowne i małe - odpowiedział Churchill. Leżał w łóżku, nie wstał jeszcze po swojej zwykłej drzemce w ciągu dnia i dlatego był w wesołym i pogodnym nastroju. - Polityka w takim kształcie, w jakim przyzwyczailiśmy się ją widzieć, umarła. Na miejsce lokalnej polityki eleganckich operacji w tym czy w innym rejonie świata pojawiła się polityka globalna. To już nie samowola jednostki, to już nie egoistyczne działanie tej lub innej grupy ludzi, to nauka dokładna jak matematyka i niebezpieczna jak eksperymenty z promieniotwórczością w medycynie. Polityka globalna przyniesie małym krajom niezliczone nieszczęścia; to polityka wykoślawionych intelektów i zmarnowanych talentów. Polityce globalnej zostaną podporządkowani malarze i astronomowie, windziarze i matematycy, królowie i geniusze. - Churchill poprawił pled i dodał: - Zestawienie króla z geniuszem bynajmniej nie jest wymierzone przeciwko królowi; zestawienie to jest przypadkowe, a nie celowe. Polityka globalna będzie dopuszczać takie przymierza, takie paradoksalne zwroty strategii, że moje oświadczenie pod adresem Stalina w dniu 22 czerwca 1941 roku wyda się szczytem logiki i konsekwencji. Zresztą moje oświadczenie było logiczne, a problem konsekwencji to kwestia drugorzędna: najważniejsze są interesy wspólnoty narodów, wszystko inne historia wybaczy...

18.2.1945 (godzina 12 minut 09)

- Dzień dobry pani, pani Kinn - powiedział nieznajomy nachylając się nad wezglowiem łóżka.

- Dzień dobry - odpowiedziała Kät ledwo dosłyszalnie. Było jej jeszcze trudno mówić, w głowie szumiało, każdy ruch wywoływał mdłości. Uspokajała się jedynie przy karmieniu. Chłopczyk zasypiał i ona zasypiała razem z nim. Za każdym razem, gdy patrzyła na swego synka, budziło się w niej nie znane dotąd uczucie. To uczucie było dziwne i nie mogła go sobie wytłumaczyć. Wszystko się w niej pomieszało - i strach, i jakaś nie uświadomiona sobie do końca duma, nie odczuwany do tej pory ogromny spokój.

- Chciałbym zadać pani parę pytań, pani Kinn - ciągnął nieznajomy. - Pani mnie słyszy?

- Tak.

- Nie będę pani długo niepokoił...

- Kim pan jest?

- Pracuję w towarzystwie ubezpieczeniowym...

- Mój mąż... zginął?

- Proszę, niech pani sobie przypomni: gdy wybuchła bomba, gdzie on się znajdował?

- Był w łazience.

- Państwo mieli jeszcze brykiety? To przecież deficytowy towar! W naszej firmie tak marzniemy...

- Mąż kupił pewną ilość... okazjnie.

- Czy pani się nie zmęczyła?

- Mąż nie żyje?

- Przyniosłem pani bolesną wiadomość, pani Kinn. On nie żyje... Pomagamy wszystkim, którzy ucierpieli w czasie tych barbarzyńskich nalotów. Jaką pomoc chciałaby pani otrzymać podczas pobytu w szpitalu? Jedzenie prawdopodobnie otrzymuje pani, odzież przygotujemy do czasu pani wyjścia: i dla pani, i dla dziecka... Jakie czarujące maleństwo... Dziewczynka?

- Chłopczyk.

- Krzykacz?

- Nie, nawet nie słyszałam jego głosu.

Zaniepokoiła się nagle tym, że ani razu nie słyszała głosu swego syna.

- Czy dzieci powinny często krzyczeć? - zapytała. - Nie wie pan?



- Moi wrzeszczeli przeraźliwie - odpowiedział mężczyzna. - Bębenki mi pękały od ich wrzasków. Ale moi rodzili się chudziutcy, a pani mały to prawdziwy atleta. A wszyscy atleci są milkliwi... Pani Kinn, proszę mi wybaczyć, ale jeśli nie czuje się pani zbyt zmęczona, chciałbym panią jeszcze spytać, na jaką sumę był ubezpieczony pani majątek.

- Nie wiem... Mąż się tym zajmował.

- A w jakim oddziale byliście państwo ubezpieczeni, prawdopodobnie pani też nie pamięta?

- Zdaje się, że przy Kantstrasse.

- Aha, to oddział dwudziesty siódmy. Teraz będzie znacznie łatwiej zasięgnąć informacji.

Nieznajomy zapisał to wszystko w postrzępionym notesie i odkaszlnąwszy, znowu pochylił się ku twarzy Kät, zupełnie cicho powiedział:

- Płakać i denerwować się młodej mamie w żadnym wypadku nie wolno. Niech pani wierzy ojcu trojga dzieci. To natychmiast odbije się na brzuszku małego i zacznie płakać. Nie ma pani prawa myśleć tylko o sobie, ten okres skończył się dla pani raz na zawsze. Teraz obowiązkiem pani jest myśleć przede wszystkim o maleństwie...

- Nie będę płakać - szepnęła Kät i dotknęła lodowatymi palcami jego ciepłej, wilgotnej ręki. - Dziękuję panu.

- Gdzie znajdują się pani krewni? Nasze towarzystwo ułatwi im przyjazd do pani. Opłacamy przejazd i zabezpieczamy nocleg. Oczywiście, pani rozumie... hotele są zbombardowane albo oddane wojsku. Ale mamy prywatne pokoje. Krewni pani nie będą na nas narzekać. Gdzie należy napisać?

- Moi krewni zostali w Königsbergu - odpowiedziała Kät. - Nie wiem, co się z nimi stało.

- A krewni męża? Kogo zawiadomić o nieszczęściu?

- Jego rodzina mieszka w Szwecji. Ale pisać do nich nie można: wujek męża jest wielkim przyjacielem Niemiec i proszono nas, żebyśmy do niego nie pisali... Posyłaliśmy listy okazynie albo przez ambasadę.

- Czy nie pamięta pani adresu?

W tym czasie zapłakał chłopczyk.

- Przepraszam. Nakarmię go, a później podam adres.

- Nie będę przeszkadzał - powiedział nieznajomy i wyszedł z sali.

Kät popatrzyła za nim. Głowa bolała ją w dalszym ciągu, ale nie czuła już mdłości. Nie zdążyła przemyśleć jak należy pytać, które przed chwilą padły pod jej adresem, gdyż malec

zaczął ssać i wszystkie problemy odeszły od niej, przestały być nagle ważne. Został tylko chłopczyk, który chciwie ssał pierś i szybko poruszał rączkami: rozwinęła go z pieluszek i popatrzyła, jaki jest duży.

Raptem przypomniała sobie, że jeszcze wczoraj leżała na dużej sali, gdzie było wiele kobiet, i wszystkim im w tym samym czasie przynoszono dzieci, i w sali panował zgiełk dochodzący do niej jak z oddali. Dlaczego leżę tutaj sama jedna? pomyślała Kät. Gdzie ja jestem?

Nieznajomy przyszedł po półgodzinie. Długo przyglądał się śpiącemu chłopczykowi, a potem wyciągnął z teczki fotografie, rozłożył je na kolanach i zapytał:

- W czasie gdy będę zapisywał adres pani wujka, niech pani spojrzy, czy nie ma tu waszych rzeczy. Po bombardowaniu część rzeczy z waszego domu udało się odnaleźć. Wie pani, w takim nieszczęściu nawet jedna walizka dużo znaczy. Coś będzie można sprzedać, kupi pani to, co niezbędne dla małego. My oczywiście postaramy się wszystko przygotować do czasu pani wyjścia, ale mimo to...

- Franz Paakenen 1589, Sztokholm, Gustav Georgplatz 25.

- Dziękuję. Czy pani się nie zmęczyła?

- Trochę się zmęczyłam - odpowiedziała Kät. Odpowiedziała tak dlatego, że wśród porządnie ustawionych na ulicy koło ruin ich domu walizek i skrzyń stała duża walizka - nie można jej było pomylić z innymi. W tej walizce Erwin trzymał radiostację...

- Proszę popatrzeć uważnie i zaraz znikam. - Nieznajomy podsunął jej fotografie.

- Według mnie - odpowiedziała wolno Kat - tutaj naszych walizek nie ma.

- Dziękuję, w takim razie tę sprawę będziemy uważali za załatwioną - powiedział mężczyzna, ostrożnie schował fotografie do teczki, wstał i uklonił się. - Za dzień lub dwa zajrzę do pani i powiadomię o rezultatach moich starań. Opłata, którą pobieram, co robić, takie czasy, jest bardzo mała.

- Będę panu bardzo zobowiązana - odpowiedziała Kät.

Oficer śledczy dzielnicowego oddziału gestapo natychmiast skierował do ekspertyzy odciski palców Kät: fotografie z walizkami pokryto uprzednio w laboratorium specjalną substancją. Odciski palców znalezione na radiostacji wmontowanej w walizce były już gotowe. Okazało się, że na walizce z radiostacją były odciski palców należące do trojga różnych ludzi. Oficer śledczy wysłał pismo do szóstego wydziału RSHA: pytał o wszystkie szczegóły dotyczące życia i działalności szwedzkiego poddanego Franza Paakenena.

*18.2.1945 (godzina 12 minut 17)*

Eismann chodził po swym gabinecie. Chodził szybko, założywszy ręce do tyłu, cały czas mając świadomość, że brak mu czegoś, do czego jest przyzwyczajony, czegoś bardzo istotnego. Ta świadomość przeszkadzała mu się skupić, nie mógł do końca przeanalizować pytań, które go męczyły - dlaczego Stirlitz dostał się pod „oko”?

Wreszcie, gdy z wysiłkiem, przeciągle zawyły syreny, ogłaszające alarm lotniczy, Eismann zrozumiał: brak mu było bombardowania. Wojna stała się codziennością, cisza wydawała się czymś niebezpiecznym, niosła w sobie więcej utajonego strachu niż bombardowanie.

Chwała Bogu, pomyślał Eismann, gdy syrena umilkła. Teraz można usiąść i wziąć się do pracy. Teraz wszyscy sobie pójdą, będę mógł siedzieć i myśleć, nikt nie przyjdzie do mnie z głupimi pytaniami i zwariowanymi propozycjami.

Eismann usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać akta sprawy protestanckiego duchownego Fritza Schlaga, aresztowanego latem 1944 roku i podejrzanego o działalność antypaństwową. Nakaz aresztowania poprzedziły dwa donosy: Barbary Krein i Roberta Nitzsche. Oboje byli jego parafianami i w ich donosach była mowa o tym, że w swych kazaniach pastor Schlag nawołuje do pokoju i braterstwa z wszystkimi narodami, potępia barbarzyństwo wojny i głupotę rozlewu krwi. Weryfikacja faktów wykazała, że pastor kilka razy spotkał się z byłym kanclerzem Brüningiem, który przebywał obecnie na emigracji w Szwajcarii. Jeszcze w latach dwudziestych zawiązały się między nimi dobre stosunki, ale żadnych danych wskazujących na ścisły kontakt pastora z kanclerzem-emigrantem wśród materiałów sprawy nie było, mimo szczegółowej penetracji zarówno tu, w Niemczech, jak i w Szwajcarii.

Eismann dziwił się - dlaczego sprawa pastora Schlaga trafiła do wywiadu? Dlaczego nie przekazano jej gestapo? Dlaczego zainteresowali się pastorem ludzie Schellenberga? Znalazł odpowiedź na to pytanie w krótkim dokumencie, dołączonym do akt sprawy: dwukrotnie w 1933 roku wyjeżdżał do Wielkiej Brytanii i Szwajcarii, aby wziąć udział w kongresach pacyfistów.

Oni zainteresowali się jego kontaktami, doszedł do wniosku Eismann. Interesowało ich, z kim on się tam spotykał. Dlatego wzięli go sobie ludzie z wywiadu, dlatego przekazano go Stirlitzowi. Co ma z tym wspólnego Stirlitz? Powierzyli mu tę sprawę - wykonał polecenie...

Eismann przejrzał akta. Przesłuchania były krótkie i lakoniczne. Chciał zrobić sobie na ich podstawie jakieś notatki, aby jego wnioski były umotywowane i poparte cytatami, ale praktycznie biorąc nie było z czego robić notatek. Śledztwo zostało przeprowadzone nie tak,

jak to zwykł czynić Stirlitz; bez polotu, biurokratycznie, z wykładaniem na stół wszystkich kart.

Eismann zadzwonił do specjalnej fonoteki i poprosił o nagranie przesłuchania pastora Schlaga, prowadzonego przez standartenführera Stirlitza w dniu 29 września 1944 roku:

„- Chcę pana uprzedzić: jest pan aresztowany, a dla tego, kto trafił w ręce sprawiedliwości narodowosocjalistycznej, powołanej do karania winnych i obrony narodu przed łajdakami, problem powrotu stąd do normalnego życia praktycznie nie istnieje. Niemożliwe stanie się także normalne życie pańskiej rodziny. Zastrzegam się: wszystko oczywiście przybierze dobry obrót, jeśli, po pierwsze, przyznawszy się do winy ujawni pan pozostałych działaczy kościelnych, którzy są nielojalni w stosunku do naszego państwa, a po drugie, jeśli w przyszłości będzie pan nam pomagał. Czy przyjmuje pan te propozycje?

- Muszę pomyśleć.

- Ile czasu panu na to potrzeba?

- A ile czasu człowiek potrzebuje, aby przygotować się na śmierć?

- Radzę panu zastanowić się dobrze nad moją propozycją. Czy nie jest pan patriotą Niemiec?

- Jestem. Ale co mam rozumieć pod pojęciem «patriota Niemiec»?

- Wierność dla Trzeciej Rzeszy.

- Trzecia Rzesza to jeszcze nie naród.

- Naród nasz żyje ideologią Rzeszy i Führera. Czyż nie jest pana obowiązkiem, obowiązkiem duchownego, pastora, być razem z narodem, który wyznaje naszą ideologię?

- Gdybym prowadził z panem dyskusję na równych prawach, wiedziałbym, co na to odpowiedzieć.

- Zapraszam pana do takiej dyskusji.

- Być z narodem to jedno, a postępować sprawiedliwie i zgodnie z nakazami wiary - to co innego.

- Jezuiści to jeden z chrześcijańskich zakonów. Prawda?

- Tak.

- Pan jako duchowny prawdopodobnie nie poddaje rewizji całej historii chrześcijaństwa, czy też być może potępia pan pewne okresy w rozwoju nauki chrześcijańskiej? Na przykład inkwizycję?

- Nie wiem, jak panu odpowiedzieć. Inkwizycja, która powołana została początkowo jako środek umacniania wiary, stopniowo przekształciła się w cel sam dla siebie.

- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, jak często w historii chrześcijaństwa innowiercy byli tępieni przez Kościół po to, żeby pozostali wierni mogli żyć zgodnie z zasadami wiary?

- Rozumiem pana pytanie. Tępieno z reguły heretyków. A wszystkie herezje w historii chrześcijaństwa to w istocie rzeczy bunty odwołujące się do materialnych korzyści. Wszystkie herezje głosiły ideę nierówności, podczas gdy Chrystus głosił ideę równości. Przytłaczającą większość herezji w historii chrześcijaństwa wychodziła z założenia, że bogaty nie jest równy biedakowi, że biedny powinien zabić bogatego albo sam zostać bogatym i zająć jego miejsce. Idea Chrystusa polegała natomiast na tym, że nie ma różnicy między ludźmi, że bogactwo jest tak samo czymś przemijającym, jak ubóstwo. Podczas gdy Chrystus starał się pogodzić ludzi, wszystkie herezje nawoływały do przelewu krwi. Idea zła stanowiła z reguły trzon heretyckich nauk i Kościół stosował przemoc wobec heretyków w imię tego, żeby gwałt nie stał się częścią składową moralnego kodeksu chrześcijaństwa.

- Występując jednak przeciwko herezji, która propagowała przemoc, Kościół mimo wszystko dopuszczał możliwość użycia siły?

- Dopuszczał. Ale nigdy nie czynił jej celem samym w sobie i nie usprawiedliwiał jej jako zasady.

- A więc przez osiemset, dziewięćset lat stosowano przemoc w imię tego, aby tę przemoc zlikwidować. My doszliśmy do władzy w 1933 roku, teraz jest 1944. Czego więc pan od nas wymaga? Rządzimy jedenaście lat. W ciągu jedenastu lat zlikwidowaliśmy bezrobocie; w ciągu jedenastu lat nakarmiliśmy wszystkich Niemców, przyznaję, stosując przemoc wobec inaczej myślących. A pan przeszkadza nam słowami. Jeśli już jest pan tak zdecydowanym przeciwnikiem naszego reżimu, to czy nie byłoby w przypadku pana bardziej celowe użycie siły, że tak powiem, materialnej zamiast duchowej? Mógłby pan na przykład zorganizować jakąś antypaństwową grupę wśród swoich parafian i działać przeciwko nam? Ulotkami, sabotażem, dywersją, zbrojnymi wystąpieniami skierowanymi przeciwko określonym przedstawicielom władzy?

- Nie, jeśli bowiem zacznę stosować w walce z wami wasze metody, chcąc nie chcąc stanę się podobny do was.

- Jeśli więc zgłosi się do pana młody człowiek, należący do pańskich wiernych, i powie: »Ojciec duchowny, nie zgadzam się z reżimem i chcę z nim walczyć«, to co pan wówczas zrobi?

- Nie będę mu przeszkadzał.

- A jeśli on oświadczy: »Chcę zamordować gauleitera«, a pan będzie wiedział, że tenże gauleiter ma troje dzieci, dwa lata, pięć lat i dziesięć. I żonę o sparaliżowanych nogach. Jak pan wówczas postąpi?

- Nie wiem...”

Eismann poczuł nagle, że gmachem wstrząsnęło. Widocznie bombardują gdzieś zupełnie blisko, pomyślał. Albo zrzucają bardzo duże bomby... Dziwna rozmowa...

Zadzwoił po dyżurnego. Tamten wszedł blady, spocony. Eismann zapytał:

- Czy to było oficjalnie przeprowadzone nagranie czy tylko kontrolne?

Dyżurny odpowiedział cicho:

- Muszę to wyjaśnić.

- Bombardują gdzieś blisko?

- U nas wyleciały szyby.

- Nie może pan zejść do schronu?

- Nie - odpowiedział dyżurny. - Instrukcja zabrania.

Eismann chciał w dalszym ciągu przesłuchiwać zapisy na taśmie, ale dyżurny, powróciwszy, zameldował mu, że Stirlitz nie nagrywał tego przesłuchania. Robiono to na polecenie kontrwywiadu w celu sprawdzenia lojalności pracowników centralnego aparatu.

Schellenberg powiedział:

- To były bomby o ciężarze co najmniej tony.

- Zdaje się - zgodził się Stirlitz. Opanowało go pragnienie, aby wyjść z gabinetu i natychmiast spalić znajdującą się w jego teczce kartkę papieru z meldunkiem do Himmlera o rokowaniach „zdrajców SD z Zachodem”. Ta gra Schellenberga, myślał, nie jest taka prosta, jak się wydaje. Pastor interesuje go chyba od samego początku. Jako asekuracja na przyszłość. To, że okazał się potrzebny właśnie teraz, jest wielce symptomatyczne. I bez wiedzy Himmlera Schellenberg by na to nie poszedł. Stirlitz wiedział, że powinien, nie spiesząc się i żartując, omówić z Schellenbergiem wszystkie szczegóły przyszłej operacji.

- Odlatują już, jeśli się nie mylę - powiedział Schellenberg nasłuchując. - A może nie?

- Odlatują po nowy ładunek bomb.

- Nie, ci będą teraz odpoczywać w bazach. Starcza im samolotów, żeby bombardować nas bez przerwy... A więc pan uważa, że pastor, jeśli weźmiemy jako zakładników jego siostrę z dziećmi, wróci z całą pewnością?

- Na pewno.

- I nie powie po powrocie na przesłuchaniu u Müllera, że właśnie pan prosił go o to, żeby pojechał tam dla nawiązania kontaktów?

- Tego nie jestem pewny. Zależy, kto go będzie przesłuchiwał.

- Lepiej, żeby taśmy z rozmów z nim zostały u pana, a on sam, jakby to powiedzieć... no, na przykład, mógłby zginąć w czasie bombardowania...

- Pomyślę o tym.

- Jak długo chce pan o tym rozmyślać?

- Prosiłbym o pozwolenie wszechstronnego rozpatrzenia tej sprawy.

- Pytam, ile czasu zajmie panu to rozpatrywanie?

- Postaram się przed wieczorem coś zaproponować.

- No, niech będzie - zgodził się Schellenberg. - A jednak odlecieli... Chce pan kawy?

- Owszem, ale napiję się, gdy skończę tę robotę.

- Dobrze, Stirlitz. Jestem zadowolony, że pan wszystko tak dokładnie zrozumiał. To będzie dobra lekcja dla Müllera. Zrobił się bezczelny. Nawet wobec reichsführera. Wykonamy za niego robotę i utrzymy mu nosa. Pomożemy tym bardzo reichsführerowi.

- A czy reichsführer nie wie o tej sprawie?

- Nie... Powiedzmy, że nie. Jasne? A w ogóle bardzo przyjemnie mi się z panem pracuje.

- Mnie również.

Schellenberg odprowadził standartenführera do drzwi i ściskając mu rękę powiedział:

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie pan mógł pojechać na pięć dni w góry; można tam teraz świetnie wypocząć - niebieski śnieg i brązowa opalenizna... Ach, jakie to jest cudowne, prawda? O iluż to rzeczach zapomnieliśmy w czasie wojny.

- Przede wszystkim zapomnieliśmy chyba sami o sobie - odpowiedział Stirlitz. - Tak jak się zapomina palta w szatni po dużym pijaństwie.

- Tak, tak - westchnął Schellenberg - jak palta w szatni. Dawno przestał pan pisać wiersze?

- W ogóle nie zaczynałem.

Schellenberg pogroził mu palcem:

- Z małego kłamstwa rodzi się wielkie niedowierzanie, Stirlitz.

- Mogę przysiąc. - Stirlitz się uśmiechnął. - Pisałem wszystko prócz wierszy: nie znoszę rymów.

*18.2.1945 (godzina 13 minut 53)*

Zniszczywszy swe pismo do Himmlera i zameldowawszy adiutantowi reichsführera, że wszystkie sprawy zostały u Schellenberga załatwione, Stirlitz wyszedł z domu przy Prinzalbrechtstrasse i poszedł powoli w kierunku Sprewy. Chodnik był uprzątnięty, chociaż

jeszcze nocą pokrywały go zwały potłuczonej cegły; bombardowano miasto co noc, a nawet dwa, trzy razy w ciągu nocy.

Byłem bliski wpadki, myślał Stirlitz. Gdy Schellenberg polecił mi zająć się pastorem Schlagiem, interesował go przede wszystkim były kanclerz Brüning, który mieszka obecnie w Szwajcarii. Schellenberg łatwo zdecydował się zwolnić starego, gdy mu zameldowałem, że pastor będzie z nami współpracował, bo chodziło mu o kontakty... Patrzył bardziej perspektywicznie niż ja. Liczył na to, że pastor stanie się podstawioną figurą w ich wielkiej grze. Jak pastor może się włączyć do operacji Wolfa? Co to za operacja? Dlaczego Schellenberg zaczął mówić o wyjeździe Wolfa do Szwajcarii dopiero wówczas, gdy włączył radio. Jeśli boi się mówić o tym głośno, to oznacza, że obergruppenführer Karl Wolf otrzymał niezbędne pełnomocnictwa: ma rangę w SS równą Ribbentropowi czy Fegeleinowi. Schellenberg nie mógł mi nie wspomnieć o Wolfie, w przeciwnym bowiem razie zadałbym mu pytanie: „Jak można przygotowywać operację działając w ciemno?” Czyżby Zachód chciał zasiąść za jednym stołem z Himmlerem? Teoretycznie biorąc, Himmler ma za sobą siłę, oni to rozumieją. To nie do pomyslenia, żeby znaleźli się za jednym stołem! Dobrze... Pastor będzie przynętą, osłoną, tak jak oni to zaplanowali. Ale Schellenberg widocznie nie wziął pod uwagę tego, że pastor ma tam liczne kontakty. Oznacza to, że powinien tak nastawić starego, żeby wykorzystał swoje wpływy przeciwko tym, którzy - poprzez mnie - wyślą go do Szwajcarii. Chciałem go wykorzystać jako zapasowy kanał łączności, ale przyjdzie mu prawdopodobnie odegrać bardziej odpowiedzialną rolę. Jeśli wyposażę go w swoją legendę w miejsce tej wersji Schellenberga, pastor przyciągnie mi i tych z Watykanu, i Anglo-Amerykanów. Jasne... Powinienem dla niego przygotować taką wersję, która wzbudzi poważne zainteresowanie jego osobą, a równocześnie odciągnie zainteresowanie od innych Niemców, którzy tam przyjechali lub chcą przyjechać. A więc potrzebne mi są po pierwsze: legenda dla pastora, a po drugie: nazwiska tych, których reprezentuje on tutaj jako opozycję wobec Hitlera i Himmlera...

Stirlitz siedział długo nad kieliszkiem koniaku w Weinstube. Było tu spokojnie i nikt nie przeszkadzał mu w rozmyślaniach.

Sam Schlag to i dużo, i mało. Potrzebna mi jest asekuracja. Kto? myślał Stirlitz. Któż więc? Zapalił, położył papierosa na popielniczce i ścisnął palcami szklanekę z gorącym grogiem. Skąd oni mają tyle wina? Jedyne, co sprzedaje się bez kartek, to wino i koniak. Przy czym po Niemcach można się spodziewać wszystkiego, ale jedno im nie grozi - upijać się nie umieją.

Tak, potrzebny mi jest człowiek, który nienawidzi tej bandy i który nie będzie zwyczajnym łącznikiem. Potrzebna mi jest osobistość...



Kiedyś Stirlitz miał takiego człowieka. Naczelnny lekarz szpitala imienia Kocha, Pleischner, pomagał Stirlitzowi od trzydziestego dziewiątego roku. Antyfaszysta, nienawidzący hitlerowców, był zdumiewająco odważny i opanowany. Stirlitz zastanawiał się czasem, skąd w tym znakomitym lekarzu, uczonym, intelektualistcie tyle zacieklej, bezwzględnej nienawiści do reżimu hitlerowskiego. Gdy mówił o führerze, jego twarz upodabniała się do maski. Hugo Pleischner niejednokrotnie organizował wraz ze Stirlitzem wspaniałe akcje: w czterdziestym pierwszym roku uratowali przed wypadką grupę radzieckich wywiadowców, zdobyli tajne dane na temat przygotowywanego natarcia wehrmachtu na Krymie - Pleischner przekazał je do Moskwy otrzymawszy zezwolenie gestapo na wyjazd do Szwecji z cyklem wykładów.

Umarł nagle pół roku temu na udar serca. Jego starszy brat, profesor Pleischner, niegdyś prorektor uniwersytetu w Kolonii, wrócił do domu po odbyciu kary prewencyjnej w Dachau. Spokojny, milczący, z przyklepionym do ust konwencjonalnym uśmiechem. Żona rzuciła go zaraz po aresztowaniu - domagali się tego jej krewni; młodszy jej brat został mianowany radcą do spraw ekonomicznych w ambasadzie Rzeszy w Hiszpanii. Uważano, że przed młodym człowiekiem otwierają się duże perspektywy. Popierał go miejscowy aparat NSDAP. Rada rodzinna postawiła więc przed panią Pleischner alternatywę: albo wyrzeknie się wroga państwa, swojego męża, albo jeśli droższe są jej własne egoistyczne interesy, zostanie poddana rodzinnemu bojkotowi; wtedy wszyscy krewni publicznie w prasie ogłoszą o całkowitym zerwaniu z nią stosunków.

Pani Pleischner była młodsza od profesora o dziesięć lat; miała czterdzieści dwa lata. Kochała męża, podróżowali razem po Afryce i Azji - profesor prowadził tam prace wykopaliskowe wraz z archeologami z berlińskiego muzeum Pergamon. Początkowo nie zgadzała się na rzucenie męża. Wobec tego wielu przedstawicieli jej klanu rodzinnego - a byli to ludzie związani od stulecia z handlem tekstyliami - zamierzało ogłosić publicznie o zerwaniu z nią wszelkich stosunków. Jednak Franz von Ens, młodszy brat pani Pleischner, przekonał krewnych, że taki publiczny skandal jest ze wszech miar niekorzystny. Będzie przysłowiową wodą na młyn dla naszych wrogów. Pamiętajcie, że ludzka zawiść nie zna granic i ten skandal może mi tylko zaszkodzić. Czy nie lepiej załatwić wszystko po cichu, ale tym bardziej skutecznie?

Przyprowadził do pani Pleischner swojego przyjaciela z jachtklubu. Trzydziestoletniego faceta nazwiskiem Götz. Był w tym samym stopniu przystojny, co głupi. Franz wiedział, że utrzymują go starzejące się kobiety. Posiedzieli w trójkę w małej restauracji i obserwując zachowanie Götza, Franz von Ens uspokoił się. Głupi to on jest, ale swoją rolę gra

zgodnie z doprowadzonym do perfekcji, ustalonym szablonem. Götz był chmurny, milczący, silny. Opowiedział parę śmiesznych anegdot. Potem powściągliwie zaprosił panią Pleischner do tańca. Patrząc na nich, Franz uśmiechnął się pogardliwie. Siostra śmiała się, a Götz przyciskając ją do siebie coraz bardziej, szeptał jej coś do ucha.

Po dwóch dniach Götz przeniósł się do mieszkania profesora. Mieszkał tu tydzień, do pierwszej kontroli policyjnej. Pani Pleischner przyszła do brata ze łzami: „Zrób coś, żeby on wrócił, to straszne, że nie jesteśmy razem”. Nazajutrz złożyła podanie o rozwód. To złamało profesora - uważał żonę za najbliższego przyjaciela. Przeżywając męczarnie obozu sądził, że ratuje tym jej uczciwość i swobodę myślenia.

Kiedyś nocą Götz zapytał ją: „Z nim było ci lepiej?” Zaśmiała się cicho i objawszy go odpowiedziała: „Co ty, kochany... On umiał jedynie ciekawie mówić...”

Po zwolnieniu Pleischner, nie zajeżdżając do Kolonii, wybrał się od razu do Berlina. Brat mający kontakt ze Stirlitzem pomógł mu znaleźć pracę w muzeum Pergamon. Pracował w dziale starożytnej Grecji, Właśnie tutaj Stirlitz wyznaczał zwykle spotkania swoim agentom i dlatego dość często po załatwieniu sprawy wpadał do Pleischnera i chodzili razem po olbrzymich salach majestatycznego Pergamonu. Pleischner wiedział, że Stirlitz zawsze dłużej zatrzyma się przy rzeźbie: *Chłopiec wyjmujący cierni z nogi*; wiedział, że parę razy obejdzie popiersie Cezara, popiersie z czarnego kamienia z wykonanymi z dziwnego przezroczystego minerału białymi, nieruchomymi oczami. Profesor w ten sposób wytyczał marszrutą ich spacerów, żeby Stirlitz mógł przejść koło starożytnych masek: tragizmu, śmiechu, mądrości. Profesor nie wiedział jednak, że Stirlitz wróciwszy do domu długo będzie stał przed lustrem w łazience, ćwicząc mimikę twarzy niby aktor. Pracownik wywiadu, myślał Stirlitz, musi uczyć się panować nad swoją twarzą. Starożytni opanowali doskonale tę sztukę...

Pewnego razu Stirlitz poprosił profesora o klucz od szklanej gablotki, w której znajdowały się brązowe statuetki z wyspy Samos.

- Wydaje mi się - powiedział wówczas - że gdy dotknę tych statuetek, dokona się we mnie jakiś cud, stanę się inny, posiadę część mądrości starożytnych.

Profesor spełnił prośbę, Stirlitz sporządził sobie odcisk klucza. Tutaj właśnie, pod statuettką kobiety, urządził skrytkę.

Stirlitz lubił rozmawiać z profesorem. Powiedział kiedyś:

- Sztuka Greków, przy całej jej wspaniałości, jest zbyt miękka i w pewnym sensie kobieca. Rzymianie byli twardsi. Prawdopodobnie dlatego są bliżsi Niemcom. Greków intrygował ogólny zarys, a Rzymianie lubili logiczną konsekwencję, stąd pasja do wykańczania

detali. Proszę obejrzeć na przykład portret Marka Aureliusza. To bohater, to obiekt do naśladowania, dzieci powinny stawiać go sobie za wzór.

- Szczegóły ubioru, dokładność rozwiązywania kształtu ciała to rzeczywiście wspaniale - ostrożnie protestował Pleischner. W obozie oduczył się dyskutować, został w nim jedynie ostrożny sprzeciw. Dawniej zapalał się i niszczył oponenta, obecnie zaś wysuwał jedynie łagodne kontrargumenty. - Proszę popatrzeć uważniej na jego twarz. O czym myśli Aureliusz? O niczym, jest pomnikiem swej własnej wielkości. Jeśli pan przyjrzy się uważnie sztuce Francji końca osiemnastego wieku, będzie pan mógł się przekonać, że Grecja przeniosła się do Paryża, wielka Hellada przysłała do wolnomyślicieli...

Kiedyś Pleischner zatrzymał Stirlitza koło fresków człekoźwierząt: głowa człowieka, a tułów rozjuszonego odyńca.

- Jak panu się to podoba? - zapytał.

Stirlitz pomyślał: Podobne do dzisiejszych Niemców przekształconych w tępe, posłuszne, dzikie stado. Nie odpowiedział nic Pleischnerowi i wykręcił się słówkami „hm”, „rzeczywiście”, „ho-ho”, które tak pomagają, gdy milczenie jest niepożądane, a każda prawdziwa odpowiedź niemożliwa.

Przechodząc przez puste sale Pergamonu, Stirlitz często zadawał sobie pytanie: Dlaczego ludzie tak po barbarzyńsku odnosili się do swych geniuszy? Dlaczego niszczyli, palili, tłukli o ziemię rzeźby? Dlaczego byli tak obojętni wobec talentów swoich rzeźbiarzy i malarzy? Dlaczego musimy zbierać pozostałe resztki i na podstawie tych resztek uczyć nasze dzieci o pięknie? Dlaczego starożytni w tak nierozumny sposób oddawali swych żywych bogów na pastwę barbarzyńcom?

Stirlitz dopił grog i zapalił papierosa. Dlaczego wciąż wspominam Pleischnera? Czy tylko dlatego, że brakuje mi jego brata? A może wypracowuję nową wersję łączności? Uśmiechnął się. Zaczynam grać nawet wobec siebie samego. „Z kim zmagał się? Z samym sobą, z samym sobą...” To zdaje się Pasternak.

- Herr Ober! - przywołał kelnera. - Proszę o rachunek.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

**(Bormann)**

O tym człowieku nikt nic nie wiedział. Rzadko pojawiał się w kronice filmowej, jeszcze rzadziej na fotografiach u boku fùhrera. Niewysokiego wzrostu, z blizną na policzku, starał się chować za plecami sąsiadów, gdy fotografowie pstrykali zdjęcia.

Mówiono, że w roku 1924 odsiedział czternaście miesięcy za polityczne morderstwo. Nikt w gruncie rzeczy nie znał go bliżej aż do dnia, gdy Hess poleciał do Anglii. Himmler otrzymał wówczas rozkaz od fùhrera zaprowadzić porządek w „tym parszywym burdelu”. Tak fùhrer wyraził się o kancelarii partyjnej, której szefem był Hess, jedyny z członków partii będący z fùhrerem po imieniu. W ciągu nocy ludzie Himmlera dokonali ponad siedmuset aresztowań. Aresztowano bliskich współpracowników Hessa, ale pominięto najbliższego pomocnika szefa kancelarii partyjnej, jego pierwszego zastępcę Martina Bormanna. Co więcej, on właśnie w pewnym sensie kierował ręką Himmlera: ratował przed aresztowaniem potrzebnych mu ludzi, a niepotrzebnych kierował do obozów.

Jako następca Hessa zupełnie się nie zmienił. Był nadal jak dawniej milczący, jak dawniej chodził z notesem w kieszeni, w którym zapisywał wszystko, co powiedział Hitler; żył jak dawniej bardzo skromnie. Odnosił się z manifestacyjnym szacunkiem do Göringa, Himmlera i Goebbelsa, ale stopniowo, w ciągu dwóch lat, stał się na tyle niezbędny fùhrerowi, że ten żartując, nazywał go swoim cieniem. Umiał zorganizować swoją pracę w ten sposób, że jeśli Hitler zainteresował się czymkolwiek przy obiedzie, to gdy podawano kawę, Bormann miał już gotową odpowiedź. Pewnego razu w Berchtesgaden urządzono fùhrerowi owację, z której zrodziła się spontaniczna, potężna manifestacja; otóż Bormann zauważył wówczas, że Hitler stoi w pałącym słońcu. Nazajutrz w tym samym miejscu Hitler dostrzegł dąb. W ciągu nocy Bormann zorganizował przesadzenie olbrzymiego drzewa... Wiedział on, że fùhrer nigdy nie przygotowuje przemówień, zawsze liczy na improwizację i improwizacja zazwyczaj mu się udaje. Ale Bormann, szczególnie przed spotkaniem z dostojnikami innych państw, nie zapominał nakreślić dla fùhrera szeregu tez, na które, według jego opinii, warto by było zwrócić szczególną uwagę. Wykonywał tę nieefektywną, ale bardzo ważną pracę z wielkim taktem i Hitlerowi nigdy nawet nie przyszło na myśl, że programowe przemówienia pisze za niego inny człowiek. I gdy pewnego razu Bormann zachorował, Hitler poczuł, że wszystkie sprawy wymykają mu się z rąk.

Gdy wojskowi albo minister przemysłu Speer przygotowywali sprawozdanie, w którym führungowi przedstawiano odpowiednio spreparowaną prawdę, Bormann albo chował to sprawozdanie, albo w przyjacielskiej, poufnej rozmowie z Jodlem czy Speerem nakłaniał ich do osłabienia wymowy tych czy innych faktów.

- Oszczędzajmy jego nerwy - mówił. - Ten surogat goryczy możemy i powinniśmy znać my, ale po co ranić Führera?

Jąkał się, ale umiał za to wspaniale opracowywać dokumenty; był mądry, ale ukrywał to pod maską szorstkiej prostolinijnej naiwności; był wszechmocny, ale umiał zachowywać się jak zwykły śmiertelnik, który „musi się najpierw poradzić”, zanim podejmie jakąkolwiek odpowiedzialną decyzję.

Właśnie do tego człowieka, do Martina Bormanna, w kopercie z nadrukiem „ściśle tajne, otwierać osobiście”, trafiło z SD pismo następującej treści:

*Towarzyszu partyjny Bormann! Za plecami Führera znani mi ludzie zaczynają prowadzić grę z przedstawicielami zgniłych demokracji zachodnich w Szwecji i Szwajcarii. Postępuje się tak w dni totalnej wojny, postępuje się tak w dni, gdy na polach bitew rozstrzyga się przyszłość świata. Będąc oficerem SD mógłbym poinformować pana o pewnych szczegółach tych zdradzieckich rozmów. Potrzebne mi są gwarancje, bowiem gdyby to pismo trafiło do rąk aparatu SD, zostałbym natychmiast zlikwidowany. Dlatego właśnie nie podpisuję się. Proszę, aby Pan, jeśli moje doniesienie wyda się Panu ważne, przyjechał jutro do hotelu „Neues Thor” o godzinie 13.00. Oddany Führerowi członek SS i NSDAP.*

Bormann długo siedział pochylony nad tym pismem. Chciał zatelefonować do szefa gestapo Müllera. Wiedział, ile Müller mu zawdzięcza. Stary szpicel dwukrotnie w początkach lat trzydziestych rozbijał bawarską organizację partii narodowosocjalistycznej. Potem, gdy stała się ona w Niemczech partią rządzącą, zaczął jej służyć. Do 1939 roku szef gestapo był bezpartyjny. Koledzy w służbie bezpieczeństwa nie mogli mu darować gorliwości w okresie Republiki Weimarskiej. Bormann pomógł mu wstąpić w szeregi partii, gwarantując za niego osobiście przed führungem. Ale nigdy nie pozwalał Müllerowi zbliżyć się do siebie, przyglądał mu się, rozważał szansę. Jeśli miałby go do siebie przybliżyć, to do końca, wtajemniczając go we wszystko. W przeciwnym wypadku gra nie jest warta świeczki.

Co to? myślał Bormann po raz dziesiąty czytając pismo. Prowokacja? Chyba nie. Napisał to chory człowiek? Też nie, to mi wygląda na prawdę... A jeśli on jest z gestapo, jeśli Müller też bierze udział w tej grze? Szczury uciekają z tonącego okrętu, wszystko jest możliwe. W każdym razie może się to okazać kartą nie do przebiccia w rozgrywce z Himmlerem. Wtedy

będę mógł spokojnie, nie zwracając uwagi na tego łajdaka, przekazać wszystkie partyjne pieniądze do banków neutralnych na nazwiska moich, a nie jego ludzi...

Bormann rozmyślał długo nad tym pismem, ale konkretnej decyzji nie podjął.

Eismann włączył magnetofon. Nie śpiesząc się palił i wsłuchiwał z uwagą w lekko przytłumiony głos Stirlitza.

„- Proszę powiedzieć, czy czuł się pan fatalnie przez te dwa miesiące spędzone w naszym więzieniu?

- Czuję się fatalnie przez całe jedenaście lat waszego sprawowania władzy.

- Demagogia. Pytam, czy okres spędzony w naszym więzieniu był dla pana fatalny?

- Oczywiście.

- Oczywiście. Nie chciałby pan trafić tu powtórnie, jeśli naturalnie zdarzy się cud i pana stąd wypuścimy?

- W ogóle nie chciałbym mieć z wami nic do czynienia.

- Wspaniale. A jeśli postawię panu taki warunek: zwolnimy pana za cenę utrzymywania ze mną dobrych stosunków, czysto ludzkich dobrych stosunków?

- Czysto ludzkie dobre stosunki z panem będą dla mnie po prostu przejawem mojego naturalnego stosunku do ludzi. W takim stopniu, w jakim pan będzie przychodził do mnie jako człowiek, a nie jako funkcjonariusz partii narodowosocjalistycznej, będzie pan dla mnie człowiekiem.

- Ale będę przychodził do pana jako człowiek, który ocalił panu życie.

- Pan chce mi pomóc, bo taka jest pana wola, czy też wiąże pan ze mną jakieś plany?

- Wiążę z panem pewne plany.

- W takim wypadku muszę wierzyć, że cel, który chce pan osiągnąć, jest szlachetny.

- Proszę więc przyjąć zapewnienie, że moje cele są więcej niż szlachetne.

- O co będzie pan mnie prosił?

- Mam przyjaciół, ludzi nauki, funkcjonariuszy partyjnych, wojskowych, dziennikarzy - jednym słowem osobistości. Byłoby dla mnie interesujące, gdyby pan - jeśli oczywiście uda mi się przekonać kierownictwo, żeby pana zwolniono - gdyby porozmawiał pan z tymi ludźmi. Nie będę pana prosił o sprawozdania z tych rozmów. Prawdę mówiąc nie ręczę za to, czy w sąsiednim pokoju nie zostaną ustawione dyktafony, ale może pan pójść do lasu i tam porozmawiać. Byłbym bardzo ciekaw pańskiej opinii na temat stopnia zła albo dobra, jaki określa tych ludzi. Czy taką przyjacielską usługę może mi pan wyświadczyć?

- Tak, tak, oczywiście. Ale mam szereg wątpliwości związanych z otrzymaną propozycją.

- Proszę pytać.

- Albo pan mi ufa i szuka u mnie pomocy, której nie mógłby pan otrzymać od nikogo innego, albo to prowokacja. Jeśli mnie pan prowokuje, nasza rozmowa znowu do niczego nie doprowadzi.

- To znaczy?

- To znaczy, że znowu nie znajdziemy wspólnego języka. Pan pozostanie funkcjonariuszem, a ja człowiekiem, który szuka wyjścia, żeby nie zostać agentem.

- Co pana upewni o tym, że nie stosuję prowokacji?

- Jedynie wyraz pana oczu.

- Umówmy się, że wymieniliśmy z panem listy uwierzytelniające”.

- Proszę przekazać mi dane o zachowaniu się pastora w więzieniu - poprosił Eismann skończywszy przesłuchiwanie. - Wszystko, co dotyczy jego zachowania się, kontaktów, rozmów z innymi więźniami... Słowem, maksimum szczegółów.

Informacja, którą przygotowano mu w ciągu godziny, okazała się w najwyższym stopniu zaskakująca. W styczniu 1945 roku pastor Schlag został zwolniony z więzienia. Z akt sprawy nie można było zrozumieć, czy zgodził się on pracować dla SD, czy też zwolnienie jego wynikało z innych, niezrozumiałych przyczyn. Była tylko decyzja Schellenberga o wypuszczeniu Schlaga i o przekazaniu go pod obserwację Stirlitza. To wszystko.

Po następnej półgodzinie przyniesiono mu ostatni dokument: ze Schlagiem, po jego zwolnieniu, pracował specjalny agent szóstego wydziału, Klaus.

- Gdzie są jego akta? - zapytał Eismann.

- On utrzymywał bezpośrednią łączność ze standartenführerem Stirlitzem.

- Nagrań nie ma?

- Nie - odpowiedziano mu z kartoteki. - Nagrań dla dobra operacji nie prowadzono.

- Proszę znaleźć tego agenta - polecił Eismann - Ale w ten sposób, żeby wiedzieli o tym tylko trzej ludzie: pan, ja i on...

*27.2.1945 (godz. 12 minut 01)*

Stirlitz jechał na spotkanie z Bormannem - liczył, że dojdzie do skutku, przynęta na haczyku była bowiem smakowita - jechał więc na to spotkanie powoli, krążąc ulicami, sprawdzając na wszelki wypadek, czy go ktoś nie śledzi. Czynił to machinalnie; nic w ciągu ostatnich dni nie wydało mu się podejrzane i ani razu nie budził się w środku nocy, jak to

bywało uprzednio, gdy całą swoją istotą odczuwał strach. Leżał wtedy długo z otwartymi oczami, nie zapalając światła, i starannie minuta po minucie analizował wszystkie wydarzenia minionego dnia. Drobiazgowo przypominał sobie każde słowo wypowiedziane w rozmowie z kimkolwiek, nawet z mleczarzem, nawet z nieznanym w metro. Stirlitz starał się jeździć tylko samochodem, unikając przypadkowych kontaktów. Ale sądził, że zupełna izolacja od świata też byłaby nierozsądna, chociażby ze względu na różnorodność poleceń, jakie mógł w najbliższej przyszłości otrzymać. I wtedy gwałtowna zmiana zachowania się mogła zaniepokoić tych, którzy go obserwowali. A że w Trzeciej Rzeszy śledzono wszystkich, o tym Stirlitz dobrze wiedział.

Starannie obmyślał więc szczegóły. Ludzie jego profesji zwykle demaskowali się przez drobiazgi. Właśnie dopracowanie szczegółów dwukrotnie ocaliło go już przed wpadką.

Stirlitz machinalnie popatrzył w lusterko i gwizdnął ze zdziwienia: wanderer, który jechał za nim już od Kurfürstendamm, nieodłącznie mu towarzyszył. Stirlitz dodał gazu, horch gwałtownie skoczył do przodu. Kierował go teraz prosto na Alexanderplatz, ale stamtąd zawrócił ku Bergstrasse i koło cmentarza wjechał na Weteranenstrasse. Kiedy się obejrzał, stwierdził, że tropiący go samochód zgubił się gdzieś po drodze. Zrobił więc na wszelki wypadek jeszcze jeden kontrolny krąg, przejechał koło swojej ulubionej restauracyjki „Sprošny Gottlieb” i tu, mając trochę czasu, przystanął.

Jeśli znów się przyczepią, to znaczy, że coś się stało. Ale co się mogło stać? Trzeba teraz spokojnie usiąść, wypić mały koniak i jeszcze się zastanowić: cóż by się mogło stać? Bardzo lubił tę starą knajpkę. Nazywała się „Sprošny Gottlieb”, bo gospodarz witając gości mówił wszystkim, niezależnie od rangi, stanowiska i miejsca w społeczeństwie:

- Po co tu przylałeś, ty tłusty baranie? I w dodatku jeszcze babę z sobą przyprowadził! Niczego sobie... Beczka od piwa. Od razu widać, że żona! A przecież wczoraj byłeś tu z takim ładniutkim stworzeniem...

Po kilku wizytach w tym lokalu Stirlitz zorientował się, że najbardziej szanowanych klientów Sprošny Gottlieb obrzucał najbardziej wyszukаныmi przekleństwami - w ten właśnie przewrotny sposób podkreślał swój szczególny szacunek.

Dziś Gottlieb przywitał Stirlitza z niejakim roztargnieniem:

- Chodź i złop piwo, ty pało...

Stirlitz uściśnął mu rękę, wsuwając dwie marki, i usiadł przy dębowym stoliku za kolumną, na której były wypisane przekleństwa meklemburskich rybaków, słone i cyniczne.

Co się mogło stać? rozmyślał cedząc koniak. Na kontakt nie czekam, z tej strony więc nie może być wpadki. Stare sprawy? Nie mają czasu, żeby uporać się z nowymi - przecież



sabotaż narasta, takiego sabotażu przecież w Niemczech jeszcze nie było... Erwin? Stop! A jeśli oni znaleźli nadajnik?

Wyjął papierosa, ale ponieważ bardzo chciało mu się palić - nie zapalił. Ogarnęła go chęć, aby natychmiast pojechać ku ruinom domu Erwina i Kät. Popelniłem podstawowy błąd, myślał. Powinienem był sam osobiście sprawdzić wszystkie szpitale, a nuż oni są ranni? Nie trzeba było wierzyć telefonom. Zajmę się tym zaraz po rozmowie z Bormannem... Chyba jednak przyjdzie na spotkanie. Bonzowie Trzeciej Rzeszy stają się demokratyczni, gdy się ich przyciska do muru. Kiedy im się dobrze powodzi, są niedostępni, a gdy czują koniec, robią się tchórzliwi, dobrzy i niezwykle demokratyczni.

Powinienem teraz odłożyć na bok wszystkie inne sprawy, nawet Erwina i Kät. Główny cel to dogadanie się z tym zbrodniarzem. Wyszedł od Gottlieba, wsiadł do samochodu i wolno pojechał w kierunku Invalidenstrasse, do Muzeum Przyrodniczego. Do pobliskiego hotelu „Neues Thor” powinien niebawem przyjechać Martin Bormann. Stirlitz jechał powoli, często spoglądając w lusterko, czarnego wanderera nie było widać.

Może Schellenberg postanowił mnie sprawdzić przed operacją ze Schlagiem? pomyślał. To by było całkiem logiczne. A może po prostu zawożą mnie nerwy?

Znowu spojrzął w lusterko, ulica była pusta. Po trotuarach - wykorzystując przerwę między nalotami - uganiały się ze śmiechem dzieci na wrotkach. Pod odrapanymi ścianami domów stały długie kolejki: widocznie ludzie czekali na mięso. Stirlitz zaparkował samochód koło kliniki siostr szarytek i przeszedłszy przez duży park szpitalny, doszedł do muzeum na Invalidenstrasse. Było tu cicho i spokojnie: ani jednego zbędnego człowieka na ulicy. Wybrał specjalnie to miejsce - widać stąd było wszystko jak na dłoni.

Mogli umieścić swoich ludzi w hotelu. Jeśli Bormann doniósł o tej sprawie Himmlerowi, to tak właśnie zrobią. A jeśli nie doniósł, ludzie Bormanna będą się wałęsali tutaj, udając pracowników naukowych...

Stirlitz był dzisiaj po cywilnemu, włożył też przyciemnione okulary w grubej rogowej oprawie i wcisnął nisko na czoło beret, tak że z daleka trudno było go poznać. W westybulu stał olbrzymi malachit z Uralu i ametyst z Brazylii. Stirlitz zawsze zatrzymywał się na dłużej obok ametystu, ale prawdziwy podziw wzbudzał w nim uralski kolorowy kamień. Powoli przeszedł przez olbrzymią salę o wybitych szybach, gdzie znajdował się szkielet osobliwego dinozaura. Widać było stąd przestrzeń przed muzeum i za hotelem. Lustracja wypadła zadowolająco - wszędzie było spokojnie i cicho, nawet zbyt spokojnie i cicho. Stirlitz był sam w muzeum i teraz działało to na jego niekorzyść. Zatrzymał się przed interesującym eksponatem: trzynaście stadiów rozwoju czaszki. Czaszka nr 8 - pawian, nr 9 - szympan, nr 13 - człowiek.

Czemu właśnie numer trzynasty to człowiek? Wszystko się obraca przeciwko człowiekowi, nawet cyfry. Uśmiechnął się do siebie. Czemu nie numer dwunasty albo czternasty. A tu masz - właśnie trzynasty. Wszystkie małpy, myślał zatrzymując się koło goryla Bobby, oznaczone są korzystniejszymi numerami.

Na tabliczce widniał napis: *Goryl Bobby przywieziony do Berlina 29 marca 1928 r. w wieku trzech lat. Zmarł 1 sierpnia 1935 r. 1,72 metra wzrostu i 266 kilogramów wagi.*

Wcale na to nie wygląda, myślał Stirlitz. Właściwie nie jest nawet taki tłusty. Jestem wyższy od niego, a ważę siedemdziesiąt dwa.

Odszedł od eksponatu, jak gdyby chcąc obejrzeć go z daleka, znalazł się koło dużego okna, z którego widać było przeciwległy trotuar Invalidenstrasse. Spojrzał na zegarek. Do spotkania pozostało dziesięć minut.

Właśnie teraz według jego legendy powinien tu przyjść agent Klaus. Dziś rano przez sekretariat posłał pod jego adresem szyfrówkę. Wszyscy wiedzieli, że ma zwyczaj spotykać się z agentami w muzeach. Wzywając Klause chciał osiągnąć dwa cele: główny - alibi na wypadek, jeśli Bormann zawiadomił o jego liście Himmiera, w wyniku czego mógłby on wydać polecenie przeczesania całej dzielnicy i wszystkich budynków koło „Neues Thor”, a po drugie - raz jeszcze potwierdzić, chociażby pośrednio, swe alibi w sprawie zaginionego Klause.

Stirlitz przeszedł do następnej sali: na Invalidenstrasse było nadal pusto. Zatrzymał się obok rzadkiego eksponatu znalezionej w lasach niemieckich w osiemnastym wieku. Z kawałka drzewa sterczały rogi jelenia i część rozbitej czaszki: widocznie silne zwierzę chybiło w czasie godowych walk i nie trafiło w rywala, lecz w pień... Usłyszał nagle szum wielu głosów i kroki, liczne głośnie kroki. Obława, pomyślał. Ale potem dobiegły go dziecięce głosy i odwrócił się: nauczycielka w starych, zdeptanych, wyczyszczonych do połysku męskich butach przyprowadziła uczniów chyba z szóstej klasy na lekcję botaniki.. Dzieci patrzyły na eksponaty oczarowane, nie hałasowały, i ich przyspieszone szepty wydawały się dlatego jakby pełne lęku.

Stirlitz patrzył na dzieci. Oczy ich były pozbawione dziecięcej figlarności. Słuchały nauczycielki w skupieniu, bardzo po dorosłemu.

Jakież przekleństwo ciąży nad tym narodem? - pomyślał Stirlitz. Jak to się mogło zdarzyć, że szaleńcze idee skazały również dzieci na tę okropność? Dlaczego hitlerowcom, ukrytym w bunkrach zaopatrzonych w zapasy czekolady, sardynek i sera - dlaczego udało im się stworzyć mur z kruchych ciał tych malców? I co najbardziej przerażające - jak wykształcono w tych dzieciach ślełą wiarę, że najwyższy sens życia to śmierć za führera?

Wyszedł przez zapasowe drzwi pięć minut po pierwszej. Koło hotelu nie było nikogo. Doszedł podwórzami do Sprewy, chwilę jeszcze krążył, aż wreszcie wsiadł do samochodu i wrócił do swej siedziby SD. W drodze powrotnej nie zauważył, by go ktoś śledził.

Coś mi tu nie gra, rozmyślał. Zdarzyło się coś dziwnego. Jeśliby Bormann czekał, nie mógłbym go nie zauważyć.

...A Bormann tymczasem nie mógł opuścić bunkra: führer wygłaszał przemówienie, w sali było wiele ludzi, a on stał z tyłu, trochę na lewo od Führera. Nie mógł wyjść w czasie przemówienia. Byłoby to szaleństwem. Chciał wyjść, postanowił zobaczyć człowieka, który pisał do niego. Bunkier mógł jednak opuścić dopiero o godzinie trzeciej.

Jak go znaleźć, myślał Bormann. Niczym nie ryzykuję spotykając się z nim, zaryzykuję natomiast, jeśli się z nim nie spotkam.

*D-8 - DO MÜLLERA*

*Ścisłe tajne. Napisane w jednym egz.*

*Samochód marki „Horch”, znak rejestracyjny WKR 821, oderwał się od obserwacji w rejonie Weteranenstrasse. Według wszelkich danych kierowca zauważył samochód obserwacji. Pamiętając o pańskich wytycznych, nie ścigaliśmy go, chociaż dzięki wzmocnionemu silnikowi mieliśmy taką możliwość. Przekazawszy służbie N-2 informację o kierunku, w którym pojechał horch WKR 821, wróciliśmy do bazy.*

*D-8*

*W-192 - DO MÜLLERA*

*Ścisłe tajne. Napisane w jednym egz.*

*Przejąwszy obserwację samochodu marki „Horch”, numer rejestracyjny WKR 821, moi współpracownicy ustalili, że właściciel tego samochodu o godzinie 12.27 wszedł do gmachu Muzeum Przyrodniczego. Ponieważ byliśmy uprzedzeni o wysokim, zawodowym, przygotowaniu śledzonego obiektu, podjąłem decyzję, aby nie prowadzić go po muzeum za pomocą jednego lub dwóch „zwiedzających”. Mój agent „Ilza” otrzymała zadanie przyprowadzenia swych uczniów ze szkoły na lekcję w salach muzeum. Dane pochodzące z obserwacji „Ilzy” pozwalają z pełnym przekonaniem stwierdzić, że „obiekt” nie kontaktował się z nikim. Graficzny plan ekspozycji, koło których „obiekt” zatrzymywał się dłużej,*

załączam,. „Obiekt” opuścił pomieszczenie przez zapasowe drzwi, z których korzystają pracownicy muzeum, o godzinie 13.05.

W-192

27.2.1945 (godzina 15 minut 00)

Müller schował raporty do teczki i podniósł słuchawkę telefonu. - Tu Müller - powiedział. - Słucham.

- Towarzysza Müllera pozdrawia towarzyszc Schellenberg - zażartował kierownik wywiadu politycznego. - A może urządza pana bardziej zwrot mister?

- Najbardziej urządza mnie zwrot Müller - powiedział szef gestapo. - Jednoznaczny, skromny i w dobrym guście. Słucham pana, przyjacielu.

Schellenberg zakrył słuchawkę dłonią i popatrzył na Stirlitz. Ten powiedział.

- To jedyny sposób: od razu za łeb! W przeciwnym razie wywinie się jak lis...

- Przyjacielu - powiedział Schellenberg - przyszedł do mnie Stirlitz, może go pan pamięta... Tak? Cieszę się. Jest trochę w kłopotcie: albo śledzą go przestępcy, a on przecież mieszka sobie samotnie w lesie, albo interesują się nim pańscy ludzie. Czy pomogłby pan nam w wyjaśnieniu tej sprawy?

- Jakiej marki jest jego samochód?

- Jakiej marki jest pana samochód? - znowu zakrywając dłonią słuchawkę spytał Schellenberg.

- Horch.

- Niech pan nie zakrywa dłonią słuchawki - powiedział Müller. - Daj pan słuchawkę Stirlitzowi.

- Pan jest jasnowidzem? - spytał Schellenberg. Stirlitz wziął słuchawkę i powiedział.

- Heil Hitler!

- Dzień dobry, przyjacielu - odrzekł Müller. - Numer rejestracyjny pana samochodu to prawdopodobnie WKR 821?

- Właśnie, obergruppenführerze.

- W którym miejscu uczepili się pana? Na Kuriurstendamm?

- Nie, na Friedrichstrasse.

- Oderwał się pan od nich na Weteranenstrasse?

- Tak jest.

Müller zaśmiał się.

- Karki im poukręcą - też mi robota! Niech się pan nie denerwuje, Stirlitz, to nie przestępcy jechali za panem. Może pan mieszkać spokojnie w tym swoim lesie. To byli nasi ludzie. Śledzą horcha podobnego do pańskiego... Jakiegoś gościa z Ameryki Południowej. Proszę robić to, co pan robi, ale jeśli mi zameldują, że odwiedza pan „Zigeunerkeller” na Kudam, nie wstawię się za panem...

„Zigeunerkeller” - „Cygańska piwnica” - to mała knajpa., do której wojskowym i członkom partii wstęp był wzbroniony.

- A jeśli muszę tam bywać w sprawach służbowych? - zapytał Stirlitz.

- Wszystko jedno. Jeśli chce pan naznaczać spotkania swym ludziom w kloakach, lepiej niech pan chodzi do „Mexico”.

To była melina Müllera, pracował w niej kontrwywiad. Stirlitz wiedział o tym od Schellenberga. Tamten nie miał oczywiście prawa mówić o tym, ale wydano specjalny okólnik zabraniający odwiedzać „Mexico-bar” członkom partii i wojskowym. Tak więc naiwni uważali, że są tutaj całkowicie bezpieczni, a tymczasem każdy stolik był obserwowany przez gestapo.

- W takim razie dziękuję - odpowiedział Stirlitz. - Będę naznaczał spotkania swym ludziom właśnie w „Mexico”. Ale jeśli się do mnie przyczepią, zwrócę się o pomoc do pana.

- Proszę przychodzić. Zawsze rad będę pana widzieć. Heil Hitler!

Stirlitz powrócił do siebie z mieszanymi uczuciami: ogólnie biorąc, uwierzył Müllerowi dlatego, że ten zagrał w otwarte karty. Ale czy nie za bardzo w otwarte? Poczucie miary to najważniejsza sprawa w każdej pracy. W wywiadzie szczególnie. Czasami nawet zbytnia podejrzliwość wydawała się Stirlitzowi bardziej niebezpieczna niż zbytnia szczerłość.

*WERNER DO MÜLLERA*

*Ścisłe tajne. Napisane w jednym egz.*

*Dziś o godzinie 19.42 „obiekt” zamówił służbowy samochód WKN 441. „Obiekt” polecił szoferowi, aby odwiózł go do stacji metra Mittelstrasse. Tutaj opuścił samochód. Próba odnalezienia „obiekta” na innych stacjach okazała się daremna*

*Werner*

Müller schował to doniesienie do swej sfatygowanej teczki, w której znajdowały się najbardziej tajne i ważne sprawy, i powrócił do studiowania materiałów w sprawie Stirlitza.

Podkreślił czerwonym ołówkiem to miejsce, w którym donoszono, że cały swój wolny czas „obiekt” lubi spędzać w muzeach, naznaczając tam spotkania swym agentom.

## MIARA ZAUFANIA

Obergruppenführer Wolf przekazał pismo osobiście pilotowi Himmlera.

- Jeśli pana zestrzelą - powiedział swym miękkim głosem - wojna jest wojną i wszystko się może zdarzyć, jest pan zobowiązany spalić ten list, zanim odepnie pan spadochron.

- Nie będę mógł spalić pisma przed odpięciem spadochronu - odpowiedział pedantyczny pilot - bo będzie mnie ciągnęło do ziemi. Ale pierwszą rzeczą, jaką zrobię odpiąwszy spadochron, będzie spalenie listu.

- Dobrze. - Wolf uśmiechnął się. - Przyjmijmy taki wariant. Jest pan również zobowiązany spalić to pismo, nawet gdyby zestrzelono pana nad Rzeszą.

Karl Wolf miał powody do obaw: gdyby list trafił do rąk kogokolwiek poza Himmlerem, los Wolfa byłby przesądzony.

Po siedmiu godzinach Plimmler otworzył list.

*Reichsführerze!*

*Od razu po powrocie do Włoch zacząłem opracowywać operację dotarcia do Dullesa: nie w aspekcie organizacyjnym, ale raczej ideologicznym. Dane, którymi tu dysponowałem, pozwoliły mi wyciągnąć zasadniczy wniosek: sojuszników, podobnie jak i nas, niepokoi realna perspektywa utworzenia w północnych Włoszech rządu komunistycznego. Nawet jeśli taki rząd będzie miał znaczenie wyłącznie symboliczne, Moskwa zyska bezpośredni dostęp do La Manche - poprzez komunistów Tito, przy pomocy przywódców komunistów włoskich, którzy mają bezpośrednie dojście do Maurice Thoreza. W ten sposób powstanie niebezpieczeństwo utworzenia „pasa bolszewizmu” od Belgradu poprzez Genuę do Cannes i Paryża.*

*Moimi pomocnikami w tej operacji są: oficer SS Eugen Dolmann (matka jego jest Włoszką mającą bardzo szerokie kontakty wśród arystokracji nastawionej proniemiecko) i Zimmer. Uznałem za właściwe, aby Dolmann i Zimmer poprzez włoskie kanały poinformowali Dullesa, że sens ewentualnych rokowań polega na tym, aby Zachód mógł rozciągnąć swą kontrolę nad całym północnymi Włochami, zanim panami położenia okażą się komuniści. Na prośbę Dolmanna i Zimmera największy włoski bankier, baron Parilli, powiązany zarówno z nami, jak i z Amerykanami, spotkał się z szefem wywiadu szwajcarskiego Weiblem.*

*Nazajutrz po rozmowie z Parillim Weibel zaprosił na obiad Allana Dullesa i jego pomocnika Hawernica. „Mam przyjaciół w Niemczech, którzy wysunęli interesujące*

*propozycje - powiedział - jeśli panowie chcecie, mogę was poznać”. Dulles odpowiedział jednak, że chciałby się spotkać z przyjaciółmi Weibla dopiero po tym, gdy nawiąże z nimi kontakt jego pomocnik.*

*Między Parillim a Hawernicem odbyła się rozmowa. W czasie tej rozmowy Parilli zadał pytanie: „Czy jest pan gotów spotkać się ze standartenführerem SS Dolmannem w celu konkretnego omówienia problemu włoskiego i szeregu, innych spraw?” Hawernic zgodził się.*

*Wyraziłem zgodę na wyjazd Dolmanna do Szwajcarii. Spotkał się on tu z Husmannem, Blumem i Parillim. Gdy przybyli do Lugano, do restauracji „Bianca”, Dolmann, jak to było ustalone, oświadczył: „Pragniemy rokowań z sojusznikami zachodnimi w tym celu, aby storpedować plan Moskwy Stworzenia we Włoszech północnych rządu komunistycznego”.*

*Husmann odpowiedział, że jedyne możliwe rokowania to rokowania w sprawie bezwarunkowej kapitulacji.*

*„Nie mogę zgodzić się na zdradę - powiedział Dolmann. - I nikt w Niemczech na to się nie zgodzi”.*

*Husmann upierał się przy koncepcji bezwarunkowej kapitulacji, ale nie kończył rozmowy, mimo zdecydowanego negatywnego stanowiska Dolmanna, stanowiska zajętego zgodnie z tymi zaleceniami, które mu poprzednio daliśmy.*

*„Domagam się bezpośrednich rozmów z przedstawicielem Dullesa - kontynuował Dolmann - żeby poznać punkt widzenia jego szefa”.*

*Przedstawiciel Dullesa, Paul Blum, przekazał Dolmannowi nazwiska dwóch przywódców włoskiego ruchu oporu, Farruci Parri i Usmijani. Ludzie ci znajdują się w naszym więzieniu. Nie są oni komunistami i to pozwoliło nam dojść do przekonania, że Amerykanie, podobnie jak my, boją się niebezpieczeństwa komunistycznego we Włoszech. Potrzebni są im bohaterowie ruchu oporu, niekomuniści, którzy potrafiliby we właściwym momencie stanąć na czele rządu wiernego idealom Zachodu. „Jeśli ludzie ci zostaną zwolnieni i przewiezieni do Szwajcarii, będziemy mogli kontynuować rozmowy”. Gdy Dolmann powrócił, zrozumiałem, że pertraktacje się rozpoczęły, albowiem niczym innym nie można wytłumaczyć prośby zwolnienia dwóch Włochów. Dolmana wyraził przypuszczenie, że Dulles oczekuje mojego przyjazdu do Szwajcarii. Udałem się do feldmarszałka Kesselringa. W wyniku pięciogodzinnej rozmowy doszedłem do wniosku, że feldmarszałek zgodzi się na honorowe rokowania, chociaż żadnych bezpośrednich obietnic Kesselring nie dawał, prawdopodobnie unikając szczerzej rozmowy z przedstawicielem służby bezpieczeństwa.*

*Nazajutrz Parilli odwiedził mnie w konspiracyjnym mieszkaniu nad jeziorem Garda i przekazał, z polecenia Dullesa, zaproszenie na naradę w Zurychu. Z tego powodu pojutrze*



*wyjeżdżam do Szwajcarii. Gdyby to była pułapka, wysuną oficjalną wersję o porwaniu. Natomiast jeśli jest to początek rokowań, przekażę informacje w następnym liście, który wyślę natychmiast po powrocie do sztabu.*

*Heil Hitler*

*Pański Karl Wolf*

Pergamon zbombardowali Anglicy, ale profesor Pleischner nie ewakuował się wraz z innymi pracownikami naukowymi. Wykołatał dla siebie pozwolenie na pozostanie w Berlinie i został kustoszem tej części gmachu, która ocalała.

Właśnie do niego pojechał obecnie Stirlitz.

Pleischner bardzo się ucieszył na jego widok, zaciągnął go do siebie do piwnicy i postawił na piecyku elektryczną kawiarkę.

- Pan tutaj nie marznie?

- Marznę, drętwieję z zimna. Ale co robić? Kto teraz zresztą nie marznie? - odpowiedział Pleischner.

- W bunkrze Führera nie żałują opału.

- To zrozumiałe... Wódz powinien mieć ciepło. Czy można porównać nasze troski z jego obawami i troskami? Każdy z nas myśli o sobie, a on zabiega o wszystkich Niemców.

Stirlitz obrzucił uważnym spojrzeniem piwnicę: przewiewnika nie było, aparatury podsłuchowej nie można było tu umieścić. Zaciągnąwszy się mocnym papierosem powiedział:

- Niech pan da spokój, profesorze... Rozbestwiony maniak podstawił miliony ludzi pod bomby, a sam, lajdak, siedzi w bezpiecznym miejscu i ogląda filmy wspólnie z całą swoją bandą...

Twarz Pleischnera zrobiła się biała jak płótno i Stirlitz zaczął żałować, że powiedział to wszystko, że w ogóle przyszedł do nieszczęsnego starucha ze swoją sprawą.

Chociaż właściwie dlaczego to ma być moja sprawa? pomyślał. Przede wszystkim to sprawa ich, Niemców, a więc i jego.

- Czekam - powiedział Stirlitz. Niech mi pan powie w końcu... Nie zgadza się pan ze mną?

Profesor milczał.

- Sprawa przedstawia się tak - ciągnął Stirlitz. - Brat pana, a mój nauczyciel, pomagał mi. Pan nie interesował się nigdy moja pracą; jestem standartenführerem SS i pracuję w wywiadzie.

Profesor podniósł dłonie, jakby chciał osłonić twarz przed uderzeniem.

- Nie - powiedział. - Nie, po stokroć nie! Mój brat nigdy nie był i nie mógł być prowokatorem! Nie! - podniósł głos. - Nie! Nie wierzę panu!

- On nie był prowokatorem - odpowiedział Stirlitz. - Ale ja rzeczywiście pracuję w wywiadzie. W radzieckim wywiadzie...

Podał Pleischnerowi list. Był to przedśmiertny list jego brata.

*Przyjacielu. Dziękuję Ci za wszystko. Wiele się od Ciebie nauczyłem. Nauczyłem się, jak trzeba kochać i w imię tej miłości nienawidzić tych, którzy gotują narodowi niemieckiemu niewolę.*

*Pleischner.*

- Napisał tak obawiając się gestapo - wyjaśnił Stirlitz biorąc list. - Niewolę narodowi niemieckiemu, jak pan sam rozumie, gotują hordy bolszewików i armada Amerykanów. Właśnie bolszewików i Amerykanów powinniśmy, jak uczy pański brat, nienawidzić. Prawda?

Pleischner długo milczał, wcisnąwszy się w olbrzymi fotel.

- Podziwiam pana - powiedział w końcu - i rozumiem... Może pan na mnie w pełni liczyć. Ale wyznam panu od razu: gdy uderzą mnie batem po plecach, powiem wszystko.

- Wiem - powiedział Stirlitz. - Co pan woli: błyskawiczny śmierć od trucizny czy tortury w gestapo?

- Jeśli nie ma trzeciego wyjścia - Pleischner uśmiechnął się nieoczekiwanie swym bezbronnym uśmiechem - naturalnie wolę truciznę.

- No to narobimy im bigosu. Straszego bigosu.

- Co mam teraz zrobić? - zapytał Pleischner.

- Nic. Żyć i być gotowym w każdej minucie wykonać to, co okaże się niezbędne.

*7.3.1945 (godzina 22 minut 03)*

- Dobry wieczór - powiedział Stirlitz, szybko zamykając za sobą drzwi. Proszę mi wybaczyć, że tak późno. Pastor już spał?

- Dobry wieczór. Spałem, ale proszę się tym nie przejmować. Proszę wejść, zaraz zapalę świece. Niech pan siada.

- Dziękuję. Gdzie się mam usadowić?

- Gdzie panu wygodniej. Ciepłej jest tutaj, przy piecu. A może tu?

- Przeziębiam się od razu, gdy wychodzę z ciepła na chłód. Lepsza jest zawsze jednakowa, stała temperatura. Proszę pana, kto mieszkał u pana miesiąc temu?

- Pewien człowiek.

- Kto to taki ?

- Nie wiem.

- Nie interesował się pan, kim on był?

- Nie. Prosił o schronienie, czuł się źle, nie mogłem mu odmówić.

- To dobrze, że pan kłamie wobec mnie z takim przekonaniem. Tamten mówił panu, że jest marksistą, i dyskutował pan z nim jak z komunistą. Otóż nie był komunistą. Nigdy nim nie był. To mój agent, to prowokator z gestapo.

- Więc to tak... Rozmawiałem z nim jak z człowiekiem, nieważne, kim był: komunistą czy pańskim agentem. Prosił o ratunek. Nie mogłem odmówić.

- Nie mógł mu pan odmówić - powtórzył Stirlitz - i dla pana nie jest ważne, czy był komunistą, czy agentem gestapo... A jeśli z tego powodu, że dla pana ważny jest „po prostu człowiek”, abstrakcyjny człowiek, konkretni ludzie trafiają na szubienicę - ma to dla pana jakieś znaczenie?!

- Tak, to ma dla mnie znaczenie.

- A jeśli, wyrażając się precyzyjnie, na szubienicę trafia pierwszy pańska siostra i jej dzieci - będzie to dla pana miało znaczenie?

- Przecież to zbrodnia!

- W stwierdzeniu, że dla pana nie jest ważne, kto stoi przed panem: komunistą czy agent gestapo, mieści się jeszcze większa zbrodnia - odpowiedział Stirlitz siadając. - Proszę, niech pan spocznie. I proszę mnie posłuchać. Pańska rozmowa z moim agentem została nagrana na taśmie. Nie, to nie ja robiłem, to wszystko zrobił on sam. Nie wiem, co się z nim stało: przysłał dziwny list. Idźmy dalej: bez taśmy, którą zniszczyłem, nikt mu nie uwierzy. W ogóle nie będą z nim zresztą rozmawiać, bo jest moim agentem. Co się zaś tyczy pańskiej siostry, powinna zostać aresztowana, gdy tylko przekroczy pan granicę Szwajcarii.

- Ale ja nie zamierzam przekroczyć tej granicy.

- Przekroczy pan ją, a ja zatroszczę się o to, żeby pańskiej siostrze nic się nie stało.

- Pan jest podobny do wilkołaka przybierającego różne postacie. Jak mogę panu wierzyć, skoro ma pan tyle twarzy?

- Nic innego panu nie pozostaje. I pojedzie pan do Szwajcarii chociażby dlatego, żeby uratować życie swych bliskich. Prawda?

- Tak. Pojadę. Aby uratować im życie.

- Dlaczego nie pyta pan o to, co będzie pan musiał robić w Szwajcarii? Odmówi pan wyjazdu, jeśli na przykład polecę panu wysadzić tam kościół, prawda?

- Pan jest mądrym człowiekiem. Na pewno ocenił pan dokładnie, na co mnie stać, a co jest ponad moje siły.

- Racja. Czy żal panu Niemiec?

- Żal jest mi Niemców.

- Dobrze. Nie wydaje się panu, że niezwłoczne zawarcie pokoju to jedyny ratunek dla Niemców?

- To ratunek dla Niemiec...

- Sofistyka, proszę pana, sofistyka. To ratunek dla Niemców, dla Niemiec, dla ludzkości. My się umierać nie boimy, myśmy swoje przeżyli, a poza tym jesteśmy samotnymi starzejącymi się mężczyznami. Ale dzieci...

- Jestem do pana dyspozycji.

- Kogo ze swoich kolegów z ruchu pacyfistów potrafi pan odnaleźć w Szwajcarii?

- Dyktatura potrzebuje pacyfistów?

- Nie, dyktatura nie potrzebuje pacyfistów. Pacyfiści są potrzebni tym, którzy trzeźwo oceniają sytuację i rozumieją, że każdy dzień wojny to nowe ofiary.

- Hitler zgodzi się na rokowania?

- Hitler na rokowania się nie zgodzi. Na rokowania zgodzą się inni ludzie. Ale o tym za wcześnie jeszcze mówić, Najpierw muszę mieć gwarancję, że nawiąże pan kontakt z ludźmi, którzy reprezentują odpowiednią pozycję i mają szerokie możliwości. Potrzebni są ludzie, którzy pomogą panu nawiązać kontakt z przedstawicielami mocarstw zachodnich. Kto mógłby panu w tym pomóc?

Pastor wzruszył ramionami.

- Osoba prezydenta republiki szwajcarskiej panu wystarczy?

- Nie, to byłoby zbyt oficjalne. Mam na myśli dostojników Kościoła, którzy coś znaczą.

- Wszyscy dostojnicy Kościoła coś znaczą - zaczął pastor, ale zobaczywszy, że twarz Stirlitza drgnęła, szybko dodał: - Mam tam wielu przyjaciół. Byłoby naiwnością z mojej strony obiecywać cokolwiek, ale myślę, że uda mi się przedyskutować tę sprawę z poważnymi ludźmi. Na przykład Bruning... Szanuję go... Zapytają mnie jednak o to, w czym imieniu występuję.

- W imieniu Niemców - odpowiedział krótko Stirlitz. - Jeśli zapytają pana, kto konkretnie zamierza prowadzić rokowania, pan spyta: A kto konkretnie będzie je prowadził ze strony Zachodu? Przekaze pan odpowiedź kanałem, który panu dam.

- W jaki sposób? Nie rozumiem.

Stirlitz uśmiechnął się i rzekł:

- Wszystkie szczegóły omówimy. Na razie ważne jest dla nas obopólne zrozumienie.

- A gdzie gwarancja, że siostra i jej dzieci nie trafią na szubienicę?

- Zwolniłem pana z więzienia?

- Tak.

- Jak pan sądzi, czy to było łatwe?

- Myślę, że nie.

- Jak pan sądzi, mając w ręku nagranie pańskiej rozmowy z prowokatorem, mógłbym posłać pana do komory gazowej?

- Niewątpliwie.

- Dałem więc panu odpowiedź. Siostra pana będzie bezpieczna. Oczywiście tak długo, jak długo będzie pan robił to, co nakazuje panu obowiązek człowieka troszczącego się o los Niemców.

- Pan mi grozi?

- Po prostu uprzedzam pana. Jeśli zachowa się pan nie tak, jak pan powinien, nie będę mógł nic zrobić, by ocalić pana i pańską siostrę.

- Kiedy to wszystko się zacznie?

- Niebawem. I jeszcze ostatnia sprawa: jeśliby ktoś zapytał pana o naszą rozmowę...

- Będę milczał.

- A jeśli będą pana torturować?

- Będę milczał.

- Chciałbym panu wierzyć.

- Kto z nas w tej chwili bardziej ryzykuje?

- A jak się panu wydaje?

- Wydaje mi się, że bardziej ryzykuje pan.

- Rzeczywiście.

- Czy pan szczerze pragnie wywalczyć dla Niemców pokój?

- Tak.

- Czy zapewnienie ludzkości pokoju od dawna jest pana celem?

- Jakby to panu powiedzieć... - odrzekł Stirlitz. - Trudno mi mówić o tym zupełnie szczerze... A im uczciwiej panu odpowiadam, za tym większego kłamcę może mnie pan uważać.

- Mówiąc konkretnie, na czym będzie polegała moja misja? Przecież nie umiem wykradać dokumentów ani strzelać z za węgla.

- Po pierwsze - Stirlitz uśmiechnął się - tego nie trzeba się długo uczyć. A po drugie, ja przecież nie wymagam od pana umiejętności strzelania z za węgla. Powie pan swoim ludziom, że Himmler za pośrednictwem takiego to a takiego swojego przedstawiciela - nazwisko podam panu później - prowokuje Zachód. Wyjaśni pan, że taki to a taki człowiek Himmlera nie może

pragnąć pokoju, udowodni pan swoim przyjaciółom, że ten człowiek jest prowokatorem pozbawionym skrupułów i zdolnym do największej podłości. Powie pan im, że jakiegokolwiek rokowania z takim osobnikiem są poniżej godności każdego szanującego się człowieka. Jeszcze raz powtórzy im pan, że to głupota rozpocząć rokowania z SS, z Himmlerem, że należy je prowadzić z kim innym, i poda im pan nazwiska poważnych i mądrych ludzi. Ale o tych szczegółach innym razem. Przed odejściem zapytał:

- Oprócz służącej w domu nie ma nikogo?
- Służącej też nie ma, wyjechała do rodziny na wieś.
- Można obejrzeć mieszkanie?
- Proszę...

Stirlitz wszedł na pierwsze piętro i wyjrzał zza zasłony na ulicę. Główna aleja małańkiego miasteczka była stąd doskonale widoczna. Nie było na niej nikogo.

W czterdzieści minut później znalazł się w barze „Mexico”. Wyzначzył tu spotkanie swojemu agentowi, który zajmował się problemami ochrony tajemnicy „broni odwetu”. Stirlitz chciał ucieszyć szefa gestapo - niech sobie jutro posłucha rozmowy; będzie to dobra rozmowa mądrego hitlerowskiego wywiadowcy z mądrym hitlerowskim uczonym. Po aresztowaniu przez gestapowców specjalisty z zakresu fizyki atomowej Rungego Stirlitz nigdy nie zapomniał o tym, aby od czasu do czasu ubezpieczyć się. I to nie było jak, lecz dokładnie i wszechstronnie.

*8.3.1945 (godzina 09 minut 32)*

- Dzień dobry, pani Kinn. Jak wyglądają nasze sprawy? Jak się czuje pani pociecha?
- Dziękuję panu. Zaczął krzyczeć i to właśnie mnie uspokoiło. Bałam się, że z powodu mojej kontuzji dziecko ma coś z głosem. Lekarze obejrzeli go, zdaje się, że wszystko w porządku.
- Chwała Bogu! Biedne dzieci... Ledwie pojawiły się na tym świecie i już muszą tak cierpieć. A ja przyniosłem pani nowiny.
- Dobrze?
- W naszych czasach wszystkie nowiny są złe, ale dla pani będą raczej dobre.
- Dziękuję - odpowiedziała Kät. - Nigdy nie zapomnę o pańskiej dobroci.
- Proszę mi powiedzieć, czy dokuczają pani bóle głowy?
- Już mniej. W każdym razie nie mam już zawrotów głowy i tych okropnych mdłości.
- To wygląda na wstrząs mózgu.
- Chyba tak. Gdyby nie moja grzywa włosów, już by nas nie było. Włosy zamortyzowały uderzenie tej stalowej belki.

- Ma pani piękne włosy. Zachwycam się nimi w czasie pierwszej wizyty. Używała pani jakichś specjalnych szamponów?

- Tak. Wujek przysyłał ze Szwecji irańską chnę i dobre amerykańskie szampony.

Kät nie miała żadnych wątpliwości. Przerzuciła w pamięci pytania, które jej zadawał przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego. Wersja wujka ze Sztokholmu była pewna i sprawdzona. Wymyśliła kilka wersji dotyczących walizki. Wiedziała, że będzie to najtrudniejsze pytanie, na które odpowiedzi postara się dzisiaj uniknąć; uda bardzo wyczerpaną.

Postanowiła obejrzeć „agenta ubezpieczeniowego” przy robocie. Szwedzki wujek - to najłatwiejsze. Niech to stanie się egzaminem dla nich obojga. Najważniejsze to zacząć, a potem zobaczymy, jak on się zachowa.

- Przy sposobności, jeśli chodzi o pani wujka. Czy ma on w Sztokholmie telefon?

- Mąż nigdy do niego nie dzwonił.

Nie wierzyła jeszcze, że Erwin nie żyje. Nie mogła po prostu w to uwierzyć. Po pierwszym szoku, gdy płakała, stara pielęgniarka powiedziała: „Nie trzeba, miła. Z moim synem też tak było. Też myślałam, że zginął, a on leżał w szpitalu. A teraz skacze bez nogi, ale w domu, do wojska go nie wzięli. To znaczy, że będzie żył”.

Kät chciała od razu, nie zwlekając, wysłać karteczkę do Stirlitza z prośbą, aby dowiedział się, co z Erwinem. Uświadomiła sobie jednak, że tego w żadnym wypadku nie wolno jej zrobić, chociaż kontakt ze Stirlitzem będzie konieczny. Dlatego mimo bólu głowy nie przestała myśleć, szukać najrozsądniejszego sposobu skontaktowania się z nim. Stirlitz na pewno odnajdzie Erwina w szpitalu i wszystko skończy się dobrze. Mały będzie sobie spacerował z Erwinem po Moskwie podczas ciepłego babiego lata, ze złotymi pajęczynkami w powietrzu, i brzozy będą żółte, wiotkie i wysokie...

- Firma - ciągnął mężczyzna - pomoże pani skontaktować się telefonicznie z wujkiem, gdy tylko lekarze pozwolą pani wstać. Wie pani, ci Szwedzi-neutralowie są bardzo bogaci i obowiązkiem wujka jest pomóc pani. Da mu pani posłuchać przez telefon, jak krzyczy mały, i to go powinno wzruszyć. A teraz... Ustaliłem z kierownictwem naszego towarzystwa, że w tych dniach wydamy pani pierwszą zapomogę, nie czekając na określenie ogólnej sumy pani ubezpieczenia. Ale potrzebne są do tego nazwiska dwóch poręczycieli.

- Czyje?

- Dwóch ludzi, którzy poręcziliby za panią. Proszę wybaczyć, ale wypełniam jedynie swe obowiązki, więc muszę użyć takiego sformułowania: potrzebne są dwie osoby, które potwierdzą pani uczciwość. Jeszcze raz proszę, aby pani dobrze mnie zrozumiała.

- Ale kto będzie chciał dać takie potwierdzenie?

- Czy nie ma pani przyjaciół?

- Przyjaciół? Nie, takich przyjaciół nie mam.

- No dobrze. Ale znajomych chyba pani ma? Po prostu ludzi, którzy potwierdziliby, że znali pani męża.

- Że znają mego męża - poprawiła Kät.

- On żyje?

- Tak.

- Gdzie się teraz znajduje? Był tutaj?

Kät pokręciła przecząco głową.

- Nie. Jest teraz w jakimś szpitalu. Wierzę, że żyje.

- Szukałem go.

- We wszystkich szpitalach?

- Tak.

- W wojskowym również?

- Dlaczego pani sądzi, że mógłby trafić do szpitala wojskowego?

- Jest inwalidą wojennym... Oficerem... Był nieprzytomny, mogli go odwieźć do szpitala wojskowego...

- Teraz jestem spokojny o panią. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Myśli pani logicznie i wszystko wskazuje na poprawę. Proszę wymienić jakichś znajomych pani męża, a ja poproszę ich, żeby dali poręczenie.

Kät czuła, jak szumi jej w skroniach. Przy każdym nowym pytaniu szum się wzmaczał. To nie był nawet szum, wydawało jej się, że słyszy uderzenia jakiegoś ogromnego młota. Zdawała sobie jednak sprawę, że nieodpowiadanie na pytania teraz, kiedy przez tyle dni udawało jej się wymigiwać - byłoby równoznaczne z przegraną. Przypominała sobie nerwowo, które domy na jej ulicy zostały doszczętnie zbombardowane. Erwin naprawiał kiedyś radio generałowi w stanie spoczynku. Jak on się nazywał? Aha, Nusch. Tak. Mieszkał w Rangsdorfie, na pewno. Niech go przesłuchają.

- Niech pan spróbuje porozmawiać z generałem w stanie spoczynku Fritzem Nuschem. Mieszka w Rangsdorfie, nad jeziorem. To dawny znajomy męża. Proszę Boga, żeby i teraz okazał się dla nas dobry.

- Fritz Nusch - powtórzył mężczyzna zapisując nazwisko w notesie - w Rangsdorfie. Ulicy pani nie pamięta?

- Nie pamiętam...



- W biurze adresowym dadzą mi chyba jego adres?

- On jest bardzo stary. Już nie walczy. Ma ponad osiemdziesiątkę.

- Ale z głową chyba w porządku?

- Co?

- Nic, nic. Boję się po prostu, że dziadek ma sklerozę. Gdyby to ode mnie zależało, wszystkich ludzi po siedemdziesiątce zwalniałbym z pracy i kierował do specjalnych zakładów dla starców. Starzy ponoszą odpowiedzialność za całe zło na tym świecie.

- Co też pan mówi. Generał jest taki dobry...

- Dobrze. Kto jeszcze?

Wymienić panią Korn? pomyślała Kät. To niebezpieczne. Mimo że jeździliśmy do niej na odpoczynek, ale zawsze braliśmy ze sobą walizkę. Może sobie przypomnieć, jeśli pokażą jej fotografię. A ona byłaby dobrą kandydaturą. Jej mąż jest majorem SS.

- Niech pan spróbuje skontaktować się z panią Eichelbrenner. Mieszka w Poczdamie. Ma dom koło ratusza.

- Dziękuję. To już jest coś. Postaram się szybko zebrać od tych ludzi odpowiednie oświadczenia. Aha, jeszcze jedna sprawa. Stróż rozpoznał wśród znalezionych walizek dwie należące do pani. Jutro rano je przyniosę i w obecności lekarza przejrzymy zawartość. Może pani będzie chciała wymienić niepotrzebne rzeczy na wyprawkę dla małego.

Jasne, pomyślała Kat. Chce, żebym jeszcze dziś spróbowała nawiązać kontakt z kimś z przyjaciół.

- Dziękuję bardzo. Niech Bóg nagrodzi pańską dobroć.

- No cóż... Życzę pani szybkiego powrotu do zdrowia i proszę ucałować ode mnie swego olbrzyma.

Wezwawszy siostrę mężczyzna powiedział:

- Jeśli ta pacjentka będzie chciała telefonować dokądś albo przekazać komuś kartkę, proszę niezwłocznie do mnie zadzwonić, do domu lub do pracy. Obojętnie o jakiej porze. O każdej porze - podkreślił z naciskiem. - A jeśli ktoś do niej przyjdzie, proszę natychmiast dzwonić pod ten numer - rzekł dając jej kartkę. - Ci ludzie znajdują się w pobliżu. Proszę zatrzymać odwiedzającego pod jakimkolwiek pozorem.

Wychodząc ze swego gabinetu Stirlitz zobaczył dwóch mężczyzn niosących przez korytarz walizkę Erwina. Poznałby tę walizkę wśród tysięcy: mieściła się w niej radiostacja.

Stirlitz nie śpiesząc się poszedł za nimi. Ludzie, wesoło o czymś rozmawiając, zanieśli walizkę do gabinetu sturmbannführera Rolfa.

Z partyjnej charakterystyki członka NSDAP od 1940 r. Rolfa, sturmbannführera (IV Wydział RSHA): „Rzeczywisty Aryjczyk. Charakter nordycki. Odważny. Z towarzyszami pracy utrzymuje dobre stosunki. Wypełnia bez zarzutu swe obowiązki służbowe. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Znakomity sportsmen. Wzorowy w życiu rodzinnym. Związków kompromitujących go nie miał. Odznaczony przez Reichsführera SS”.

Stirlitz przez chwilę zastanawiał się, czy wejść do gabinetu sturmbannführera od razu czy trochę później. Wszystkie mięśnie miał napięte jak do skoku. Zastukał krótko w drzwi gabinetu i nie czekając na odpowiedź wszedł.

- Co to, szykujesz się do ewakuacji? - zapytał ze śmiechem. Nie przygotował sobie tego zdania, powstało spontanicznie i w danej sytuacji było trafne.

- Nie - odpowiedział Rolf. - To radiostacja.

- Kolekcjonujesz? A gdzie właściciel?

- Właścicielka. Zdaje się, właściciel kipnął. A właścicielka z noworodkiem leży w izolatce w szpitalu „Charite”.

- Z noworodkiem?

- Tak. I w dodatku jest ranna w głowę.

- O, to niedobrze. Mogą być kłopoty z przesłuchiowaniem jej w takim stanie.

- Według mnie właśnie w takim stanie należy ją przesłuchać. A my marudzimy, czekamy nie wiadomo na co. I co najgorsze, jeden bałwan z naszego terenowego oddziału pokazał jej fotografie walizek, razem z tą. Zapytał, czy nie poznaje swoich rzeczy. Chwała Bogu, że ta kobieta nie może uciec: ma dziecko, a do położniczego nikogo nie wpuszczają. Nie sądzę, żeby uciekła w tej sytuacji. Ale licha nie śpi. Zdecydowałem się więc przywieźć ją dzisiaj tutaj.

- Logiczne - zgodził się Stirlitz. - Postawiliście przy niej straż? Trzeba śledzić, czy nie ma jakichś kontaktów.

- Tak, umieściliśmy tam naszą pielęgniarkę, nasz pracownik pełni także funkcję stróża.

- W takim razie po co ją ciągnąć tutaj? Możesz popsuć całą grę. A nuż zdecyduje się szukać kontaktów.

- Sam się waham. Boję się, że wróci do równowagi. Znasz Rosjan: trzeba ich brać, póki się nie otrząsną.

- Dlaczego sądzisz, że to Rosjanka?

- Od tego się wszystko zaczęło. Krzyczała po rosyjsku w czasie porodu.

Stirlitz uśmiechnął się i powiedział idąc ku drzwiom:

- Przywieź ją jak najszybciej... Chociaż... Może wyjść piękna historia, jeśli ona zacznie szukać kontaktów. Myślisz, że jej ludzie nie szukają jej teraz po wszystkich szpitalach?

- Tej wersji do końca nie rozpracowaliśmy.

- Wybacz. Ale i dziś nie jest za późno się tym zająć. Bądź zdrow i życzę ci powodzenia.

Przy drzwiach Stirlitz odwrócił się.

- To ciekawa sprawa. Ale najważniejsze nie spieszyć się za bardzo. I radzę ci, nie melduj na razie wielkiemu kierownictwu: każą ci gnać z robotą.

Otworzywszy drzwi, Stirlitz puknął się w czoło ze śmiechem.

- Stary sklerotyk ze mnie... Przecież przyszedłem do ciebie po środki nasenne. Wszyscy mówią, że masz dobre, szwedzkie.

Zapamiętuje się ostatnie zdanie. Ważne jest, jak zacząć użyteczną rozmowę, ale jeszcze ważniejsza jest sztuka jej kończenia. Teraz, myślał Stirlitz, jeśli Rolfa pytają, kto do niego przyszedł i w jakim celu, odpowie na pewno, że był u niego Stirlitz i prosił o dobre szwedzkie środki nasenne.

Rolf zaopatrywał połowę instytucji w środki nasenne - jego wujek był aptekarzem.

Po rozmowie z Rolfem Stirlitz musiał odegrać atak wściekłości. Wszedł do Schellenberga i powiedział:

- Brigadeführerze, najlepiej będzie, gdy oświadczę, że jestem chory, a ja rzeczywiście choruję, i poproszę o skierowanie na dziesięć dni do sanatorium, w przeciwnym razie wysiądę...

Mówiąc to szefowi wywiadu, był błydy, sinobłydy. I nie tylko dlatego, że decydował się los Kät, a więc i jego los. Wiedział przecież, co ją tutaj czeka: w piątej godzinie przesłuchania przystawia jej nowo narodzonemu dziecku pistolet do głowy i zagrozą, że je zastrzelą, jeśli matka nie zacznie mówić. Zwykła prowokacja ojczulka Müllera; nigdy jeszcze żadnemu z dzieci nie strzelono w potylicę. Nie chodzi tu o litość, ludzie Müllera wyczyniali różne straszne rzeczy. Po prostu wiedzieli, że po czymś takim matka zwariuje i cała operacja zakończy się fiaskiem. Ale metoda zastraszania działała bezbłędnie.

Twarz Stirlitza stała się sinoblada nie dlatego, że wiedział, jakie czekają go męczarnie, jeśli Kät go wyda. Po prostu najłatwiej mu było udawać złość. Prawdziwy wywiadowca jest jak aktor czy pisarz. Ale o ile fałsz na scenie grozi aktorowi utratą popularności, a za fałsz na kartkach książki karze pisarza krytyka, o tyle fałszywy krok pracownika wywiadu oznacza dla niego śmierć.

- O co chodzi? - zdziwił się Schellenberg. - Co się z panem stało?

- Wszyscy jesteśmy pod „okiem” Müllera. Najpierw ten idiotyzm ze śledzeniem mnie na Friedrichstrasse, a dziś nowa historia: znajdują Rosjanek z radiostacją, prawdopodobnie pracującą bardzo aktywnie, a ja na tę radiostację poluję osiem miesięcy, ale z jakiegoś powodu sprawa trafia do Rolfa, który się zna na radiostacjach jak kot na algebrze.

Schellenberg sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

- Nie warto - powiedział Stirlitz. - To nic nie da. Zacznie się kłótnia, zwykła kłótnia między wywiadem a kontrwywiadem. Nie trzeba. Niech mi pan da pozwolenie: pojedę teraz do tej baby, wezmę ją do nas i przeprowadzę chociażby pierwsze przesłuchanie. Być może łudzę się, ale przeprowadzę je lepiej niż Rolf. Potem niech tą kobietą zajmie się Rolf, dla mnie najważniejsza jest sprawa, a nie ambicja.

- Niech pan jedzie - powiedział Schellenberg. - A ja mimo wszystko zadzwonię do reichsführera.

- Lepiej zająć do niego - zauważył Stirlitz. - Bardzo mi się nie podoba ta cała historia.

- Niech pan jedzie i wykonuje swoje obowiązki. A potem porozmawiamy o pastorce. Będzie nam potrzebny jutro albo pojutrze.

- Nie mogę się rozerwać między dwie sprawy.

- Może pan. Pracownik wywiadu albo się poddaje od razu, albo nie poddaje się w ogóle. Poza rzadkimi wyjątkami wszyscy załamują się po zastosowaniu specjalnych środków przez opryszków Müllera. Wszystko stanie się dla pana jasne w pierwszych godzinach. Jeśli ta dama będzie milczeć, proszę przekazać ją Müllerowi, niech oni się martwią. A jeśli zacznie mówić, zapiszemy to sobie na nasze konto i utrzymamy nosa Bawarczykowi.

W chwilach rozdrażnienia Schellenberg nazywał tak jednego z najbardziej zniechęconych przez siebie ludzi - szefa gestapo Müllera.

W pokoju przyjęć Stirlitz okazał znaczek SD i wszedł do sali, w której leżała Kät. Gdy zobaczyła go, oczy jej się rozszerzyły i pojawiły się w nich łzy. Obawiając się podsłuchu, powiedział szybko:

- Pani Kinn, proszę się zbierać. Przegrała pani, a pracownik wywiadu powinien umieć przegrywać z godnością. Wiem, wiem, pani zacznie zaprzeczać wszystkiemu, ale to nie ma sensu. Przechwyciliśmy czterdzieści waszych szyfrówek. Zaraz przyniosą pani odzież i pojedzie pani ze mną. Gwarantuję pani i dziecku życie, jeśli zacznie pani z nami współpracować. Natomiast jeśli będzie się pani upierać, nie dam żadnych gwarancji.

Stirlitz czekał, póki siostra nie przyniesie jej sukienki, palta i pantofli. Kät, przyjmując propozycję gry, powiedziała:

- Może wyjdzie pan, gdy się będę ubierała?

- Nie, nie wyjdę - odpowiedział Stirlitz. - Odwróć się i będę mówił dalej, a pani zastanowi się, co mi odpowiedzieć.

- Co mam panu odpowiedzieć? - zaprotestowała Kät. - Nie rozumiem, co się stało, jestem jeszcze bardzo słaba, chyba to jakieś nieporozumienie... Mój mąż jest oficerem, inwalidą wojennym...

Kät ogarnęło uczucie dziwnej radości. Widziała kogoś swojego, wierzyła, że jakiegokolwiek czekają ją próby, najstraszniejsza - samotność - jest już poza nią.

- Niech pani przestanie - przerwał jej Stirlitz. - Pani radiostacja jest u nas rozszyfrowana, radiotelegamy również, to dowody, których nie można podważyć. Będziemy żądali od pani tylko jednego: zgody na współpracę z nami. I radzę pani... - odwrócił się dając znać mimiką twarzy, że powie coś bardzo ważnego, czego należy wysłuchać - radzę, żeby po pierwsze, opowiedziała nam pani wszystko, co pani wiadomo, nawet jeśli wie pani niewiele, a po drugie, żeby przyjęła pani moją propozycję i niezwłocznie przystąpiła do współpracy z nami.

Wiedział, że o najważniejszym może powiedzieć dopiero w korytarzu. Ale zrozumieć to najważniejsze Kat mogła jedynie po wysłuchaniu tego tutaj. Przejście korytarzem zajmie dwie minuty, obliczył to sobie po drodze do izolatki.

Siostra przyniosła dziecko i powiedziała.

- Dzieciątko gotowe...

Stirlitz coś ścisnęło za gardło: nie tylko dlatego, że małeństwo musi jechać na gestapo, do więzienia, w nieznane, ale że ta kobieta, żywy człowiek, prawdopodobnie również matka, powiedziała spokojnym, naturalnym głosem: „Dzieciątko gotowe...”

- Ciężko pani będzie - orzekła siostra. - Zaniosę dziecka do samochodu.

- Nie trzeba - powiedział Stirlitz. - Niech pani wyjdzie. Pani Kinn poniesie dziecko sama. Proszę się zatroszczyć o to, żeby na korytarzu nie było chorych.

Siostra wyszła. Stirlitz, otworzywszy drzwi, przepuścił Kät przodem. Ujął ją pod ramię, a gdy zauważył, że cała drży, wziął dziecko na rękę.

- Słuchaj, dziewczyno - powiedział cicho, ściskając wargami papierosa. - Oni wszystko wiedzą... Słuchaj uważnie. Zaczną ci dawać informacje dla naszych. Targuj się, żądaj gwarancji, żądaj, aby dziecko było z tobą. Załam się z powodu dziecka: oni mogą nas mieć na podsłuchu, dlatego odegraj wszystko to dokładnie w moim gabinecie. Szyfru nie znasz, a nasze radiogramy są nie rozszyfrowane. Szyfrantem był Erwin, ty tylko radiotelegrafistką. Wszystko pozostałe ja wezmę na siebie. Powiedz, że Erwin chodził na spotkania w rejon Kantstrasse i do

Rangsdorfu. Z kim się spotykał, nie wiesz. Powiedz, że do Erwina przychodził pracownik ministerstwa spraw zagranicznych. W samochodzie pokażę ci jego fotografię. To wszystko. Jasne?

„Człowiekiem z ministerstwa” był radca wydziału wschodniego Heinz Korner. Zginął tydzień temu w katastrofie samochodowej. Był to fałszywy trop. Idąc tym śladem gestapo straci dziesięć, piętnaście dni. A obecnie każdy dzień znaczył bardzo dużo...

Po pięciu godzinach Rolf zameldował Müllerowi, że rosyjska radiotelegrafistka zniknęła ze szpitala „Charite”. Müller wpadł we wściekłość. A po dwóch godzinach zadzwonił do niego Schellenberg:

- Dobry wieczór, przyjacielu! Stirlitz przygotował nam prezent: przywiózł rosyjską radiotelegrafistkę, która zgodziła się pracować dla nas. Reichsführer pogratulował mu już sukcesu.

Siedząc u Schellenberga i słuchając jego wesołej paplaniny z Müllerem, Stirlitz po raz setny zastanawiał się, czy postąpił dobrze, przywożąc tutaj, do więzienia, swego bojowego towarzysza Katieńkę Kozłową. Kät Kinn vel Inge vel Henrykę. Jasne, że mógłby, pokazawszy swój znaczek, wsadzić ją do samochodu i zawieźć np. do Babelsbergu, a potem znaleźć jej jakieś mieszkanie i zaopatrzyć w nowe dokumenty. Oznaczałoby to jednak, że ratując życie Kät, skazuje z góry na krach całą operację, jaką zaplanowała centrala. Tę operację, która była tak ważna dla setek tysięcy rosyjskich żołnierzy, która mogła wpłynąć nawet na przyszłe losy całej Europy. Wiedział, że po porwaniu Kät całe gestapo zostanie postawione na nogi. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli ucieczka się uda, ślad niechybnie zaprowadzi tropiciele do niego: znaczek tajnej policji, samochód, rysopis... Tak, wtedy on również musiałby przejść do podziemia. Byłoby to jednak równoznaczne z porażką. Stirlitz doskonale wiedział, że Tysiącletnia Rzesza chyli się już ku ostatecznemu upadkowi i że kaci - podwładni Müllera - będą się starali szybko pozbyć wszystkich swoich więźniów. Dlatego też powiedział Kät, żeby kategorycznie trzymała się tej wersji, iż nic więcej już teraz nie wiąże jej z Rosją; mąż zginął, a ona sama w tej sytuacji w żadnym wypadku nie może trafić w ręce swego byłego szefa. To był zapasowy wariant, na wypadek gdyby Kät mimo wszystko przekazano gestapo. Gdyby Kät pozostała u niego, nie niepokoiłby się tak. Mógłby ją umieścić w konspiracyjnym „mieszkaniu radiowym” pod strażą SS i w ostatecznym momencie urządzić wszystko tak, żeby Kät z chłopczykiem zniknęła, i to w ten sposób, że nikt nie mógłby jej znaleźć. Chociaż nie była to oczywiście sprawa łatwa. Obecnie przy całym tragizmie sytuacji na froncie, przy ogromnej ilości uciekinierów, którzy zapełnili centrum kraju, gestapo pracowało niezmiernie precyzyjnie, w sposób wysoce zorganizowany: co drugi człowiek składał donosy na sąsiada, a

tenże sąsiad z kolei składał donosy na swego donosiciela. Wszelkie nadzieje na to, że w tej mętnej wodzie można się będzie bezpiecznie ukryć, mógłby snuć tylko ktoś naiwny, kto nie zna struktury SS i SD.

Przez trzy godziny Müller siedział nad pierwszym przesłuchaniem Rosjanki. Porównywał notatkę, którą dostarczył Stirlitz, z taśmą magnetofonu wmontowanego w oprawkę przy biurku standartenführera SS von Stirlitza.

Odpowiedzi Rosjanki zgadzały się w pełni z otrzymanym meldunkiem. Pytania standartenführera były zapisane stenograficznie i różniły się od tego, co mówił on rosyjskiej radiotelegrafistce.

- Trzeba jednak przyznać, że ten Stirlitz świetnie pracuje - powiedział Müller do Rolfa.  
- Proszę posłuchać...

I cofnąwszy taśmę włączył głos Stirlitza:

„- Nie będę pani powtarzał elementarnej prawdy, że to aresztowanie stanie się w Moskwie dla pani wyrokiem. Człowiek, który trafił do gestapo, powinien zginąć. Ten, kto wyszedł z gestapo - to oczywisty zdrajca i tylko zdrajca. Prawda? To po pierwsze... Nie będę od pani żądał nazwisk agentów, którzy pozostali na wolności, to nie jest najważniejsze; starając się odszukać panią, sami do mnie przyjdą. I to jest sprawa druga. Rozumie pani, że jako człowiek i oficer Rzeszy nie mogę w tej sytuacji pani nie współczuć; rozumiem, jak wielkie będą cierpienia matki, jeśli będziemy zmuszeni oddać pani dziecko do przytułku. Dziecko straci matkę na zawsze. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie grozę pani... Nawet gdybym nie chciał tego zrobić, mam nad sobą kierownictwo, a rozkazy zawsze jest lżej wydawać temu, kto nie widział dziecka u pani na ręku. A ja nie mogę nie wykonać rozkazu; jestem żołnierzem, a moja ojczyzna prowadzi wojnę z pani krajem. I wreszcie po czwarte: Kiedyś otrzymaliśmy kopię waszych filmów nakręconych w Alma Acie przez wytwórnię moskiewską. Pokazujecie Niemców jako głupców, a nasze organa bezpieczeństwa jako dom obłąkanych. Przecież to śmieszne, staliśmy wtedy u bram Kremla...”

Müller oczywiście nie mógł widzieć tego, że właśnie w tym miejscu Stirlitz mrugnął do Kät i ta, od razu zrozumiawszy go, powiedziała:

„- Tak, ale obecnie jednostki Armii Czerwonej stoją u bram Berlina.

- Dobrze, dobrze... Proszę jednak wziąć pod uwagę, że gdy nasze wojska stały u bram Kremla, wy wierzyliście, że dojdziecie do Berlina. Na tej samej zasadzie my jesteśmy obecnie przekonani, że niedługo wrócimy pod Kreml. Ale pozostawmy na boku dyskusję o zmiennych losach wojny. Zacząłem mówić o tym, gdyż nasi specjaliści od rozwiązywania szyfrów to

wcale niegłupi ludzie i wiele już wyjaśnili w waszym szyfrze. Proszę pamiętać, że obecnie pracę pani, pracę waszego radiotelegrafisty, może wykonać nasz człowiek...”

Stirlitz znowu mrugnął do Kät, odpowiedziała więc:

„- Wasz radiotelegrafista nie zna mojego stylu nadawania, który jest bardzo dobrze znany w centrali, i natychmiast rozpoznają kogoś obcego.

- Racja. Ale mamy nagrane na taśmie pani meldunki; możemy więc bez trudu przyuczyć naszego człowieka do tego pani «stylu» i będzie on pracował zamiast pani. To panią ostatecznie skompromituje. Nie przebaczą tego pani tam, w waszej ojczyźnie - wie pani o tym tak samo dobrze, jak ja, a może jeszcze lepiej... Jeśli okaże się pani rozsądna, obiecuję pani pełne alibi przed pani kierownictwem.

- To niemożliwe.

- Pani się myli. To jest możliwe. Aresztowanie pani nie zostanie zarejestrowane w żadnym naszym dokumencie. Zamieszka pani u moich dobrych przyjaciół, w zakonspirowanym mieszkaniu, gdzie będzie wygodnie pani małej dziewczynce.

- Mam chłopczyka.

- Przepraszam. Powie pani później swoim, że po śmierci męża odnalazł panią człowiek, który podał hasło.

- Nie znam hasła.

- Pani zna hasło - głośno, z naciskiem powtórzył Stirlitz - ale nie pytam panią o nie, to drobiazg i naiwna zabawa. A więc ten człowiek, który wymienił hasło, zaprowadził panią do tego mieszkania i przekazał pani zaszyfrowane telegramy, które przekazywała pani z kolei do centrali. To jest najlepsze alibi. W sztukach i filmach o wywiadowcach przyjęte jest, że pozostawia się czas do namysłu. Nie pozostawiam pani tego czasu; pytam, od razu - tak czy nie?

Milczenie...”

Müller popatrzył na Rolfa i powiedział:

- Tylko jeden błąd: pomylił płeć dziecka. A wszystko pozostałe - to moim zdaniem wirtuozowska robota.

W dyktafonie rozległy się następne słowa:

„- Tak - wyszeptała Kät.

- Nie słyszę?

- Tak - powtórzyła głośno i wyraźnie. - Tak, tak, tak! - krzyczała.

- Teraz dobrze. Ale proszę spokojnie, bez hysterii. Wiedziała pani doskonale, na co się decyduje, zgadzając się pracować przeciwko nam.



- Ale mam jeden warunek.

- Proszę, słucham.

- Wszystkie moje związki z ojczyzną zostały zerwane po śmierci męża i moim aresztowaniu. Będę pracowała dla was, ale jeśli dacie mi absolutną gwarancję, że w przyszłości nigdy nie trafię w ręce mojego byłego kierownictwa”.

Teraz gdy życie Kät wisiało na włosku, a spotkanie z Bormannem z jakichś niezrozumiałych przyczyn nie doszło do skutku, Stirlitzowi niezbędny był kontakt z Moskwą. Liczył na pomoc: jedno lub dwa nazwiska, adresy niektórych ludzi chociażby nie bezpośrednio związanych z Bormannem, na przykład z kuzynką ciotecznego brata ożenionego z siostrą teścia jego kucharza.

Stirlitz uśmiechnął się do swych myśli: taki stopień pokrewieństwa wydał mu się nader interesujący.

Czekać na radiotelegrafistę z centrali trzeba będzie co najmniej tydzień, dwa. A nie można przecież zwlekać - według wszelkich znaków na niebie i ziemi o wszystkim zadecydują dni. Stirlitz zastanawiał się, dlaczego Bormann nie przyszedł na spotkanie. Po pierwsze, mógł nie dostać listu. List zdążyli przejąć ludzie Himmlera. Chociaż to wątpliwe. Stirlitzowi udało się bowiem dołączyć ten list do korespondencji przeznaczonej osobiście dla Bormanna; zabranie stamtąd listu było rzeczą ryzykowną, ponieważ włożył go tam już po kontroli poczty przez pracownika tajnego wydziału sekretariatu reichsführera. Po drugie: analizując treść listu, Stirlitz zorientował się, że popełnił parę dość istotnych omyłek. Często, kierując się profesjonalnym nawykiem, jeszcze raz analizował swój postępek, list, rozmowę i nie tracąc głowy z powodu ewentualnych błędów szukał od razu wyjścia z sytuacji. Osobiście jemu samemu list niczym nie groził; napisał go na maszynie w pomieszczeniu ekspedycji w czasie nalotu. Po prostu, myślał, dla człowieka pokroju Bormanna w liście było zbyt wiele wiernopoddańczych akcentów, a za mało faktów i konstruktywnych propozycji. Olbrzymia odpowiedzialność za podejmowane decyzje - praktycznie nie kontrolowane - zobowiązuje działacza państwowego typu Bormanna do udania się na poufne spotkanie z podwładnym jedynie wówczas, jeżeli podane przez niego fakty były przedtem nikomu nie znane i są interesujące z państwowego punktu widzenia. Ale z drugiej strony, myślał Stirlitz, dla Bormanna były ważne nawet najdrobniejsze strzępy materiałów, które mogłyby skompromitować Himmlera. Stirlitz wiedział, z jakiego powodu zaczęła się walka między Himmlerem a Bormannem. Nie mógł znaleźć natomiast odpowiedzi na pytanie, dlaczego ta walka toczyła się nadal również i teraz, z wciąż narastającą zaciekleścią. I w końcu po trzeciej:

Stirlitz zdawał sobie sprawę z tego, że Bormann mógł być po prostu zajęty i dlatego nie był w stanie przyjść. Zresztą Stirlitz wiedział, że Bormann tylko dwa lub trzy razy odpowiedział na podobnego rodzaju prośby o spotkanie. A z prośbą o przyjęcie zwracało się do niego codziennie co najmniej dwudziestu, trzydziestu ludzi, przeważnie z grupy wyższej hierarchii aparatu wojskowego i partyjnego.

To było z mojej strony pociągnięcie naiwne od samego początku, zdecydował Stirlitz. Grałem nie tylko na ślepo. Grałem nie według jego prawideł. Czy można to naprawić? W zasadzie tak, ale jak się do tego zabrać?

Zawyła syrena alarmowa. Stirlitz spojrział na zegarek. Zachód słońca był dzisiaj krwistoczerwony z fioletowym odcieniem. To znaczy, że w nocy będzie mróz. I zniszczy moje róże, pomyślał wstając. Widocznie zbyt wcześnie je posadziłem. Ale kto mógł sądzić, że mrozy utrzymają się w tym roku tak długo?

Bomby padały gdzieś zupełnie blisko. Stirlitz wyszedł z gabinetu i poszedł korytarzem w kierunku schodów prowadzących do bunkra. Zatrzymał się obok drzwi, za którymi znajdował się ośrodek bezpośredniej łączności. W drzwiach tkwił klucz.

Stirlitz rozejrzał się powoli: w korytarzu było pusto. Pchnął drzwi ramieniem. Były zamknięte. Otworzył je kluczem. Dwa duże białe telefony od razu rzuciły się w oczy; była to bezpośrednia łączność z bunkrem Führera i gabinetami Bormanna, Goebbelsa i Keitla. Jeszcze raz wyrzwał na korytarz: nie było nikogo. Szyby drżały, bombardowano teraz tuż obok. Przez chwilę myślał, czy warto zamykać drzwi. Potem podszedł do aparatu i wykręcił numer 12-00-54.

- Bormann. - Usłyszał w słuchawce niski tubalny głos.

- Czy pan otrzymał mój list? - zapytał Stirlitz zmieniawszy barwę głosu.

- Kim pan jest?

- Pan powinien otrzymać list przeznaczony osobiście dla pana. Od oddanego członka partii.

- Tak. Dzień dobry. Gdzie pan jest teraz? Ach tak, jasne. Podam panu numer mojego samochodu.

- Wiem - przerwał mu Stirlitz. - Kto będzie za kierownicą?

- Czy to ma znaczenie?

- Tak, dlatego że jeden z pańskich szoferów...

- Rozumiem - powiedział Bormann.

Rozumieli się nawzajem. Bormann zorientował się, że jego rozmówca wie o tym, iż podsłuchuje się jego rozmowy (świadcząłoby to, że człowiek rozmawiający z nim zna

najważniejsze tajemnice Rzeszy). Stirlitz z kolei doszedł do wniosku, że Bormann wie o tym, czego mu nie dopowiedział do końca (jeden z szoferów Bormanna był współpracownikiem gestapo) i dlatego pomyślał o sukcesie.

- Będzie pan jutro oczekiwany tam - powiedział Bormann - gdzie powinniśmy się byli spotkać. O tej samej godzinie, którą pan podał.

- Teraz - oświadczył kategorycznie Stirlitz. - Za pół godziny.

*8.3.1945 (godzina 22 minut 32)*

Pół godziny później koło Muzeum Przyrodniczego Stirlitz ujrzał opancerzony samochód Bormanna. Przeszedł obok pojazdu i przekonał się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ewentualnie ich śledzić. Na tylnym siedzeniu zobaczył Bormanna. Stirlitz zawrócił, podszedł do samochodu i otworzywszy drzwi powiedział:

- Parteigenosse Bormann, dziękuję panu za zaufanie, które mi pan okazał...

Bormann milcząco uściśnął mu rękę.

- Jedziemy - powiedział szoferowi. Potem oddzielił szybą pozostałą część samochodu od kierowcy.

- Gdzie ja pana widziałem? - zapytał przypatrując się Stirlitzowi. - Niech pan pokaże się dokładniej...

Stirlitz położył okulary na kolanach i uniósł kapelusz.

- Na pewno gdzieś pana widziałem - powtórzył Bormann.

- Słusznie - odpowiedział Stirlitz. - Gdy pan wręczał mi Krzyż, powiedział pan, że mam twarz profesora matematyki, a nie szpiega...

- Teraz natomiast ma pan bardziej twarz szpiega niż profesora... - zażartował Bormann.

- No, co się stało, niech pan opowiada...

Aparat łączący Bormanna z urzędem bezpieczeństwa Rzeszy milczał przez całą noc. Dlatego też, gdy rano materiały podsłuchu spoczęły na biurku Himmlera, najpierw wpadł on we wściekłość. Później, gdy gniew minął, wezwał Müllera i polecił mu wyjaśnić, oczywiście z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, kto rozmawiał z Bormannem dziś w nocy ze specjalnego pokoju łączności państwowej ze sztabem NSDAP.

W ciągu całego dnia żadnych konkretnych faktów nie udało się Müllerowi zdobyć. Wieczorem położono mu na biurku fotografię odcisków palców, pozostawionych na słuchawce telefonu przez nieznanego, który dzwonił do Bormanna. Wstrząsnęło nim to, bo takie same odciski palców pojawiły się już parę dni temu w gestapo. Znaleziono je na owej radiostacji należącej do rosyjskiej radiotelegrafistki...

Szofer Bormanna, który poprzednio, za zgodą swego szefa, kategorycznie odmówił współpracy z SS, został aresztowany, gdy po dyżurze wracał do domu. Milczał przez trzy godziny, domagając się rozmowy z Bormannem. Później, gdy zaczęto go przesłuchiwać i grozić mu - przyznał, że nocą do ich samochodu wsiadł jakiś nieznajomy. O czym rozmawiał z Bormannem, szofer nie mógł powiedzieć, ponieważ rozmowa odbyła się w części samochodu oddzielonej od niego grubym, kuloodpornym szkłem. Przedstawił rysopis mężczyzny, który wsiadł do samochodu. Powiedział, że był to człowiek w kapeluszu nisko nasuniętym na czoło, w okularach o grubej rogowej oprawie i z siwymi wąsami. Pokazano mu ponad dwieście fotografii. Wśród nich była również fotografia Stirlitza. Ale po pierwsze Stirlitz nie miał wąsów, które łatwo było przykleić w razie potrzeby i tak samo łatwo zdjąć, a po drugie fotografie pochodziły sprzed pięciu lat, a w ciągu pięciu wojennych lat każdy może się bardzo zmienić - czasami nawet nie do poznania.

Himmler, otrzymawszy doniesienie Müllera o prowadzonym przez niego śledztwie, zatwierdził jego propozycję, aby zebrać odciski palców wszystkich pracowników ich aparatu. Po rozmowie z Müllerem Himmler wezwał Otto Skorzenego. Doszedł do wniosku, że walka z Bormannem wstępuje w ostatnią decydującą fazę. I jeśli przy pomocy jakiegoś nieznanego zdrajcy z SS Bormann otrzyma materiały kompromitujące jego, Himmlera, to on z kolei powinien przeciwstawić temu druzgocący cios. Nic tak nie wyrównuje szans przeciwników politycznych, jak posiadanie informacji, o których nie wie przeciwnik. A nigdzie nie zgromadzono takiej ilości informacji, jak w pancernych safesach archiwów NSDAP. Niech sobie Bormann używa do tego celu człowieka. On, Himmler, będzie używał dokumentów; są pewniejsze od ludzi i po pewnym czasie bardziej groźne.

- Potrzebne mi jest archiwum Bormanna - powiedział. - Czy pan rozumie, Skorzeny, co mi jest potrzebne?

- Rozumiem.

- To zadanie o wiele trudniejsze niż porwanie Mussoliniego,

- Myślę.

- Ale czy to jest możliwe?

- Nie wiem.

- Skorzeny, taka odpowiedź mnie nie urzęda. Bormann w tych dniach rozpoczyna ewakuację archiwum: dokąd i pod czyją ochroną - musi to pan wyjaśnić, Schellenberg pomoże panu, oczywiście nie bezpośrednio, lecz w sensie ogólnej konsultacji.

*10.3.1945 (godzina 19 minut 58)*

Stirlitz wyjechał nocnym ekspresem pod szwajcarską granicę, aby przygotować „okno”. Podobnie jak Schellenberg sądził, że normalne przewiezienie pastora przez granicę może nadać sprawie niepożądanego rozgłosu - cała ta operacja dokonywana była przez gestapo. A „zdemaskowaniem” Schlaga po wykonaniu przez niego pracy powinien, według zamysłu Schellenberga, zająć się właśnie Stirlitz.

Przez wszystkie te dni, za zgodą Schellenberga, Stirlitz przygotowywał dla pastora „kandydatów” na spiskowców; ludzi z ministerstwa spraw zagranicznych, ze sztabu luftwaffe. W tych instytucjach Stirlitz znalazł ludzi szczególnie gorliwie służących hitleryzmowi. Schellenbergowi przypadł do gustu fakt, że wszyscy oni zostali zwerbowani przez gestapo jako donosiciele.

- To dobrze - powiedział. - To rokuje nadzieje.

Stirlitz popatrzył na niego pytająco.

- Dlatego że w ten sposób skompromitujemy na Zachodzie wszystkich tych, którzy będą szukali kontaktów poza nami. Tam przecież odróżniają dokładnie gestapo od naszego departamentu.

Ten nocny ekspres różnił się od pozostałych pociągów przedwojennym komfortem: w małym przedziale skrzypiały prawdziwe skórzane rzemienie, błyszcząły miedziane popielnice, kelnerzy roznosili mocną kawę. Tym pociągiem łączącym Skandynawię ze Szwajcarią jeździli obecnie prawie wyłącznie dyplomaci.

Stirlitz zajmował miejsce numer 76. Miejsce numer 56 w następnym wagonie zajmował błądy profesor ze Szwecji, o długim, trudnym do wymówienia skandynawskim nazwisku. Oni dwaj i pewien generał, powracający ze szpitala na front włoski, byli jedynymi pasażerami w dwóch międzynarodowych wagonach. Generał zjrzał do przedziału Stirlitza i zapytał:

- Pan jest Niemcem?

- Niestety - odpowiedział Stirlitz.

Mógł żartować, miał na to pozwolenie kierownictwa. Prowokacja dopuszcza taką możliwość. Jeśli interlokutor nie pójdzie z donosem na gestapo, można myśleć o przyszłej z nim współpracy. W swoim czasie problem ten był dyskutowany w gestapo; ucinać niedogodną rozmowę czy też pozwalać jej się rozwinąć. Uważając, że nawet mała szkoda wyrządzona Rzeszy stanowi istotną korzyść dla jego ojczyzny, Stirlitz zdecydowanie stanął po stronie tych, którzy wypowiedzieli się za popieraniem prowokacji.

- Dlaczego „niestety”? - zainteresował się generał.

- Dlatego że nie podają mi drugiej filiżanki kawy. Prawdziwą kawę dają na zawołanie tylko tym, którzy dysponują zagranicznym paszportem.

- Tak? A mnie podali po raz drugi. Mam koniak. Chce się pan napić?

- Dziękuję, ja też mam koniak.

- Ale na pewno nie ma pan bekonu?

- Mam.

- A więc jemy z panem z jednego kotła - powiedział generał patrząc, co Stirlitz wyjmuje z teczki. - Jaki pan ma stopień?

- Jestem dyplomata. Radca trzeciego wydziału ministerstwa spraw zagranicznych.

- Niech was - powiedział generał siadając na wmontowanym obok umywalki krzesło. - Wy właśnie jesteście winni wszystkiemu.

- Dlaczego?

- Dlatego że wy określacie politykę zagraniczną, dlatego że doprowadziliście do wojny na dwa fronty. Prost!

- Prosit! Pan jest Meklemburczykiem?

- Tak. Jak pan to poznał?

- Po tym „prost”. Wszyscy z północy oszczędzają na samogłoskach.

Generał zaśmiał się.

- To prawda - powiedział. - Czy przypadkiem nie widziałem pana wczoraj w ministerstwie lotnictwa?

Stirlitz zaniepokoił się: wczoraj podwiózł do ministerstwa lotnictwa pastora Schlaga, który udał się tam w celu nawiązania kontaktu z ludźmi bliskimi otoczeniu Göringa. W wypadku sukcesu operacji, jeśli do sprawy włączą gestapo (ale już na prośbę Schellenberga, dla wyjaśnienia szczegółów „spisku”), pastor powinien „zostawić ślady” zarówno w ministerstwie lotnictwa, jak i w luftwaffe oraz w ministerstwie spraw zagranicznych.

Nie, pomyślał Stirlitz nalewając koniak, ten generał nie mógł mnie widzieć; kiedy siedziałem w samochodzie, nikt obok mnie nie przechodził. A wątpliwe, żeby Müller podstawił mi generała, to nie w jego zwyczaju, on pracuje prostymi metodami.

- Nie byłem tam - odpowiedział. - To taka dziwna cecha mojej fizjonomii: wszystkim zdaje się, że właśnie niedawno gdzieś mnie widzieli.

- Bo pan jest stereotypowy, podobny do wielu.

- To dobrze czy źle?

- Dla szpiclów prawdopodobnie dobrze, ale dla dyplomaty chyba źle. Dyplomata powinien mieć twarz, którą się zapamiętuje.

- A wojskowi?

- Wojskowi powinni mieć obecnie silne nogi! Żeby na czas zdołali uciec!

- Nie boi się pan rozmawiać w ten sposób z nieznanym człowiekiem?

- Nie zna pan mojego nazwiska.

- To bardzo łatwo ustalić, pan ma przecież twarz, którą się zapamiętuje.

- Tak? Do diabła, zawsze wydawała mi się standardowa. Mimo to, zanim pan napisze na mnie donos i zanim znajdą drugiego świadka, minie trochę czasu i wszystko się skończy. Na ławę oskarżonych posadzą nas tamci, a nie nasi. I to przede wszystkim was, dyplomatów.

- Wy paliliście, wy strzelaliście, wy zabijaliście, a pod sąd pas?

- My wypełnialiśmy rozkaz. Palili ci z SS. Myśmy walczyli.

- A co? Wynaleźliście specjalną metodę: walka bez ofiar?

- Wojna tak czy owak jest niezbędna. Nie taka głupia, oczywiście. To wojna dyletanta. On zdecydował, że można prowadzić wojnę, kierując się intuicją. On jeden wie, czego nam trzeba. On jeden kocha wielkie Niemcy, a my wszyscy myślimy jedynie o tym, żeby sprzedać ojczyznę bolszewikom i Amerykanom.

- Prosit...

- Prost! Państwa są jak ludzie. Zastój wywołuje w nich sprzeciw. Uciskają je granice. Potrzebny jest im ruch - to fakt. Ruch to wojna. Ale jeśli wy, przekłeci dyplomaci, znowu wszystko popłaczecie, wtedy zniszczą was, wszystkich co do jednego.

- Wypełniliśmy rozkaz. Jesteśmy takimi samymi żołnierzami jak wy. Żołnierzami Führera.

- Niech pan przestanie udawać. „Żołnierzami Führera” - przedrzeźniał Stirlitz. - Podoficer, który ukradł generalskie buty.

- Boję się z panem rozmawiać, generale...

- Niech pan nie kłamie. Dziś całe Niemcy mówią to samo. Albo tak myślą.

- A chłopcy z Hitlerjugend? Kiedy idą na rosyjskie czołgi, myślą tak samo? Umierają ze słowami „Heil Hitler”...

- Fanatyzm nigdy nie przyniesie ostatecznego zwycięstwa... Fanatycy mogą zwyciężać w pierwszej fazie. Nigdy nie wykorzystają swego zwycięstwa, bo nie starczy im sił. Prost!

- Prosit!... Dlaczego więc pan nie ogłosi buntu w swej dywizji...

- W korpusie...

- Tym bardziej. Dlaczego więc nie podda się pan wraz ze swoim korpusem?

- A rodzina? A fanatycy w sztabie? A tchórze, którym jest łatwiej walczyć z wiarą w mityczne zwycięstwo, niż osiąść w obozie jeńców u sojuszników?

- Pan może wydać rozkaz.

- Wydaje się rozkazy: umrzeć. Nie ma jeszcze takich rozkazów: żyć, poddać się wrogowi. Nie nauczono się ich pisać.

- A jeśli pan otrzyma taki rozkaz?

- Od kogo? Od tego neurastenika? On ciągnie nas wszystkich za sobą do grobu.

- A jeśli taki rozkaz wyda Keitel?

- On ma zamiast głowy tyłek. To sekretarz, a nie wojskowy.

- No dobrze... A pański głównodowodzący we Włoszech...

- Kesselring?

- Tak.

- On nie wyda takiego rozkazu.

- Dlaczego?

- Wychował się w sztabie Göringa. A ten, kto pracuje pod kierownictwem jakiegokolwiek wodza, traci wszelką inicjatywę. Nabiera zręczności, skłonności do analizowania, ale traci umiejętność podejmowania samodzielnych decyzji. Zanim zdecydowałby się na taki krok, najpierw obowiązkowo poleciałby do tego knura.

- Do kogo?

- Do knura - powtórzył uparcie generał. - Do Göringa.

- Jest pan przekonany, że bez zgody Göringa Kesselring nie da się namówić na ten krok?

- Gdybym nie był przekonany, nie mówiłbym.

- Nie widzi pan żadnej perspektywy?

- Widzę perspektywę. Perspektywę szybkiej zguby. Wszystkich nas, hurmem... To niestraszne, proszę mi wierzyć, gdy ginie się razem. I nasza klęska będzie tak druzgocąca, że pamięć o niej ranić będzie serca wielu pokoleń nieszczęsnych Niemców...

Na granicznej stacji Stirlitz wysiadł z wagonu. Generał, przechodząc obok, spuścił oczy i podniósł rękę w partyjnym pozdrowieniu.

- Heil Hitler! - powiedział głośno.

- Heil Hitler! - odpowiedział Stirlitz. - Życzę zwycięstwa nad wrogami.

Generał popatrzył na Stirlitza z przerażeniem: widocznie wczoraj nieźle sobie popił.

- Dziękuję - odpowiedział tak samo głośno, licząc widocznie na to, że usłyszy go konduktor. - Ukręcimy im kark.

- Nie wątpię - odparł Stirlitz i powoli poszedł wzdłuż peronu.

W dwóch wagonach pozostał jedynie profesor Szwed jadący do cichej i spokojnej neutralnej Szwajcarii. Stirlitz spacerował po peronie do momentu zakończenia kontroli



paszportowej i celnej. A potem pociąg powoli ruszył i Stirlitz długo patrzył na szwedzkiego profesora, który przywarł do szyby okna...

Szwedem tym był profesor Pleischner. Jechał do Berna z zaszyfrowanym meldunkiem dla Moskwy: o dokonanej pracy, o poleceniu Schellenberga, o kontakcie z Bormannem, o wpadce Kät. W swym meldunku Stirlitz prosił o przysłanie łącznika i podawał, kiedy i w jaki sposób może się z nim spotkać. Stirlitz poprosił także Pleischnera, aby nauczył się na pamięć tekstu krótkiego telegramu do Sztokholmu. Tekst był niewinny, ale ludzie, do których ta wiadomość była adresowana, powinni natychmiast przekazać ją do Moskwy, do centrali. Otrzymawszy tekst, w centrali przeczytają: „Himmler przez Wolfa rozpoczął w Bernie rozmowy z Dullesem. Justas”.

Stirlitz, westchnąwszy z ulgą, gdy pociąg odjechał, poszedł do miejscowej placówki służby granicznej; miał stąd otrzymać samochód, który zawiezie go do oddalonej górskiej strażnicy; wkrótce powinien „nielegalnie” przekroczyć w tym miejscu granicę pastor Schlag.

## INFORMACJA DO PRZEMYŚLENIA

(Dulles)

Agentka Schellenberga pracująca u Dullesa donosiła: do jej „gospodarza-podopiecznego” przyszedł wielebny Norelli z ambasady Watykanu w Szwajcarii. Między tymi dwoma mądrymi ludźmi odbyła się rozmowa, którą zanotowała prawie dosłownie.

„- Świat przeklnie Hitlera - mówił Dulles pykając fajkę - nie tylko za piece Majdanka i Oświęcimia i nie tylko za nieelastyczną politykę antysemityzmu... Nigdy w swej całej historii, nawet w świetnym i demokratycznym okresie po reformach, Rosja nie zrobiła takiego skoku do przodu, jak w lata wojny. Stworzyli olbrzymie moce produkcyjne na Uralu i Syberii. Hitler rzucił sobie w objęcia Rosję i Amerykę. Rosjanie odbudują ze środków niemieckich reparacji wojennych - Stalin liczy na otrzymanie od Niemiec dwudziestu miliardów dolarów - zniszczony przemysł zachodnich republik i w ten sposób podwoją potęgę swego potencjału przemysłowego. Rosja wysunie się na pierwsze miejsce w Europie pod względem potęgi i siły ofensywnej.

- To znaczy, że nie ma wyjścia? - spytał przedstawiciel Watykanu. - To znaczy, że za pięć, sześć lat bolszewicy zmuszą mnie, abym odprawiał msze na intencje jego świętobliwości Stalina?

- Jakby to panu powiedzieć... Ogólnie biorąc - mogą, oczywiście. Jeśli będziemy postępować jak jagnięta, mogą zmusić. Powinniśmy stawiać na rozwój nacjonalizmu w Rosji, wtedy być może oni się rozpadną... Ale przy tym trzeba działać mądrze. Jeśli przedtem Stalin miał metalurgię na Ukrainie i trochę na wschodzie; jeśli przedtem Ukraina żywiła pszenicą kraj, to teraz wszystko się zmieniło. U podstaw nacjonalizmu zawsze znajdują się interesy tych czy innych grup ludzi związanych z wytwarzaniem; albo, używając marksistowskiej frazeologii - z produkcją. Gdy ja sam coś produkuję - czuję się pewnie. A gdy pojawia się konkurent, wpadam w zły nastrój. W warunkach naszego systemu konkurencja jest czymś życiodajnym. W warunkach zaś systemu Stalina konkurencja jedynie kaleczy ludzi. Wysłać do przyszłej Rosji dywersantów, którzy by wysadzali fabryki, to po prostu śmieszne. Ale gdy nasza propaganda, posługując się rzeczowymi argumentami, podpowie narodom Rosji, że każdy z nich może istnieć mówiąc jedynie swoim językiem - będzie to nasze zwycięstwo i przeciwstawić temu naszemu zwycięstwu Rosjanie nic nie potrafią.

- Moi przyjaciele w Watykanie sądzą, że Rosjanie w latach wojny nauczyli się elastyczności i w działaniu, i w myśleniu.

- Widzi pan - powiedział Dulles napełniając fajkę - czytam teraz rosyjskich pisarzy: Puszkina, Sałtykowa, Dostojewskiego... Przeklinam siebie za to, że nie znam ich języka - rosyjska literatura jest chyba najbardziej zdumiewająca: mam na myśli ich literaturę wieku dziewiętnastego. Doszedłem do wniosku, że rosyjski charakter cechuje bardziej sięganie do idealnych wzorów przeszłości niż pełne ryzyka budowanie modelu przyszłości. Sądzę, że zdecydują się oni postawić na chłopów Rosji, mając nadzieję, że »ziemia wszystko uzdrawia i wszystkich jednoczy«. Wówczas popadną w konflikt z czasem, a wyjścia z tego konfliktu nie ma. Poziom rozwoju techniki nie pozwala na to.

- To interesujące - powiedział przedstawiciel Watykanu. - Ale widzę, że w swych hipotezach stawia pan siebie ponad nimi, a nie obok nich...

- Wzywa mnie pan do wstąpienia w szeregi WKP(b)? - Dulles uśmiechnął się. - Oni mnie nie przyjmą... ze względu, na powiązania rodzinne”.

*11.3.1945 (godzina 16 minut 03)*

Na strażnicy Stirlitz szybko omówił wszystkie szczegóły. Oberleutnant okazał się uległym, dobrym chłopakiem. Początkowo Stirlitza zdziwiła nawet ta uległość - pogranicznicy słynęli z gorliwości, tak jak burszowie w wieku ubiegłym. Ale pomyślawszy chwilę Stirlitz zrozumiał, w czym tkwi istota rzeczy: służba w górach, na granicy z neutralną Szwajcarią, w jakimś szczególnym księżycowośnieźnym świecie, z dala od bombardowań, zniszczeń i głodu sprawiała, że oberleutnant, dowodzący tym odcinkiem granicy, oraz wszyscy pozostali miejscowi naczelnicy byli ulegli wobec ludzi przyjeżdżających z centrum kraju. Sposób zachowania się żołnierzy służby granicznej, ich ugodowość i nerwowa krzątanina - wszystko to pozwoliło Stirlitzowi dojść do ważnego wniosku: granica przestała być szczelnie zamknięta.

Byłoby idealnie, pomyślał Stirlitz, gdybym połączył się stąd z Schellenbergiem - poprosiłbym go, aby któryś z zaufanych pracowników wywiadu dostarczył pastora od razu na strażnicę. Stirlitz uświadomił sobie jednak, że każdy telefon do Berlina zostanie zarejestrowany przez instytucję Müllera. A krach Schellenberga i tej misji, którą powierzał on pastorowi, powinien okazać się atutem właśnie jego, Stirlitza, w momencie gdy będzie on meldować o tym Bormannowi, z fotografiami, nagraniami, z adresami, lokalami i listami pastora, Wszystko to miało na celu skompromitowanie rozmów nie tych fikcyjnych, ale tych rzeczywistych, które miał prowadzić w Szwajcarii generał Karl Wolf. Ustaliwszy miejsce, w którym przeprowadzi pastora przez granicę - był to wąwóz porosły młodym świerkowym lasem - Stirlitz dowiedział

się, jak nazywa się mały szwajcarski hotel widoczny stąd, znad granicy; dowiedział się też nazwiska gospodarza hotelu i ile czasu trzeba czekać na taksówkę z miasta; ustalił, gdzie znajduje się najbliższy hotel na równinie - według obranej wersji pastor szedł na nartach z równiny w góry i zablądził w wąwozach. W Bernie i Zurychu pastor miał przyjaciół. Pocztówka z widokiem bulwaru Lozanny, którą pastor powinien wysłać, miała oznaczać, że wstępne rozmowy zakończyły się, kontakty zostały nawiązane, można przyjeżdżać na poważne rokowania. Początkowo Schellenberg protestował przeciwko temu planowi Stirlitza.

- Zbyt to wszystko proste - mówił. - Zbyt łatwe.

- On nie potrafi inaczej - odpowiedział Stirlitz. - Dla niego najlepsze kłamstwo to absolutna prawda. Inaczej zapłacze się i zajmie się nim miejscowa policja.

Do Babelsbergu Stirlitz wrócił późną nocą. Otworzył drzwi, sięgnął do kontaktu. I wtedy właśnie usłyszał głos, cichy, dobrze znajomy głos:

- Nie trzeba włączać światła.

Holtoff, pomyślał Stirlitz. Jak on tu trafił? Coś się stało, i to widocznie coś bardzo ważnego.

Wysławszy telegram do Sztokholmu, profesor Pleischner wynajął pokój w małym hoteliku w Bernie, wykapał się, a potem zszedł do restauracji i długo ze zdumieniem przeglądał menu. Przenosił wzrok ze słowa „szynka” - na cenę, ze słowa „homary” - na cenę, długo studiował ten niebieski woskowany papier, a później ni stąd, ni zowąd zaśmiał się i powiedział:

- Hitler łajdak!

Był sam w restauracji, w kuchni kucharz pobrzękiwał patelniami, pachniało mlekiem i świeżym serem.

Pleischner znowu, tym razem głośniej:

- Hitler gówniarz!

Widocznie ktoś go usłyszał. Pojawił się młody kelner o rumianych policzkach. Podszedł do profesora z promiennym uśmiechem.

- Dzień dobry panu.

- Hitler sukinsyn! - krzyknął Pleischner. - Sukinsyn! Łajdak! Bydle!

Nie mógł się opanować. To był atak hysterii.

Początkowo kelner próbował się uśmiechać, uważając to za żart, ale w końcu pobiegł do kuchni, skąd wyrzwał po chwili kucharz.

- Zadzwoń do szpitala? - zapytał kelner.

- Coś ty zwariował?! - odpowiedział kucharz. - podjedzie pod restaurację karetka pogotowia i od razu pójdzie plotka, że otruto u nas człowieka.

Po upływie godziny Pleischner przeniósł się z hoteliku do pensjonatu nad brzegiem jeziora. Doszedł do przekonania, że po tym napadzie hysterii byłoby głupio tam zostać.

Atak hysterii początkowo bardzo go przeraził. Chodził po ulicach oglądając się za siebie. Bał się, że lada chwila za jego plecami zapiszczą hamulce, chwycą go pod ręce milczący dragale, zawiozą do piwnicy i zaczną bić za to, że śmiał obrazić wielkiego führera. Ale chodził ulicami i nikt się nim nie interesował. W kiosku kupił angielskie i francuskie gazety, na pierwszych stronach zobaczył karykatury Hitlera i Göringa. Zaśmiał się cicho i od razu się przestraszył, że znowu zacznie się atak. Boże mój, pomyślał z ulgą. Czyżby rzeczywiście wszystko już było poza mną?

Poszedł pustą ulicą do konspiracyjnego lokalu, którego adres dał mu Stirlitz. Obejrzawszy się parę razy, profesor nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął tańczyć walca. Podśpiewywał jakąś melodię i krążył, szurając staromodnie podeszwami butów i wykonując takie figury, jakie - pamiętał - wykonywali tancerze estradowi na początku wieku.

Drzwi otworzył mu wysoki, masywny mężczyzna.

- Otto prosił przekazać - powiedział profesor słowa hasła - że wczoraj wieczorem czekał na telefon od pana.

- Proszę, niech pan wejdzie - odparł mężczyzna i Pleischner wszedł do mieszkania, chociaż nie miał prawa tego robić, dopóki nie usłyszy odzewu: „Dziwne, byłem w domu, widocznie pomylił numer”. Oszalająca atmosfera wolności zemściła się na profesorze. Konspiracyjny lokal radzieckiego wywiadowcy został zdemaskowany przez hitlerowców i obecnie tajniacy Müllera, posiadający szwajcarskie paszporty, oczekiwali „gości”. Pierwszym gościem okazał się łącznik Stirlitza, profesor Pleischner.

- No? - zapytał wysoki mężczyzna, gdy weszli do pokoju. - Co tam u niego?

- Proszę - powiedział Pleischner podając mu małą ampułkę. - Tutaj jest wszystko powiedziane.

- To go uratowało. Niemcy nie znali ani hasła, ani ludzi, którzy powinni byli tu przyjść. Dlatego podjęto decyzję: jeśli łącznik nie wejdzie bez odzewu, trzeba go złapać i uśpiwszy wywieźć do Niemiec. Jeśli natomiast nawiąże z nimi kontakt, będą go śledzić i w ten sposób zdemaskują głównego rezydenta.

Wysoki człowiek wszedł do sąsiedniego pokoju. Otworzył ampułkę i położył na stole bibułkę do papierosów. Cyfry składały się na meldunek. Takie same cyfry znajdowały się

obecnie w centrum deszyfrowania w gestapo w Berlinie, właśnie tym szyfrem przekazywane były doniesienia radzieckiej radiotelegrafistki, która zgodziła się pracować dla Rzeszy.

Wysoki mężczyzna podał meldunek swemu pomocnikowi i powiedział:

- Szybko do ambasady. Przekaż naszym, żeby zorganizowali obserwację tego typu. Zatrzymam go i postaram się z nim porozmawiać - to dyletant, spełnia widocznie pomocniczą funkcję, ja go już rozruszam...

Z partyjnej charakterystyki członka NSDAP od 1944 r. Barbary Bekker, unterscharführera SS (IV Wydział RSHA): „Rzeczywista Aryjka. Charakter nordycki, zrównoważony. Wypełnia bez zarzutu obowiązki służbowe. Z towarzyszami pracy przyjacielska. Sportsmenka. Bezlitosna w stosunku do wrogów Rzeszy. Niezameżna. Związków kompromitujących ją nie zauważono...”

Kät chodziła po pokoju kołysząc syna na rękach. Pod nieobecność Stirlitza - tak jak to zapowiedział - przeniesiono ją do zakonspirowanego mieszkania gestapo, gdzie zmontowano niedużą, ale silną radiostację. Kät patrzyła na twarz śpiącego chłopczyka i myślała: wszystkiego w życiu trzeba się uczyć, i jak zrobić jajecznicę, i jak szukać książek w katalogu, i matematyki. A macierzyństwa uczyć się nie trzeba...

- Nawołujemy ludzi do neutralności - powiedziała jej kiedyś strażniczka, fräulein Barbara. Była jeszcze młoda i lubiła pogawędzić przed kolacją. Żołnierz SS Helmut, mieszkający w sąsiednim pokoju, nakrywał stół na trzy osoby, żeby uczcić dwudziestopięciolecie wychowanki organizacji hitlerowskiej. W czasie tej uroczystej kolacji z ziemniakami i gulaszem Barbara powiedziała, że gdy Niemcy wygrają wojnę, kobiety będą mogły nareszcie zająć się swoją pracą - porzucą armię i przemysł i zaczną zakładać duże niemieckie rodziny.

- Rodzenie i karmienie oto zadanie kobiety - mówiła Barbara. - Wszystko pozostałe to bzdura, wymyślona przez zgniłe burżuazyjne demokracje i reżim stalinowski. Ludzie powinni stać się zdrowi i silni. Nie ma nic dzisiaj czystsze go ponad zwierzęcy instynkt. Nie boję się mówić o tym otwarcie.

- Jak to tak? - Zainteresował się Helmut, odesłany do służby na tyłach po kontuzji. - Dzisiaj ze mną, jutro z drugim, a pojutrze z trzecim?

- To byłaby podłość - odpowiedziała Barbara zmarszczywszy brwi z pogardą. - Rodzina jest rzeczą świętą i nienaruszalną. Ale czyż w łóżku z mężem, z głową rodziny, nie mogę cieszyć się miłością w ten sposób, jak gdyby on był i tym drugim, i tym trzecim, i czwartym?

Trzeba wyzwolić się od uczucia wstydu - to też bzdura... Pani pewnie się ze mną nie zgadza? - zapytała zwracając się do Kät.

- Nie zgadzam się.

- Chęć zrobienia lepszego wrażenia to też wybieg kobiecy stary jak świat. Czy pani nie sądzi, że nasz poczciwy Helmut wolałby mnie od pani? - Barbara zaśmiała się. - On boi się Słowian, a poza tym ja jestem młodsza...

- Nienawidzę kobiet - powiedział głucho Helmut.

- Dlaczego? - zapytała Barbara i łobuzersko mrugnęła do Kät. - Za co pan nas nienawidzi?

- Właśnie za to, co pani tutaj głosiła. Kobieta jest gorsza od zbrodniarza, on przynajmniej nie oszukuje, złoczyńca jest od razu złoczyńcą. A tu najpierw cię oczarują, potem owijają cię dookoła palca, kręcą tobą jak chcą, i w końcu kładą się do łóżka z twoim najbliższym przyjacielem...

- Żona panu przyprawiła rogi! - Barbara aż klasnęła w dłonie. Kät zauważyła, że miała bardzo ładne ręce: miękkie, delikatne, z dziecięcymi dołeczkami i dokładnie wypolerowanymi różowymi paznokciami.

Esesman popatrzył twardo na Barbarę i nic nie odpowiedział. Był jej podwładnym, szeregowcem, a ona unterscharführerem.

- Przepraszam - powiedziała Kät wstając od stołu. - Czy mogę pójść do siebie?

- A co się stało? - zapytała Barbara. - Dzisiaj nie bombardują, pracować jeszcze pani nie zaczęła, można posiedzieć trochę dłużej.

- Boję się, że mały się obudzi. Może pani mi pozwoli z nim spać? Żal mi jest tego pana.

- Kät kiwnęła głową w stronę Helmuta. - Na pewno przez małego nie może się wyspać.

- To cichy, spokojny chłopak - powiedział Helmut. - I zupełnie nie płacze.

- Nie wolno - odparła Barbara. - Nie wolno pani mieszkać razem z dzieckiem.

- Przecież nie ucieknę. - Kät próbowała się uśmiechnąć.

- Stąd nie można uciec - oświadczyła Barbara. - Nas dwoje, a oprócz tego zamki są solidne. Nie, bardzo żałuję, ale mam rozkaz dowództwa. Niech pani spróbuje porozmawiać z pani szefem.

- A kto jest moim szefem?

- Standartenführer Stirlitz. Może uchylić polecenie dowództwa w wypadku, jeśli wykaże się pani w pracy. Dla jednych bodźcem są pieniądze, dla drugich mężczyźni, dla pani najpewniejszy bodziec do dobrej pracy to dziecko, prawda?

- Tak - odpowiedziała Kät. - Ma pani rację.

- Przy okazji, pani dotąd nie nadała dziecku imienia - powiedziała Barbara odcinając od kartofla mały kawałek. Kät zauważyła, że dziewczyna je niby na przyjęciu dyplomatycznym - jej ruchy były pełne gracji, a cały w czarnych plamach ziemniak wydawał się jakimś fantastycznym, egzotycznym owocem.

- Nazwę go Włodzimierz...

- Na cześć kogo? Pani ojciec był Włodzimierzem? Albo ojciec dziecka? Jak miał na imię?

- Kto?

- Pani mąż.

- Erwin.

- Ja wiem, że Erwin. Ale pytam o jego imię prawdziwe, rosyjskie...

- Znałam go jako Erwina.

- On nawet pani nie podał swego imienia?

Kät uśmiechnęła się. - Pracownicy waszego wywiadu, podobnie jak i wszyscy wywiadowcy świata, też chyba znają jedynie swoje pseudonimy. O tym, że ja jestem Katia, wiedział tylko mój szef w Moskwie i prawdopodobnie ci ludzie, którzy byli związani z Erwinem, jego tutejsi szefowie.

- Włodzimierz to imię Lenina - powiedziała po chwili milczenia Barbara. - Niech pani dziękuje Bogu, że zajmuje się panią Stirlitz, on słynie u nas z liberalizmu i umiejętności logicznego myślenia...

#### *DO REICHSFÜHRERA SS HEINRICHA HIMMLERA*

*Ścisłe tajne. Wylącznie do rąk własnych.*

*W jednym egzemplarzu.*

*Reichsführerze!*

*Wczorajszej nocy przystąpiłem do praktycznej realizacji operacji „Prawda”. Uprzednio zapoznałem się wstępnie z okolicą, z drogami i topografią terenu. Sądziłem, że nierozważnie byłoby zbierać bardziej szczegółowe informacje o szoferach, którzy będą przewożili archiwum reichsleitiera Bormanna, lub interesować się domniemaną trasą ich przejazdu. Mogłoby to wzbudzić czujność straży. Zaplanowałem przeprowadzić akcję w miarę możliwości „bezgłośnie”, ale wydarzenia ubiegłej nocy nie pozwoliły mi na realizację „bezgłośnego wariantu”. Gdy moi ludzie ubrani po cywilnemu zatarasowali szosę ciężarówką, kolumna przewożąca archiwum reichsleitiera, nie zatrzymując się, otworzyła ogień w stronę*



*ciężarówki i moich ludzi, nie interesując się, co to za ludzie, nie sprawdzając dokumentów. Pierwszy samochód z ochrony archiwum partyjnego wjechał na naszą ciężarówkę i zepchnął ją do rowu. Droga okazała się wolna. Pięciu ludzi z pierwszego samochodu ochrony przeskoczyło do następnego samochodu i kolumna ruszyła naprzód. Zorientowałem się, że w każdej ciężarówce znajduje się co najmniej pięciu albo sześciu uzbrojonych ludzi. Nie byli to, jak się później wyjaśniło, żołnierze lub członkowie jakiejś formacji wojskowej. Byli to funkcjonariusze miejscowej organizacji NSDAP, zmobilizowani w nocy przed ewakuacją archiwum. Otrzymali osobisty rozkaz Bormanna, aby strzelać do każdego, niezależnie od stopnia i okoliczności - kto zbliży się do samochodów bardziej niż na dwadzieścia metrów. Zorientowałem się, że trzeba zmienić taktykę, i wydałem polecenie rozczłonkowania kolumny: jednej części swych ludzi rozkazałem, równoległą drogą podążać do przecięcia szosy z linią kolejową; dyżurny na stacji został izolowany, jego miejsce zajął mój zaufany człowiek, który miał, zamknąć drogę opuściwszy szlaban. Ja zaś z pozostałymi ludźmi, rozbiwszy kolumnę na dwie części (w tym celu trzeba było podpalić za pomocą panczerfausta ciężarówkę jadącą jako trzynasta, licząc od czoła kolumny), powstałem na miejscu. Niestety, musieliśmy użyć broni: każda ciężarówka broniła się do ostatniego naboju, nie bacząc na to, że zaproponowaliśmy im pertraktację. Pierwszych trzynaście samochodów podjechało do przejazdu równocześnie z naszymi samochodami, ale stało tu już 10 czołgów z 24 korpusu armijnego, które wzięły na siebie ochronę ciężarówek reichsleitiera. Nasi ludzie musieli ustąpić. Te ciężarówki, które zdobyliśmy, zostały spalone, a wszystkie worki i ocynkowane skrzynie, zagarnięte przez nas, przeladowano do aut pancernych i odwieziono na lotnisko. Szoferzy, którzy doprowadzili auta pancerne na lotnisko, zostali zlikwidowani przez naszą grupę uderzeniową.*

*Heil Hitler*

*Pański Skorzeny*

Do konspiracyjnego lokalu przyszedł Rolf ze swymi dwoma pomocnikami. Był lekko podпиты, dlatego przez cały czas upiększał swoją mowę zwrotami lub słowami francuskimi. Müller powiedział mu, że Kaltenbrunner wyraził zgodę na to, żeby właśnie on, Rolf, pracował z Rosjanką pod nieobecność Stirlitza.

- Schellenberg wyprawił Stirlitza na jakąś akcję. Rolf w tym czasie będzie pracował na zasadzie kontrastu: po złym oficerze śledczym aresztowani szczególnie lgną do dobrego. Stirlitz jest dobry, prawda? - zaśmiał się Kaltenbrunner, częstując Müllera papierosem.

Müller zapalił i zaczął się zastanawiać. Było mu na rękę, że Himmler wiedział, iż jeden z pracowników RSHA rozmawiał z Bormannem, a nie wiedział o tym Kaltenbrunner. Ten fakt

dawał mu możliwość manewrowania między dwoma siłami. Z tego też powodu nie wtajemniczał Himmlera w istotę podejrzeń Kaltenbrunnera - podejrzeń dotyczących Stirlitza. Z kolei Kaltenbrunner nic nie wiedział o tajemniczej rozmowie z Bormannem, którą Himmler ocenił jako zdradę i donos.

- Chce pan, żebym przyjrzał się, jak Stirlitz będzie pracował z radiotelegrafistką? - zapytał Müller.

- Po co? - zdziwił się Kaltenbrunner. - Po co ma pan się przyglądać? Według mnie jest on dostatecznie zręcznym człowiekiem, zwłaszcza jeśli idzie o problemy radiowe.

Czyżby Kaltenbrunner zapomniał o swoich słowach? zdziwił się w duchu Müller. Czy on coś nie knuje przeciwko mnie? Czy warto mu przypomnieć? Chyba byłoby to niecelowe. Niech to wszystko diabli.

- Czy Rolf ma stosować własną partyturę przy pracy z rosyjską pianistką?

Radiotelegrafistów nazywano zwykle pianistami, a kierownika grupy wywiadu dyrygentem. W ostatnim okresie, gdy Berlin zapełnili uciekinierzy, gdy trzeba było rozlokować ewakuowanych pracowników, którzy przybyli z archiwami z Prus Wschodnich, Paryża i Bukaresztu, ta terminologia uległa jakoś zapomnieniu i aresztowanego agenta zaczęto częściej określać nie według jego zawodu, ale według narodowości.

Dlatego Kaltenbrunner w zamyśleniu powtórzył:

- Z pianistką? Nie, niech Rolf skontaktuje się ze Stirlitzem. Cel powinien być ten sam, a drogi do niego mogą być różne.

- To też prawda.

- Jakie osiągnięcia mają deszyfranci?

- Nie mogą się pochwalić sukcesem, bo to bardzo chytry szyfr.

- Potrząśnijcie Rosjanką. Nie wierzę, żeby nie znała szyfru.

- Stirlitz pracuje z nią swoistymi metodami.

- Stirlitza na razie nie ma, niech więc nią potrząśnie Rolf.

- Po swojemu?

Kaltenbrunner chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił telefon z bunkra Führera: Hitler zapraszał Kaltenbrunnera na naradę.

Kaltenbrunner pamiętał oczywiście rozmowę na temat Stirlitza. Ale przedwczoraj wieczorem, spotkawszy się z Bormannem, długo rozmawiali na temat finansowych operacji za granicą: między innymi Bormann powiedział:

- Niech pańscy ludzie zabezpieczą pełną tajemnicę tej akcji. Proszę wciągnąć w to ludzi najbardziej zaufanych: Müllera, Stirlitza...

Kaltenbrunner znał „warunki gry”; jeśli Bormann nie pytał personalnie o kogoś, lecz sam wymieniał jego nazwisko, to znaczyło, że człowiek ten znajdował się w polu jego widzenia, to znaczyło, że chodzi o „potrzebnego” człowieka.

Przy pierwszym przeglądzie zdobytych archiwów Bormanna nie znaleziono ani jednego dokumentu, który by rzucał światło na kanały, jakimi NSDAP przelewała swe pieniądze do banków zagranicznych. Widocznie albo dokumenty te zostały ewakuowane, albo też Bormann zachował w swej fenomenalnej pamięci cyfry bankowych kont i nazwiska agentów finansowych, którzy mogliby mu być potrzebni po zakończeniu wojny. Być może zresztą, i to byłoby najbardziej przykre, że te dokumenty zostały w owych pierwszych trzynastu samochodach, którym udało się przerwać przez kordon Skorzenego.

Jednak w tych archiwach, które zostały przechwycone przez ludzi Skorzenego, znajdowały się dokumenty w najwyższym stopniu interesujące. W szczególności zaś list Stirlitza do Bormanna. Chociaż anonimowy, świadczył jednak o tym, że w łonie SD dojrzewa zdrada.

Himmler pokazał list Schellenbergowi i poprosił go, aby przeprowadził w tej sprawie śledztwo. Schellenberg obiecał spełnić polecenie reichsführera, choć zdawał sobie doskonale sprawę, że jest niewykonalne. Ale istnienie tego dokumentu nasunęło mu myśl, że w archiwum Bormanna znajdują się bardzo ważne materiały, które pozwolą sprawdzić ponownie lojalność podwładnych, ustalić, czy nie pracowali oni równocześnie dla Bormanna, a jeśli tak, to od kiedy, czym się zajmowali, jakie mieli polecenia, kogo rozpracowywali. Schellenberg nie bał się wiadomości, że jego podwładni pracują dla dwóch szefów. Chodziło mu przede wszystkim o to, żeby zorientować się, co Bormann wie o jego najtajniejszych zamiarach - o jego planach dotyczących pokoju.

Wielu podwładnych Schellenberga skierowano do tej pracy. Prawie co godzina otrzymywał on aktualne meldunki. Treść ich była wciąż taka sama: „Na razie nie ma nic interesującego”.

## CZY W BERNIE WSZYSTKO JUŻ PRZYGOTOWANE

- Jak się czuje nasz szef? - zapytał wysoki. - Zdrowy?

- Tak. - Pleischner uśmiechnął się. - Wszystko w porządku.

- Napije się pan kawy?

- Dziękuję. Z przyjemnością.

Mężczyzna wyszedł do kuchni i zawołał stamtąd:

- Ma pan pewne przykrycie?

- Mieszkam na pierwszym piętrze - nie rozumiawszy żargonu odpowiedział Pleischner.

Gestapowiec uśmiechnął się: miał rację - przyszedł do niego dyletant, dobrowolny pomocnik. „Przykrycie” w slangu wszystkich wywiadowców świata oznacza osłonę. Nie trzeba się tylko spieszyć, powiedział sobie. Tego starego mam już w kieszeni. Wszystko powie, tylko trzeba z nim bardziej ostrożnie...

- W Niemczech takiej nie ma - powiedział podając Pleischnerowi filiżankę kawy. - Te łąjdaki poją naród lura, a tu sprzedaje się prawdziwą, brazylijską.

- Świetna - wypiwszy łyceczek, zgodził się Pleischner. - Nie piłem takiej kawy chyba przez dziesięć lat.

- Grecy nauczyli mnie popijać mocną kawę wodą. Chce pan spróbować?

Pleischnera wszystko teraz cieszyło; chodził lekko, myślał z łatwością, swobodnie oddychał. Zaśmiał się:

- Nigdy nie piłem w ten sposób kawy. To może być interesujące: kontrast temperatury i smaku daje ciekawe efekty; no i na serce mniej szkodzi.

- Co ma mi pan przekazać ustnie? - spytał wysoki.

- Nic, dał mi tylko tę ampulkę.

- Dziwne.

- Dlaczego?

- Myślałem, że powie mi, kiedy mam na niego czekać.

- Nic o tym nie mówił.

- A przy okazji, nie spytałem pana, jak przedstawiają się pańskie sprawy finansowe?

- Mam na razie pieniądze.

- Jeśli będą panu potrzebne, proszę przyjść do mnie. Wiele oczywiście nie będę mógł panu pożyczyć, ale na to, żeby przetrzymać, jakoś starczy... Czy nie zauważył pan - jakby to powiedzieć? - czy nie było za panem ogona?

- Ogona? To znaczy, czy mnie ktoś nie śledził?

- Tak.

- Wie pan, przyznam się, że jakoś nie zwracałem na to uwagi.

- To nierozsądne. Szef nie dał panu instrukcji na ten temat?

- Oczywiście że dał, ale ja poczułem się tu, po wielu latach, szczególnie po obozie koncentracyjnym, poczułem się wreszcie na wolności i upiłem się nią. Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał.

- O tym nigdy nie wolno zapominać. Szczególnie w tym neutralnym kraju. Tutaj jest cwana policja... Bardzo cwana policja. Ma pan coś jeszcze do mnie?

- Nie, nie mam...

- Poproszę o pana paszport.

- Tamten powiedział mi, żebym zawsze miał paszport przy sobie...

- A czy powiedział panu, że przechodzi pan teraz pod moje kierownictwo ?

- Nie.

- Tak, prawda, o tym jest mowa w telegramie, który pan przekazał. Pomyślimy, jak w naszej sytuacji najlepiej postąpić. Co pan zamierza teraz...

- Wrócę do hotelu i położę się spać.

- Nie... Ja mam na myśli... pańską pracę.

- Muszę się najpierw wyspać - powtórzył Pleischner. - Marzę o tym, żeby dzień, dwa pospać, a potem będę myślał o pracy. Wszystkie rękopisy zostawiłem w Berlinie. Zresztą znam swe prace na pamięć...

Wysoki mężczyzna z gestapo wziął szwedzki paszport Pleischnera i rzucił go niedbale na stół.

- Pojutrze o godzinie drugiej przyjdzie pan po paszport, sami zarejestrujemy go w szwedzkim konsulacie. Dokładnie mówiąc, postaramy się to zrobić: Szwedzi zachowują się ohydnie, z każdym dniem coraz gorzej.

- Kto? - nie zrozumiał Pleischner.

Gestapowiec zakrztusił się - wypadł z roli i żeby zatrzeć to wrażenie, zapalił papierosa; długo wypuszczał dym, zanim odpowiedział:

- Szwedzi w każdym człowieku, który przyjechał z Niemiec, widzą agenta hitlerowskiego. Dla tych drani to nieważne, jakim jest człowiek Niemcem: walczącym z Hitlerem patriotą czy szpiclem gestapo.

- Nie mówiono mi, żebym zarejestrował się w konsulacie...

- To wszystko przekazano nam w specjalnym szyfrogramie.

Widocznie jego szef jest w Berlinie, myślał gestapowiec. To jasne, przecież sam powiedział, że zostały tam jego rękopisy. To znaczy, że złapiemy faceta w Berlinie. To może być sukces. Tylko nie trzeba się spieszyć, tylko się nie spieszyć...

- Dziękuję panu - powiedział Pleischner wstając. - Kawa jest rzeczywiście wspaniała, a z zimną wodą tym bardziej.

- Pan zawiadomi, kogo trzeba, że wszystko w porządku, czy też chce pan, żebym ja to zrobił?

- Może pan to zrobi za pośrednictwem swych towarzyszy?

Komunista, odnotował w pamięci gestapowiec. To bardzo interesujące, niech go diabli.

- Tak, zrobię to przez towarzyszy. A pan niech ze swej strony poinformuje szefa. I nie trzeba z tym zwlekać.

- Chciałem to zrobić dzisiaj, ale nie mogłem dostać takiego znaczka, jaki powinienem nalepić na pocztówkę.

- Pojutrze przygotuję dla pana potrzebny znaczek, jeśli nie ma go w sprzedaży... A co powinno być na tym znaczku?

- Zdobycie Mont Blanc. Niebieski, obowiązkowo niebieski.

- Dobrze. Pocztówkę ma pan przy sobie?

- Nie. Zostawiłem w hotelu.

- To źle. Nie wolno w hotelu nic zostawiać.

- Co pan? - Pleischner uśmiechnął się. - To zwykła pocztówka, kupiłem w Berlinie takich dziesięć. A tekstu nauczyłem się na pamięć, tak że nie dopuściłem się żadnego zaniedbania.

Ściskając Pleischnerowi dłoń, wysoki mężczyzna powiedział:

- Ostrożność i jeszcze raz ostrożność, towarzyszu. Pamiętajcie: tutaj jest tylko pozorny spokój.

- On mnie ostrzegał. Wiem.

- Na wszelki wypadek zostawcie swój adres.

- „Wirginia”. Pensjonat „Wirginia”.

- Tam mieszkają Amerykanie.

- Dlaczego? - zdziwił się Pleischner.

- Angielska nazwa. A oni z reguły zatrzymują się w hotelach o angielskich nazwach.

- Z tego, co zauważyłem, wnioskuję, że nie ma tam cudzoziemców.

- Sprawdzimy. Gdyby mnie pan zobaczył w tym pensjonacie, proszę do mnie nie podchodzić. Nie znamy się.

- Dobrze.

- I jeszcze jedno... Jeśli zdarzy się coś nadzwyczajnego, proszę natychmiast zadzwonić do mnie pod numer... Zapamięta pan? - Dwa razy powtórzył cyfry.

- Tak - odpowiedział Pleischner. - Mam dobrą pamięć. Łacina ćwiczy pamięć najlepiej.

Wyszedł z bramy i powoli kroczył ulicą. Starzec w futrzanej kamizelce zamykał okiennice swojego sklepiku zoologicznego. W klatkach skakały ptaki. Pleischner stanął przed witryną i chwilę się im przyglądał.

- Chce pan coś kupić? - zapytał stary człowiek.

- Nie, po prostu zachwycam się pańskimi ptakami.

- Najciekawsze mam w sklepie. Postępuję na odwrót. - Staruszek był widać gadatliwy. - Wszyscy wystawiają w oknie najbardziej atrakcyjny towar, a ja uważam, że ptaki to nie towar. Ptaki są ptakami. Do mnie przychodzi wielu pisarzy, siadają i słuchają śpiewu ptaków. A jeden powiedział: „Zanim jak Orfeusz opuszczę się w piekło nowej książki, muszę nasłuchać się najwspanialszej muzyki - ptasiej. Inaczej nie potrafię zaśpiewać światu pieśni Orfeusza, który znajduje swą Eurydykę”.

Pleischner wytarł łzy, którymi nieoczekiwanie zasły mu oczy, i powiedział odchodząc od witryny:

- Dziękuję panu.

*12.3.1945 (godzina 02 minut 41)*

- Dlaczego nie wolno zapalać światła? Czego się pan przestraszył? - zapytał Stirlitz.

- Nie pana - odpowiedział Holtoff.

- No to pójdziemy po omacku.

- Zdążyłem się już oswoić z pańskim mieszkaniem. Tak tu przytulnie i cicho.

- Szczególnie gdy bombardują - jęknął Stirlitz. - Boli mnie krzyż, widocznie porządnie mnie zawiąło. Pójdę do łazienki po aspirynę. Niech pan siada. Proszę dać rękę - tu jest krzesło.

Stirlitz wszedł do łazienki i otworzył apteczkę.

- Zamiast aspiryny zażyję po ciemku coś na przeczyszczenie - powiedział powróciwszy do pokoju. - Zaciągnę zasłony, są bardzo szczelne, i rozpalimy na kominku.

- Próbowałem zaciągnąć, ale pańskie zasłony mają jakiś szyfr.

- Nie, po prostu kółka zaczepiają się o drzewo. Zaraz wszystko zrobię. A co się stało, stary? Kogo się pan tak boi?

- Müllera.

Stirlitz zasłonił okna i przekreślił kontakt. Usłyszawszy trzask, Holtoff powiedział:

- Wyjąłem korki. W pańskim mieszkaniu jest zainstalowana aparatura podsłuchowa.

- Przez kogo?

- Przez nas.

- Po co?

- Właśnie w tej sprawie przyszedłem do pana. Niech pan rozpali na kominku i siada, mamy mało czasu, a musimy porozmawiać o wielu ważnych sprawach.

Stirlitz podpalił suche drewno. W kominku zahuczało.

- No? - zapytał siadłszy w fotelu, bliżej ognia. - Co u pana słyhać, przyjacielu?

- U mnie? U mnie nic. A co pan teraz zamierza robić?

- W zasadzie chciałbym się teraz wykapać i pójść spać. Zmarzłem i jestem śmiertelnie zmęczony...

- Przyszedłem do pana jako przyjaciel, Stirlitz.

- Niech pan przestanie. Dlaczego pan jest taki tajemniczy? Napije się pan czegoś?

- Chętnie.

Stirlitz przyniósł koniak, nalał Holtoffowi i sobie. Wypili milcząc.

- Dobry koniak.

- Jeszcze? - zapytał Stirlitz.

- Z przyjemnością.

Wypili jeszcze po jednym i Holtoff powiedział pstryknąwszy palcami:

- Stirlitz, przez cały ten tydzień zajmowałem się pańską sprawą.

- Nie rozumiem.

- Müller polecił mi, abym po cichu przyjrzał się dokumentom sprawy fizyków.

- Niech pan posłucha, Holtoff, cały czas mówi pan zagadkami. Co ma ze mną wspólnego aresztowany fizyk? Dlaczego pan w tajemnicy sprawdzał akta prowadzonych przeze mnie spraw i z jakiej przyczyny Müller szuka przeciwko mnie dowodów?

- Nie mogę tego panu wyjaśnić, ponieważ sam nic dokładnie nie wiem. Wiem tylko, że jest pan pod obserwacją.

- Ja? - zdumiał się Stirlitz. - Przecież to idiotyzm! Nasi szefowie stracili zupełnie głowę w tym rozgardiaszu!



- Stirlitz, sam pan mnie uczył opanowania i logicznego myślenia.

- Pan radzi mi być opanowanym? Po tym, co pan mi powiedział? Tak, jestem nieopanowany. Jestem oburzony. Zaraz pójde do Müllera...

- On śpi. I proszę się z tym nie spieszyć. Najpierw niech pan wysłucha mnie. Opowiem panu, co mi się udało odkryć w związku ze sprawą fizyków. Nie mówiłem o tym na razie Müllerowi, czekałem na pana.

Stirlitzowi potrzebny był moment, żeby zebrać myśli i sprawdzić w pamięci, czy nie zostawił jakichś na pierwszy rzut oka zupełnie niewinnych, a jednak kompromitujących śladów - w pytaniach, w formie zanotowania odpowiedzi, w zbytnim zainteresowaniu szczegółami... Jak Holtoff się zachowa? myślał Stirlitz. Przyjść i powiedzieć, że po cichu zajmuje się mną gestapo, to zdrada, która pachnie dla niego rozstrzelaniem. Ten człowiek jest z przekonania nazistą, co mu się więc nagle stało? Może chce umie wybadać na polecenie Müllera? Chyba nie. Tutaj nie ma ich ludzi, zresztą powinni wiedzieć, że po takiej rozmowie najwygodniej byłoby mi gdzieś się ukryć. To nie czterdziesty trzeci rok, front blisko. A więc co? Przyszedł z własnej inicjatywy? Hm... Nie jest na tyle mądry, żeby podjąć poważną grę. Chociaż bardzo cwany. Trudno się zorientować w takiej naiwnej chytrłości, ale właśnie taka naiwna chytrłość może zwyciężyć i logikę, i zdrowy rozsądek.

Stirlitz poruszył pogrzebaczem palące się polana i powiedział:

- No to wał pan prosto z mostu.

- To jest bardzo poważna sprawa.

- A co na tym świecie nie jest poważne?

- Wezwałem trzech ekspertów z resortu Schumanna.

Schumann był doradcą wehrmachtu do spraw nowej broni, jego ludzie zajmowali się problemami rozbicia jądra atomu.

- Ja także wezwałem ekspertów stamtąd, gdy wy aresztowaliście Rungego.

- Tak. Rungego aresztowaliśmy my, ale z jakiego powodu zajmowaliście się nim wy, z wywiadu?

- Nie rozumie pan tego?

- Nie, nie rozumiem.

- Runge studiował we Francji i w Stanach. Czy tak trudno się domyślić, jak ważne są jego związki w tych krajach? Nas wszystkich gubi brak śmiałości w widzeniu problemów. Boimy się fantazji. Stąd - dotąd i ani kroku w bok. To nasz podstawowy błąd.

- To prawda - zgodził się Holtoff. - Ma pan rację. Co się tyczy śmiałości, nie będę się z panem spierał. Ale jeśli chodzi o szczegóły, gotów jestem dyskutować. Runge twierdził, że

trzeba nadal prowadzić badania nad możliwością otrzymania plutonu z wysokoradioaktywnej substancji, i właśnie z tego powodu robili mu zarzuty jego naukowci oponenci. Właśnie oni napisali na niego donos, zmusiłem ich, aby się do tego obecnie przyznali.

- Nie wątpiłem w to ani przez chwilę.

- A teraz nasi ludzie donieśli z Londynu, że Runge miał rację! Amerykanie i Anglicy poszli jego drogą! A on siedział u nas w gestapo!

- U was w gestapo - powtórzył Stirlitz. - U was, Holtoff. Nie myśmy go aresztowali, lecz wy. Nie my zatwierdziliśmy wyrok, lecz wy. Müller i Kaltenbrunner. I ani ja, ani pan, ani Schumann nie mieliśmy babki Żydówki, a on miał i to ukrył...

- Niechby sobie miał i dziadka trzykrotnego Żyda! - wybuchnął Holtoff. - Nieważne, kim był jego dziadek, jeśli on pracował dla nas, i to pracował z całym oddaniem! A pan uwierzył łajdakom!

- Łajdakom?! Starym członkom partii? Sprawdzonym Aryjczykom? Fizykom, których osobiście nagradzał Führer?

- Dobrze, dobrze. Niech będzie... To wszystko prawda. Pan ma rację. Niech pan da jeszcze koniaku.

- Korka pan nie wyrzucił?

- Korek trzyma pan w lewej ręce, Stirlitz.

- Pytam pana o korki od elektryczności.

- Nie, są w szufladzie stolika, obok lustra.

Holtff wypił koniak jednym haustem, gwałtownie odrzucając głowę do tyłu.

- Dużo piję - powiedział.

- Chciałbym wiedzieć, kto teraz mało pije.

- Ci, którzy nie mają pieniędzy - zażartował Holtoff. - Nieszczęśliwi ludzie.

- Ktoś powiedział, że pieniądze to wolność w metalu.

- To prawda - przytaknął Holtoff. - No a co pan sądzi, Jak postąpi Kaltenbrunner, jeśli zamelduję mu o rezultatach mojej pracy?

- Jest pan zobowiązany do zameldowania o tym najpierw Müllerowi. On wydał rozkaz aresztowania Rungego.

- A pan prowadził jego sprawę, sprawę Rungego.

- Prowadziłem, ale na polecenie kierownictwa, wypełniając rozkaz.

- I jeśli pan go zwolnił, to już przed pół rokiem mieliby znaczne sukcesy w produkcji broni odwetu.

- Może pan to udowodnić?

- Już to udowodniłem.

- Wszyscy fizycy zgadzają się z panem?

- Większość. Większość z tych, których wezwałem na rozmowy. A więc co się z panem stanie?

- Nic - odpowiedział Stirlitz. - Absolutnie nic. Rezultaty naukowych doświadczeń potwierdza praktyka. Skąd pan weźmie potwierdzenie?

- Mamy je już. W kieszeni.

- Aż tak?

- Właśnie tak. Otrzymałem pewne informacje z Londynu. Najświeższe nowości. To jest równoznaczne dla pana z wyrokiem śmierci.

- O co panu chodzi, Holtoif? Pan do czegoś zmierza, ale do czego?

- Jestem gotów powtórzyć jeszcze raz: świadomie czy nieświadomie pan, właśnie pan, udaremnił pracę nad stworzeniem broni odwetu. Świadomie czy nieświadomie pan, właśnie pan, zamiast przesłuchać stu fizyków, ograniczył się do dziesięciu i oparł się na ich zeznaniach, a oni byli zainteresowani w izolacji Rungego, i w ten sposób przyczynił się pan do tego, że metoda Ruagego została uznana za metodę wroga i bez perspektyw!

- To znaczy, że namawia mnie pan do tego, abym nie wierzył prawdziwym bojownikom Führera, ludziom, którym ufają i Keitel, i Göring, i abym stanął w obronie człowieka, który wszedł na amerykańską drogę badania atomu? Pan chce, żebym uwierzył Rungemu, którego aresztowało gestapo - a gestapo nikogo na próżno nie aresztuje - ażeby nie wierzył tym, którzy pomogli go zdemaskować?!

- Wszystko wygląda logicznie, Stirlitz. Zawsze zazdrościłem panu umiejętności wytyczania dokładnego, logicznego kierunku; bije pan w Müllera, który polecił aresztować Rungego, i we mnie, który broni Żydów w trzecim pokoleniu, i w ten sposób czyni pan z siebie, naszym kosztem, opokę stałości zasad. Dobrze. Podziwiam pana. Przyszedłem jednak w innej sprawie. Runge - zatroszczył się pan o to z właściwą sobie dalekowzrocznością - siedzi w obozie koncentracyjnym, ale mieszka tam w oddzielnym domku, w osiedlu SS, i ma możliwość zajmowania się fizyką teoretyczną. Stirlitz, teraz powiem panu najważniejsze: znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji... Jeśli zamelduję o rezultatach moich badań Müllerowi, zrozumie on, że i pan ma broń przeciwko niemu. Tak, ma pan rację, właśnie on rozkazał aresztować Rungego. Jeśli powiem mu, że rezultaty mojej kontroli świadczą przeciwko panu, podstawy to pośrednio pod cios i jego osobę. A na mnie zwał się ciosy z dwóch stron. Uderzy mnie i Müller, i pan. On z tego powodu, że moje argumenty trzeba jeszcze sprawdzić, a pan... Zresztą już pan

powiedział, w jaki sposób mnie pan uderzy. Co mam robić jako oficer gestapo? Niech mi pan podpowie, pan, oficer wywiadu.

A więc o to mu chodzi, pomyślał Stirlitz. Prowokacja czy nie? Jeśli mnie prowokuje, to wiadomo, jak należy postąpić. Ale jeśli zaprasza mnie do gry? Przecież niedługo zaczną uciekać z okrętu. Jak szczury. Nie na próżno powiedział o gestapo, o wywiadzie. Tak. Oczywiście. Za wcześnie jeszcze na odpowiedź... Za wcześnie.

- Co za różnica? - Stirlitz wzruszył ramionami. - Gestapo czy wywiad. Ogólnie biorąc, pomijając pewne tarcia, robimy tę samą robotę.

- Tę samą - zgodził się Holtoff. - Tylko że my słyniemy w świecie jako kaci i rabusie, my, ludzie z gestapo, a wy jesteście jubilerzy, galanternicy, wywiad polityczny. Wy jesteście potrzebni każdemu ustrojowi i każdemu państwu, a my należymy tylko do Rzeszy: z nią albo zwyciężymy, albo zginiemy...

- Pyta mnie pan, jak postąpić?

- Tak.

- Pańskie propozycje?

- Najpierw chciałbym usłyszeć je od pana.

- Sądząc z tego, że wykręcił pan korki i prosił o zaciągnięcie zasłon...

- Pan zaproponował zaciągnięcie zasłony.

- Tak? Do diabła, wydawało mi się, że to od pana wyszło... Dobrze, nie w tym rzecz.

Chce pan wystąpić z gry?

- A ma pan „okno” przez granicę?

- Dajmy na to.

- Gdybyśmy tak we trójkę uciekli do neutralów?

- W trójkę?

- Tak. Właśnie w trójkę: Runge, pan i ja. Ocalimy dla świata wielkiego fizyka. Tutaj ocaliłem go ja, a zorganizował ucieczkę pan. Co? I proszę wziąć pod uwagę: pod obserwacją jest pan, nie ja. A wie pan, co znaczy znaleźć się pod obserwacją u Müllera? No? Czekam na odpowiedź.

- Chce pan jeszcze koniaku?

- Chcę.

Stirlitz wstał, nie spiesząc się podszedł do Holtoff'a, ten wyciągnął kieliszek i w tym momencie Stirlitz z całej siły uderzył go po głowie ciężką butelką. Butelka pękła, ciemny koniak pociekł po twarzy Holtoff'a.

Postąpiłem słusznie, myślał Stirlitz przyciskając do deski pedał gazu swego horcha. Nie mogłem postąpić inaczej. Nawet jeśli ten człowiek przyszedł do mnie w szczerych zamiarach, mimo wszystko postąpiłem słusznie. Przegrywając tę drobną sprawę, wygrałem rzecz o wiele bardziej ważną: pełne zaufanie Müllera.

Obok, opierając się o obite czerwoną skórą drzwi, pólleżał Holtoff. Był nadal nieprzytomny.

Holtff nie miał racji, gdy mówił, że Müller w tej chwili śpi. Müller nie spał. Właśnie otrzymał informację z centrum deszyfrowania: cyfry, które stanowiły osnowę szyfru rosyjskiej radiotelegrafistki, były identyczne z szyfrem otrzymanym od ludzi czatujących w konspiracyjnym lokalu rosyjskiego wywiadowcy w Bernie. Tak więc, przypuszczał Müller, rosyjski rezydent zaczął szukać nowego kanału łączności - albo doszedłszy do wniosku, że jego radiotelegrafisci zginęli w czasie bombardowania, albo czując coś niedobrego wokół siebie. Przy tym Müller starał się cały czas nie brać pod uwagę tych nieszczęsnych odcisków palców na rosyjskiej radiostacji i na słuchawce telefonu specjalnej linii Bormanna. Ale im bardziej starał się o tym nie myśleć, tym bardziej owe nieszczęsne odciski palców psuły mu tok rozumowania. W ciągu dwudziestu lat pracy w policji Müller wyrobił w sobie pewną charakterystyczną cechę; najpierw przysłuchiwał się swym odczuciom, swej intuicji, a potem sprawdzał je, dokonując analizy opracowanych faktów. Rzadko się mylił: i gdy służył Republice Weimarskiej, rozpędzając demonstracje nazistów, i gdy przeszedł na stronę nazistów i zaczął wsadzać do obozów koncentracyjnych przywódców Republiki Weimarskiej, i gdy wypełniał wszystkie polecenia Himmlera, i później, gdy zaczął skłaniać się ku Kaltenbrunnerowi - intuicja nigdy go nie zawiodła. Wiedział, że jest wątpliwe, aby Kaltenbrunner zapomniał o poleceniu związanym ze Stirlitzem. Widocznie coś się zdarzyło, i to na wysokim szczeblu. Ale co się stało i kiedy - tego Müller nie wiedział. Dlatego polecił Holtoffowi pojechać do Stirlitza i odegrać „spektakl”: gdyby Stirlitz przyszedł nazajutrz i opowiedział o „zachowaniu się” Holtoff’a, Müller mógłby spokojnie złożyć dokumenty do safesu, traktując sprawę Stirlitza jako zamkniętą. Gdyby natomiast Stirlitz zgodził się na propozycję Holtoff’a, szef gestapo poszedłby wprost do Kaltenbrunnera i zameldował o sprawie, opierając się na materiałach swego podkomendnego.

Tak... myślał. Dobrze. Poczekamy na Holtoff’a, wtedy się zobaczy. A jeśli chodzi o rosyjską pianistkę... Zdaje się, że teraz, jej szef zaczął szukać łączności przez Szwajcarię, można zastosować wobec niej nasze metody, a nie duszpasterskie Stirlitza. Ona nie mogła być jedynie zwykłym narzędziem w rękach swych szefów. Ona powinna coś wiedzieć. Praktycznie

nie odpowiedziała dotąd ani na jedno pytanie. A czasu nie ma. I klucz do szyfru, który otrzymaliśmy z Berna, też może znać właśnie ona. To nasza ostatnia szansa.

Nie zdążył sprawy przemyśleć do końca. Drzwi otworzyły się i wszedł Stirlitz. Trzymał pod ramię okrwawionego Holtofffa, na przegubach tamtego błyszcząły małe niklowane kajdanki.

W drzwiach Müller zobaczył zdumioną twarz swego sekretarza Scholtza i powiedział:

- Czy pan zwariował, Stirlitz?

- Ja jestem normalny - powiedział Stirlitz, rzucając z odrazą Holtofffa w fotel. - Ale ten tutaj albo zwariował, albo został zdrajcą.

- Wody - jęknął Holtoff. - Dajcie wody.

- Niech mu pan da wody - polecił Müller. - Co się stało? Proszę mi to natychmiast dokładnie wyjaśnić.

- Niech najpierw on wyjaśni wszystko dokładnie - odparł Stirlitz. - A ja dokładnie wszystko opiszę w specjalnym raporcie.

Dał Holtoffowi wody i postawił szklankę na tacy.

- Proszę iść do siebie i napisać wszystko to, co uważa pan za konieczne - powiedział Müller. - Kiedy będzie pan z tym gotowy?

- W ciągu dziesięciu minut, jeśli opiszę krótko. A jeśli dokładnie, to jutro.

- Dlaczego jutro?

- Dlatego, że mam pilną pracę, którą dziś muszę dokończyć. Zresztą on wcześniej nie przyjdzie do siebie. Czy mogę odejść?

- Tak. Proszę - odpowiedział Müller.

Stirlitz wyszedł. Müller zdjął z rąk Holtofffa kajdanki i w zadumie podszedł do stolika, na którym stała szklanka. Ostrożnie wzięwszy szklankę dwoma palcami, popatrzył na nią pod światło. Wyraźnie widać było odciski palców Stirlitza. Należał on do tych, od których nie zdążono jeszcze wziąć odcisków palców. Kierując się raczej przyzwyczajeniem doprowadzania wszystkich spraw do końca, Müller wezwał Scholtza i powiedział:

- Niech zdejmą odciski palców z tej szklanki. Jeśli będę już spał, nie trzeba mnie budzić. To nie jest takie pilne.

Wyniki ekspertyzy oszołomiły Müllera. Odciski palców, pozostawione na szklance przez Stirlitza, były identyczne z odciskami palców na słuchawce telefonu i, co najgorsze, z odciskami palców na rosyjskiej radiostacji.

*DO RĄK WŁASNYCH*

## REICHSFÜHRERA SS HEINRICHA HIMMLERA

*Mój drogi Reichsführerze!*

*Przed chwilą wróciłem ze Szwajcarii do swego sztabu. Wczoraj wraz z Dolmannem, wzięwszy ze sobą włoskich powstańców - nacjonalistów Parriego i Usmijanniego - pojechaliśmy do Szwajcarii. Przejście granicy zostało przygotowane jak najbardziej starannie. W Zurychu Parri i Usmijanni zostali umieszczeni w Hirslandenklīnik - w jednym z najelegantszych podmiejskich szpitali. Jak się zorientowałem, Dullesa i Parnego łączy dawna przyjaźń. Prawdopodobnie Amerykanie przygotowują skład przyszłego rządu włoskiego, tych owianych sławą partyzantów, którzy z przekonania bynajmniej nie są komunistami, ale zdecydowanymi nacjonalistami, i skłaniają się raczej ku monarchii. Rekrutują się więc z grona ludzi, którzy odeszli od Mussoliniego dopiero w ostatnim okresie, gdy nasze wojska zmuszone były wejść do Włoch.*

*Husmann przyjechał po nas i zawiózł nas do Dullesa, do jego konspiracyjnego mieszkania. Gospodarz już na nas czekał. Był powściągliwy, ale życzliwy. Usadowił się koło okna, pod światło. Długo zachowywał milczenie. Pierwszy zaczął mówić Hawernic. Zapytał mnie: „Czy to pan pomógł zwolnić, na prośbę Matyldy Gedevis, pewnego Włocha nazwiskiem Romano Guardini?” Nic konkretnego nie mogłem odpowiedzieć, gdyż to nazwisko nie zachowało mi się w pamięci. Być może, pomyślałem, jest to jedna z form sprawdzania mnie.*

*- To znany katolicki filozof - kontynuował Hawernic. - Ten wielce zasłużony człowiek powinien być drogi sercu każdego myślącego Europejczyka.*

*Uśmiechnąłem się zagadkowo, pamiętając o lekcjach naszego wielkiego aktora Schellenberga.*

*- Generale - zapytał mnie Husmann - czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że Niemcy przegrały wojnę?*

*Wiedziałem, że ci ludzie będą chcieli mnie upokorzyć. Postępowałem zresztą tak samo w swoim czasie, gdy chciałem przeciągnąć na naszą stronę jakiegoś działacza politycznego, który aktualnie znajdował się w opozycji.*

*- Tak - odpowiedziałem.*

*- Czy pan rozumie, że rzeczową bazą dla podjęcia ewentualnych rokowań może być tylko jedno: wasza bezwarunkowa kapitulacja?*

*- Tak - odpowiedziałem rozumiejąc, że sam fakt rokowań jest ważniejszy niż to, co będzie ich treścią.*

- Jeśli mimo to - kontynuował Husmann - będzie pan chciał mówić w imieniu reichsführera Himmlera, to rokowania na tym się kończą. Mister Dulles będzie zmuszony się wycofać.

Popatrzyłem na Dullesa. Nie mogłem zobaczyć wyrazu jego twarzy, blask światła z dużego okna niemal mnie oślepił, zauważyłem jednak, że potakująco kiwnął głową. Milczał w dalszym ciągu. Uznałem, że to kwestia czysto formalna, bo przecież dobrze wiedzieli, w którym imieniu może występować i będzie występował obergruppenführer SS. Zdałem sobie sprawę, że zadając to pytanie poniżyli się w pewnym sensie i ośmieszyli. Mogłem im oczywiście odpowiedzieć, że jestem gotów prowadzić rozmowy jedynie z panem Dullosem, ale jeśli dowiem się, że reprezentuje on interesy żydowskiego kapitału monopolistycznego, natychmiast się wycofam. Było dla mnie jasne, że wszyscy czekali na, moją odpowiedź. Odpowiedziałem więc:

- Uważam, że byłoby przestępstwem wobec wielkiej niemieckiej państwowości, stanowiącej forpocztę cywilizacji w Europie, kontynuowanie walki, zwłaszcza gdy potrafiliśmy usiąść przy wspólnym stole, i to stole rokowań. Gotów jestem oddać swą organizację, a to najsilniejsza organizacja we Włoszech - SS i policja - do dyspozycji sojuszników po to, żeby doprowadzić do zakończenia wojny i nie dopuścić do utworzenia we Włoszech rządu komunistycznego.

- Czy oznacza to - odezwał się w końcu Dulles - że pańska SS wystąpi przeciwko wehrmachtowi Kesselringa?

Zorientowałem się, że ten człowiek żąda poważnego potraktowania sprawy. A to może być przecież gwarancją rzeczowego porozumienia w przyszłości...

- Muszą otrzymać od was pełne gwarancje - odpowiedziałem - które mi pozwolą na konkretną, uargumentowaną rozmowę z feldmarszałkiem Kesselringiem.

- Naturalnie - zgodził się ze mną Dulles.

Kontynuowałem więc:

- Należałoby sobie uświadomić, że gdy tylko Kesselring wyda rozkaz kapitulacji tu, we Włoszech, gdzie podlega mu ponad półtora miliona żołnierzy, może nastąpić reakcja łańcuchowa również i na pozostałych frontach, mam na myśli fronty zachodni i skandynawski - w Norwegii i Danii.

Rozumiałem, że w tej ważnej pierwszej rozmowie muszą ujawnić swoje atuty.

- Jeśli otrzymam pańskie gwarancje kontynuowania rozmów, zobowiązę się nie dopuścić do zniszczenia Włoch, co zostało zaplanowane w myśl rozkazu Führera. Otrzymaliśmy rozkaz zniszczenia wszystkich galerii obrazów i pomników przeszłości, słowem zrównania z ziemią wszystkiego, co jest własnością całej ludzkości. Nie zważając na wielkie



*osobiste niebezpieczeństwo, ocalilem już i ukryłem w swych schowkach obrazy z galerii Uffizi, a także kolekcją monet króla Wiktora Emanuela...*

*W tym momencie położyłem na stole spis ukrytych przeze mnie obrazów. Były tam dzieła Tycjana, Botticellego, El Greco. Amerykanie przerwali rozmowę - z uwagą zaczęli studiować spis.*

*- Ile mogą kosztować te obrazy? - zapytali mnie.*

*- To są przecież rzeczy bezcenne - powiedziałem i dorzuciłem szybko: - Według mnie ponad sto milionów dolarów.*

*Przez następne dziesięć minut Hawernic mówił o obrazach epoki Odrodzenia i o wpływie tej epoki na techniczny i filozoficzny rozwój Europy. Potem włączył się do rozmowy Dulles. Włączył się nieoczekiwanie, bez żadnego przejścia. Powiedział:*

*- Jestem gotów ubić z panem interes, generale Wolf. Ale musi mi pan dać gwarancję, że nie wejdzie pan w żadne inne kontakty z sojusznikami. To pierwszy warunek. Mam nadzieję, że rozumie pan także, że fakt naszych rokowań powinien być znany tylko tym, którzy tu się znajdują.*

*- W takim razie nie widzę niestety możliwości podpisania układu pokojowego, ponieważ ani pan nie jest prezydentem, ani ja kanclerzem.*

*Wymieniliśmy w milczeniu uśmiechy i zrozumiałem, że w ten sposób otrzymałem ich zgodą na to, żeby poinformować Pana, Reichsführerze, o rozmowach i prosić o Pańskie dalsze polecenia. Wysyłam ten list przez osobistego adiutanta feldmarszałka Kesselringa, który towarzyszy swemu szefowi w locie do Berlina. Jest to człowiek dokładnie przeze mnie sprawdzony. Pewnie Pan go sobie przypomina, bowiem właśnie Pan zatwierdził jego kandydaturę, gdy został on oddelegowany do Kesselringa, żeby informować nas o związkach feldmarszałka z marszałkiem Rzeszy Göringiem.*

*Następne spotkanie z Amerykanami odbędzie się w ciągu, najbliższych dni.*

*Heil Hitler!*

*Pański Karl Wolf*

Wolf pisał prawdę. Rozmowy były prowadzone w takim lub bardzo podobnym stylu. Przemilczał jedynie fakt, że w pociągu w drodze powrotnej do Włoch odbył długą dyskretną rozmowę z Husmannem i Weiblem. Dyskutowano o składzie przyszłego rządu Niemiec. Typowano na kanclerza - Kesselringa, na ministra spraw zagranicznych - gruppenführera SS von Neuratha, byłego namiestnika Czech i Moraw, na ministra finansów - honorowego członka NSDAP Hjalmara Schachta, na ministra spraw wewnętrznych - obergruppenführera SS Karla Wolfa. W tym gabinecie dla pana Himmlera teki nie przewidziano...

*12.3.1945 (godzina 08 minut 02)*

Stirlitz pędził z największą szybkością swym horchem w kierunku granicy szwajcarskiej. Obok siedział milczący i blady pastor. Stirlitz nastawił radio na Francję. Z Paryża nadawano właśnie koncert głośnej sławy piosenkarskiej - Edith Piaff; śpiewała niskim, silnym głosem proste, zrozumiałe piosenki.

- To upadek obyczajów - powiedział pastor. - Nie, ja jej nie potępiam, po prostu słuchając cały czas wspominam Handla i Bacha. Dawniej ludzie sztuki byli widocznie bardziej wymagający w stosunku do siebie; kroczyli w jednym szeregu z wiarą i stawiali przed sobą ogromne zadania. A to? To język przekupki.

- Niech pan da spokój. Takie rozmowy będziemy prowadzić po wojnie. Teraz proszę jeszcze raz powtórzyć mi, co powinien pan zrobić w Bernie.

Pastor zaczął powtarzać Stirlitzowi wszystkie instrukcje, które ten wbijał mu do głowy przez ostatnie trzy godziny. Słuchając pastora Stirlitz myślał: Tak, Kät została u nich. Ale gdybym ją wywiózł, chwyciliby się za pastora - prawdopodobnie nim także zajmował się ktoś z gestapo. I wtedy cała operacja musiałaby się nieuchronnie zakończyć fiaskiem, bo przecież i Himmler mógł się z wachać z tymi w Bernie... Kät - jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego, a to coś nieprzewidzianego może się zdarzyć, chociaż nie powinno - może powiedzieć o mnie, zwłaszcza jeśli zaczną męczyć jej dziecko. Ale w tym czasie pastor przystąpi już do pracy i Pleischner powinien również wypełnić moje polecenie. Ani pastor, ani Pleischner nie wiedzą, jakie mechanizmy uruchomili w systemie mojej operacji. Wszystko powinno być w porządku. Nie uda się więc Himmlerowi zasiąść przy stole rokowań w Bernie. Teraz mu to nie wyjdzie. O moim „oknie” Müller nie wie nic, a straż graniczna nie piśnie o tym słówka jego ludziom, ponieważ działałam na rozkaz reichsführera. A więc pastor dzisiaj będzie w Szwajcarii. A jutro zacznę robić, co mu zleciłem...

- Nie - powiedział Stirlitz, oderwawszy się od rozmyślań. - Nie powinien pan wyznaczać spotkań w niebieskiej sali hotelu, lecz w różowej.

- Zdawało mi się, że pan mnie zupełnie nie słucha.

- Słucham bardzo uważnie. Proszę, niech pan mówi dalej...

Jeśli pastor przejdzie szczęśliwie przez granicę i wszystko okaże się w porządku, wyrwę stamtąd Kät. Wtedy będzie można grać va banque. Oni coraz bardziej zacieśniają krąg, nie pomoże mi tu nawet Bormann... Diabeł ich tam zresztą wie. Najwyżej ucieknę przez swoje „okno” razem z nią, jeśli zorientuję się, że gra dobiega końca. A jeśli będzie można grać dalej - w końcu konkretnych dowodów nie mają - wtedy przyjdzie mi przeprowadzić przez granicę

Kät, zabezpieczywszy sobie odpowiednie alibi za pośrednictwem Schellenberga. Na przykład pojedę z raportem do niego do domu albo nawet do siedziby Himmlera, gdzie on często przebywa, no i trzeba obliczyć czas, usunąć straż z konspiracyjnego lokalu, zniszczyć nadajnik i wywieźć Kät. Najważniejsze to obliczyć czas i szybkość - tak żeby wszystko się zgadzało. Niech szukają. Zostało im niedużo czasu na to szukanie. Sądząc z tego, że Müller przeraził się zobaczywszy Holtoffa z rozbitą głową, tamten wypełniał jego zadanie. Nie mógłby jednak zagrać tak dobrze, gdyby nie grał samego siebie, gdyby wyznaczona mu rola nie pokrywała się z jego tokiem rozumowania. I nie wiadomo jeszcze, jakby ten człowiek postąpił, gdybym zgodził się uciec z nim i Rungem. Może by poszedł z nami? Bardzo możliwe. Pamiętam przecież, jak patrzył na mnie w czasie przesłuchania tego astronoma i co wtedy mówił... Zagrałem z nim prawidłowo. Nieoczekiwany wyjazd umotywowuję dla jednych poleceniem Schellenberga, dla drugich Bormanna. Najważniejszą sprawą jest teraz los Kät. Jutro nie pojedę do siebie. Od razu do niej. Chociaż nie, nie wolno. Nigdy nie wolno grać w ciemno...

- Słusznie - powiedział Stirlitz. - Bardzo dobrze, że zwrócił pan na to uwagę, proszę pamiętać, że należy wsiadać do drugiej taksówki, przepuszczając pierwszą. W żadnym wypadku niech pan nie wsiada do przygodnych samochodów. W ogóle liczę na to, że pańscy przyjaciele z klasztoru, którego adres panu podałem, będą się panem opiekowali. I powtarzam raz jeszcze: Proszę pamiętać, że wszystko może się panu przydarzyć. Wszystko! Jeśli popełni pan jakąś drobną nieostrożność, nie zdąży pan nawet pomyśleć, a już znajdzie się pan z powrotem w piwnicy Müllera. Gdyby nawet coś takiego się zdarzyło, to niech pan wie: jeśli pan wypowie moje nazwisko, nawet w malignie czy w czasie tortur, oznacza to moją śmierć, jak również śmierć pańskiej siostry i jej dzieci. Nic wówczas nie będzie w stanie ocalić pana bliskich! To nie groźba, proszę mnie dobrze zrozumieć, to rzeczywistość, a rzeczywistość trzeba znać i lepiej zawsze o niej pamiętać.

Stirlitz zaparkował swój samochód o sto metrów od placu przed dworcem kolejowym. Samochód ze strażnicy czekał już w umówionym miejscu. Kluczyk znajdował się w stacyjce. Okna były naumyślnie zachlapano błotem, żeby utrudnić ewentualne rozpoznanie osób jadących w samochodzie. W górach w ściśle oznaczonym punkcie były wetknięte w śnieg narty, a obok stały buty.

- Proszę się przebrać - powiedział Stirlitz.

- Chwileczkę - wyszeptał pastor. - Drżą mi ręce, muszę wrócić do równowagi.

- Może pan mówić normalnie, nikt tu nas nie usłyszy.

Śnieg w dolinie połyskiwał srebrem. Wokół panowała głęboka cisza. Gdzieś w oddali szumiała jedynie turbina elektrowni. Słysząc ją było tylko momentami, przy podmuchach wiatru z tamtej strony.

- No - powiedział Stirlitz - szczęśliwej drogi.

- Niech pana Bóg błogosławi - odpowiedział pastor i niezgrabnie poszedł na nartach w kierunku, który wskazał mu Stirlitz. Dwa razy przewrócił się, dokładnie na samej linii granicznej. Stirlitz stał obok samochodu aż do chwili, gdy pastor, zgodnie z umową, krzyknął dwa razy z lasu czerniejącego po drugiej stronie wąwozu. Stamtąd do hotelu było już bliźutko.

Teraz wszystko w porządku. Teraz trzeba usunąć spod ciosu Kät.

Wrócił na plac przed dworcem, przesiadł się do swojego samochodu, przejechał ze dwadzieścia kilometrów i nagle poczuł, że zaraz zaśnie. Spojrzał na zegarek: kończyła się druga doba bez snu.

Prześpię się chyba z pół godziny, powiedział sobie. Inaczej nie wrócę w ogóle do Berlina. Spał dokładnie dwadzieścia minut. Potem pociągnął z płaskiej butelki łyk koniaku i położywszy się piersią na kierownicę, nacisnął na pełny gaz. Wzmocniony silnik horcha grał równo. Strzałka szybkościomierza podeszła do cyfry sto pięćdziesiąt. Droga była pusta. Wstawał blady świt. Żeby odpędzić sen, głośno śpiewał swawolne francuskie piosenki...

Gdy czuł, że sen znowu go zwycięża, zatrzymywał samochód i nacierał twarz śniegiem. Na skraju drogi zostało niewiele śniegu, były to już brudne i jakby trochę niebieskawe resztki. I osiedla, które Stirlitz mijał, też były w odcieniu niebieskawym. Tę część Niemiec sojusznicy bombardowali raczej rzadko i dlatego maleńkie, o czerwonych dachach domki wrysowywały się harmonijnie w krajobraz, podobnie jak granatowe sosnowe lasy i szkliste bystre rzeki.

Kiedyś Stirlitz, który najbardziej lubił wczesną wiosnę, powiedział do Pleischnera:

- Niedługo literatura będzie się posługiwać pojęciami, a nie długimi ciągami zdań. Im więcej informacji za pomocą radia i kina będą pochłaniali ludzie, a szczególnie dorastające pokolenie, tym tragiczniejszy okaże się los literatury. Jeśli kiedyś pisarz mógł poświęcić trzy strony na opisanie wiosennej, budzącej się przyrody, to teraz filmowiec robi to w półminutowej scenie na ekranie. Rzemieślnik demonstruje pękające pąki i ruszanie lodu na rzekach, a mistrz - gamę kolorów i dokładnie odtworzone dźwięki. Proszę przy tym zauważyć, że tracą na to minimum czasu. Oni po prostu podają informacje. I wkrótce pisarz będzie napisać powieść składającą się ze słów: „marcowe zachody słońca”. Czy nie ujrzy pan za tymi trzema słowami i odwilży, i lekkiego przymrozku, i sopli lodu u rynien, i czy nie usłyszysz pan dalekiego świstu lokomotywy za lasem i cichego śmiechu gimnazjalistki, którą chłopiec wieczorem odprowadza do domu?

Pleischner zaśmiał się wtedy.

- Nigdy nie myślałem, że pan jest aż tak poetyczny. Proszę się nie wypierać. Pan na pewno w tajemnicy przed wszystkimi układa wiersze.

Stirlitz odpowiedział mu, że nigdy nie układał wierszy, bowiem odnosi się na serio do zawodu poety, ale malarstwem rzeczywiście próbował się zajmować. W Hiszpanii zainteresowały go dwa kolory: czerwony i żółty. Wydawało mu się, że zachowanie proporcji tych dwóch kolorów może dać dokładny obraz Hiszpanii na płótnie. Długo próbował, ale potem zorientował się, że przeszkadza mu zrozumieć istotę rzeczy dążenie do absolutnego podobieństwa. Dla niego był to byk, a dla Picassa obiekt niezbędny do wyrażenia samego siebie. Ja podążam za przedmiotem, za formą, a prawdziwy malarski talent podporządkowuje swej myśli i przedmiot, i formę i nie męczy go skrupulatność w oddaniu detali. I byłoby śmieszne bronić swych prób, powołując się na dokładnie narysowaną piętę w *Powrocie syna marnotrawnego*. Religia może się dogmatycznie powoływać na autorytet, ale nie może tego robić artysta, myślał wówczas Stirlitz. Porzucił swe „malarskie wprawki” (tak nazywał później tę swoją pasję), gdy współpracownicy zaczęli prosić go o obrazy. To podobne i piękne - mówili mu - a na mazanie Hiszpanów, gdzie nic nie można zrozumieć, aż przykro patrzeć. Powiedzieli to o malarstwie Goi - kupił więc w Paryżu dwa wspaniałe wydane albumy i długo zachwycał się obrazami wielkiego mistrza. Później porzucił wszystkie swe obrazy, a pędzle i farby podarował synowi portiera w domu w Burgos, gdzie wynajmował konspiracyjny lokal dla spotkań z agentami.

Rolf przyjechał do domu, w którym mieszkała Kät, gdy słońce wydawało się jeszcze przydymione mrozem. Niebo było wysokie, bezbarwne, takie jak czasem bywa w ostatnich dniach listopada, przed pierwszymi przymrozkami. Jedyne, po czym można było poznać nadchodzącą wiosnę, to wesołe ćwierkanie wróbli i gruchanie gołębi.

- Heil Hitler! - powitała go Barbara wstając. - Przed chwilą mieliśmy...

Nie wysłuchawszy jej do końca, Rolf powiedział:

- Proszę zostawić nas samych.

Twarz Barbary, przedtem uśmiechnięta, nabrała natychmiast twardego wyrazu, stała się „służbowa”. Barbara wyszła do sąsiedniego pokoju. Gdy otwierała drzwi, Kät usłyszała głos synka - widocznie właśnie się obudził i chciał jeść.

- Niech mi pan pozwoli nakarmić chłopczyka, inaczej nie pozwoli nam rozmawiać.

- Chłopczyk poczeka.

- To niemożliwe. Jego trzeba karmić o ustalonych godzinach.

- Dobrze. Nakarmi go pani potem, jak odpowie mi pani na pytanie.

Do drzwi zastukano.

- Jesteśmy zajęci! - krzyknął Rolf.

Drzwi się otworzyły. Na progu stał Helmut z dzieckiem na ręku.

- Pora karmić - powiedział. - Chłopczyk bardzo chce jeść.

- Poczekaj! - krzyknął Rolf. - Zamknąć drzwi!

- Tak, tylko że... - zaczął Helmut, ale Rolf szybko podszedł do drzwi i zamknął je tuż przed nosem kontuzjowanego esesmana.

- A więc tak. Dowiedzieliśmy się, że pani знаła rezydenta.

- Ja już wyjaśniałam...

- Znam pani wyjaśnienia. Czytałem je i słuchałem z taśmy magnetofonowej. Wystarczyły mi one do dzisiejszego ranka. Ale od dziś wszystko się zmieniło.

- A cóż takiego zdarzyło się dziś rano?

- Coś się zdarzyło. Czekaliśmy na to zdarzenie, wiedzieliśmy o wszystkim od początku - potrzebne nam były jednak dowody. I otrzymaliśmy je. Nie możemy przecież aresztować człowieka, jeśli nie mamy dowodów: poszlak, faktów lub chociażby zeznań ludzi. Tak więc znaleźliśmy je teraz.

- Ja nie odmawiałam od samego początku...

- Niech pani nie gra! Nie o panią chodzi! I pani wie doskonale, o kim mowa.

- Nie wiem, o kim mowa. I bardzo pana proszę, niech mi pan woli nakarmić chłopca.

- Najpierw powie mi pani, gdzie i kiedy spotykała się pani z rezydentem, a potem pójdzie pani nakarmić chłopca.

- Już tłumaczyłam temu panu, który mnie aresztował, że ani nazwiska rezydenta, ani jego adresu, ani wreszcie jego samego nie znam.

- Niech pani nie udaje naiwnej - powiedział Rolf.

Był bardzo zmęczony - wszyscy bliscy współpracownicy Müllera nie spali całą noc, organizując poszukiwania samochodu Stirlitza. Zrobiono zasadzkę i koło jego domu, i przy tym konspiracyjnym mieszkaniu, ale Stirlitz przepadł jak kamień w wodę. Przy czym Müller zabronił informować o tym, że szuka się właśnie Stirlitza, kogokolwiek z RSHA, czy Kaltenbrunnera, czy tym bardziej Schellenberga. Postanowił bowiem rozegrać tę partię osobiście, choć rozumiał, że jest to gra bardzo skomplikowana. Wiedział, że właśnie Bormann jest pełnoprawnym właścicielem olbrzymich sum pieniędzy, ulokowanych w bankach Szwajcarii, Szwecji, Brazylii i za pośrednictwem osób podstawionych nawet w USA. Ale Bormann to człowiek pamiętliwy. Nie zapomina o wyświadczonych mu przysługach, ale nie

zapomina też zła. Wszystko, co się wiąże w jakikolwiek sposób z Hitlerem, zapisuje nawet na chusteczce do nosa. Ale nie zapisuje nic, co nie odnosi się do niego, zapamiętuje to na wsze czasy. Dlatego partię ze Stirlitzem, który dzwonił do Bormanna i widział się z nim, szef gestapo wolał rozegrać samodzielnie. Wszystko byłoby proste i nawet nieinteresujące, gdyby nie ten telefon do Bormanna i nie to ich spotkanie. Trójkąt zamknął się: Stirlitz - szyfr w Bernie - rosyjska radiotelegrafistka. I wszystko to oparte na mocnym fundamencie Bormanna. Dlatego szef gestapo i jego najbliżsi współpracownicy spędzili noc bezsennie, skupiając cały swój wysiłek na zastawianiu potrzasków, na szykowaniu się do ostatecznego pojedynku.

- Nie powiem nic więcej - oświadczyła Kät. - Będę milczeć, dopóki nie pozwoli mi pan nakarmić dziecka.

Rozumowanie matki różni się od rozumowania kata. Gdyby Kät nie wspomniała o dziecku, sama zostałaby poddana torturom. A tak popchnęła Rolfa ku decyzji, która go nagle olśniła.

- A więc - powiedział - nie będziemy na próżno tracić czasu. Niedługo urządzimy pani konfrontację z waszym rezydentem; czując krach, postanowił uciec za granicę, ale nic z tego nie wyszło. Liczył na swój znakomity samochód - Rolf rzucił wzrokiem na pobladłą nagle twarz Kät - tak, on ma dobry samochód, to prawda. Tylko że nasze samochody nie są gorsze. Pani nas właściwie nie interesuje. Interesuje nas on. I pani nam wszystko o nim powie. Wszystko - powtórzył. - Do końca.

- Nie mam nic do powiedzenia.

Rolf wstał, podszedł do okna i otworzył je, zadrżał z zimna.

- Znow mróz - powiedział. - Kiedy wreszcie przyjdzie wiosna? Zmęczyło nas już to oczekiwanie. - Zamknął okno, podszedł do Kät. - Proszę wyciągnąć ręce.

Kät wyciągnęła ręce: zatrzasnęły się kajdanki na przegubach.

- I nogi proszę - powiedział Rolf.

- Co pan chce zrobić? - spytała Kat.

Zamknął kajdanki powyżej kostek i krzyknął:

- Helmut! Barbara!

Nikt mu nie odpowiedział. Otworzył drzwi i krzyknął ponownie:

- Barbara! Helmut!

Wbiegli do pokoju przerażeni; Rolf był zazwyczaj spokojny, opanowany, a teraz wrzeszczał histerycznie wysokim, rwącym się głosem. Miał powody do zdenerwowania. Müller polecił mu dzisiaj zmusić Rosjanę do mówienia; gdy Stirlitz zostanie złapany, główny atut powinien się już znajdować w kieszeni Müllera.

- Przynieście chłopczyka - rozkazał Rolf. Helmut poszedł po chłopca, a Rolf podsunął pod okno mały stół, na którym stał wazon ze sztucznymi kwiatami. Potem, sięgając do okna, powiedział:

- Nieprzypadkowo przypomniałem pani o mrozie. Wystarczy potrzymać dziecko trzy lub pięć minut na tym stole, gołe, bez pieluszek, i ono umrze. Albo - albo. Niech się pani decyduje.

- Pan tego nie zrobi! - krzyknęła Kat i zaczęła się miotać na krześle. - Pan nie zrobi tego! Zabijcie mnie! Zabijcie! Pan nie może tego zrobić!

- Będzie to dla mnie bardzo przykre - odpowiedział Rolf. - Ale w imieniu wszystkich matek Rzeszy zrobię to! W imieniu dzieci Rzeszy, które giną od bomb!

Kät stoczyła się z krzesła, turlała się po podłodze, błagała:

- Miałby pan serce? Co pan robi? Nie wierzę panu!

- Gdzie dziecko?! - krzyknął Rolf. - Dajcie je tutaj, do diabła!

- Jest pani matką! - powiedziała Barbara. - Niech pani będzie rozsądna... - Mówiła i wstrząsały nią dreszcze. Czegoś podobnego jeszcze w życiu nie widziała.

Helmut wszedł z dzieckiem na rękę. Rolf wziął od niego chłopczyka, położył na stole i zaczął rozwijać z pieluszek. Kät zawyła.

- No! - wrzasnął Rolf. - Pani nie jest matką! Pani jest bezmyślną morderczynią. No!

Chłopczyk płakał.

- No! - krzyczał Rolf. - Nie będę liczył do trzech. Po prostu otworzę okno i zdejmę koc z twojego dziecka. Jasne? Ty wypełniasz obowiązek wobec swojego narodu, ja wobec swojego!

Kät poczuła nagle dziwna lekkość, wszystko dookoła napełniło się dzwonieniem, straciła przytomność.

Rolf usiadł na skraju stołu i powiedział:

- Helmut, weź chłopczyka.

Żołnierz chciał odejść z dzieckiem na rękę, ale Rolf zatrzymał go.

- Czekaj. Ona zaraz odzyska przytomność i będziemy kontynuować... Barbaro, niech pani przyniesie wody. Dla niej i dla mnie. I krople na serce.

- Ile dla niej tych kropli?

- Nie dla niej, tylko dla mnie.

- Dobrze. Ile?

- Skąd ja mogę wiedzieć? Dziesięć albo trzydzieści.

Przykucnął przed Kät i zaczął uderzać ją lekko po policzkach,



- Długo to trwa u kobiet? - zapytał Helmuta,
- A ile by to trwało w przypadku pańskiej matki?
- Tak... Mojej matki... Te łajdaki chcą być czyści, a mnie powierzają brudną robotę.

Proszę o zapalki.

- Ja nie palę.
- Barbara! - krzyknął Rolf. - Niech pani weźmie zapalki!

Barbara przyniosła dwie szklanki wody. Woda była mętna, lekko niebieskawa. Rolf zmarszczył się i powiedział:

- Tfu, co za ohyda.
- Zapalił, kucnął przed Kät i uniósł jej powiekę. Spojrzała na niego rozszerzoną źrenicą.
- Nie umarła? - zapytał. - Barbaro, niech pani zobaczy...
  - Nie, oddycha.
  - Niech pani coś z nią zrobi! Mamy mało czasu. Tam czekają.

Barbara zaczęła ostrożnie uderzać Kät po policzkach. Chlusnęła jej w twarz zimną wodą ze szklanki. Kät głęboko westchnęła i mięśnie jej drgnęły. Chłopczyk nadal zanosił się od płaczu.

- Zróbcie z nim coś! - powiedział Rolf. - Nie można tego słuchać.
- On chce jeść.
- Co pan wciąż to powtarza jak papuga? Myśli pan, że tylko pan ma serce?

Chłopczyk przenikliwie krzyczał. Twarzyczka zrobiła mu się sina, powieki spuchły, wargi zbieleły.

- Idźcie! - Rolf machnął ręką i Helmut wyszedł.

Kät właśnie wtedy odzyskała przytomność. Dziecko krzychało gdzieś w pobliżu, ale w pokoju było ciepło, to znaczy, że Rolf jeszcze nie otworzył okna.

Lepiej, żebym umarła, myślała Kät. To byłby jedyny ratunek. Dla wszystkich. Dla dziecka, dla Justasa i dla mnie. Najlepsze wyjście z sytuacji...

Rolf powiedział:

- Wydaje mi się, że przyszła już do siebie.

Barbara znów przyklękła przed Kät i odchyliła dwoma palcami jej powiekę.

- Tak - powiedziała.

Kät próbowała udawać omdlenie, ale twarz ją zdradziła: ożyła wbrew jej woli, dlatego że w sąsiednim pokoju zapłakał chłopczyk.

- Dość już tego - powiedział Rolf. - Co było prawdziwe, to było prawdziwe, a teraz pani zaczyna babskie sztuczki. Nic z tego. Wlazła pani w męską historię i tego rodzaju cudeńka tu nie przejdą. Barbaro, proszę pomóc jej usiąść. No! niech pani otworzy oczy!

Kät nie ruszyła się i nie otwierała oczu.

- Dobrze - powiedział Rolf. - Niech pani ją zostawi, Barbaro. Widzę, że mnie słyszy... Zaraz zawołam Helmuta i otworzymy okno. Wtedy na pewno otworzy oczy, ale będzie już za późno.

Kät zaczęła płakać.

- No? - zapytał Rolf. - Namysliła się pani?

Podniósł ją sam i posadził na krześle.

- Będzie pani mówić?

- Muszę pomyśleć.

- Pomogę pani - powiedział Rolf - Żeby nie czuła się pani zdrajczynią.

Wyjął z kieszeni zdjęcie Stirlitza i pokazał jej tak, żeby Barbara nie widziała twarzy standartenführera.

- No? Jasne? Jaki sens ma pani milczenie? Będziemy mówili?

Kät milczała.

- Będiesz mówić?! - wrzasnął nagle przeraźliwie i uderzył pięścią w stół, aż podskoczyła waza ze sztucznymi kwiatami. - Czy będziesz milczeć?! Helmut!

Wszedł Helmut z chłopczykiem i Kät wyciągnęła w jego stronę ręce, ale Rolf wyrwał dziecko Helmutowi i otworzył okno. Kät chciała się rzucić na Rolfa, upadła, krzyczała i Rolf także coś krzyczał, i nagle wszystko zagłuszył huk dwóch wystrzałów.

*MONSIGNORE CADICELLI*

*WATYKAN*

*Drogi Przyjacielu!*

*Rozumiem i niezwykle sobie cenię uwagę, z jaką Watykan - który okazał takie męstwo w dni oporu przeciwko faszystom - bada wszystkie możliwości okazania pomocy ludziom dążącym do zapewnienia pokoju na tej ziemi...*

*Rozumiem motywy, z powodu których odniósł się Pan tak sceptycznie do propozycji, jakie przedstawił Panu do rozpatrzenia generał Karl Wolf. Przeżył Pan nazistowską okupację, widział Pan na własne oczy rażące bezprawie, którego dopuszczali się esesmani, ludzie podporządkowani bezpośrednio temu człowiekowi, który szuka obecnie drogi do pokoju -*

generalowi Wolfowi. Wiem, że z tego powodu zajął Pan postawę nie tyle wyczekującą, co raczej jawnie negatywną: nie można wierzyć człowiekowi, który jedną ręką powoduje zło, a drugą chce czynić dobro. Połowiczność i rozdwojenie, zrozumiałe u przeciętnego człowieka, nie mogą być w żadnym wypadku tolerowane u kogoś, kto wytycza politykę, kto kieruje armią czy państwem.

Otrzymałszy odmowę Watykanu, generał Wolf poczynił jednak postępy tutaj, w Bernie, na spotkaniu z panem Dullesem... Informacje, które docierają do nas, pozwalają przypuszczać, że rozmowy Wolfa i Dullesa posuwają się naprzód.

Należy zrozumieć moją sytuację. Jeśli po raz drugi zacznę przestrzegać pana Dullesa przed dalszymi kontaktami z generałem Wolfem, nasi amerykańscy przyjaciele mogą nabrać błędnego wyobrażenia o motywach, którymi się kieruję: ludzie zajmujący się świecką polityką nie zawsze są w stanie zrozumieć politykę sług Bożych.

Opowiadanie panu Dullesowi o chytrości generała Wolfa i o zbrodniach, których dopuścili się na jego rozkaz naziści na terytorium naszych pięknych Włoch, nie ma prawdopodobnie sensu. Po pierwsze, każdy, kto ma oczy otwarte, sam wszystko to zobaczy, a po drugie, nie wypada nam, sługom Bożym, wystawiać naszych cierpień na pokaz. Wiedzieliśmy, na co się decydujemy, wybierając taką drogę życia.

Sytuacja wydawała się ciężka, bez wyjścia, dopóki wczoraj nie przybył tutaj, do Berna, pastor Schlag. Jestem przekonany, że Pan pamięta tego szlachetnego człowieka, który odwiedzając przed 1933 rokiem Szwajcarię, Watykan i Wielką Brytanię zawsze nawoływał do pokoju; wówczas wyjazd z Niemiec nie był jeszcze związany z takimi politycznymi trudnościami, które się pojawiły po dojściu Hitlera do władzy.

Pastor Schlag przybył tu - według jego słów - po to, aby zbadać wszystkie możliwości zawarcia szybkiego i sprawiedliwego pokoju. Skierowali go - jak mówi - ci, którzy zaniepokoiili się zarysowującą się zbieżnością poglądów na temat przyszłego pokoju u dwóch reprezentujących różne postawy ludzi: Wolfa i Dullesa.

Pastor Schlag widzi swoje zadanie w tym, żeby zapobiec dalszym rozmowom między Wolfem i Dullesem; jest on głęboko przekonany, że Wolf bynajmniej nie zajmuje się możliwościami zawarcia pokoju, ale jedynie bada grunt dla utrzymania hitlerowskiego -reżimu, w zamian za co te kręgi, które obecnie sprawują jedyną realną władzę w Niemczech, kręgi SS, zapewniają mu określone ustępstwa.

Widzi on swoje zadanie również w tym, że aby skontaktować tych ludzi, którzy ryzykując życie wywieźli go z Niemiec, z przedstawicielami sojuszników. Ludzie, których on według jego

*słów reprezentuje, uważają za swój święty obowiązek zagwarantować w rozmowach likwidację wszystkiego tego, co było związane i może być związane w przyszłości z SS i NSDAP.*

*Prosiłbym Pana o zgodę na przeprowadzenie bardziej szczerych rozmów z pastorem Schlagiem. Prawdopodobnie warto byłoby poinformować go szerzej o tym, co dzieje się obecnie w Bernie.*

*Dopóki nie będę mógł przedstawić pastorowi Schlagowi realnych dowodów naszej szczerości, trudno oczekiwać z jego strony otwartej wypowiedzi, w której ujawniłby on pełne informacje o tych ludziach, którzy w Niemczech czekają na jego sygnał. Dopuszczam możliwość, że jego stronnicy w Niemczech nie są tak wpływowi, jak byśmy tego chcieli. Schlag nigdy nie był politykiem, był zawsze uczciwym kapłanem. Kierując jednak spojrzenie w przyszłość, dostrzegam olbrzymią korzyść płynącą z faktu.. że pastor, właśnie pastor, sługa Boży, był tym czystym i szlachetnym człowiekiem, który działając w imię pokoju ryzykował własne życie i nie poszedł na żadne kompromisy z nazizmem.*

*Prawdopodobnie ten szlachetny przykład obywatelskiego męstwa syna Bożego i Bożego sługi pomoże nam ocalić Niemcy przed bolszewizmem, gdy znudzony naród niemiecki będzie musiał zdecydować o swej przyszłości. Naród niemiecki, oderwany przez Hitlera od Watykanu, w ten czy w inny sposób wróci na łono świętej wiary Chrystusowej i pastor Schlag, albo pamięć jego światłej postaci, pomoże w przyszłości naszym kapłanom nieść światło wiary tam, gdzie panowało królestwo hitlerowskiej ciemności.*

*Oczekuję na jak najszybszą odpowiedź.*

*Pański Norelli*

Dulles otrzymał polecenie od szefa biura służb strategicznych Donowana zaszyfrowania dalszych rozmów z Wolfem jako operację „Surprise Crossword”. Aby przyspieszyć rozmowy, dwaj generałowie: Eyre, naczelnik wywiadu brytyjskiego marszałka polnego Alexandra, i Amerykanin Lemnitzer, zostali skierowani do Berna celem uczestniczenia w rokowaniach.

W Szwajcarii, w przytulnym mieszkaniu, wynajętym przez podstawione osoby, oczekiwał ich Allan Dulles. Właśnie tu naradzano się przez dwa dni nad dalszym biegiem rokowań z obergruppenführerem SS Karlem Wolfem.

- Mamy mało czasu - powiedział Dulles - a roboty czeka nas sporo. Stanowisko sojuszników powinno być wyraźnie sprecyzowane i przemyślane.

- Anglo-amerykańskich sojuszników? - ni to w formie pytania, mi to w formie stwierdzenia powiedział generał Eyre.

- Anglo-amerykańskich albo amerykańsko-angielskich to w tym wypadku formalny zwrot nie zmieniający istoty rzeczy - odpowiedział Dulles.

W ten sposób po raz pierwszy w ciągu całego okresu wojny z pojęcia „sojusznicy” wypadło jedno zaledwie słowo: „radzieccy”. I zamiast sojusznicy „anglo-radziecko-amerykańscy”, w Bernie pojawili się sojusznicy... anglo-amerykańscy.

*13.3.1945 (godzina 10 minut 31)*

Eismann przyszedł do Müllera nie przebrawszy się, brudny: buty oblepione gliną, przemoknięty płaszcz - długo chodził w czasie deszczu, po Neustadt szukając siostry pastora Schlaga. Pod tym adresem, który znajdował się w aktach sprawy, jej nie zastał. Zwrócił się do miejscowej placówki gestapo, ale tam nic nie wiedzieli o krewnych Schlaga.

Sąsiedzi powiedzieli mu, że w tych dniach późną nocą słyszeli warkot samochodu. Ale kto przyjeżdżał, jakim samochodem i co się później stało z panią Anną i jej dziećmi - tego nikt nie wiedział.

Müller uśmiechnął się ujrawszy Eismanna. Wysłuchawszy obersturmbannführera nie powiedział nic. Wyciągnął z safesu teczkę i wydobył z niej kartkę papieru.

- A co zrobimy z tym? - zapytał podając kartkę Eismannowi. Był to raport Eismanna, w którym donosił on o swoim pełnym zaufaniu do standartenführera Stirlitza.

Eismann milczał długo, a potem powiedział z ciężkim westchnieniem:

- Niech to wszystko diabli porwą!

- To już lepiej brzmi - zgodził się Müller i włożył raport do teczki. - Niezła dla pana nauczka, przyjacielu.

- Czy mam napisać nowy raport w tej sprawie?

- Po co?

- Uważam za swój obowiązek wyrzec się poprzedniego poglądu.

- A czy to ma sens? - zapytał Müller - Wyrzekanie się poglądu zawsze wygląda podejrzanie.

- Co więc mam robić?

- Wierzyć, że nie ujawnię pańskiego poprzedniego raportu. Tylko tyle. I pracować nadal. I wiedzieć, że niedługo będzie pan musiał pojechać do Pragi. Stamtąd być może powróci pan do sprawy pastora i do sprawy swojego wiernego przyjaciela, z którym razem leżeliście pod bombami w Smoleńsku. A teraz niech pan idzie. I proszę się nie przejmować. Kontrwywiadowca powinien wiedzieć lepiej od innych, że w naszych czasach nie można wierzyć nikomu - czasami nawet sobie samemu. Mnie, rzecz jasna, można wierzyć...

Pleischner, udając się na spotkanie, był w takim samym podniosłym nastroju jak poprzedniego dnia. Dobrze mu się pracowało, wychodził z pokoju jedynie po to, aby coś przekąsić, wszystko w nim żyło radością i nadzieją na szybki koniec Hitlera. Kupował teraz wszystkie gazety. Znałca historii, analityk, mógł, opierając się jedynie na tej lekturze, wyobrazić sobie przyszłość. Zmagały się w nim dwa uczucia. Rozumiał, jakim ciężkim próbom poddani zostaną jego rodacy, gdy nastąpi koniec, ale rozumiał także, że wszystko jest lepsze niż zwycięstwo Hitlera. Zawsze uważał, że zwycięstwo faszyzmu oznaczałoby zgubę cywilizacji i doprowadziłoby w ostatecznym rachunku do zwyrodnienia narodu. Starożytny Rzym zginął jedynie dlatego, że chciał wywyżżyć się ponad świat i padł pod ciosami barbarzyńców. Zwycięstwa poza granicami kraju tak upajały starożytnych władców, że zapomnieli oni o wrzeniu swych niewolników, o szeptach pominiętych przy rozdziale nagród dworaków, o wiecznym niezadowoleniu z aktualnych porządków myślicieli i filozofów, którzy żyli wyobrażeniami wspaniałej przyszłości, a nie rzeczywistością. Zwycięstwa nad wrogami utwierdzały cesarów, faraonów, trybunów, tyranów, konsulów w przekonaniu, że jeśli obce państwa padły pod ich ciosami, to ze swoimi buntującymi się poddanymi poradzą sobie o wiele łatwiej. Zapomnieli przy tym, że w wojsku służyli bracia, dzieci, a czasami po prostu znajomi tych, których powstanie trzeba było w przyszłości tłumić. W tym podziale na panujących i poddanych zawarte były te elementy postępu, które Pleischner określał na własny użytek terminem „drożdży cywilizacji”. Wiedział, że Hitler zaplanował diabelski eksperyment: zwycięstwo Rzeszy nad światem powinno dać określone materialne korzyści każdemu Niemcowi bez względu na jego pozycję w niemieckiej społeczności. Hitler chciał uczynić z wszystkich Niemców władców świata, a z pozostałych ludzi na ziemi - ich poddanych. W ten sposób usiłował wykluczyć możliwość powstania „drożdży cywilizacji” - przynajmniej w najbliższej, dającej się przewidzieć przyszłości. W wypadku zwycięstwa Hitlera Niemcy przekształciłyby się w całkowicie zmilitaryzowany naród. Hitler, rozbroiwszy wszystkie pozostałe narody, pozbawiłby je państwowości i wówczas każda próba buntu ze strony podbitych byłaby skazana na fiasko. Z organizacją uzbrojonych Niemców mogłaby jedynie współzawodniczyć jakaś inna, podobnie potężna organizacja narodowa.

Hitler stawiał jednak nie na rozum, lecz na nie zamaskowaną siłę, nie na logikę, lecz na wspólnotę krwi. I ta idea okazała się ponętna dla dziesiątków milionów ludzi, zamieszkujących Europę od Renu po Odrę...

Pleischner spojrział na zegarek: miał jeszcze czas. W maleńkiej kawiarni, za szybami, po których spływały krople deszczu, siedziały dzieci i jadły lody. Widocznie przyproceedziła je tutaj nauczycielka.

Rozumuję kategoriami Rzeszy, uśmiechnął się do własnych myśli ujrzawszy mężczyznę siedzącego pośrodku gromady: był młody i śmiał się razem z dziećmi. To jedynie u nas ten zawód wykonują wyłącznie kobiety, ponieważ wszyscy zdolni do służby wojskowej mężczyźni walczą na froncie. W ogóle w szkołach powinni pracować mężczyźni. Jak w Sparcie. Kobieta może być pocieszycielką, ale nie wychowawcą. Przygotowywać pokolenia do przyszłego życia powinien mężczyzna; to pozbawi dzieci niepotrzebnych złudzeń, bo nie ma nic bardziej bezlitosnego jak konfrontacja dziecięcych złudzeń z rzeczywistością dorosłych...

Wszedł do kawiarni, usiadł w kącie i zamówił porcję lodów. Dzieci śmiały się z żartów swojego wykładowcy. Rozmawiał z nimi jak z równymi, nie dopasowywał się do nich, lecz dyskretnie i z taktem podciągał je do swojego poziomu.

Pleischner przypomniał sobie szkoły w Rzeszy, z ich musztrą, histerią, strachem przed nauczycielem - i pomyślał: Jak mógłbym życzyć zwycięstwa Niemcom? Przecież hitlerowcy, w wypadku zwycięstwa, przenieśliby i tutaj swe obyczaje i dzieci stałyby się i tutaj maleńkimi żołnierzami. Tu zaś, zamiast gier wojskowych, proponują sport, a dziewczęta, zamiast haftowania, uczą zamięłowania do muzyki. A gdyby przyszedł tu Hitler, siedziałyby przy stole w milczeniu i pożerałyby wzrokiem swojego mentora, najprawdopodobniej mentorkę, przez ulicę musiałyby iść w szyku i witałyby się nawzajem idiotycznym okrzykiem „Heil Hitler”. Na pewno to przerażające życzyć klęski własnej ojczyźnie, ale mimo wszystko życzę jej tego, i to jak najszybciej.

Pleischner powoli kończył lody. Uśmiechnął się słysząc głosy dzieci. Nauczyciel mówił:

- Podziękujemy gospodarzowi tego pięknego kącika, w którym znaleźliśmy ciepłe przyjęcie i zimne lody. Zaśpiewamy mu naszą piosenkę?

- Taaak! - odpowiedziały dzieci.

- Głosujemy: Kto przeciw?

- Ja - powiedziała ruda, piegowata dziewczynka z ogromnymi niebieskimi oczami. - Ja jestem przeciw.

- Dlaczego?

W tym momencie drzwi kawiarni otworzyły się i otrząsając z płaszcza krople deszczu wszedł wysoki, niebieskooki olbrzym, gospodarz zakonspirowanego lokalu. Towarzyszył mu ruchliwy, smagły, niski, lecz mocno zbudowany człowiek o wyrazistych rysach twarzy.

Pleischner o mało nie zerwał się z miejsca, ale przypomniał sobie polecenie wysokiego: „Ja sam do pana podejść”. Znowu zagłębił się więc w gazetę przysłuchując się jednocześnie rozmowom dzieci.

- Wytlumacz, dlaczego jesteś przeciw? - zapytał dziewczynkę nauczyciel. - Trzeba umieć uzasadnić swój punkt widzenia. Może ty masz rację, a my jej nie mamy. Pomóż nam.

- Mama mówi, że po lodach nie można śpiewać - powiedziała dziewczynka. - To szkodzi na gardło.

- Mama ma dużo racji. Oczywiście, jeżeli będziemy głośno śpiewali albo krzyczeli na ulicy, wówczas można sobie nadwreżyć gardło. Ale tutaj... Nie, ja myślę, że tutaj nic strasznego naszym gardłom się nie stanie. Zresztą ty możesz nie śpiewać, nie będziemy się na ciebie o to gniewali.

I nauczyciel zaintonował wesołą tyrolską piosenkę. Właściciel, kawiarni wyszedł zza bufetu i bił dzieciom brawo. Gdy w końcu cała gromada opuściła z hałasem kawiarnię, Pleischner w zamyśleniu popatrzył za dziećmi przez szybę.

Gdzieś widziałem tego czarnego, przypomniał sobie nagle. Może siedziałem z nim w obozie?... Nie... Tam go nie spotkałem. Ale go przecież pamiętam. Bardzo dobrze pamiętam...

Widocznie zbyt natarczywie wpatrywał się w twarz smagłego, gdyż ten, zauważywszy to, uśmiechnął się, i po tym uśmiechu Pleischner przypomniał go sobie - jakby zobaczył urywek filmu. Usłyszał nawet jego głos: „I niech podpisze zobowiązanie, że zawsze będzie po stronie Führera! Zawsze! Żeby potem nie mógł wskazywać na nas i mówić: To oni są winni, ja stałem na uboczu! Teraz nikt nie może stać na uboczu. Wierność albo śmierć - taki ma wybór Niemiec, który wyszedł z obozu koncentracyjnego”.

Było to w drugim roku wojny: wezwano go do gestapo na kolejną rozmowę - wzywano go tam raz do roku, z reguły wiosną. I ten właśnie smagły człowiek wszedł do gabinetu, słuchał chwilę jego rozmowy z gestapowcem w mundurze, po czym wypowiedział ze złością, histerycznie, te właśnie słowa, na zawsze zapamiętane przez Pleischnera. Pleischner poszedł wtedy do brata, który pracował jeszcze jako naczelny lekarz i nikt się nie spodziewał, że umrze za rok. „Ich normalna metoda - powiedział mu brat. - To są zaślepieni histerycy - zmuszają cię do podpisania deklaracji wierności, sądząc przy tym, że okazują ci prawdziwą łaskę...”

Pleischner poczuł, jak zaczęły mu drżeć ręce. Nie wiedział, jak postąpić: podejść do wysokiego faceta, gospodarza lokalu konspiracyjnego, i odwoławszy go na bok uprzedzić? Wyjść na ulicę i popatrzeć, czy się rozejdą? A może natychmiast iść do tego mieszkania i powiedzieć człowiekowi, który tam został - przecież słyszał, gdy tam był, drugi głos - żeby wystawił w oknie sygnał niebezpieczeństwa?



Stop! rozkazał sobie w duchu. A co było w oknie, gdy szedłem tam po raz pierwszy? Stał tam przecież kwiat, o którym mówił Stirlitz. Nie, to niemożliwe. Skąd się więc tu znalazł ten hitlerowiec?... Nie, to histeria! Trzeba wziąć się w garść!

Wysoki nie spojrzawszy w stronę Pleischnera, wyszedł razem z niskim smagłym człowiekiem. Pleischner wręczył właścicielowi kawiarni banknot, swój ostatni banknot, ale właściciel nie miał reszty i pobiegł do sklepu naprzeciwko, a gdy oddawszy pieniądze Pleischnerowi odprowadził go do wyjścia, ulica była już pusta.

A może ten człowiek jest kimś w rodzaju Stirlitza? pomyślał Pleischner. Może on, tak jak tamten, gra tylko swoją rolę i walczy z hitleryzmem od wewnątrz?

Ta myśl uspokoiła go trochę. Podszedł do domu, w którym znajdował się lokal, i spojrzawszy w okno, zobaczył wysokiego gospodarza mieszkania i czarnowłosego. Stali rozmawiając o czymś, a między nimi znajdował się wystawiony w oknie duży kwiat - znak alarmu. Rosyjski wywiadowca, zorientowawszy się, że jest śledzony, zdążył wystawić ten sygnał niebezpieczeństwa, a w gestapo nie wiedzieli, co ten kwiat oznacza. Ponieważ byli przekonani, że Rosjanin nie podejrzewał wpadki, zostawili wszystko, tak jak było. Gdy wskutek roztargnienia Pleischner wszedł tu pierwszy raz, nie zwracając uwagi na kwiat, gestapowcy uznali, że wszystko jest w porządku.

Ludzie w oknie zobaczyli Pleischnera, a wysoki, uśmiechnąwszy się, kiwnął na niego. Pleischner pierwszy raz zobaczył uśmiech na jego twarzy i to pomogło mu wszystko zrozumieć. Uśmiechnął się także i zaczął przechodzić ulicę; doszedł do wniosku, że w ten sposób ci z góry nie będą go widzieli i będzie mógł się skryć. Ale obejrzawszy się, czy nie przejeżdża samochód, zauważył dwóch mężczyzn, którzy szli oglądając wystawy o sto metrów za nim.

Pleischner poczuł, że nogi się pod nim uginają.

Krzyczeć? Wołać o pomoc? Oni podbiegną pierwsi. Wiem, co mogą ze mną zrobić, Stirlitz mówił, że człowieka można uspić albo przedstawić go jako nienormalnego.

W chwili największego niebezpieczeństwa, jeśli człowiek nie stracił zdolności do walki, uwaga jego staje się szczególnie wyczulona; mózg pracuje wprawdzie trochę wolniej, ale to tylko pozory; po prostu podświadomość sama ustala szybkość, uwzględniając nieostrożność i panikę, regulując nie poznane jeszcze przez naukę cybernetyczne urządzenia mózgu.

Pleischner zobaczył w bramie, w którą wchodził przedwczoraj, kawałek błękitnego, niskiego nieba. Tu jest podwórze z przejściem, pomyślał. Muszę wejść w tę bramę. Wszedł do bramy na sztywnych, drżących w kolanach nogach, z zamarłym uśmiechem na ustach.

Zamknął za sobą drzwi i rzucił się ku przeciwnym drzwiom, prowadzącym na podwórze. Pchnął je ręką i przekonał się, że są zamknięte. Zaczął napierać na nie ramieniem - drzwi nie ustąpiły. Jeszcze raz naparł na nie, na próżno, a przeleźć przez małe okienko, przez które zobaczył niebo, nie było można. Zresztą to nie film, pomyślał obojętnie; wyobraził sobie siebie: on, stary człowiek w okularach, będzie lał przez okno i utkwiał w nim, a tamci wyciągną go za nogi.

Wszedł na półpiętro; okno, z którego można by było wyskoczyć, wychodziło na pustą cichą ulicę, a po drugiej stronie, nie spiesząc się, szli ci dwaj w kapeluszach, teraz nie oglądali już wystaw, lecz uważnie obserwowali bramę, w której skrył się Pleischner. Wbiegł jeszcze wyżej: okno na podwórze zabite było dyktą.

Najstraszniejsze jest, gdy człowieka rozbierają, zagłądają do ust i wkładają palec do odbytnicy, wtedy czujesz się jak insekt. W Rzymie po prostu zabijali - piękny czas uczciwego antyku. A ci chcą albo cię wychować, albo zdeptać, zanim powiesz. Oczywiście nie wytrzymam tortur. Wtedy gdy dostałem się w ich ręce po raz pierwszy, nie miałem nic do ukrycia, a mimo wszystko nie wytrzymałem i powiedziałem to, co chcieli, i napisałem to, czego ode mnie żądali. A byłem przecież młodszy. Teraz, gdy złączą mnie torturować, nie wytrzymam i zaprzędam pamięć brata. A zaprzęcać pamięć brata - to śmierć. Lepiej zginąć i nie zdradzić.

Zatrzymał się przy jakichś drzwiach. Na tabliczce widniał napis: *Doktor praw Franz Ulm*.

Zadzwoń do tego Ulma, nagle postanowił Pleischner. I powiem mu, że dostałem ataku serca. Mam lodowate palce, twarz pewnie też biała. Niech zawoła lekarza. Niech sobie ci oprawcy strzelają do mnie przy ludziach, wówczas zdążę przynajmniej coś powiedzieć.

Nacisnął dzwonek. Usłyszał zza drzwi przeciągłe brzmienie sygnału.

Ulm zapyta, gdzie mieszkam, pomyślał. No i co z tego? Mogę się znaleźć w rękach miejscowej policji. Niedługo z Hitlerem będzie koniec, a wtedy powiem, kim jestem i skąd przybyłem.

Nacisnął dzwonek jeszcze raz, ale nikt mu nie otworzył.

Ten Ulm pewno siedzi teraz w kawiarni i je lody. Smaczne z truskawkami i waflami, znów jakby z daleka pomyślał Pleischner. I czyta gazetę, i ja go nic nie obchodzi.

Pobiegł po schodach na górę, licząc na to, że zadzwoni do drzwi znajdujących się naprzeciw zakonspirowanego lokalu. Ale drzwi lokalu otworzyły się i wysoki blondyn, wychodząc na korytarz, powiedział:

- Pomyliliście numer, towarzyszu. Na tej klatce mieszkamy jedynie my i Ulm, do którego pan dzwonił. Wszyscy inni wyjechali.

Pleischner stał naprzeciw okna, dużego, brudnego okna. A na stole pozostał rękopis, myślał. Zakończyłem go w połowie strony, a tak mi się dobrze pisało. Gdybym tu nie przyjechał, siedziałbym i pisał w Berlinie, a potem, już po wszystkim, wydałbym książkę. A teraz? Nikt nawet nie odczyta mojego charakteru pisma.

Wyskoczył z okna. Chciał krzyknąć, ale nie mógł już wydobyć głosu.

## SWOI WŚRÓD SWOICH

Müller, gdy mu zameldowano, że Stirlitz idzie sobie spokojnie korytarzem w budynku RSHA, zmierzając do swego gabinetu - stracił na chwilę głowę. Był przekonany, że złapią go w jakimś innym miejscu. Nie mógł sobie wyjaśnić, skąd się to wzięło, ale przez cały czas do tej pory wierzył w sukces. Wiedział co prawda, że popełnił błąd: pamiętał, jak się zachował zobaczywszy pobitego Holtoffa. Stirlitz oczywiście domyślił się wszystkiego i, jak sądził Müller, uciekł. Fakt, że pojawił się teraz w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, że bez pośpiechu szedł sobie korytarzem, kłaniając się znajomym, wytrącił Müllera z równowagi i jego wiara w sukces uległa zachwianiu.

Obliczenia Stirlitza były proste: oszołomić przeciwnika - to znaczy uzyskać połowę zwycięstwa. Był przekonany, że walka z Müllerem będzie ciężka - Holtoff dogrzebał się przecież do najbardziej niebezpiecznych punktów w jego operacji z fizykami. Ale Holtoff nie był dostatecznie przygotowany do tego, żeby sformułować oskarżenie, a każdy punkt oskarżenia, do którego doszedł raczej intuicyjnie niż na podstawie dowodów, mógł być obalony albo co najmniej dwójako komentowany. Stirlitz przypomniał sobie rozmowę z Schellenbergiem w czasie uroczystego wieczoru poświęconego rocznicy urodzin führera. Po wystąpieniu Himmlera odbył się koncert, a potem wszyscy przeszli do dużej sali, gdzie poproszono gości o zajęcie miejsc przy odpowiednio zastawionych stołach. Reichsführer jak zwykle pił wodę sodową, jego podwładni złopali koniak. Właśnie wówczas Stirlitz powiedział Schellenbergowi o tym, jak niemądrze postępują ludzie Müllera wobec aresztowanego przed trzema miesiącami fizyka.

- Z lepszym czy gorszym wynikiem skończyłem jednak wydział matematyczno-fizyczny - powiedział wówczas. - Nie lubię o tym wspominać, bo właśnie z tego powodu omal nie stałem się impotentem. Niemniej to fakt. I w dodatku ten Runge ma kontakty, uczył się i pracował za oceanem. Byłoby o wiele wygodniej, gdybyśmy się właśnie my tym zajęli.

Podrzucił tę ideę Schellenbergowi, a później zaczął opowiadać różne śmieszne anegdoty, które wprawiły jego rozmówcę w dobry humor. Podeszli następnie do okna i omówili operację, której przeprowadzenie Schellenberg powierzył grupie swych współpracowników; wśród nich znajdował się także Stirlitz. Chodziło o potężną dezinformację, obliczoną na to, żeby wbić klin między alianckich sojuszników. Stirlitz już

wówczas zauważył, że Schellenberg realizuje pewną określoną linię w swej polityce - dyskretnie, ostrożnie, asekurowując się na wszystkie strony - linię obliczoną na oderwanie zachodnich sojuszników od Kremla. Przy czym w tej grze główne uderzenie skierowane było przeciwko Kremlowi. Schellenberg dołożył szczególnie wiele starań, by zorganizować akcję ekwipowania niemieckich oddziałów, rozlokowanych na Wale Atlantyckim, w angielską broń maszynową. Broń tę Niemcy kupili za pośrednictwem neutralów. Przewieziono ją następnie przez Francję, bez zachowania takich środków ostrożności, jakie zwykle się stosować przy tego rodzaju transportach. Wprawdzie po tym, jak partyzanci zagarnęli trochę angielskich automatów z niemieckich magazynów, został wydany rozkaz grożący rozstrzelaniem za niedbalstwo w ochronie magazynów broni (to także zostało rozegrane bardzo umiejętnie). Rozkaz ten rozkolportowano w dużej ilości egzemplarzy i agenci Schellenberga, prowadzący akcję walki z partyzantami, znaleźli sposób, aby „zaopatrzyć” w jeden egzemplarz tego rozkazu przedstawicieli ruchu oporu. Na podstawie tych „tajnych” danych można było dojść do wniosku, że zachodni sojusznicy nie myślą lądować we Francji lub Holandii, bo po co by sprzedawali swoją broń wrogowi. Schellenberg w pełni zaakceptował działalność Stirlitza w tych przedsięwzięciach; właśnie Stirlitz zajmował się organizacyjną stroną problemu. Szef wywiadu nie wychodził wówczas z gabinetu, spodziewał się wstrząsu na Kremlu, spodziewał się rozpadu koalicji Stalina, Churchilla i Roosevelta.

Stirlitz pracował bez wytchnienia. Jego propozycje spotykały się z pełną aprobatą Schellenberga. Ale nic się nie stało... Stirlitz poinformował Moskwę o wszystkim, co wiedział na temat tej operacji zaraz po jej rozpoczęciu, i uprzedził, że Londyn nigdy nie sprzedawał broni hitlerowcom i że cała ta impreza jest nader koronkową, dalekosiężną dezinformacją.

W towarzyskich rozmowach w dniu urodzin führera Stirlitz starał się nie wspominać o sprawie fizyka Rungego, koncentrując się na ocenie krachu „gry” z Kremlen. Wiedział, że Schellenberg, urodzony wywiadowca, fachowiec, nie pamiętając o szczegółach, nigdy nie zapomina głównych, węzłowych momentów każdej rozmowy, nawet gdyby to była rozmowa z jego własnym ogrodnikiem. Schellenberg był poważnym przeciwnikiem i oszukać go, zwłaszcza w sprawach strategii, było bardzo trudno. A właściwie to chyba nawet niemożliwe. Przypatrując mu się Stirlitz zauważył pewien interesujący szczegół: ciekawych propozycji swych współpracowników Schellenberg początkowo jak gdyby nie zauważał, zmieniając zazwyczaj przy takiej okazji temat rozmowy. Dopiero gdy minęły dni, tygodnie, a często i miesiące, dorzuciwszy do owej propozycji swój własny punkt widzenia, wysuwał tę samą ideę, ale wówczas była to już jego własna, przez niego zgłoszona i wypastowana, przez niego wymyślona operacja. Zawsze starał się przy tym nadać takiego blasku nawet rzuconej

mimochodem propozycji, tak ściśle związać temat z ogólnym kompleksem problemów stojących przed Rzeszą, że nikt nawet nie ośmieliłby się podejrzewać go o plagiat.

Stirlitz dobrze sobie to wszystko rozważył.

- Standartenführer - powiedział do niego Schellenberg po upływie dwóch tygodni - prawdopodobnie problem technicznej przewagi będzie decydującym czynnikiem w historii świata. Szczególnie wtedy, gdy uczeni poznają tajemnicę jądra atomowego. Sądzę, że uczeni to już zrozumieli, ale nie dotarli jeszcze do tej prawdy politycy. Będziemy świadkami degradacji zawodu polityka w tym znaczeniu, do jakiego przyzwyczailiśmy się w ciągu dziewiętnastu wieków historii. Polityka zacznie dyktować nauce swoje cele. Zrozumieć najgłębsze motywy ludzi nauki, którzy osiągnęli najbardziej efektywne rezultaty, dojrzeć, kto inspiruje tych ludzi w ich poszukiwaniach - oto zadanie na dzień dzisiejszy, a właściwie nie tyle na dzień dzisiejszy, ile na całą niemal przyszłość. Dlatego będzie pan musiał popracować z aresztowanym, fizykiem. Zapomniałem jego nazwisko...

Stirlitz domyślił się, że znów został poddany próbie. Schellenberg chciał się dowiedzieć, czy jego standartenführer pamięta, skąd się wziął ten monolog, kto podrzucił mu w swoim czasie tę właśnie ideę. Stirlitz milczał nachmurzony, oglądając sobie paznokcie. Wytrzymał dokładnie tak długo, ile było trzeba, a potem popatrzył zdumiony na brigadeführera. Dano mu sprawę Rungego. I dzięki tej sprawie udało mu się zniweczyć realną możliwość Niemiec wyprodukowania bomby atomowej już pod koniec 1944 roku.

Zresztą po wielu długich dniach spędzonych wspólnie z Rungem Stirlitz zrozumiał, że sam los uniemożliwił Niemcom wyprodukowanie nowej broni. Hitler po bitwie stalingradzkiej odmawiał finansowania badań naukowych w dziedzinie obrony, jeśli uczeni nie zapewnili mu realnych, praktycznych korzyści w ciągu trzech, najwyżej sześciu miesięcy. Wprawdzie Himmler zainteresował się problemem broni atomowej i powołał fundusz badań naukowo-wojskowych, ale Göring, odpowiedzialny za prowadzenie prac naukowych Rzeszy, zażądał, aby oddano pod jego kierownictwo ten twór Himmlera. Genialni fizycy niemieccy znaleźli się w ten sposób poza polem widzenia kierownictwa, tym bardziej że żaden z przywódców ówczesnych Niemiec, poza Speerem i Schachtem, nie miał wyższego specjalistycznego wykształcenia.

Trzeba było teraz wygrać następny etap walki, myślał Stirlitz. Muszę obecnie dać dowody nieskazitelnej uczciwości. Zastanowił się nad tym. Mam silną pozycję. Powiniennem pokonać Müllera i pokonam go.

Nie wszedł do swojego gabinetu. Powiedział do Scholtza w sekretariacie Müllera:

- Przyjacielu, proszę spytać swego szefa, czy ma dla mnie jakieś polecenia. Zechce mnie zaraz przyjąć, czy też mógłbym pół godziny pospać?

- Dowiem się - odpowiedział Scholtz i zniknął za drzwiami. Nie było go chyba ze dwie minuty. - Szef pozostawia decyzję w tej sprawie do pańskiego uznania - powiedział powróciwszy. - Gotów jest przyjąć pana teraz, ale istnieje również możliwość przeniesienia rozmowy na wieczór.

Bardziej skomplikowany wariant, pomyślał Stirlitz. Chce się dowiedzieć, dokąd teraz pójdę. Nie trzeba zwlekać; tak czy owak, nasza rozgrywka rozstrzygnie się w ciągu najbliższej godziny, najwyżej dwóch. Nawet jeśli trzeba będzie wezwać ekspertów z instytutu Schumanna.

- Zrobię tak, jak mi pan poradzi - powiedział. - Obawiam się jednak, że wieczorem szef pójdzie na zebranie kierownictwa, a wówczas może się zdarzyć, że będę na niego czekał do rana. Logiczne?

- Logiczne - zgodził się Scholtz.

- A więc teraz?

Scholtz otworzył drzwi i powiedział:

- Proszę, Herr Standartenführer.

W gabinecie Müllera panował mrok. Obergruppenführer siedział w fotelu obok małego stolika z radiem i słuchał BBC. Nadawano właśnie antyniemiecką audycję. Müller trzymał na kolanach teczkę z papierami, przeglądał ją uważnie, od czasu do czasu sięgając do gałki odbiornika, by złapać uciekającą falę. Wyglądał na zmęczonego, miał rozpięty kołnierz munduru, dym z papierosów stał w gabinecie niby chmura w dolinie.

- Dzień dobry - powiedział Müller. - Szczerze mówiąc nie oczekiwałem pana tak wcześnie.

- A ja się bałem, że otrzymam naganę za spóźnienie.

- Wszyscy boicie się starego Müllera... Czy ja choć raz udzieliłem komuś nagany? Jestem starym, dobrym człowiekiem, o którym rozpuszczają niecne plotki. Wasz piękny szefunio jest tysiąc razy sroższy ode mnie. Tylko że on na tych swoich uniwersytetach nauczył się uśmiechać i mówić po francusku. A ja do tej pory nie wiem, czy jabłko należy kroić czy jeść w całości.

Wstał nagle, zapiął kołnierz munduru i powiedział:

- Idziemy.

Napotkawszy zdziwione spojrzenie Stirlitza uśmiechnął się.

- Przygotowałem niespodziankę.

Wyszli z gabinetu, Müller rzucił Scholtzowi:

- Prawdopodobnie jeszcze wrócimy...
- Nie zdążyłem wezwać samochodu - powiedział Scholtz.
- Nigdzie nie jedziemy.

Müller ciężko zszedł po krętych schodach do piwnicy. Były tu przygotowane cele dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. U wejścia stało trzech esesmanów.

Obergruppenführer wyjął z tylnej kieszeni swego waltera i podał go strażnikom. Stirlitz spojrział na niego pytająco i Müller ledwo dostrzegalnie skinął głową. Oddał więc również i swoje parabellum, które strażnik natychmiast schował do kieszeni. Müller sięgnął po jabłko leżące na stoliku straży i powiedział:

- Nie wypada iść bez prezentu. Nawet jeśli obaj jesteśmy zwolennikami wolnej miłości, bez żadnych zobowiązań, to i tak dawne przyjaciółki należy odwiedzać z jakimś prezentem.

Stirlitz zmusił się do uśmiechu, zrozumiał, do czego Müller może zmierzać. Kiedyś jego ludzie próbowali zwerbować południowoamerykańskiego dyplomate; pokazali mu kilka fotografii - dyplomata został sfotografowany w łóżku z pewną blond cizią, którą podsunęli mu ludzie Müllera. Powiedzieli mu: Prześlemy te zdjęcia pańskiej żonie albo pan nam pomoże. Dyplomata długo oglądał fotografie, a następnie zapytał: A czy mógłbym powtórzyć z tą panią? Obydwoje z żoną ubóstwiamy pornografię.

Było to wkrótce po wydaniu przez Himmlera rozkazu, aby zwracać szczególną uwagę na życie rodzinne niemieckich wywiadowców. Stirlitz warczał wówczas: „Trzeba wyznawać wolną miłość, bez żadnych zobowiązań, wówczas nie będzie można złapać człowieka na taki haczyk”. Gdy mu opowiedziano o tym wypadku z dyplomata, Stirlitz aż gwizdnął: „Poszukajcie mi żony, która lubi pornografię, a natychmiast oddam jej rękę i serce. Ale moim zdaniem Peruwiańczyk was przechytrył. Przestraszył się śmiertelnie swojej baby, lecz nie zdradził się z tym, i zagrał jak aktor, a wyście mu uwierzyli”. „A ty nie przestraszyłbyś się swojej żony?” „Oczywiście! Ale mnie nie złapiesz, boję się tylko samego siebie, ponieważ nie mam żadnych wobec nikogo zobowiązań. Jedyna bieda, że nie będzie mi miał kto przynosić paczek do więzienia...”

Przy celi nr siedem Müller przystanął. Patrzył długo przez judasza, potem kazał strażnikowi otworzyć ciężkie drzwi. Wszedł do celi pierwszy. Za nim wszedł Stirlitz. Strażnik pozostał u wejścia. Cella była pusta.

*13.3.1945 (godzina 11 minut 09)*

- Logiczne - powiedział Müller wysłuchawszy Stirlitza. - Pańskie postępowanie z Rungem nie podlega dyskusji. Może mnie pan uważać za swego sprzymierzeńca.



- Czy fakt, że czarny horch „gościa z Ameryki Południowej” był przez pana śledzony, ma związek z tą sprawą?

- Czuł pan, że pana ktoś śledzi? Czy zawsze wyczuwa pan zbliżające się niebezpieczeństwo?

- Najgorszy głupiec na moim miejscu nie miałby co do tego wątpliwości. A jeśli chodzi o niebezpieczeństwo, to jakież to niebezpieczeństwo może mi grozić w domu? Gdybym był za granicą...

- Głowa pana nie boli?

- Od trosk? - Stirlitz uśmiechnął się.

- Z powodu ciśnienia - odpowiedział Müller i podniósłszy lewą rękę zaczął masować kark.

Chciał popatrzeć na zegarek. Czeka na coś, pomyślał Stirlitz. Nie zacząłby tego spektaklu, gdyby nie miał w zanadru jakiegoś atutu. Tylko kto to może być? Pastor? Pleischner? Kät? Głośno powiedział:

- Radziłbym panu poprobować gimnastyki oddechowej jogów.

- Nie wierzę w to. Chociaż... niech pan pokaże, jak się to robi.

Lewą rękę proszę położyć na karku. Nie, nie tylko palce. Natomiast prawa powinna spoczywać na głowie. O, tak. Proszę równocześnie zacząć masować głowę. Oczy proszę zamknąć.

- Zamknę oczy, a pan mnie walnie po głowie, jak Holtofffa.

- Jeśli zaproponuje mi pan, abym zdradził ojczyznę. Obergruppenführerze, pan zerknął na zegarek. Otóż pański czasomierz późni się o całe siedem minut. Lubię otwartą grę, w każdym razie ze swoimi.

Müller westchnął:

- Zawsze żałowałem, że nie pracuje pan w moim aparacie. Dawno już zrobiłbym pana moim zastępcą.

- Nie zgodziłbym się.

- Dlaczego?

- Pan jest zazdrosny. Jak kochająca, oddana żona. To najgorsza forma zazdrości. Tyrańska...

- To prawda. Chociaż można tę tyrańską zazdrość nazwać inaczej: troską o współpracowników.

Müller znów spojrział na zegarek, tym razem otwarcie. Ten Stirlitz to jednak pierwszorzędny fachowiec, pomyślał. Rozumie wszystko nie dzięki słowom, lecz gestom,

chwytą w lot nastrój. Zuch. Jeżeli działa przeciwko nam, nie podejmuję się obliczyć szkód, jakie wyrządził Rzeszy.

- Dobrze - powiedział. - Grajmy w otwarte karty. Zaraz, przyjacielu, jedną chwileczkę...

Podszedł do ciężkich drzwi, otworzył je. Mimo że były opancerzone i masywne, otwierały się lekko, jednym palcem. Poleciał jednemu ze strażników, który leniwie czyścił paznokcie zapalką:

- Proszę zadzwonić do Scholtza i zapytać, jakie są nowiny.

Liczył na to, że po dwóch, trzech godzinach Rolf zmusił już Rosjanek do mówienia. Wówczas przywożą ją tutaj i nastąpi konfrontacja. Tak! Sprawdzenie faktów jest obowiązkiem kontrwywiadowcy... Scenariusz przesłuchania Stirlitza też obmyślił sobie dokładnie: gdy tylko Rolf rozpracuje Rosjanek, Müller wyłoży swoje atuty, obserwując jednocześnie zachowanie się Stirlitza. A potem postawi go twarzą w twarz z radiotelegrafistką.

- Chwileczkę. - Müller odwrócił się w stronę celi. - Czekam na pewną informację.

Stirlitz wzruszył ramionami.

- Czemu mnie pan przyprowadził właśnie tutaj?

- Tu jest spokojniej. Jeśli wszystko skończy się po mojej myśli, wrócimy razem i nikt nie będzie wątpił, że zajmowaliśmy się jakąś sprawą z mojego resortu.

- I mój szef też nie będzie wątpił?

- Czyjej zazdrości pan się boi, jego czy mojej?

- A jak pan woli?

- Podoba mi się, że idzie pan przebojem.

Wszedł strażnik i zameldował:

- Mam przekazać wiadomość: Nikt tam nie odpowiada.

Müller, zdziwiony, zgryzł wargi, a potem pomyślał: prawdopodobnie Rolf postanowił przyjechać, nie zadzwoniwszy uprzednio. Moja linia mogła być zajęta i już wyjechał, żeby nie tracić czasu. Wspaniale. To znaczy, że za dziesięć minut Rolf przywiezie ją tutaj.

- Dobrze - mruknął Müller. - Jak to jest w *Biblii*? „Czas zbierania kamieni i rzucania ich”.

- Muszę zauważyć, że w szkole nie miał pan chyba najlepszych wyników, jeśli idzie o znajomość *Pisma Świętego* - powiedział Stirlitz. - W księdze Eklezjasty powiedziane jest: „Czas rzucania kamieni i czas zbierania: czas obłapiania i czas oddalania się od obłapiania”.

Müller zapytał:

- Pan tak dokładnie przestudiował *Biblię* ze swoim podopiecznym pastorem?

- Znam *Biblię* dość dobrze. Żeby zwyciężyć wroga, trzeba znać jego ideologię, prawda? Uczyć się tego dopiero w okresie walki, to z góry skazać siebie na przegraną.

Czyżby złapali pastora? myślał Stirlitz. To niemożliwe. Przecież gdy wracałem na stację, nie spotkałem żadnego samochodu. Ale mogli przyjechać przede mną i siedzieć gdzieś w ukryciu. A teraz - w czasie by się to ewentualnie zgadzało - dojeżdżają z nim do Berlina. W takim wypadku zażądam natychmiastowego widzenia z moim szefem. Tylko atak. W żadnym razie nie obrona. A jeśli Müller zapyta mnie, gdzie się podział agent Klaus? W domu, w biurku, powinien leżeć list. Zbyt oczywiste alibi... Ale kto mógł pomyśleć, że wypadki naprowadzą ich właśnie na pastora. Muszą dopiero udowodnić tę historię z Klausem. A czas działa na moją korzyść.

Müller powoli wyciągnął z kieszeni na piersi niebieską kopertę.

Ostatecznie zrobiłem swoje, rozmyślał dalej Stirlitz. Głupiec, wyobraża sobie, że swoją powolnością wyprowadzi mnie z równowagi, że zacznę się miotać. Bóg z nim. Pastor może zacząć mówić, ale to nie takie straszne. Najważniejsze, że Pleischner uprzedził naszych o wyspie Kät i o tym, że Wolf zaczął bądź też zaczyna rokowania. Nawet jeśli teraz wpadł, nasi powinni pchnąć wszystko dalej. Wiedzą teraz, w jakim kierunku należy prowadzić całą sprawę. Mojego szyfru Müller nie pozna - nie zna go nikt oprócz mnie i mojego szefa. Ode mnie szyfru się nie dowiedzą, tego jestem pewny.

- A więc - powiedział Müller, wyciągnawszy z koperty zdjęcia odcisków palców. - Niech pan patrzy, jaka ciekawa sztuczka wyszła. Te paluszki - podsunął Stirlitzowi pierwsze zdjęcie - znaleźliśmy na szklance, do której nalał pan wody dla głupiego, łatwowiernego Holtofffa. Te paluszki - wyciągnął drugie zdjęcie, niby atutową kartę z talii - znaleźliśmy... gdzie, jak pan sądzi... Co?

- Odciski moich palców można znaleźć w Holandii, w Madrycie, w Tokio, w Ankarze.

- A gdzie jeszcze?

- Mogę sobie przypomnieć, ale zajmie mi to piętnaście godzin, nie mniej. W związku z tym stracimy nie tylko obiad, ale i kolację...

- Nic nie szkodzi. Jestem gotów na głodówkę. Zresztą pańscy jogowie uważają głód za jedno z najbardziej skutecznych lekarstw... No i co? Przypomniał pan sobie?

- Jeśli jestem aresztowany i pan oficjalnie poinformuje mnie o tym, będę odpowiadał na pytania tak jak aresztowany. Jeśli nie jestem aresztowany, odpowiadać panu nie będę.

- Nie będę - powtórzył Müller słowa Stirlitza, naśladowując jego intonację. - Nie będę.

Spojrzał na zegarek. Jeśli w tej chwili wszedł Rolf, pomyślał, można by zacząć od sprawy nadajnika. Ale Rolf się spóźnia. Powiedział głośno:

- Niech się pan postara ze stenograficzną dokładnością odtworzyć minuta po minucie to, co pan robił po rozmowie telefonicznej przeprowadzonej z pokoju łączności specjalnej, do którego wstęp jest wszystkim kategorycznie zabroniony.

Nie pokazał trzeciej kartki z odciskami palców, myślał Stirlitz. To znaczy, że ma jeszcze coś. To znaczy, że trzeba uderzyć teraz, żeby później nie był taki pewny siebie.

- Po wyjściu z pokoju łączności specjalnej - łącznościowców za niedbalstwo i tchórzostwo trzeba oddać pod sąd wojenny! Zostawili klucz w drzwiach i pobiegli jak zajęce do schronu... - a więc po wyjściu z tego pokoju spotkałem się z Bormannem. Spędziłem z nim ponad dwie godziny. Na pytanie, o czym rozmawialiśmy, oczywiście panu nie odpowiem.

- Niech się pan nie zagalopowuje, Stirlitz. Ostrzegam pana. Niech się pan nie zagalopowuje. Jestem mimo wszystko starszy od pana i stopniem, i wiekiem.

Odpowiedział mi w ten sposób, dając do zrozumienia, że nie jestem jeszcze aresztowany, szybko odnotował w myślach Stirlitz. To znaczy, że nie mają dowodów, lecz na nie czekają. Ode mnie też na pewno spodziewają się je otrzymać. A więc mam jeszcze szansę.”

- Przepraszam, obergruppenführerze.

- To już lepiej. A więc o czym rozmawiał pan z Bormannem?

- Mogę odpowiedzieć na pana pytanie tylko w jego obecności. Proszę mnie właściwie zrozumieć.

- Gdyby mi pan odpowiedział, to być może zwolniłoby to pana od konieczności udzielenia odpowiedzi na trzecie pytanie...

Müller jeszcze raz spojrzął na zegarek - Rolf powinien chyba już być na schodach do piwnicy. Müller zawsze sądził, że ma wyjątkowe wyczucie czasu.

- Jestem gotów odpowiedzieć na pańskie trzecie pytanie, jeśli dotyczy ono mnie osobiście, a nie interesów Rzeszy i Führera.

- Dotyczy osobiście pana. Te odciski moi ludzie znaleźli na walizce rosyjskiej radiotelegrafistki. Jak to się stało? Na to pytanie będzie panu z pewnością najtrudniej odpowiedzieć.

- Dlaczego? Na to pytanie odpowiedź jest bardzo prosta, walizkę radiotelegrafistki oglądałem w gabinecie Rolfa - on to potwierdzi.

- On to już potwierdził.

- O co więc chodzi?

- Chodzi o to, że odciski pańskich palców zostały zdjęte i zabezpieczone w dzielnicowym urzędzie gestapo jeszcze przed tym, nim walizka trafiła do gabinetu Rolfa.

- Pomyłka jest wykluczona?

- Wykluczona.

- A przypadek?

- Możliwy. Ale przypadek, który można udowodnić. Dlaczego z dwudziestu milionów walizek, znajdujących się w berlińskich domach, właśnie na tej, w której rosyjska radiotelegrafistka chroni swą aparaturę, znaleziono odciski pana palców? Jak to wytłumaczyć?

- Hm, hm... Wytłumaczyć to jest rzeczywiście trudno, prawie niemożliwe. Ja bym na miejscu pana nie uwierzył żadnym moim wyjaśnieniom. Rozumiem pana, obergruppenführerze. Ja pana rozumiem...

- Bardzo chciałbym otrzymać od pana popartą dowodami odpowiedź, Stirlitz; daję panu słowo honoru, że darzę pana sympatią.

- Wierzę.

- Zaraz Rolf przyprowadzi tutaj Rosjankę, ona na pewno pomoże nam ustalić, w jakich okolicznościach pozostawił pan odciski palców na walizce.

- Rosjanka? - Stirlitz wzruszył ramionami. - Ta, którą aresztowałem w szpitalu? Mam absolutną pamięć wzrokową. Gdybym spotkał ją wcześniej, zapamiętałbym jej twarz. Nie, ona nam nie pomoże...

- Właśnie ona nam pomoże - z naciskiem powtórzył Müller. - I pomoże nam - znowu zaczął szperać w kieszeni na piersi - również to...

Pokazał szyfr, który Pleischner wioził do Berna.

A to już jest wsypa, błyskawicznie zorientował się Stirlitz. Wsypa na całego. Byłem idiotą - Pleischner to albo tchórz, albo niedołęga, albo prowokator.

- A więc niech pan pomyśli, Stirlitz.

Müller podniósł się ciężko i powoli wyszedł z celi.

Stirlitz poczuł pustkę wewnątrz, gdy posłyszał cichy trzask zamykanych drzwi. Doznawał tego uczucia już kilka razy. Wydawało mu się, że nie stoi na własnych nogach. Jego ciało wydawało mu się obce, nierealne, a równocześnie wszystkie otaczające go przedmioty stały się jeszcze bardziej materialne, kanciaste. Prócz tego dokładnie odróżniał linie zetknięcia się kolorów, widział nawet, w którym miejscu dany kolor pochłania inny, staje się głównym. Pierwszy raz doświadczył tego uczucia w 1940 roku w Tokio, późną jesienią. Szedł wtedy z rezydentem SD w niemieckiej ambasadzie po Marinouti-ku. Koło budynku „Tokio Bank” spotkał się twarzą w twarz ze swym dawnym znajomym z Władywostoku, oficerem kontrwywiadu Wolenką Pimiezowem. Tamten przebiegł przez ulicę (Rosjanin jest zawsze Rosjaninem; nauczy się wszystkiego, tylko nie prawidłowego przechodzenia przez jezdnię.

Stirlitz po tym właśnie szczególnie rozpoznawał za granicą rodaków), wypuścił z rąk teczkę, rzucił mu się w objęcia i krzyknął: Maksymuszka, kochany!

Właśnie po tym spotkaniu w Tokio Stirlitz zaczął się uskarżać na wzrok. Po upływie pół roku kupił sobie ciemne okulary, zgodnie z receptą lekarzy, którzy orzekli, że cierpi na chroniczne zapalenie spojówki lewego oka. Wiedział, że okulary, szczególnie ciemne, zmieniają wygląd człowieka czasami nie do poznania, ale od razu po tokijskim incydencie włożyć na nos okulary - byłoby nierozsądnie. Rzec całą poprzedziło półroczne przygotowanie, przy współdziałaniu tajnej radzieckiej służby w Tokio, która jak najdokładniej obserwowała, czy ktoś z Niemców nie zainteresował się Pimiezowem. Nie zainteresowali się nim. Widocznie oficer SD uznał zaniedbanego rosyjskiego emigranta w przydeptanych pantoflach i brudnej koszuli za obiekt nie zasługujący na uwagę.

Po raz drugi owo uczucie pustki i własnej nierealności opanowało go w Mińsku w czterdziestym drugim roku. Wchodził wówczas w skład świty Himmlera i razem z reichsführerem uczestniczył w inspekcji obozów koncentracyjnych dla radzieckich jeńców. Rosyjscy jeńcy leżeli na ziemi, żywi obok martwych. Były to szkielety, żywe szkielety. Himmler dostał wówczas mdłości, jego twarz zrobiła się kredowobiała. Stirlitz szedł obok niego i przez cały czas odczuwał pragnienie wyciągnięcia swego waltera i wpakowania całego ładunku w piegopatą twarz tego człowieka w binoklach. Ponieważ jednak to pragnienie można było zrealizować, Stirlitz aż zmartwił cały, a potem ogarnęła go słodka błogość. A co będzie później? zadał sobie w duchu pytanie. Na miejsce tej kreatury dadzą inną i wzmocnią ochronę osobistą... Wtedy, zanim przewyciężył pokusę, odczuwał również swe ciało jako coś obcego, cudzego. I jak diabelskie przywidzenie odpędzał od siebie przez długie tygodnie fotograficzny, dokładny obraz twarzy Himmlera. Jego piegi na policzkach miały kolor brudno-żółty, przy skroni idealnie brązowy, koło uszu i na szyi czarny. Dopiero po upływie roku mógł się śmiać z tej swojej obsesji.

Stirlitz sprężył się w sobie i czując delikatne drżenie mięśni, stał tak z minutę. Krew napłynęła mu do twarzy, w oczach zamigotały zielone płatki.

Właśnie tak, powiedział sobie. Trzeba czuć całego siebie jak zaciśniętą pięść. Niezależnie od ścian pomalowanych na trzy kolory: szary, granatowy i biały.

I zaśmiał się. Nie zmuszał się do śmiechu. Po prostu te przekłete kolory... Niech je lichy porwie. Dzięki Bogu, że Müller wyszedł. To błąd z jego strony, dał mi czas na przemyślenie wszystkiego. Nigdy nie należy dawać czasu na myślenie, jeśli uważa się rozmówcę za poważnego przeciwnika. A więc, Müller, widać, że i u ciebie nie wszystko gra...

Müller wyjechał na miejsce zabójstwa Rolfa i Barbary wraz ze swoimi najlepszymi detektywami - do pomocy wziął weteranów, którzy łapali z nim bandytów i narodowych socjalistów Hitlera, komunistów Thalmanna i Brandlera w latach dwudziestych. Posługiwał się tymi ludźmi w wyjątkowych wypadkach. Nie przeniósł ich do gestapo, aby się nie zmanierowali: każdy pracownik śledczy gestapo liczył na pomoc wyspecjalizowanych ekspertów i wszelkich najnowszych zdobyczy techniki. Müller był wielbicielem Czapka - detektywi występujący w powieściach tego pisarza posługiwali się wyłącznie swą głową i doświadczeniem.

- W ogóle nic? - spytał Müller. - Nie ma żadnego punktu zaczepienia?

- Ni cholery - odpowiedział siwy staruch o ziemistej cerze. Müller nie pamiętał już jego nazwiska, choć byli z sobą na ty od 1926 roku. - To podobne jest do zabójstwa, które rozplątywałeś w Monachium,

- Na Egmontstrasse?

- Tak, dom numer dziewięć, jeśli się nie mylę...

- Osiem. To było po parzystej stronie ulicy.

- Ale masz pamięć!

- A ty się na swoją uskarżasz?

- Piję jod.

- A ja wódkę.

- Ty jesteś figura, możesz sobie pić wódkę. A my skąd weźmiemy pieniądze na alkohol?

- Bierz łapówki. - Müller zaśmiał się.

- A potem trafię w ręce twoich katów? Nie, wolę już raczej pić jod.

- Pij - zgodził się Müller. - Pij. Ja bym z rozkoszą, mówiąc szczerze, zamienił swoją wódkę na twój jod.

- Za dużo roboty?

- Na razie za dużo. Ale niedługo zupełnie jej nie będzie. A więc co mamy robić? Czyżby rzeczywiście nic nie było?

- Niech w twoim laboratorium obejrzą kule, którymi ukatrupili tę parkę.

- Obejrzyć, obejrzą - zgodził się Müller. - Na pewno obejrzą, możesz się nie martwić...

Wszedł drugi weteran i przysunąwszy sobie krzesło usiadł obok Müllera.

Stary drań, pomyślał Müller, spojrzawszy na niego, a farbuje się. Tak, ma rzeczywiście farbowane włosy.

- No? - zapytał. - Co słychać, Günther?

- Coś niecoś jest.

- Słuchaj, czym ty farbujesz włosy?

- Henną. Mam włosy ani nie siwe, ani nie czarne, tylko jakieś takie... Ilza umarła, a młódki woła młodych żołnierzy od starych wywiadowców. Wiesz, tutaj jedna starucha z domu naprzeciwko widziała godzinę temu kobietę i żołnierza. Kobieta szła z dzieckiem i bardzo się śpieszyła.

- Co miał na sobie żołnierz?

- Jak to co? Mundur.

- Rozumiem, że nie trykoty. Czarny mundur?

- Aha... Oczywiście, że czarny. Wy nie powierzacie ochrony tym w zielonych...

- Do jakiego wsiedli samochodu?

- Wsiedli do autobusu.

Müller aż poderwał się z miejsca.

- Jak to do autobusu?!

- Zwyczajnie. Do siedemnastki.

- W którą stronę pojechali?

- Tam. - Günther machnął ręką. - Na zachód.

Müller podbiegł do biurka, chwycił słuchawkę telefonu i szybko wykręciwszy numer powiedział:

- Scholtz! Szybko! Obstawić linię autobusu numer siedemnaście... Pianistka i strażnik. Co? Skąd ja mogę wiedzieć, jak on się nazywa! Proszę to ustalić. Po drugie - niezwłocznie wziąć jego akta: kto, skąd, gdzie są jego krewni. Całą charakterystykę służbową przysłać tu do mnie. Jeśli ustalicie, że choć raz był w tych miejscach, gdzie przebywał Stirlitz, proszę natychmiast mi meldować. I dajcie polecenie przygotowania zasadzki w mieszkaniu Stirlitza.

Müller siedział na krześle obok drzwi. Eksperci gestapo i fotograf już odjechali. Został tylko ze swoimi dwoma starymi kumplami. Rozmawiali o przeszłości, przerywając sobie nawzajem. Przegrałem, rozważał Müller uspokojony rozmową ze starymi przyjaciółmi, ale mam w zapasie Berno. Oczywiście tam wszystko jest bardziej skomplikowane, obca policja i obca straż graniczna. Zdaje się, że jeden atut, i to główny, wyrwano mi z ręki. Jeśli ci dwoje wsiedli do autobusu, to znaczy, że nie chodziło tu o zaplanowaną operację. Nie, o operacji trudno tu nawet myśleć. Rosjanie oczywiście walczą o swoich, ale posyłać na śmierć kilku ludzi po to, żeby spróbować, tylko spróbować, uwolnić jedną radiotelegrafistkę - taka operacja wydaje się zupełnie nieprawdopodobna. Chociaż z drugiej strony oni wiedzieli, że dziecko jest jej piętą achillesową. Być może dlatego poszli na takie ryzyko. Nie, co ja plotę? Nie było



żadnego zaplanowanego ryzyka, ta kobieta najzwyczajniej wsiadła do autobusu. Też mi ryzyko? To idiotyzm, a nie żadne ryzyko...

Znowu podniósł słuchawkę telefonu.

- Tu Müller. Uprzedźcie policję na wszystkich liniach metro o kobiecie z dzieckiem. Podajcie jej rysopis - powiedzcie, że to niebezpieczna złodziejka i morderczyni, którą trzeba koniecznie aresztować. Jeśli się pomylą i złapią więcej podejrzanych - usprawiedliwię ich. Niech tylko nie przegapią tej, o którą mi chodzi...

Stirlitz zastukał do drzwi celi. Widocznie nastąpiła zmiana warty, bo zamiast czerwonogębego młodzieńca na progu stał teraz Zygfryd Becker. Stirlitz często grał z nim w jednej parze na kortach tenisowych.

- Cześć, Zyggi - powiedział uśmiechnąwszy się. - Dobre miejsce na spotkanie, co?

- Dlaczego numer siódmy mnie wzywał? - zapytał Becker bardzo spokojnie, równym, głębokim głosem.

Ten facet miał zawsze spóźniony refleks, przypomniał sobie Stirlitz. Dobrze uderzał z lewej, ale zawsze trochę się spóźniał. Z tego powodu przegraliśmy z nim w grze podwójnej z parą Turków.

- Czyżbym się tak zmienił? - zapytał i automatycznie potarł ręką brodę; nie golił się od dwóch dni i zarost miał już spory.

- Po co wzywa mnie numer siódmy? - powtórzył Zygfryd.

- Czyś ty zwariował?

- Milczeć! - warknął Becker i zatrzasnął ciężkie drzwi.

Stirlitz uśmiechnął się i usiadł na metalowym, przyśrubowanym do podłogi taborecie. Gdy mu podarowałem angielską rakietę tenisową, to z radości aż się popłakał. Wszystkie łotry i dranie są skore do łez. To taka forma hysterii. Słabi ludzie zwykle krzyczą albo klną, a niegodziwcy płaczą. Słabi - źle pomyślałem. Dobrzy - tak będzie lepiej. I tylko najsilniejsi ludzie umieją podporządkować siebie sobie.

Gdy pierwszy raz grali razem z Zygfrydem przeciwko parze, w której był obergruppenführer Pohl - przed wojną uczył się w tenisa, aby schudnąć - Becker szepnął do Stirlitz:

- Przegramy do zera, czy będziemy się trochę dla przyzwoitości bronić?

- Nie gadaj głupstw - powiedział Stirlitz. - Sport jest sportem.

Zygfryd zaczął bez żenady podkładać się Pohlowi. Bardzo chciał się przypodobać obergruppenführerowi. A Pohl krzyknął na niego:

- Nie jestem dla pana lalką! Niech pan gra ze mną jak ze współzawodnikiem, a nie jak z dzieckiem.

Zygryd z przerażenia zaczął gnać Pohla po korcie, tak że ten, rozwścieczony, rzucił rakieta i opuścił boisko. Becker zbladł, Stirlitz zauważył, jak drżały mu ręce.

- Nigdy nie myślałem, że w naszych więzieniach pracują takie nerwowe chłopaki - powiedział wówczas Stirlitz. - Nic się nie stało, przyjacielu, absolutnie nic. Idź pod prysznic, odpocznij i wal do domu, a pojutrze powiem ci, co trzeba zrobić.

Zygryd poszedł, a Stirlitz odszukał Pohla i razem świetnie rozegrali pięć setów. Pohl spociał się, ale Stirlitz grał z nim równo, ćwicząc nienaturalnie i z szacunkiem długie uderzenia z prawej. Pohl zrozumiał to doskonale, ale sposób zachowania się Stirlitza na korcie, pełen z lekka ironicznej życzliwości i prawdziwie sportowego demokratyzmu - podobał mu się. Poprosił Stirlitza, aby pograł z nim parę miesięcy.

- To zbyt ciężka kara. - Stirlitz zaśmiał się i Pohl też się roześmiał, tak dobroduszenie zabrzmiał żart Stirlitza. - Proszę się nie gniewać na mojego kolegę, on boi się generałów i odnosi się do pana z uwielbieniem. Będziemy grali z nim po kolei, żeby nie stracić formy.

Gdy Stirlitz w czasie następnej gry przedstawił Pohlowi Zygryda, ten ostatni nabrał do swojego partnera olbrzymiego szacunku i od tej pory starał się przy każdej okazji wyświadczyć Stirlitzowi jakąś przysługę. Albo biegał po piwo, gdy skończyła się partia, albo przynosił w prezencie ekstra wieczne pióro, prawdopodobnie odebrane jakiemuś aresztowanemu. Zdarzało się też, że ofiarowywał bukiet kwiatów. Pewnego razu, oczywiście nie ze złej woli, ale z powodu wrodzonej służbistom tępoty, wyspał Stirlitza. Stirlitz grał wówczas z pewnym Hiszpanem. Gość był miły, liberalnie nastrojony, ale Schellenberg zaplanował jakąś podłość w stosunku do niego i z tego powodu poprosił, poprzez swoich ludzi w komitecie sportowym, aby Hiszpan trafił podczas zawodów na Stirlitza. Stirlitz oczywiście przedstawiony został gościowi jako współpracownik ministerstwa spraw zagranicznych. Po zakończeniu partii podbiegł do Stirlitza Zygryd i rzucił: „Gratuluję zwycięstwa, standartenführerze! SS zawsze zwycięża”.

Stirlitz nie martwił się specjalnie z powodu fiaska operacji, lecz Zygryda chciano zamknąć w areszcie garnizonowym i wykluczyć z SS. I znów Stirlitz poszedł wstawić się za nim, tym razem przy pomocy człowieka Pohla, i znów udało mu się go uratować. Na drugi dzień ojciec Zygryda, wysoki chudy staruszek z niebieskimi oczami, przyjechał do niego z prezentem, dobrą kopią Dürera.

- Nasza rodzina nigdy nie zapomni wyświadczonego jej dobra - powiedział. - Jesteśmy wszyscy pańskimi sługami, panie Stirlitz, zawsze będziemy. Ani mój syn, ani ja nie potrafimy oczywiście odwdziżyć się panu, ale jeśli będzie panu potrzebna pomoc w jakichś drobnych

codziennych kłopotach - będziemy uważali za wielki honor móc wypełnić każdą pańską prośbę.

Od tej pory stary co roku na wiosnę przyjeżdżał do Stirlitza i pielęgnował jego ogród, a w szczególności przywiezione z Japonii róże.

Nieszczęsne bydlę, pomyślał nagle Stirlitz o Zygfrydzie. Nawet winić go o cokolwiek nie można. Wszyscy ludzie są równi w obliczu Boga, tak w każdym razie twierdził mój pastor. Gdzież tam. Żeby na ziemi zapanowała równość, trzeba najpierw stwierdzić, że wcale nie wszyscy ludzie są równi w obliczu Boga. Są ludzie-ludzie i ludzie-zwierzęta. I obwiniać ich o to nie można. Ale liczenie na normalną reakcję takich osobników jest nie tylko głupie, jest przestępstwem.

Drzwi celi otworzyły się. Na progu stał Zygfryd.

- Nie siedzieć! - krzyknął. - Chodzić dookoła!

I zanim zamknął drzwi, upuścił na podłogę małą karteczkę.

Stirlitz podniósł papierek: *Jeśli pan nie powie, że mój ojciec okopywał i przycinał pańskie róże, obiecuję bić pana lekko, tak żeby się pan mógł dłużej trzymać. Kartką proszę zjeść.*

Stirlitz poczuł nagle ulgę: głupota ludzka zawsze śmieszy. Znów spojrzął na zegarek. Müllera nie było już trzy godziny. Dziewczyna milczy, myślał. Albo konfrontują ją z Pleischnerelem. To nie jest niebezpieczne - oni nic o sobie nie wiedzą. Ale coś mu jednak nie wyszło. Widocznie stało się coś, co zwiększa moje szanse, a na razie daje mi przynajmniej trochę czasu.

Chodził powoli po celi, przypominając sobie wszystko, co miało związek z tą walizką. Tak, istotnie chwycił ją w lesie, gdy Erwin pośliznął się i o mało nie upadł. To było w nocy przed tym bombardowaniem. Jedyny raz.

Chwileczkę... Przed bombardowaniem... A po bombardowaniu stałem tam moim samochodem... Tam stało wiele samochodów... i był wielki zator spowodowany akcją straży pożarnej. Dlaczego się tam znalazłem? Na mojej zwykłej trasie droga była zamknięta. Zażądam, żeby wezwano tych ludzi z kordonu policyjnego, którzy mieli dyżur tego rana. To znaczy, że znalazłem się tam dlatego, iż zawróciła mnie z mojej zwykłej trasy policja. Wśród materiałów była fotografia walizek, które ocalały po bombardowaniu. Rozmawiałem z policjantem i pamiętam jego twarz, a on powinien pamiętać mój znaczek. Pomogłem przenieść walizkę, niech on spróbuje temu zaprzeczyć. Nie zaprzeczy temu, a ja zażądam konfrontacji. Powiem, że pomogłem płaczącej kobiecie przenieść dziecięce łóżeczko, ona też to potwierdzi, takie rzeczy się zapamiętuje.

Stirlitz zabębnił w drzwi pięściami, drzwi otworzyły się, na progu stało dwóch strażników. Trzeci, Zygfryd, przeprowadził obok celi Stirlitza człowieka z wiadrem w ręku. Twarz człowieka była okaleczona, ale Stirlitz poznał osobistego szofera Bormanna, tego, który nie był agentem gestapo i który prowadził samochód wtedy, gdy on, Stirlitz, rozmawiał z szefem kancelarii partyjnej.

- Zadzwońcie natychmiast do obergruppenführera Müllera. Powiedzcie mu, że przypomniałem sobie! Poproście, żeby zaraz do mnie przyszedł!

Pleischnera jeszcze nie przywieźli. To raz. Z Kät się nie udało. To dwa. Mam tylko jedną szansę, żeby się uratować. Czas. Czas i Bormann. Jeśli się nie pośpieszę, Müller wygra.

- Dobrze - powiedział strażnik. - Zaraz zamelduję.

Z przytułku dla niemowląt wyszedł żołnierz, przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do piwnicy zburzonego domu. Na skrzyni siedziała Kät i karmiła syna.

- No i jak? - zapytała go.

- Źle - odpowiedział Helmut. - Trzeba czekać pół godziny. Teraz odbywa się karmienie dzieci i wszyscy są zajęci.

- Poczekamy - uspokoiła go Kät. - Poczekamy... Skąd oni mogą wiedzieć, gdzie my jesteśmy?

- To prawda, ale trzeba czym prędzej uciekać z miasta, inaczej nas złapią. Ja wiem, jak oni umieją szukać. Może pani już pójdzie? A ja, jeśli się uda, dogonię panią. Co? Umówmy się w konkretnym miejscu...

- Nie. - Kät pokręciła głową. - Będą czekała... Nie mam i tak gdzie iść w tym mieście...

Scholtz zadzwonił do Müllera i powiedział:

- Obergruppenführerze, Stirlitz prosił, żeby przekazać panu, że wszystko sobie przypomniał.

- Tak? - Müller ożywił się i dał ręką znak wywiadowcom, żeby nie śmieli się tak głośno.

- Kiedy?

- Przed chwilą.

- Dobrze. Zaraz tam przyjadę. Poza tym nic nowego?

- Nic istotnego.

- O tym strażniku żadnych wiadomości?

- Nie, same głupstwa...

- Jakie? - zapytał Müller machinalnie, dla porządku raczej, ściągnając przy tym z sąsiedniego krzesła swoje palto.

- Dane o żonie, o dzieciach, o rodzinie.

- Dobre sobie głupstwa! - Müller rozżłościł się. - To nie głupstwa. To absolutnie nie głupstwa w takiej sprawie, przyjacielu Scholtz. Zaraz przyjadę i przejrzę te dane. A do żony posłałście ludzi?

- Żona dwa miesiące temu rzuciła go. Gdy leżał ranny w szpitalu, odjechała z jakimś kupcem do Monachium.

- A dzieci?

- Zaraz - odpowiedział Scholtz przeglądając materiały. - Zaraz zobaczę, gdzie jego dzieci... Aha, tu... Ma jedno dziecko, trzymiesięczne. Oddał je do przytułku.

Rosjanka ma małe dziecko, skojarzył sobie Müller. Jemu potrzebna jest mamka! A Rolf na pewno przebrał miarę w torturach.

- Jak się nazywa ten przytułek?

- Tu nie ma nazwy. Przytułek w Pankow. Mozartstrasse 7. Tak. A teraz o jego matce...

Müller nie słuchał danych o matce. Rzucił słuchawkę. Jego powolność zniknęła. Błyskawicznie wkładając palto powiedział:

- Chłopcy, zaraz może być duża strzelanina, a więc przygotujcie swoje „buldogi”. Kto zna przytułek w Pankow?

- Mozartstrasse 8? - zapytał siwy.

- Znowu ci się wszystko poplątało - rzucił Müller wychodząc. - Zawsze mylisz parzyste i nieparzyste cyfry. Ten dom ma numer 7.

- Ulica, jak ulica - powiedział na schodach siwy. - Nic szczególnego. Można tam ładnie zorganizować akcję: spokój, nikt nie przeszkadza. A te cyfry mylą mi się zawsze. Od dzieciństwa. Gdyśmy to przerabiali w szkole, byłem akurat nieobecny.

I zaśmiał się, wszyscy pozostali też się zaśmiali i byli teraz podobni do myśliwych, którym udało się osaczyć jelenia.

Nie. Helmut Kolder nie był związany ze Stirlitzem. Ich drogi nigdy się nie skrzyżowały. Walczył uczciwie od 1940 roku. Wiedział, że walczy za matkę, trzech braci i siostrę. Wierzył, że walczy w imię przyszłości Niemiec, przeciwko niższej rasie Słowian, którzy zagarnęli ogromne tereny, nie umiając ich uprawiać; przeciwko Anglikom i Francuzom, którzy zapredali się zaoceanicznym plutokratom; przeciwko Żydom, którzy uciskają prosty naród, spekulując na ludzkich nieszczęściach. Sądził, że geniusz führera będzie świecił przez wieki.

Tak było do jesieni czterdziestego pierwszego roku. Szli wówczas z pieśnią przez świat i odurzająca atmosfera zwycięstwa czyniła z niego i z jego kolegów z pancernych jednostek SS wesołych, dobrodusznym hulaków. Ale po bitwie pod Moskwą, gdy zaczęły się walki z partyzantami i przyszedł rozkaz zabijania zakładników, Helmut trochę się zagubił.

Gdy jego plutonowi po raz pierwszy polecono rozstrzelać czterdziestu zakładników pod Smoleńskiem - wysadzono tam w powietrze transport kolejowy - Helmut upił się. Stały przed nim kobiety z dziećmi i starcy. Kobiety przyciskały dzieci do piersi i zakrywały im oczy, i prosiły, żeby je szybko zabili...

Upił się wtedy kompletnie, wielu jego kolegów także w milczeniu ciągnęło wódkę, nikt nie opowiadał śmiesznych anegdotek i nikt nie grał na akordeonie. A potem znowu poszli na front i zaciętość walk z Rosjanami zatarła wspomnienie o tym koszmarze.

Kiedy przyjechał na urlop, ich sąsiadka przysłała w odwiedziny z córką. Córka miała na imię Luiza. Była ładniutka, dobrze wychowana i czysta. Śniła się Helmutowi co noc. Był o dziesięć lat od niej starszy i darzył ją ogromną czułością. Wyobrażał sobie w swoich marzeniach, jaką będzie żoną i matką. Zawsze marzył o tym, żeby w jego domu obok wieszaka stało mnóstwo dzieciennych pantofli. Lubił dzieci. Jak mógł nie lubić dzieci, walczył przecież o ich szczęście?

Podczas następnego urlopu Luiza została jego żoną. Wrócił na front i Luiza tęskniła przez dwa miesiące. A gdy zorientowała się, że jest w ciąży, bardzo ją to przygnębiło. Zaczęła się nudzić. Wyjechała do miasta. Po urodzeniu dziecka oddała je do przytułku. Helmut w tym czasie leżał w szpitalu ciężko ranny. Gdy wrócił do domu, powiedziano mu, że Luiza wyjechała z innym. Przypomniawszy sobie rosyjskie kobiety. Kiedyś jego przyjaciel za pięć puszek konserw spędził noc z trzydziestoletnią nauczycielką - matką dziewczynki, której nie miała czym nakarmić. Rano Rosjanka powiesiła się - zostawiła sąsiadom dziewczynkę, położywszy przy niej fotografię jej ojca i tamte puszki z konserwami. A Luiza, członek Hitlerjugend, prawdziwa Aryjka, a nie jakaś dzika Słowianka, zostawiła ich córeczkę w przytułku niczym pospolita prostytutka.

Chodził do tego przytułku raz na tydzień i czasami pozwalano mu wziąć dziewczynkę na spacer. Bawił się z nią, śpiewał jej piosenki i miłość do córki stała się czymś głównym w jego życiu. Kiedy zobaczył, jak rosyjska radiotelegrafistka kołysze swojego chłopczyka, wtedy po raz pierwszy zapytał siebie wprost: Co my robimy? Oni są tak samo ludźmi jak i my, tak samo kochają swe dzieci i tak samo gotowi są za nie umrzeć.

A gdy zobaczył, co robi z chłopcem Rolf, desperacką decyzję podszeptął mu nie rozum, lecz uczucie. W Rolfie i Barbarze przygotowujących dziecko do śmierci dojrzał Luizę, która stała się dla niego symbolem zła.

Wróciwszy po półgodzinie do przytułku stanął przy okienku pomalowanym na biało i poczuł, że pękła w nim jakaś struna.

- Dzień dobry - powiedział do kobiety, która wyjrzała z okienka. - Urszula Kolder. Moja córka. Mam zezwolenie...

- Tak, wiem. Ale teraz dziewczynka powinna spać.

- Odjeżdżam na front. Pospaceruję chwilę z nią, będzie spała u mnie na rękach. Gdy trzeba będzie zmienić pieluszkę, przyjdę.

- Boję się, że doktor nie pozwoli.

- Odjeżdżam na front - powtórzył Helmut.

- Dobrze... Rozumiem. Postaram się. Niech pan poczeka.

Czekał dziesięć minut i całym jego ciałem wstrząsały dreszcze, zęby mu szczękały. Okienko otworzyło się i podano mu białe zawiniątko. Twarz córeczki była zasłonięta pieluszką, dziewczynka spała.

- Chce pan wyjść na ulicę?

- Co? - nie zrozumiał Helmut. Słowa dochodziły do niego z daleka, jakby przez szczelnie zamknięte drzwi. W następstwie kontuzji miewał takie stany, zwłaszcza gdy był bardzo zdenerwowany.

- Niech pan wejdzie do naszego ogródka, tam jest cicho, a jeśli zacznie się nalot, będzie pan mógł ukryć się w schronie.

Helmut wyszedł na ulicę i tuż za plecami usłyszał zgrzyt hamulców. Wojskowy szofer zatrzymał ciężarówkę o dwa kroki od Helmuta i wychyliwszy się krzyknął:

- Co, nie widzisz pan samochodu?

Helmut przycisnął córeczkę do piersi i mamrocząc coś pobiegł w stronę piwnicy. Kät czekała na niego przy drzwiach. Chłopczyk leżał na skrzynce.

- Zaraz - powiedział Helmut podając Kät dziecko. - Proszę je potrzymać, a ja pobiegę na przystanek. Stamtąd widać wyjeżdżający zza zakrętu autobus. Zdażę przybiec po panią.

Zobaczył, jak Kät ostrożnie wzięła dziewczynkę, znowu w oczach zakręciły mu się łzy.

- Lepiej razem - powiedziała Kät. - Idźmy lepiej razem!

- Nie, ja sam. Oni mają pani fotografię, a ja przed kontuzją wyglądałem zupełnie inaczej. Proszę na mnie poczekać...

Poszedł w stronę przystanku. Ulica była pusta. Przytułek ewakuują, a ja stracę córkę, myślał. Jak ją potem znaleźć? Jeśli ginąć od bomby, to lepiej razem. A ta kobieta będzie mogła ja nakarmić, karmią przecież bliźnięta... I za to Bóg mi przebaczy. Chociażby ten dzień pod Smoleńskiem...

Dojedziemy do ZOO i tam wsiądziemy do pociągu. Albo przyłączymy się do ewakuowanych. Wśród nich łatwo się ukryć... I ona będzie karmiła dziewczynkę, póki nie dotrzemy do Monachium. A tam matka pomoże. Znajdziemy niańkę. Tylko że oni będą przecież mnie szukali. Do mamy nie można iść. Trudno. Trzeba po prostu wydostać się z tego miasta. Może pojechać na północ nad morze? Do Hansa? Nikomu nie przyjdzie do głowy, że udałem się do towarzysza z frontu.

Helmut nacisnął czapkę na uszy. Już nim tak nie trzęsło.

Zza zakrętu wyjechał autobus. Helmut odwrócił się, żeby pobiec po Kät, i w tym momencie zauważył dwa czarne samochody, które lekceważąc wszelkie zasady ruchu pędziły w stronę dziecięcego przytułku. Helmut poczuł, że nogi się pod nim uginają i ręce lodowacieją, zorientował się, że to samochody gestapo. Pod wpływem pierwszego impulsu chciał uciekać, ale zrozumiał, że zauważą biegnącego i od razu złapią Rosjanę z jego dziewczynką. Bał się, że znowu dostanie ataku i złapią go nieprzytomnego. A potem wezmą dziewczynkę i będą ją rozbierać i trzymać przy oknie. Rosjanka na pewno usłyszy i wszystko zrozumie...

Helmut wyszedł na jezdnię i podniósłszy rękę z parabellum wystrzelił parę razy w szybę pierwszego samochodu. I to, o czym myślał, gdy usłyszał serię, zanim jeszcze poczuł ostatni w swym życiu ból, było: Nie powiedziałem jej, jak ma na imię dziewcz...

- Nie, proszę pana - powiedziała Müllerowi siostra miłosierdzia, ta sama, która podawała dziewczynkę Helmutowi - to było nie więcej niż dziesięć minut temu.

- A gdzie jest dziewczynka? - zainteresował się ponuro detektyw, starając się nie patrzeć na ciało swego towarzysza z farbowanymi włosami. Leżał na podłodze koło drzwi i widać było, jaki jest stary, widocznie dawno farbował sobie włosy, bo odrastały mu siwe.

- Wydaje mi się, że odjechali samochodem - powiedziała druga kobieta. - Zatrzymał się przy nim samochód.

- I co, dziewczynka sama wsiadła do samochodu?

- Nie - odpowiedziała poważnie kobieta. - Nie mogła sama wsiąść, bo to jeszcze niemowlę...



- Rozejrzyjcie się wszędzie dokładnie, ja muszę wracać do biura. Trzeci samochód zaraz tu będzie, już wyjechał... Ale w jaki sposób dziewczynka mogła znaleźć się w samochodzie? - zapytał już w drzwiach. - Jaki to był samochód?

- Duży.

- Ciężarówka?

- Tak. Zielona...

- Coś tu się nie zgadza - powiedział Müller i otworzył drzwi. - Zajrzyjcie do sąsiednich domów...

- Dookoła gruzy.

- Popatrzcie i tam - powiedział. - A w ogóle to głupia historia, praktycznie nie można nic zrobić. Nie potrafimy zrozumieć logiki amatora.

- A może to przebiegły fachowiec? - zapytał siwy zapalając papierosa.

- Przebiegły fachowiec nie pojechałby do przytułku - odpowiedział ponuro Müller i wyszedł. Przed chwilą, kiedy dzwonił do Scholtza, ten poinformował go, że z konspiracyjnego lokalu w Bernie podano, iż rosyjski łącznik, który przywiózł szyfr, popełnił samobójstwo.

*13.3.1945 (godzina 16 minut 11)*

Do Schellenberga zadzwoniono z grupy pracującej nad archiwum Bormanna:

- Coś niecoś znaleźliśmy. Jeśli wpadnie pan, brigadeführerze, przygotujemy dla pana parę dokumentów.

- Zaraz będę - odpowiedział krótko Schellenberg.

Po przyjeździe, nie rozbierając się, podszedł do stołu i wziął parę kartek papieru. Przejrzawszy je, uniósł ze zdziwieniem brwi, potem rzucił płaszcz na oparcie krzesła i usiadł. Dokumenty były rzeczywiście bardzo ciekawe. Pierwszy dokument miał nagłówek: *Ścisłe tajne. Napisane w dwóch egzemplarzach.*

*W dzień X podlegają izolacji Kaltenbrunner, Pohl, Schellenberg, Müller. Nazwisko Müllera było wykreślone czerwonym ołówkiem i Schellenberg zaznaczył to sobie dużym znakiem zapytania na małym błyszczącym kartoniku - trzymał paczkę takich błyszczących kartoników w kieszeni i na swym stole i na nich robił zapiski. Należy sądzić, że izolacja wyżej wymienionych kierowników SS i gestapo będzie swego rodzaju akcją odwrócenia uwagi. Poszukiwania odizolowanych przywódców, odpowiadających za konkretne problemy, będą działały na wyobraźnię wszystkich tych, dla których to będzie wygodne: zarówno z punktu widzenia operacyjnej, jak i strategicznej celowości.*

Dalej w dokumencie znajdowała się lista obejmująca sto siedemdziesiąt sześć osób.

*Ci oficerowie gestapo i SD mogą w większym lub mniejszym stopniu rzucić światło - nie poprzez podstawowe przesłanki, ale poprzez drugorzędnej wagi detale - na węzłowe problemy polityki zagranicznej Rzeszy. Bezwzględnie każdy z nich, sam o tym nie wiedząc, stanowi element mozaiki, niezrozumiały z punktu widzenia jednostki, ale bezcenny w wypadku posiadania pozostałych elementów, z których się składa mozaika. A więc ludzie ci mogą okazać pomoc wrogom Rzeszy, zainteresowanym w kompromitacji ideałów narodowego socjalizmu, przez powołanie się na praktykę jego budownictwa. Z tego punktu widzenia czyny dokonane przez każdego z wyżej wymienionych oficerów, zebrane w całość, dadzą obraz nieprzyjemny dla Rzeszy. Niestety w tym wypadku nie można przeprowadzić ścisłego rozgraniczenia między dyrektywami partii i praktyką SS, ponieważ ci wszyscy oficerowie są weteranami ruchu, wstąpili w szeregi NSDAP w okresie od 1927 do 1935 roku. A więc izolacja tych ludzi również wydaje się celowa i prawomocna.*

Jasne, olśniło Schellenberga. Nasz przywódca kryguje się. My to nazywamy likwidacją, a on to nazywa izolacją. A więc mnie trzeba izolować, a Müllera warto ocalić. Prawdę mówiąc, oczekiwałem tego. Interesujące jest jedynie, że zostawili na liście Kaltenbrunnera. Chociaż to można sobie wytłumaczyć: Müller był zawsze w cieniu, znają go jedynie specjaliści, a Kaltenbrunner znany jest teraz szeroko na świecie. Zgubi go pycha. A mnie zgubiło to, że chciałem być potrzebny Rzeszy. Paradoks: im bardziej starasz się być potrzebny swojemu państwu, tym więcej ryzykujesz; tacy jak ja nie mają prawa zabrać po prostu do grobu tajemnic państwowych, które stały się tajemnicami prywatnymi. Takich jak ja trzeba pozbawić życia nieoczekiwanie i szybko... Jak Heydricha. Jestem przekonany, że zabili go nasi...

Przejrzał uważnie nazwiska na liście osób podlegających „izolacji”. Znalazł wielu swoich współpracowników. Pod numerem sto czterdzieści dwa figurował standartenführer SS Stirlitz...

To, że Müller był skreślony z listy, a Stirlitza pozostawiono, świadczy o strasznym pośpiechu i bałaganie. Polecenie, aby wnieść poprawki, przyszło od Bormanna na dwa dni przed ewakuacją; jednak w pośpiechu nazwisko Stirlitza opuszczono. To ocaliło Stirlitza nie przed „izolacją” ze strony zaufanych Bormanna, ale przed „likwidacją” ze strony ludzi Schellenberga...

*13.3.1945 (godzina 17 minut 02)*

- Czy coś się stało? - zapytał Stirlitz, gdy Müller zjawił się w piwnicy. - Denerwowałem się...

- Słusznie - zgodził się Müller. - Ja też się denerwowałem.

- Przypomniałem sobie - powiedział Stirlitz.

- Co pan sobie przypomniał?

- Skąd na walizce Rosjanki mogły znaleźć się odciski moich palców... Przy sposobności, gdzie ona jest? Myślałem, że urządzi nam pan spotkanie. Można powiedzieć, konfrontację.

- Jest w szpitalu. Niedługo ją przywiozą.

- A co się z nią stało?

- Z nią nic. Po prostu, żeby zaczęła mówić, Rolf był zbyt gorliwy w stosunku do dziecka.

Kłamie, domyślił się Stirlitz. Postępowałby ze mną inaczej, gdyby Kät zaczęła mówić. Jest bliski prawdy, ale kłamie.

- Dobrze, mamy na razie czas.

- Dlaczego „na razie”? Po prostu mamy czas.

- Mamy na razie czas - powtórzył Stirlitz. - Jeśli pana oczywiście interesuje ten galimatias z walizką, to przypomniałem sobie. Kosztowało mnie to jeszcze parę siwych włosów, ale prawda zawsze zwycięża, takie jest moje niezłomne przekonanie.

- Przyjemna zbieżność przekonań. Dawaj pan fakty.

- W tym celu powinien pan wezwać wszystkich policjantów z kordonu na Bauernstrasse; zatrzymano mnie tam i nie pozwolono przejechać nawet po pokazaniu znaczka SD. Pojechałem wówczas okrężną drogą. Tam mnie też zatrzymano i znalazłem się w ulicznym korku. Poszedłem zobaczyć, co się stało, i policjant, młody, ale prawdopodobnie chory poważnie chłopak, chyba gruźlik, i jego towarzysz, tego ostatniego nie pamiętam dokładnie, więc oni nie pozwolili mi podejść do telefonu i zadzwonić do Schellenberga. Pokazałem im znaczek SD i poszedłem dzwonić. Stała tam kobieta z dzieckiem i wyniosłem jej z gruzów łóżeczko. Potem odniosłem dalej od ognia parę walizek. Proszę sobie przypomnieć fotografię walizki znalezionej po bombardowaniu. To po pierwsze. Proszę zestawić fakty towarzyszące jej odnalezieniu z adresem, pod którym mieszkała radiotelegrafistka - to po drugie. Proszę wezwać policjantów, którzy widzieli, że pomagałem poszkodowanym przenosić ich walizki - to po trzecie. Jeśli choć jeden z moich dowodów okaże się kłamstwem, proszę mi dać rewolwer z jednym nabojem: nie potrafię w inny sposób udowodnić swej niewinności.

- Hm. - Müller uśmiechnął się. - No cóż? Spróbujemy. Najpierw wysłuchamy naszych Niemców, a później porozmawiamy z pańską Rosjanką.

- Z naszą Rosjanką - uśmiechając się poprawił go Stirlitz.

- Dobrze, dobrze - powiedział Müller. - Niech pan nie łapie mnie za słowa...

Wyszedł, żeby zadzwonić do dyrektora szkoły policyjnej obergruppenführera doktora Helwiga, a Stirlitz nadal analizował sytuację. Nawet jeśli złamali dziewczynę... On specjalnie wspominał o dziecku; mogli męczyć małego, ona tego nie wytrzymała, coś im jednak nie zagrało, w przeciwnym wypadku przywieźliby Kät tutaj... Jeśliby mieli Pleischnera, też by nie czekali, w takich wypadkach zwłoka działa na niekorzyść, traci się wówczas inicjatywę.

- Nakarmiono pana? - zapytał Müller wróciwszy. - Przekąsimy coś?

- Warto by - zgodził się Stirlitz.

- Poprosiłem, żeby przyniesiono nam coś z góry.

- Dziękuję. Wezwał pan tych policjantów?

- Wezwałem.

- Źle pan wygląda.

- E... - Müller machnął ręką. - Dobrze, że w ogóle żyję. Ciekawi mnie jednak, czemu pan powiedział „na razie”? „Na razie mamy czas”. Niech pan powie, o co chodziło?

- Powiem zaraz po konfrontacji - rzekł Stirlitz. - Teraz to nie ma sensu. Jeśli nie potwierdzi się moja uczciwość, to naprawdę nie ma sensu mówić.

Otworzyły się drzwi i strażnik wniósł tacę nakrytą białą nakrochmaloną serwetką. Stał na niej talerz z mięsiwem, resztę miejsca wypełniały chleb, masło i dwa jajka.

- W takim więzieniu, a w dodatku w piwnicy, zgodziłbym się przespać dzień, dwa. Nie słysząc tu nawet bombardowania.

- Nic straconego. Jeszcze pan sobie pośni.

- Dziękuję. - Stirlitz roześmiał się.

- A co? - nasrożył się. - Mówię poważnie... Podoba mi się pańskie zachowanie. Napije się pan?

- Nie. Dziękuję.

- W ogóle pan nie pije?

- Obawiam się, że nawet gatunek mojego ulubionego koniaku jest panu znany.

- Niech się pan nie uważa za osobistość tak ważną jak Churchill. Tylko o nim wiem, że oprócz cygar lubi jeszcze rosyjski koniak i ceni go bardziej od wszystkich innych. Jeśli pan nie chce, to ja sam wypiję. Czuję się rzeczywiście nie najlepiej.

Müller, Scholtz i Stirlitz siedzieli w pustym gabinecie oficera śledczego Holtoffa na krzesłach ustawionych pod ścianą. Obersturmbannführer Eismann otworzył drzwi i wprowadził policjanta.

- Heil Hitler! - zawołał wchodzący, ujrawszy Müllera w generalskim mundurze.

Müller nie odpowiedział.

- Czy zna pan któregoś z tych trzech ludzi? - zapytał Eismann policjanta.

- Nie - odparł policjant, zerknąwszy z obawą na ordery i Krzyż Rycerski Müllera.

- Nigdy nie spotkał się pan z żadnym z nich?

- O ile pamiętam, nigdy się nie spotkałem.

- A może spotkał się pan mimochodem, w czasie bombardowania, przy zburzonych domach?

- W mundurach tu przyjeżdżali. Wielu w mundurach przyjeżdżało oglądać gruzy. Nie mogę sobie przypomnieć...

- Dziękuję - powiedział Eismann. - Poproście następnego.

Gdy policjant wyszedł, Stirlitz powiedział:

- Pański mundur zbija ich z tropu. Oni przecież dostrzegają jedynie pana.

- No to co? - odparł Müller. - Może mam siedzieć goły?

- Wobec tego proszę im przypomnieć konkretne miejsce - powiedział Stirlitz. - Przecież oni stoją na ulicy po dziesięć godzin dziennie, im wszyscy ludzie wydają się jednakowi.

- Dobrze - zgodził się Müller. - Tego, który wyszedł, pan sobie nie przypomina?

- Nie, tego nie widziałem. Na pewno poznam tych, których widziałem.

Drugi policjant też nikogo nie poznał. Dopiero jako siódmy z kolei wszedł młody schutzmann o chorobliwym wyglądzie, prawdopodobnie gruźlik.

- Widział pan kiedykolwiek tych ludzi? - zapytał Eismann.

- Nie. Wydaje mi się, że nie...

- Stał pan w kordonie na Bauernstrasse?

- Ach tak, tak - ucieszył się schutzmann. - Ten pan pokazał znaczek. Przepuściłem go do pożaru.

- Prosił, żeby go przepuścić?

- Nie... Po prostu pokazał znaczek, jechał samochodem, a ja nikogo nie przepuszczałem. I przeszedł... Mam rozkaz przepuszczać wszędzie ludzi z gestapo - dodał z lękiem w oczach.

- W porządku - powiedział Müller wstając z krzesła. - Ten oficer nie jest wrogiem. Pracujemy razem. Czy szukał przy tym pożarze jakiejś położnicy?

- Nie... Tę położnicę odwieźli jeszcze w nocy, a on jechał rano.

- A może szukał rzeczy tej nieszczęsnej kobiety? Pomagał mu pan?

- Nie. - Schutzmann zmarszczył czoło. - O ile pamiętam, przeniósł łóżko jakiejś kobiecie. Dziecięce łóżeczko. Nie, ja mu nie pomagałem, stałem obok.

- Czy ta kobieta stała obok walizek?

- Która?

- No właśnie ta kobieta.

- Tego nie pamiętam. Zdaje mi się, że były tam jakieś walizki, ale nie pamiętam dokładnie. Zapamiętałem łóżeczko, bo się rozleciało, a ten pan złożył je i odniósł na trotuar.

- Po co?

- Tam było bezpiecznie, bo przy gaszeniu pożaru strażacy mogliby polać łóżeczko wodą i wtedy dziecko nie miałooby w czym spać, a tak kobieta ustawiła później łóżeczko w schronie i maleństwo tam spało, sam widziałem...

- Dziękuję panu - powiedział Müller. - Pan nam bardzo, pomógł. Jest pan wolny.

Gdy schutzmann wyszedł, Müller powiedział do Eismanna:

- Pozostałych zwolnić.

- Powinien być jeszcze taki stary - wtrącił Stirlitz. - On też potwierdzi.

- Dobrze, wystarczy. - Müller nachmurzył się. - Wystarczy.

- A dlaczego nie poproszono tych, którzy stali w tym pierwszym kordonie, gdzie zawrócono mnie z mojej zwykłej trasy?

- To już wyjaśniliśmy - powiedział Müller. - Scholtz, czy potwierdzono to panu dokładnie?

- Tak, obergruppenführerze. Zeznania Helwiga, który tego dnia rozdzielał polecenia i kontaktował się ze służbą ruchu drogowego, zostały już dostarczone.

Począł, aż Eismann i Scholtz wyjdą, zapalił papierosa, podszedł do biurka. Siadł na jego skraju - wszyscy pracownicy gestapo przejęli od niego tę manierę - i zapytał:

- No dobrze, drobiazgi się zgadzają, a ja wierzę drobiazgom. Teraz niech mi pan odpowie na jedno bardziej zasadnicze pytanie: gdzie jest pastor Schlag?

Stirlitz udał zdumienie. Odwrócił się gwałtownie do Müllera i powiedział wzburzony:

- Od tego trzeba było właśnie zacząć!

- Ja wiem lepiej, od czego mam zaczynać, Stirlitz. Rozumiem, że pan może być w tej chwili podenerwowany, ale nie należy zapominać o dobrym wychowaniu.

- Obergruppenführerze, pozwolę sobie mówić z panem otwarcie.

- Pozwoli pan sobie? A ja tu nie mam nic do powiedzenia?

- Obergruppenführerze, wiem, że stenogramy telefonicznych rozmów Bormanna trafiają na stół do Himmlera po tym, jak przejrzy je Schellenberg. Wiem, że pan może nie wypełniać rozkazów reichsführera. Nawet jeśli są inspirowane przez pańskiego przyjaciela, a

mojego szefa. Chcę wierzyć w to, że szofer Bormanna został aresztowany na bezpośrednie polecenie z góry. Jestem przekonany, że panu polecono aresztować tego człowieka...

Müller spojrział w oczy Stirlitzowi leniwie, ten jednak wyczuł, że szef gestapo cały się wewnętrznie sprężył - spodziewał się wszystkiego, ale nie tego właśnie.

- Dlaczego pan sądzi... - zaczął, ale Stirlitz mu przerwał:

- Domyśliłem się, że polecono panu skompromitować mnie, obojętnie w jaki sposób, żebym tylko nie mógł się więcej spotykać z Bormannem. Widziałem, jak pan to wszystko dzisiaj organizował - wszystko było niby jak zwykle, brakowało może tylko właściwego panu zapалу. Być może dlatego, że pan chyba wie, kto jest zainteresowany w tym, aby położyć kres moim spotkaniom z Bormannem. Teraz już nie mam czasu. Mam dzisiaj spotkanie z Bormannem. Przypuszczam, że nie zechce mnie pan przed tym spotkaniem sprzątnąć...

- Gdzie pan się spotyka z Bormannem?

- Koło Muzeum Przyrodniczego.

- Kto będzie prowadził jego wóz? Drugi szofer?

- Nie. Wiemy, że został on zwerbowany przez gestapo, przez Schellenberga.

- Wiemy? Cóż za my?

- My, patrioci Niemiec i Führera.

- Pojedzie pan na to spotkanie moim samochodem, ze względu na pańskie bezpieczeństwo.

- Dziękuję.

- Włóży pan do teczki magnetofon i nagra całą rozmowę z Bormannem. Omówi pan z nim przy okazji sprawę szofera. Ma pan rację. Zmuszono mnie, abym aresztował tego kierowcę i zastosował wobec niego trzeci stopień zastraszenia. Potem wróci pan tutaj i przesłuchamy razem nagranie rozmowy. Samochód będzie czekał na pana w tym samym miejscu, koło muzeum.

- Jak pan sobie życzy - odpowiedział Stirlitz, szybko rozważywszy wszystkie ewentualne komplikacje. - Ale może byłoby rozsądniej przyjąć inny wariant. Mieszkam w lesie. Oto mój klucz. Niech pan tam pojedzie. Bormann odwiózł mnie do domu ostatnim razem; jeśli ten aresztowany szofer przyznał się do tego, nie męczylby mnie pan, mam nadzieję, przez te siedem godzin.

- A może musiałbym wykonać rozkaz - powiedział Müller - i pańskie cierpienia skończyłyby się siedem godzin temu...?

- Gdyby się to stało, obergruppenführerze, zostałyby pan sam na sam z wieloma wrogami w tym gmachu.

Już koło drzwi Stirlitz zapytał:

- Przy sposobności: w grze, którą zgodnie z otrzymanymi rozkazami rozpocząłem, jest mi bardzo potrzebna Rosjanka. Dlaczego nie przywiózł jej pan tu? I komu była potrzebna sztuczka z tym szyfrem w Bernie?

- To wszystko nie jest wcale takie głupie, jak się panu wydaje. Możemy ewentualnie wymienić nasze poglądy na niektóre sprawy, gdy się spotkamy po pana rozmowie z Bormannem.

- Heil Hitler! - powiedział Stirlitz.

- No to dobrze, już dobrze - burknął Müller. - I bez tego w uszach mi dzwoni.

- Nie rozumiem... - Stirlitz zatrzymał się, jak gdyby natrafił na jakąś niewidzialną przegrodę. Nie wypuszczał z ręki masywnej, mosiężnej klamki, wciętej w czarne drzwi.

- Przestań pan! Pan przecież doskonale rozumie. Führer nie jest zdolny do podejmowania decyzji i nie należy mieszać interesów Niemiec z osobą Adolfa Hitlera.

- Czy pan sobie zdaje...

- Tak, tak! Zdaję sobie sprawę! Tu nie ma aparatury podsłuchowej, a panu nikt nie uwierzy, jeśli pan spróbuje przekazać komuś moje słowa. Zresztą nie odważy się pan ich nikomu przekazywać. Ale powinien pan - jeśli tylko nie gra pan jeszcze cieńszej gry niż ta, o której chce mnie pan przekonać - powinien pan sobie zdać sprawę z tego, że właśnie Hitler doprowadził Niemcy do katastrofy. I nie widzę wyjścia z tej sytuacji, jaka się obecnie wytworzyła. Rozumie pan? Nie widzę. Niech pan usiądzie... Jak pan sądzi, czy Bormann ma plan ocalenia? Czy jest to plan różniący się od planów reichsführera? Ludzie Himmlera przebywający za granicą znajdują się pod obserwacją, żądał od swoich agentów konkretnej pracy, nie oszczędzał ich. Ale przecież ani jeden człowiek z „niemiecko-amerykańskich”, „niemiecko-angielskich”, „niemiecko-brazylijskich” instytucji Bormanna nie został, jak dotąd, aresztowany. Himmler nie mógłby nagle zniknąć w tym świecie. Bormannowi mogłoby się to przydarzyć. O tym niech pan pomyśli. I proszę mu wytłumaczyć - niech się pan zastanowi, jak to zrobić najdelikatniej - że bez fachowców, gdy to wszystko skończy się krachem, nie będzie mógł się obejść. Większość wkładów pieniężnych, złożonych przez ludzi SS z kręgu Himmlera w zagranicznych bankach, znajduje się pod okiem sojuszników. A Bormann ma tych kont sto razy więcej i nikt o nich nie wie. Pomagając mu teraz, niech pan sobie zapewni gwarancję na przyszłość, Stirlitz. Złoto Himmlera to drobnostka. Hitler doskonale rozumiał, że złoto Himmlera służy bliskim taktycznym celom. A złoto NSDAP, złoto Bormanna, przeznaczone jest nie dla jakichś tam zwerbowanych ministerialnych szoferów, lecz dla tych, którzy po upływie pewnego czasu potrafią zrozumieć, że nie ma innej



drogi do pokoju poza drogą, jaką wytyczał narodowy socjalizm. Złoto Himmlera to zapłata dla spoconych myszy, które, zdradziwszy, piją i uprawiają rozpustę, żeby zabić w sobie strach. Złoto zaś NSDAP to pomost prowadzący w przyszłość, to apel' do naszych dzieci, do tych, które mają dopiero miesiąc, rok, trzy lata... Tym, które mają teraz dziesięć lat, nie jesteśmy potrzebni: ani my, ani nasze idee'; one nie darują nam ani głodu, ani bombardowań. Ale te, które teraz jeszcze nic nie rozumieją, będą mówiły o nas jak o legendzie, a legendę trzeba pielęgnować, trzeba stwarzać bardów, którzy przełożą nasze słowa na inne pojęcia, zrozumiałe dla ludzi za lat dwadzieścia. Jeśli gdziekolwiek zamiast słowa „dzień dobry” powiedzą „heil”, to znaczy, że tam nas oczekują, tam zaczniemy swe wielkie odrodzenie! Ile lat będzie pan miał w roku 1970? Koło siedemdziesiątki? Szczęściarz! Pan tego dożyje. A ja będę miał prawie osiemdziesiąt... Dlatego interesuje mnie jedynie najbliższe dziesięć lat. Jeśli więc chce pan prowadzić swą grę nie obawiając się mnie, lecz na odwrót, licząc na mnie, proszę pamiętać: Müller z gestapo jest starym zmęczonym człowiekiem. Chce spokojnie dożyć swych lat gdzieś na małej farmie z basenem, wypełnionym niebieską wodą, i dla osiągnięcia tego celu gotów jest teraz być aktywnym.

I jeszcze jedno. Tego oczywiście mówić Bormannowi nie należy, ale pan powinien to zapamiętać: żeby wydostać się z Berlina do małej farmy w tropikach, nie wolno się spieszyć. Wiele kundli Führera ucieknie stąd bardzo szybko i od razu wpadnie. Amerykanie, jeszcze nie ochłonawszy i nie zrozumiawszy, co im niesie Stalin, wydadzą ich wszystkich hurtem w łapy NKWD. A gdy w Berlinie będzie huczała rosyjska kanonada i żołnierze będą walczyli o każdy dom, dopiero wtedy będzie stąd można spokojnie uciec. I zabrać ze sobą tajemnicę złota NSDAP, która jest znana tylko Bormannowi, ponieważ Führer odejdzie stąd w niebyt... I proszę zdać sobie sprawę, że to ja właśnie przekonałem pana - w ciągu pięciu minut i bez żadnych sztuczek. O Schellenbergu porozmawiamy dzisiaj w wolnych chwilach. Ale Bormannowi powinien pan powiedzieć, że bez mojej bezpośredniej pomocy nic w tej waszej Szwajcarii nie zwojujecie.

- W takim razie - powoli odpowiedział Stirlitz - pan okaże mu się potrzebny, a ja stanę się człowiekiem zbędnym...

- Bormann wie, że ja sam nic nie zrobię bez pana. W końcu nie tak wielu mam swoich ludzi w instytucji pańskiego szefa...

## SZUKAJCIE KOBIETY

Usłyszawszy strzały Kät zrozumiała od razu: stało się coś strasznego. Wyjrzała i zobaczyła dwa czarne samochody i Helmuta wijącego się pośrodku jezdni. Pobiegnęła z powrotem, jej synek leżał na skrzynce i kręcił się niespokojnie. Dziewczynka, którą trzymała na ręku, spała smacznie. Kät położyła maleństwo obok swego syna. Czowała, że wykonuje nie skoordynowane ruchy, że drżą jej ręce, i krzyknęła w myślach do siebie: Cicho! Dlaczego cicho? pomyślała biegnąc w głąb piwnicy, przecież ja nie krzyczałam.

Szła wyciągnawszy ręce przed siebie w zupełnych ciemnościach, potykając się o kamienie i belki. Przypomniała sobie, jak kiedyś bawiła się w wojnę z dziećmi z tej samej ulicy. Początkowo była sanitariuszką, ale później zakochał się w niej Erwin Bercis spod szóstego. Był zawsze dowódcą czerwonych i najpierw awansował ją na siostrę miłosierdzia, a potem kazał nazywać Katię „lekarzem wojskowym trzeciej kategorii”. Sztab ich mieścił się w piwnicy domu w Spasso-Naliwkowskim Zaułku. Kiedyś w piwnicy zgasło światło. Piwnice były duże, kręte jak labirynt. Dowódcy sztabu zbierało się na płacz ze strachu. Miał na imię Igor i Erwin wziął go do oddziału tylko dlatego, że tamten był prymusem. - Żeby nie nazywano nas anarchistami, jest nam potrzebny chociażby jeden porządny uczeń - tłumaczył swoją decyzję. - A zresztą naczelnik sztabu! Jaką rolę może on odgrywać w naszej wojnie. Będzie siedział w piwnicy i pisał swoje rozkazy. - Sztaby miały znaczenie u białych, a u czerwonych ważny był tylko jeden człowiek - komisarz.

Gdy Igor zapłakał, w piwnicy zrobiło się bardzo cicho i Katia poczuła, że Erwin stracił kontenans. Igor płakał tymczasem coraz żałośniej, a za jego przykładem poszedł jeszcze któryś z pracowników sztabu. - Cicho! - krzyknął wówczas Erwin. - Zaraz was wyprowadzę. Siedzieć na miejscu i nie rozchodzić się! - Wrócił po kilku minutach, gdy już paliło się światło. Był pokryty kurzem, miał rozbity nos. - Zgasimy światło - powiedział - trzeba się nauczyć chodzić po ciemku, na wypadek gdyby się zaczęła prawdziwa wojna. - Gdy zacznie się prawdziwa wojna - powiedział dowódca sztabu Igor - będziemy walczyli na lądzie, a nie w piwnicach. - Milcz. Jesteś zdjęty ze stanowiska - odpowiedział Erwin. - Łzy na wojnie to zdrada! Zrozumiałeś? - Wyprowadził wszystkich z piwnicy i wtedy Kät po raz pierwszy pocałowała go. On nas prowadził wzdłuż ściany, myślała, cały czas dotykał rękoma ściany. Ale miał zapalki. Nie, jednak nie miał zapalek... Skąd mógł je mieć? Miał przecież wtedy dopiero dziewięć lat i jeszcze nie palił.

Kät obejrzała się: nie widziała już skrzynki, na której leżały dzieci. Przestraszyła się, że się zgubi i nie znajdzie drogi powrotnej, dzieci leżą na skrzynce, a synek zaraz zapłacze, na pewno ma już mokre pieluszki, dziewczynka się obudzi i ich płacz ktoś usłyszy z ulicy. Łzy zakręciły jej się w oczach w poczuciu bezsilności. Zawróciła, trzymając się cały czas ściany. Z tego pośpiechu potknęła się o jakąś rurę i straciła równowagę. Upadła z wyciągniętymi przed siebie rękami. Na sekundę w oczach jej pojawiły się tysiące ogników, a potem poczuła ból w głowie i straciła przytomność.

Nie wie, ile czasu przeleżała, minutę czy godzinę. Gdy otworzyła oczy, zdziwił ją jakiś szum. Leżała z lewym uchem przytkniętym do zimnego żelaza i właśnie ono wydawało ów dziwny dźwięk, podobny do tego, jaki słyszała kiedyś w górskim wąwozie, gdzie połyskiwał szkliscie przezroczytonebieski strumyk. Pomyślała, że dzwoni jej w głowie od uderzenia. Uniosła głowę i szum ustał. A raczej zmienił brzmienie. Kät domyśliła się: upadła na zamknięty właz kanalizacji. Namacała rękoma poślubione żelazo i przekonała się, że ma rację. Erwin mówił kiedyś o potężnym systemie podziemnych kanałów w Berlinie. Szarpnęła pokrywę włazu, nie mogła jej ruszyć z miejsca. Zaczęła macać dłońmi wokół pokrywy i znalazła jakiś żelazny pręt, podważyła nim pokrywę i odrzuciła na bok. Szum, przytłumiony dotychczas, rozległ się teraz wyraźnie, zupełnie jak wtedy w górach. Byli na wycieczce: Giera Smietankin, Misza Wielkowskij, Erwin i ona. Śpiewali przez cały czas piosenkę: „Daleko, daleko za morzem jest złoty kraj...” Początkowo w wąwozie panował upał i odurzająco pachniała żywica. Lasy były granatowe, iglaste. Podejście było strome, stąpali po ostrych odłamkach skał, chciało się bardzo pić, wszyscy się dziwili, przecież idąc tym wąwozem powinni trafić na Lodowiec Krasnopolański, a więc w wąwozie powinien płynąć strumień. Ale wody nie było, tylko wiatr szumiał w wierzchołkach sosen. A potem kamienie, dotąd białe, wysuszone przez słońce, zrobiły się ciemne, a po dziesięciu minutach zobaczyli strumyk wśród kamieni i usłyszeli odległy szum. Później szli wzdłuż potoku i szum zamienił się w łoskot. Zobaczyli śnieg i gdy weszli na lodowiec, znowu zrobiło się cicho, dlatego że potok powstający z topniejącego śniegu był już pod nimi, a oni wstępowali wciąż wyżej i wyżej w śnieżną ciszę...

Siwy wywiadowca zapalił latarkę i ostry promień omiółł piwnicę.

- Czy tych dwóch esesmanów przy radiostacji rąbnęli z jednego pistoletu? - zapytał towarzyszących mu ludzi.

Ktoś odpowiedział:

- Dzwoniłem do laboratorium. Wyniki nie są jeszcze gotowe.

- A mówią, że w gestapo wszystko robi się w ciągu minuty. Toż mi samochwały. Niech ktoś tu spojrzysz - ja już źle widzę: czy to ślady czy nie?

- Mało kurzu... Gdyby to było lato...

- Gdyby to było lato i gdybyśmy mieli psa wywiadowczego, i gdyby ten pies miał rękawiczkę tej baby, i jeśli by wpadł na trop... Tu jest jakiś niedopałek!

- Stary. Widać wyraźnie. Chyba zeszlóroczny.

- Zobaczcie lepiej. W naszej robocie trzeba wszystko oglądać... Chwała Bogu, że Günther był samotny. Gdyby mnie rąbnął ten szaleniec, jakimi słowami powiadomilibyście moją Marię, że leżę nieżywy i zimny na podłodze w kostnicy?

Podszedł trzeci wywiadowca, przeszukał całą piwnicę sprawdzając, czy nie ma wyjść.

- No? - zapytał siwy.

- Tam były dwa wyjścia. Ale są zawałone.

- Czym?

- Cegłą.

- Pyłu dużo?

- Nie, tam tak jak tutaj wewnątrz jest z tłuczonego kamienia i nie ma żadnego kurzu.

- A więc żadnych śladów?

- Jakie ślady mogą być na kamieniach?

- Chodźmy, zobaczymy jeszcze raz na wszelki wypadek.

Poszli rozmawiając półgłosem i raz po raz wylawiając światłem latarek z ciemności piwnicy dalekie, pełne kurzu zakamarki, wypełnione cegłami i belkami. Siwy zatrzymał się i wyjął z kieszeni papierosa.

- Sekundę - powiedział. - Zapalę.

Stał na metalowej karbowanej pokrywie kanalizacyjnego wjazdu.

Kat słyszała nad głową rozmowę policjantów. Słów nie mogła zrozumieć, bo w dole pod nogami szumiała woda. Stała na dwóch klamrach, na rękach trzymała dzieci i bała się cały czas panicznie, że straci równowagę i runie razem z nimi w dół, do brudnej szumiącej wody. Gdy usłyszała nad głową rozmowę, postanowiła: Jeśli otworzą luk, skoczę. Tak będzie lepiej dla wszystkich. W tej chwili chłopczyk zapłakał. Najpierw cieniutkim głosikiem, prawie niedosłyszalnie, ale Kat zdawało się, że krzyczy głośno, że wszyscy dookoła zaraz go usłyszą. Pochyliła się nad nim tak, żeby nie stracić równowagi, i zaczęła cichutko śpiewać mu kołysankę. Ale chłopczyk, nie otwierając napuchniętych, sinych powiek, płakał coraz głośniej.

Kat czuła, że drętwieją jej nogi. Dziewczynka też się obudziła i dzieci płakały teraz razem. Tak, myślała Kät, na górze nie słysząc ich płaczu. Przypomniała sobie, że szum wody dotarł do niej dopiero wówczas, gdy upadła na metalową pokrywę. Ale strach nie pozwalał jej otworzyć pokrywy i wyjść. Wyobrażała sobie w najdrobniejszych szczegółach, jak otworzy głową pokrywę, jak położy dzieci na kamieniu i zanim wyjdzie, wyprostuje ręce i odpocznie choć chwilę. Odkładała ten moment, zmuszając się do liczenia do sześćdziesięciu. Czując, że przyspiesza i oszukuje samą siebie, przerywała i zaczynała liczyć od początku. Na pierwszym roku studiów mieli specjalne seminarium: wizja lokalna. Pamiętała, że uczono ich zwracać uwagę na każdy szczegół. Dlatego prawdopodobnie chytrze nasypała na pokrywę luku kamieni, zanim, przycisnąwszy do siebie dzieci prawą ręką, lewą ustawiała pokrywę na swoim miejscu.

Ile czasu minęło? myślała. Godzina? Może więcej. Albo mniej... Nie mam pojęcia. Najlepiej otworzę luk i jeżeli oni tu urządzili zasadzkę, skoczę w dół i wszystko się skończy.

Wparła się głową w pokrywę, ale pokrywa nie drgnęła. Naprężyła nogi i ponowiła próbę. Stali na pokrywie, uświadomiła sobie. Dlatego tak trudno ją teraz otworzyć. Nic strasznego. Jeśli nie uda się podnieść głową, potrzymam dzieci w prawej ręce, a lewą otworzę. Oczywiście, że otworzę.

Ostrożnie przełożyła na prawą rękę krzyczącą dziewczynkę i chciała podnieść lewą do góry, ale poczuła, że nie może tego zrobić: ręka zdętwiała, nie poddawała się jej woli.

To nic, powiedziała sobie Kät. To wszystko nie jest groźne, zaraz odrętwienie minie, potem ręka ogrzeje się i będzie sprawna. A prawa utrzyma dzieci. Przecież są leciutkie. Tylko żeby dziewczynka leżała spokojnie. Jest cięższa od mojego. Starsza i cięższa...

Kät ostrożnie zwieriała i rozwierała palce. Dzieci krzyczały coraz głośniej. Podniosła lewą rękę, która wciąż jeszcze była zdętwiała, i zaczęła palcami bez czucia przesuwając pokrywę nad głową. Pokrywa poruszyła się odrobinę. Kät pomagała sobie głową i pokrywa wreszcie ustąpiła. Nie rozejrzawszy się nawet, czy ktoś jest w piwnicy, Kät położyła dzieci na podłodze, z trudem wylazła za nimi i położyła się bez siły obok.

- Panowie, którzy łaskawie obiecali mi swą pomoc, powiedzieli mi, że ma pan możliwość skontaktowania mnie z tymi, od których zależy los milionów w Niemczech - powiedział pastor. - Jeśli potrafimy przyspieszyć pokój choć o jeden dzień, wiele zostanie nam w przyszłości wybaczone.

- Proszę. Jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie pytania. - Rozmówcą pastora był wysoki, szczupły Włoch, prawdopodobnie bardzo stary, ale wyglądający zadziwiająco młodo.

- Na wszystkie nie trzeba. Przestaną panu wierzyć, jeśli zechce pan odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Ma pan rację.

- Nie jestem dyplomatą. Przyjechałem z poleceniem...

- Tak, tak, rozumiem. Trochę mi już o panu powiedziano. Pierwsze pytanie: kogo pan reprezentuje?

- Przepraszam, ale najpierw ja zadam panu pytanie, na które powinienem otrzymać odpowiedź: kim pan jest? Będę mówił o ludziach, którzy pozostali u Hitlera. Grozi im śmierć, im i ich bliskim. Panu nic nie grozi, znajduje się pan w kraju neutralnym.

- Myśli pan, że w kraju neutralnym nie działają agenci gestapo? Ale to szczegół, który nie ma żadnego związku z naszą rozmową. Nie jestem Amerykaninem ani Anglikiem...

- Poznałem to po pańskiej angielszczyźnie. Prawdopodobnie jest pan Włochem.

- Tak, z urodzenia. Ale jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych i jeśli wierzy pan tym ludziom, którzy pomogli nam w naszym spotkaniu, powinien pan rozmawiać ze mną zupełnie otwarcie.

Pastor przypomniał sobie rady Brüninga. Powiedział więc:

- Moi przyjaciele w kraju uważają, a ja w pełni podzielam ich punkt widzenia, że jak najszybsza kapitulacja całej armii niemieckiej i likwidacja wszystkich jednostek SS ocali miliony istnień. Moi przyjaciele pragnęliby wiedzieć, z kim z przedstawicieli sojuszników powinniśmy nawiązać kontakt.

- Planujecie jednoczesną kapitulację wszystkich armii Rzeszy: na zachodzie, wschodzie, na południu i północy?

- Pan chce zaproponować inną drogę?

- Rozmowa nasza ma dziwny przebieg: w rokowaniach zainteresowani są Niemcy, nie my, dlatego warunki wysuwać będziemy my, prawda? Aby moi przyjaciele mogli prowadzić z panem konkretne rozmowy, powinniśmy wiedzieć, jak tego uczyli nas starożytni: Kto? kiedy? ile? przy czyjej pomocy?

- Nie jestem politykiem. Być może ma pan rację... Ale proszę wierzyć w moją szczerłość. Nie znam wszystkich tych, co stoją za grupą ludzi, którzy wysłali mnie tutaj, ale wiem, że człowiek reprezentujący tę grupę jest dostatecznie wpływowy.

- To zabawa w chowanego. W polityce wszystko powinno być ustalone od samego początku. Politycy targują się dlatego, że nie ma dla nich tajemnic. Rozważają, co i po ile. Jeśli reprezentując państwo targują się nieumiejętnie, zostają obaleni, a jeśli przybyli z demokracji parlamentarnych, przepadają w następnych wyborach. Radziłbym panu, aby pan przekazał

swoim przyjaciółom: nie zaczniemy rozmawiać z nimi, dopóki nie dowiemy się, kogo oni reprezentują, dopóki nie poznamy ich programu ideowego i planów, które chcą zrealizować w Niemczech przy naszej pomocy.

- Ideologiczny program jest jasny: bazuje na antykomunizmie.

- A jak widzą przyszłe Niemcy pańscy przyjaciele? W jaką stronę będą się one orientować? Jakie hasła zaproponujecie rodakom? Jeśli nie może pan odpowiedzieć za swoich przyjaciół, byłoby dla mnie ciekawe poznać pański punkt widzenia.

- Ani ja, ani moi przyjaciele nie jesteśmy za przyszłością Niemiec pomalowaną na czerwony kolor bolszewizmu. Ale w takim samym stopniu godna potępienia jest myśl o zachowaniu - chociażby w zmienionej formie - aparatu ucisku, który istnieje w Niemczech obecnie.

- Pytanie z tym związane: kto potrafi zapewnić porządek w państwie niemieckim, jeśli Hitler odejdzie? Ludzie kościoła? Ci, którzy siedzą w obozach koncentracyjnych? A może istniejący dowódcy jednostek policyjnych, którzy zdecydowali się zerwać z hitleryzmem?

- Siły policji są podporządkowane w Niemczech reichsführerowi SS Himmlerowi.

- Wiem o tym. - Rozmówca uśmiechnął się.

- A więc mowa jest o zachowaniu SS, które, jak pan sądzi, ma możliwość ocalenia narodu przed anarchią, utrzymania porządku? - spytał pastor.

- A któż występuje z taką propozycją? O ile wiem, taki problem nigdzie jeszcze nie był dyskutowany - odpowiedział Włoch i uważnie, po raz pierwszy od początku rozmowy, bez uśmiechu spojrzał na pastora.

Pastor trochę się przestraszył - zorientował się, że powiedział zbyt wiele: ten dociekliwy Włoch uczepi się tego i wyciągnie z niego wszystko o stenogramie rozmów Amerykanów z SS, o stenogramie, który pokazał mu Brüning. Pastor wiedział, że nie umie kłamać, że jego twarz zawsze go zdradzi.

A Włoch, jeden z pracowników biura Dullesa, powróciwszy do domu, długo myślał, zanim zasiadł do sporządzenia protokołu z rozmowy.

Albo to kompletne zero, myślał Włoch, nie reprezentujące nikogo w Niemczech, albo wyrafinowany wywiadowca. Nie umiał się targować, ale też nic mi nie powiedział. Jednak jego ostatnie zdanie świadczy o tym, że wie coś o rozmowach z Wolfem.

*13.3.1945 (godzina 20 minut 24)*

Kät nie miała pieniędzy na metro. A musiała pojechać gdziekolwiek, gdzie jest ciepło i gdzie można rozebrać dzieci i przewinać je. Jeśli tego nie zrobi, dzieci się rozchorują i umrą.

W takim razie lepiej by było, gdyby wszystko skończyło się rano, jakby z oddali myślała Kät. Albo w tej studziencie.

Poczucie zagrożenia przytępiło się w niej: wyszła z piwnicy i nie oglądając się, poszła na przystanek autobusowy. Nie wiedziała, gdzie pojedzie, jak dostanie bilet, gdzie choć na minutę zostawi dzieci. Powiedziała konduktorowi, że nie ma pieniędzy, wszystko zostało w zbombardowanym mieszkaniu. Konduktor, mruknąwszy coś, poradził jej, żeby poszła do punktu przyjęć uciekinierów. Kät usiadła przy oknie. Tu nie było tak zimno i od razu zachciało jej się spać. Nie zasnę, powiedziała sobie. Nie mam prawa spać. I od razu zasnęła.

Ktoś ją szarpnął za ramię, ale nie mogła w żaden sposób otworzyć oczu, było jej ciepło, czuła się szczęśliwa i nawet płacz dzieci docierał do niej z daleka.

Widziała coś dziwnego, kolorowego - oto ona z synkiem wchodzi do jakiegoś domu po ciemnym grubym kobiercu, chłopczyk idzie już sam, z lalką, spotyka ich Erwin, mama, sąsiad z willi, który obiecał, że będzie żył milion lat...

- Meine Dame! - Ktoś nią szarpnął tak silnie, że dotknęła skronią zimnego szkła. - Meine Dame!

Kät otworzyła oczy. Obok w ciemnym autobusie stali konduktor i policjant.

- Co - zapytała szeptem Kät, przytulając dzieci do piersi. - Co?

- Nalot - tak samo szeptem odpowiedział konduktor. - Idziemy.

- Dokąd?

- Do schronu - powiedział policjant. - Niech pani pozwoli, pomożemy pani nieść dzieci.

- Nie - gwałtownie zaprotestowała Kät. - One będą ze mną...

Konduktor wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział. Policjant wziął ją pod rękę, zaprowadził do schronu. Było tu ciepło i ciemno. Kät ulokowała się w kącie - dwaj chłopcy wstali z ławki ustępując jej miejsca. Położyła dzieci obok siebie i zwróciła się do dziewczyny z Hitlerjugend dyżurującej w schronie:

- Mój dom został zbombardowany, nie mam nawet pieluszek, proszę mi pomóc! Nie wiem, co robić. Zginęła sąsiadka, wzięłam jej córeczkę. A sama nie mam nic...

Dziewczyna wyszła i wkrótce wróciła z pieluszkami.

- Proszę - powiedziała. - Tutaj są cztery sztuki. Powinno pani starczyć na początek. Rano radziłabym pani zwrócić się do najbliższej placówki pomocy dla poszkodowanych - trzeba mieć o zaświadczenie z waszego komisariatu policji i ausweiss.

- Tak, oczywiście, dziękuję pani - odpowiedziała Kät i zaczęła przewijać dzieci. - A wody tu nie ma? Wody i piecyka? Wyprałabym pieluszki i miałabym już osiem sztuk, starczyłoby mi na jutro...



- Zimna woda jest, a mydło chyba pani dadzą. Niech pani potem do mnie przyjdzie, ja to wszystko zorganizuję.

Gdy dzieci, nakarmione, usnęły, Kät też przytuliła się do ściany i postanowiła pospać choć z pół godziny. Teraz nic nie wymyślę, powiedziała sobie, mam temperaturę, na pewno przeziębiam się w studziencie... Nie, dzieci nie mogły się przeziębic, bo są w kocykach, i miały ciepłe nóżki. Pośpię trochę, a potem pomyślę, co robić dalej.

I znowu nawiedziły ją jakieś przywidzenia, tym razem bez sensu - szybka zmiana niebieskiego, białego, czerwonego i czarnego koloru męczyła oczy. Prawdopodobnie poruszają mi się gałki oczne pod powiekami, domyśliła się Kät. O tym mówił pułkownik Suzdalcew w szkole. I nagle podniosła się, pełna lęku, z ławki. Wszyscy dookoła drzemali: bomby padały gdzieś daleko, szczekanie zenitówek i odgłosy wybuchów słyhać było jak przez watę. Powinnam jechać do Stirlitza, powiedziała do siebie i zdziwiła się, jak spokojnie i logicznie myśli. Nie, doszła jednak do wniosku, nie mogę do niego jechać. Przecież pytali mnie o niego. Zgubię jego i siebie.

Kät usnęła. Spała pół godziny. Otworzywszy oczy poczuła się lepiej. I chociaż zapomniała, że myślała o Stirlitzu, przypomniała sobie zupełnie dokładnie: 42-75-41.

- Proszę mi powiedzieć - trąciła łokciem chłopca, który drzemał obok niej - proszę mi powiedzieć, czy gdzieś tu nie ma telefonu.

- Co? - zapytał nagle rozbudzony chłopak.

- Ciszej, ciszej - uspokoiła go Kät. - Pytam, czy nie ma tu gdzieś w pobliżu telefonu.

Widocznie dziewczyna z Hitlerjugend usłyszała rozmowę, podeszła bowiem do Kät i zapytała:

- Może pani w czymś pomóc?

- Nie, nie - odpowiedziała Kät. - Nie, dziękuję pani, wszystko w porządku.

W tym momencie rozległy się syreny odwołujące alarm.

- Ona pytała, gdzie jest telefon - powiedział chłopak.

- Na stacji metro - oświadczyła dziewczyna. - To niedaleko za rogiem. Chce pani zadzwonić do znajomych czy krewnych?

- Tak.

- Mogę posiedzieć w tym czasie z pani maleństwami.

- Ale ja nie mam nawet dwudziestu fenigów na automat...

- Drobiazg. Proszę.

- Dziękuję. To niedaleko?

- Dwie minuty stąd.

- A jeśli dzieci zaczną płakać?...

- Wezmę je na ręce. - Dziewczyna uśmiechnęła się. - Niech się pani nie martwi.

Kät wyszła ze schronu. Metro było obok. Kałuże na ulicy szklily się ścięte lodem. Była pełnia księżyca.

- Telefony nie działają - powiedział schutzmann. - Uszkodził je wybuch.

- A gdzie są czynne telefony?

- Na sąsiedniej stacji. Czy to bardzo pilne?

- Bardzo.

- No to chodźmy.

Schutzmann zszedł z Kät do pustej stacji metro, otworzył drzwi pomieszczenia policji i zapaliwszy światło, kiwnął głową w stronę aparatu telefonicznego stojącego na stole.

- Niech pani dzwoni, ale proszę szybko.

Kät obeszła biurko, usiadła w wysokim fotelu i wykręciła numer 42-75-41. Był to numer Stirlitza. Słuchając sygnału, nie od razu zauważyła swoją dużą fotografię leżącą pod szkłem, obok spisu telefonów. Schutzmann stał za jej plecami paląc papierosa.

## AŁOGICZNOŚĆ LOGIKI

Stirlitz nie widział w tym momencie nic oprócz szyi Müllera. Silna dokładnie wygolona, prawie niepostrzeżenie przechodziła w potylicę. Widział wyraźnie dwie poprzeczne fałdy, które jak gdyby oddzielały czaszkę od ciała równie nabitego, silnego, podobnego do wszystkich ciał i czaszek ludzi otaczających Stirlitza w ciągu ostatnich dwunastu lat. Czasami Stirlitza męczyła ta nienawiść, jaką odczuwał do ludzi, z którymi musiał pracować. Początkowo była to nienawiść prosta, nieskomplikowana: wróg jest wrogiem. Im bardziej zagłębiał się w mechaniczną, codzienną pracę aparatu SD, tym szerzej widział procesy zachodzące w samym sercu hitlerowskiej dyktatury. I jego początkowa ocena hitleryzmu jako zjednoczonej, celowo działającej siły powoli zmieniała się w niezrozumienie tego, co się dzieje: tak nielogiczne i zbrodnicze w stosunku do narodu były pociągnięcia jego przywódców. Mówili o tym między sobą nie tylko ludzie Schellenberga i Canarisa, czasami ośmielali się mówić o tym nawet gestapowcy, podwładni Goebbelsa i ludzie z Kancelarii Rzeszy. Czy warto nastawiać przeciwko sobie cały świat, aresztując duchowieństwo? Czy koniecznie trzeba pastwić się nad komunistami w obozach koncentracyjnych? Czy rozumne są masowe mordy Żydów? Czy jest uzasadnione barbarzyńskie traktowanie jeńców - szczególnie rosyjskich? - te pytania zadawali sobie nie tylko szeregowi pracownicy aparatu, ale i przywódcy typu Schellenberga, a w ostatnim czasie nawet tacy jak Müller. Ale mimo owych pytań, mimo świadomości, jak zgubna jest polityka Hitlera, służyli jednak tej zgubnej polityce, służyli precyzyjnie i sprawnie, a niektórzy wręcz po mistrzowsku. Oni właśnie przekształcili idee führera i jego najbliższych pomocników w realną politykę i te właśnie akcje, na podstawie których cały świat oceniał Rzeszę.

Dopiero przekonawszy się, że politykę Rzeszy w większości realizują ludzie krytycznie usposobieni do podstawowych idei tej polityki, Stirlitz zrozumiał, że ogarnęła go innego rodzaju nienawiść. Za tą nienawiścią kryła się bowiem sympatia do narodu, do Niemców, wśród których przeżył długich dwanaście lat.

Wprowadzenie systemu kartkowego? Odpowiadają za to Kreml, Churchill i Żydzi. Wycofanie się spod Moskwy? Winna jest rosyjska zima. Klęska pod Stalingradem? - winni są generałowie zdrajcy. Zburzenie Essen, Hamburga i Kolonii? Odpowiada za to wandal Roosevelt, idący na pasku amerykańskiej plutokracji... I naród przyjmował te odpowiedzi za dobrą monetę, wierzył ludziom, którzy świadomie kłamali. Cynizm stał się normą życia

politycznego, kłamstwo - codziennym chlebem. Pojawiło się pewne nowe, nie znane dotąd pojęcie „prawdokłamstwa”. Ludzie znający prawdę, patrząc sobie w oczy, okłamywali siebie nawzajem, dobrze wiedząc, że rozmówca przyjmuje te niezbędne kłamstwa, zestawiając je ze znaną mu prawdą. Stirlitz znienawidził wtedy pewne francuskie powiedzenie: „Każdy naród zasługuje na swój rząd”. Myślał: To usprawiedliwienie gwałtu i zbrodni. Co zawinił naród doprowadzony przez Wersal do głodu, nędzy i rozpacz? Głód rodzi swoich „trybunów” - Hitlera i całą jego bandę.

Stirlitz w pewnym okresie bał się swej nieprzejednanej nienawiści do „kolegów”. Wśród nich było niemało spostrzegawczych i przenikliwych ludzi, którzy umieli patrzeć w oczy i rozumieć milczenie. Dziękował Bogu, że w samą porę udał chorobę oczu, i dlatego prawie zawsze chodził w przyciemnionych okularach, chociaż początkowo łupało go w skroniach - wzrok miał przecież świetny. Stalin ma rację, myślał Stirlitz. Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a Niemcy pozostają. A co z nimi będzie, gdy Hitler przestanie istnieć? Nie można przecież liczyć na czołgi, nasze i amerykańskie, które nie pozwolą na odrodzenie się nazizmu w Niemczech? Czekać, aż wymrze pokolenie moich „kolegów”? To pokolenie zdąży jeszcze przedtem zarazić młodzież, swe dzieci bakteriami kłamstwa i wbitego do serc i głów strachu. Zniszczyć całe pokolenie? Krew rodzi nową krew. Niemcom trzeba dać pewne gwarancje. Powinni nauczyć się korzystać z wolności. A to prawdopodobnie najbardziej skomplikowana rzecz: nauczyć naród, cały naród posługiwania się najdroższą dla każdego człowieka rzeczą - wolnością, którą gwarantuje prawo...

Kiedyś Stirlitzowi wydawało się, że masowe niezadowolenie aparatu władzy przy absolutnej ślepotce narodu z jednej strony i führera z drugiej lada moment skończy się puczem faszystowskiej, gestapowskiej i wojskowej biurokracji. To nie nastąpiło, gdyż każda z tych trzech grup miała własne interesy, własne osobiste korzyści, własne małe cele. Podobnie jak führer, Himmler i Bormann powoływali się na Rzeszę i naród niemiecki, ale obchodziły ich tylko ich własne osoby; im bardziej zrywali z interesami i potrzebami prostych ludzi, tym te interesy i potrzeby stawały się dla nich bardziej abstrakcyjne. I im dłużej naród milczał, tym częściej słyszał Stirlitz od swych „kolegów”: „Każdy naród zasługuje na swój rząd”. Mówiło się o tym spokojnie, z humorem, czasami szyderczo.

Ludzie tymczasowi żyją daną im minutą, a nie czasem przewidzianym dla narodu. Nie, myślał Stirlitz, żadnego puczu oni nie urządzą. To nie ludzie, lecz myszy, i zginą jak myszy, każdy w swojej norze...

Müller, siedząc w ulubionym fotelu Stirlitza koło kominka, zapytał:

- A gdzie rozmowa o szoferze?

- Nie zmieściła się. Nie mogłem zatrzymać Bormanna, żeby przewinąć taśmę. Powiedziałem mu, że udało mi się ustalić, że pan, właśnie pan dołożył wszelkich starań, aby ocalić życie szofera.

- Co on na to?

- Powiedział, że szofer złamał się prawdopodobnie w czasie tortur i on nie będzie mógł mu ufać. Ten problem zresztą specjalnie go nie interesował. Tak że ma pan rozwiązane ręce, obergruppenführerze. Na wszelki wypadek niech pan przetrzyma szofera u siebie i niech go jak należy nakarmią. A potem zobaczymy.

- Myśli pan, że nie będą się nim więcej interesowali?

- Kto?

- Bormann.

- Po co? Szofer jest rozpracowany. Na wszelki wypadek przytrzymałbym go. A co się dzieje z rosyjską pianistką? Bardzo by się nam teraz przydała. Przywieźli ją już z tego szpitala?

- Do czego mogłaby się nam przydać? To, co powinna robić przy radio, będzie robiła, ale...

- To prawda - zgodził się Stirlitz. - To wszystko prawda. Ale niech pan sobie wyobrazi: gdyby się udało w jakiś sposób skontaktować ją z Wolfem w Szwajcarii. Co?

- Utopia.

- Być może. Po prostu pozwalam sobie pofantazjować.

- A w ogóle...

- Co?

- Nic. - Müller ugryzł się w język. - Po prostu analizowałem pańską propozycję. Przeniosłem dziewczynę w inne miejsce, niech popracuje z nią Rolf.

- Był zbyt gorliwy?

- Tak. Trochę zbyt gorliwy.

- I dlatego go zabili? - cicho zapytał Stirlitz.

- To moja sprawa, Stirlitz. Umówmy się: to, co powinien pan wiedzieć, dowie się pan ode mnie. Nie lubię, gdy ktoś podgląda przez dziurkę od klucza.

- Z której strony? - zapytał ostro Stirlitz. - Ja z kolei nie lubię, gdy traktuje się mnie jak głupca. Jestem graczem, nie głupcem.

- Zawsze? - Müller uśmiechnął się.

- Prawie.

- Dobrze. Pomówimy i o tym. A teraz przesłuchajmy jeszcze raz ten kawałek... Niech pan przewinie ze dwadzieścia metrów.

- Proszę bardzo. Zaparzyć jeszcze kawy?

- Niech pan zaparzy.

- Napije się pan koniaku?

- Nie znoszę koniaku, mówiąc uczciwie. Wolę wódkę. Koniak zawiera garbniki, a to źle działa na naczynia krwionośne. A wódka po prostu grzeje, prawdziwa chłopska wódka.

- Chce pan utrwalić ten tekst?

- Nie trzeba. Zapamiętam. Tu są ciekawe fragmenty...

Slirlitz włączył dyktafon.

„*Bormann*: Czy Dulles wie, że Wolf reprezentuje Himmlera?

*Stirlitz*: Sądzę, że się domyśla.

*Bormann*: »Sądzę« to w danym wypadku nie jest odpowiedź. Gdybym otrzymał ściśle dowody na to, że bierze on Wolfa za przedstawiciela Himmlera, wtedy można by było serio potraktować bliski rozpad koalicji. Być może zgodzili się nawiązać kontakt z reichsführerem, muszę w tym wypadku mieć nagranie rozmowy. Czy potrafi pan zdobyć taką taśmę?

*Stirlitz*: Najpierw trzeba otrzymać od Wolfa potwierdzenie, że występuje on jako wysłannik Himmlera.

*Bormann*: Dlaczego pan sądzi, że nie dał takiego potwierdzenia Dullesowi?

*Stirlitz*: Nie wiem. Po prostu wypowiadam swój pogląd. Propaganda wrogów atakuje reichsführera, uważają go za wysłannika piekła. Prawdopodobnie będą się starali pominąć problem, kogo reprezentuje Wolf. Najważniejsze, co ich będzie interesowało, to pytanie, kogo reprezentuje on w sensie siły wojskowej.

*Bormann*: Chcę, żeby dowiedzieli się, kogo on reprezentuje, od samego Wolfa. Właśnie od Wolfa. Albo w ostatecznym wypadku od pana.

*Stirlitz*: A sens tego?

*Bormann*: Sens? To ma olbrzymi sens, Stirlitz. Niech mi pan uwierzy, że olbrzymi.

*Stirlitz*: Żeby przeprowadzić operację, muszę rozumieć jej założenia. Można by tego uniknąć, gdybym pracował z całą grupą: gdy każdy przychodzi do szefa z czymś własnym, z tego mnóstwa materiałów powstaje dokładny obraz. W takim wypadku nie musiałbym znać generalnego zadania: wypełniłbym swoje, pracując nad własnym wycinkiem. Niestety, nie mamy możliwości włączyć grupy do tej pracy.

*Bormann*: Jak pan myśli, czy Stalin ucieszy się, jeśli pomożemy mu się dowiedzieć, że sojusznicy zachodni prowadzą rozmowy nie z kim innym, ale właśnie z wodzem SS

Himmlerem? Nie z grupą generałów, którzy chcą kapitulować, nie z łajdakiem Ribbentropem, który zupełnie się zagubił i zdemoralizował, ale z człowiekiem, który jest w stanie uczynić z Niemiec stalową zapórę przeciwko bolszewikom.

*Stirlitz:* Myślę, że Stalina nie ucieszy ta wiadomość.

*Bormann:* Stalin nie uwierzy, jeśli ja mu to doniosę. Ale jeśli poinformuje go o tym wróg narodowego socjalizmu? Na przykład pański pastor? Albo jeszcze ktoś inny?

*Stirlitz:* Kandydatury te warto by uzgodnić z Müllerem. On może dobrać odpowiedniego człowieka i zorganizować jego ucieczkę.

*Bormann:* Müller przy każdej okazji stara się wyświadczyć mi przysługę.

*Stirlitz:* O ile wiem, jego sytuacja jest wyjątkowo skomplikowana: nie może grać *va banque*, tak jak ja, jest zbyt znaczną osobistością. I poza tym bezpośrednio podlega Himmlerowi. Jeśli weźmie się pod uwagę to właśnie, myślę, że pan się chyba ze mną zgodzi, że nikt inny oprócz niego nie wypełni tego zadania. Jeśli oczywiście będzie czuł pańskie poparcie.

*Bormann:* Tak, tak... Ale o tym później. To szczegół. Zasadnicza sprawa: pańskie zadanie polega nie na zerwaniu rokowań, ale na przyjściu im z pomocą. Pańskim zadaniem jest nie tuszowanie związków berneńskich spiskowców z Himmlerem, lecz ujawnienie ich. Ujawnienie ich w taki sposób, żeby skompromitowany został Himmler w oczach Führera, Dulles w oczach Stalina, Wolf w oczach Himmlera.

*Stirlitz:* Jeśli będzie mi potrzebna praktyczna pomoc, z kim mam się kontaktować?

*Bormann:* Niech pan wypełnia wszystkie polecenia Schellenberga, to gwarancja sukcesu. Niech pan nie omija ambasady, bo to by ich drażniło: radca do spraw partii będzie o panu wiedział.

*Stirlitz:* Rozumiem. Ale być może będzie mi potrzebna pomoc przeciwko Schellenbergowi. Tę pomoc może mi okazać tylko jeden człowiek - Müller. W jakim stopniu mogę liczyć na niego?

*Bormann:* Nie bardzo wierzę zbyt oddanym ludziom. Lubię małomównych..."

W tym momencie zadzwonił telefon. Stirlitz zauważył, że Müller drgnął.

- Przepraszam, obergruppenführerze - powiedział i podniósł słuchawkę. - Stirlitz, słucham...

Usłyszał w słuchawce głos Kät:

- To ja. Ja...

- Tak - odpowiedział Stirlitz. - Słucham pana, parteigenosse. Gdzie mam na pana czekać?

- To ja - powtórzyła Kät.

- Jak tam najlepiej podjechać? - pomagając jej powiedział Stirlitz. Wskazał Müllerowi palcem na dyktafon, że niby rozmawia z Bormannem.

- Jestem w metro, w policji...

- Co? Rozumiem. Tak jest. Gdzie mam podjechać?

- Weszłam zadzwonić do metro...

- Gdzie to jest?

Wysłuchał adresu, który podała mu Kät, jeszcze raz powtórzył: „tak, parteigenosse”, i odłożył słuchawkę. Czasu na rozmyślenia nie było. Jeśli jego telefon nadal jest na podsłuchu, to materiały z rozmowy Müller otrzyma dopiero rano. Chociaż prawdopodobnie Müller zlikwidował podsłuch, zbyt wiele powiedział Stirlitzowi, żeby się go bać. Później zastanowi się, co robić dalej. Najważniejsze wywieźć Kät. Już wie dużo, resztę można wydedukować. Teraz Kät.

Ostrożnie położyła słuchawkę i wzięła beret, którym nakryła to miejsce na stole, gdzie pod szkłem leżała jej fotografia. Schutzmann nadal na nią patrzył. Szła ku drzwiom jak nieżywa, bojąc się okrzyku za plecami. Ale ludzie z gestapo zawiadomili policję, że poszukiwana jest kobieta młoda, w wieku dwudziestu pięciu lat, z dzieckiem na ręku. A tu była siwa czterdziestoletnia baba, bez dziecka na ręku, a to, że oczy miała podobne - ileż takich podobnych oczu jest na świecie?

- Może pan poczekać na mnie, obergruppenführerze?

- A Scholtz pobiegnie zameldować Himmierowi, że zniknąłem nie wiadomo gdzie na ponad trzy godziny? W związku z czym był ten telefon? Nic mi pan nie mówił, że miał dzwonić...

- Słyszał pan: prosił, żeby szybko przyjechać...

- Zaraz po rozmowie z nim do mnie. Będę nocował u siebie w gabinecie.

- Sądzi pan, że Scholtz pracuje przeciwko panu?

- Obawiam się, że zaczął. Jest głupi, zawsze trzymałem obowiązkowych i głupich sekretarzy. Ale okazuje się, że tacy są dobrzy w dniach zwycięstwa, a przed krachem zaczynają się miotać, chcąc ratować własną skórę. Głuptas, myśli, że chcę zginąć jak bohater... A reichsführer też jest dobry: tak konspiruje swoje pokojowe manipulacje, że nawet mój Scholtz mógł go przejrzeć. Scholtza nie będzie: dyżuruje jakiś fanatyczny chłopak - w dodatku pisze wiersze.



Po półgodzinie Stirlitz wsadził Kät do samochodu. Potem przez pół godziny jeździł po mieście obserwując, czy nikt go nie śledzi, i słuchał Kät, która z płaczem opowiadała mu o swoich przeżyciach. Zastanawiał się, czy jej uwolnienie było elementem diabelskiej gry Müllera, czy też zdarzył się ten właśnie przypadek, który jest znany każdemu wywiadowcy i który zdarza się tylko raz w życiu. Jeździł po mieście, później wjechał na szosę okalającą Berlin. W samochodzie było ciepło. Kät siedziała obok, dzieci, spały u niej na kolanach. Stirlitz myślał: Jeśli wpadnę teraz, jeśli Müller otrzyma mimo wszystko informację, że rozmawiałem z kobietą, a nie z Bormannem - zawałę całą sprawę. Nie będę miał możliwości udaremnienia gry Himmlera w Bernie.

Stirlitz przyhamował obok znaku drogowego: do Ruppinerkanal było trzy kilometry. Można stąd dojechać do Babelsbergu przez Poczdam. Nie, zdecydował Stirlitz. Sądząc po tym, że filiżanki w kuchni stały na innym miejscu, siedzieli u mnie w dzień ludzie Müllera. Kto wie, może dla mojego bezpieczeństwa powrócą tam na polecenie Müllera, szczególnie po tym telefonie.

- Dziewczyno - powiedział, zatrzymując gwałtownie samochód - przejdź na tylne siedzenie.

- A co się stało?

- Nic się nie stało. Wszystko w porządku, maleńka. Teraz wszystko w absolutnym porządku. Teraz my jesteśmy zwycięzcami. Zasuń zasłonki i śpij. Ogrzewania nie będę wyłączał. Zamknę cię, w moim samochodzie nikt cię nie ruszy.

- Dokąd jedziemy?

- Niedaleko. Śpij spokojnie. Musisz się wyspać, jutro będzie mnóstwo kłopotów i wzruszeń.

- Jakich wzruszeń? - zapytała sadowiąc się wygodnie na tylnym siedzeniu.

- Przyjemnych - odpowiedział Stirlitz i pomyślał: Z nią będzie bardzo trudno. Jest w stanie szoku i nic na to nie można poradzić.

Zatrzymał samochód o trzy domy przed willą Waltera Schellenberga.

Żeby tylko był w domu, powtarzał jak zakłęcie Stirlitz. Żeby tylko nie pojechał do Himmlera do Nauen albo do Gebhardta, żeby tylko był w domu.

Schellenberg był w domu.

- Brigadeführerze - powiedział Stirlitz nie rozbierając się. Usiadł na skraju krzesła naprzeciw Schellenberga ubranego w ciepły szlafrok, z papuciami na bosych stopach. (Stirlitz odnotował zupełnie mimo woli, że powyżej kostek ma delikatną matową skórę.) - Müller czegoś się dowiedział o misji Wolfa w Szwajcarii.

- Zwariował pan! - powiedział Schellenberg. - To niemożliwe!

- To fakt i Müller zaproponował mi, żebym pracował dla Wolfa.

- Dlaczego zaproponował to właśnie panu?

- Prawdopodobnie jego ludzie trafili na pastora: to nasz ratunek, i powinienem pojechać do Berna. Będę kierował pastorem, a pan na mój sygnał zdezwuuje Wolfa.

Stirlitz zawsze dokopywał się do sedna rzeczy, a Schellenberg zawsze chwycił w lot.

- Niech pan jedzie natychmiast do Berna...

- A dokumenty? Czy posłużyć się „oknem”?

- To nierozsądne. Złapie pana szwajcarski kontrwywiad: oni muszą pod koniec bijatyki wykazać się czymś przed Amerykanami i czerwonymi. Niech pan jedzie do naszego biura i wybierze sobie odpowiednie dokumenty. Zadzwoń tam.

- Nie trzeba. Niech pan napisze.

- Ma pan pióro?

- Lepiej, jeśli napisze pan swoim.

Schellenberg potarł twarz dłonią i powiedział zmusiwszy się do uśmiechu:

- Jeszcze się nie całkiem obudziłem, w tym cała rzecz.

Gdy Stirlitz odjechał, Schellenberg, ubrawszy się, wezwał samochód i powiedział szoferowi:

- Do sanatorium doktora Gebhardta.

Znajdował się tam teraz sztab Himmlera.

*14.3.1945 (godzina 06 minut 32)*

A Stirlitz pędził samochodem ku granicy, mając w kieszeni dwa paszporty: swój i swej żony Frau Ingrid von Kirstein.

Gdy minęli szlaban graniczny, Stirlitz odwrócił się do Kat i powiedział:

- Dziewczyno. Wszystko już mamy za sobą.

## DOBRE INTENCJE

Omylił się. Spotkawszy w Bernie pastora Schlaga zrozumiał, że sprawa nie została jeszcze zakończona. Wprost przeciwnie, wszystko dopiero się zaczyna. Pojął to, zaznajomiwszy się z nagraniem rozmowy, jaką Dulles odbył z agentem SS Hohenloe. Nagranie to otrzymał od ludzi byłego kanclerza Brüninga. Wrogowie rozmawiali ze sobą jak przyjaciele i skupili całą uwagę na „rosyjskim niebezpieczeństwie”.

### *JUSTAS DO ALEKSA*

*W uzupełnieniu danych o rozmowach Dulles - Wolf. Dołączając do niniejszego kopię, rozmowy Dullesa z standartenführerem SS księciem Hohenloe, uważam za niezbędne przedłożyć następujące uwagi:*

*1. Jak mi się wydaje, Dulles nie informuje w pełni swego rządu o kontaktach z SS. Prawdopodobnie informuje on swój rząd o kontaktach z „przeciwnikami” Hitlera. Hohenloe i Wolf nie należą do nich.*

*2. Roosevelt niejednokrotnie oświadczał, że celem Ameryki, podobnie jak wszystkich uczestników antyhitlerowskiej koalicji, jest bezwarunkowa kapitulacja Niemiec. Ale Dulles, jak o tym świadczy nagranie rozmowy, mówił o kompromisie, nawet o zachowaniu określonych instytucji hitleryzmu.*

*3. Każda koalicja zakłada uczciwość członków sojuszu we wzajemnych stosunkach. Przypuszczenie, że Dulles prowadząc taką rozmowę badał po prostu grunt wśród Niemców - jest nierealne, gdyż każdemu wywiadowcy rzuci się od razu w oczy korzyść Niemców i przegrana Dullesa: to znaczy Niemcy dowiedzieli się więcej o pozycji Ameryki niż Dulles o stanowisku i zamiarach Hitlera.*

*4. Uwzględniam także tezę, że wywiadowca Dulles organizuje prowokację wobec Niemców. Ale w prasie szwajcarskiej nazywają go otwarcie osobistym przedstawicielem prezydenta. Czy może organizować prowokację człowiek, który jest osobistym przedstawicielem Roosevelta?*

*Wniosek: albo określone koła na Zachodzie zaczęły prowadzić podwójną grę, albo Dulles jest bliski zdrady interesów USA jako jednego z członków koalicji antyhitlerowskiej. Propozycja: niezbędne jest danie do zrozumienia sojusznikom, że my wiemy o rozmowach toczących się w Szwajcarii. Liczę na to, że w najbliższym czasie przez odbudowane kanały*

*łączości będę mógł przekazać nowe szczegóły rozmów, które odbywają się tu między Wolfem i Dullesem. Zresztą nie nazwałbym tego rozmowami w sensie dyplomatycznym. To raczej separatystyczne rokowania. Naruszyłem swoją zasadę niewystępowania z żadnymi propozycjami dlatego jedynie, że wytworzyła się krytyczna sytuacja i niezbędne są pilne posunięcia, które pozwolą ocalić koalicję antyhitlerowską przed prowokacjami, być może w ostatecznym rachunku - dwustronnymi.*

*Justas*

Gdy ten pilny meldunek został przekazany centrali, Stirlitz wsiadł do samochodu i pojechał nad jezioro - szukał spokoju i samotności. Samopoczucie miał fatalne: czuł pustkę w środku, jak człowiek okradziony, oszukany. Pamiętał, co przeżywał w czterdziestym pierwszym roku, w dniu dwudziestym drugim czerwca - przez cały dzień, dopóki milczał Londyn. I pamiętał uczucie olbrzymiej ulgi, gdy usłyszał przemówienie Churchilla. Mimo najcięższych prób, przez które miała przejść ojczyzna latem czterdziestego pierwszego, Stirlitz był pewien, przy czym kierował się logiką, że zwycięstwo, choć trudna będzie wiodąca doń droga, jest nieuchronne. Ani jedno mocarstwo nie wytrzymało walki na dwa fronty. Konsekwencja w wytyczaniu celów to przywilej geniusza, którego działanie podporządkowane jest logice. Nie kontrolowane zaś czyny maniaka führera, żyjącego w świecie stworzonych przez siebie iluzji, doprowadziły naród niemiecki do tragedii.

Wieczorem w dniu dwudziestym czwartym czerwca Stirlitz był na przyjęciu w ambasadzie rumuńskiej. Atmosfera była odświętna, twarze gości promieniały radością, pobłyskiwały matowo ciężkie ordery generałów, iskrzyło się słodkawe rumuńskie wino, zrobione według receptur z Szampanii, wygłaszano uroczyste przemówienia, w których mówiono o niezwyciężoności niemiecko-rumuńskiej maszyny wojennej, a Stirlitz czuł się tam jak w taniej budzie jarmarcznej, gdzie ludzie, którzy dorwali się do władzy, urządzają makabryczny festyn, nie wiedząc, że są już skazani na śmierć. Stirlitz wiedział, był tego pewien, że Niemcy, ściśnięte między Związkiem Radzieckim i Wielką Brytanią, a w niedalekiej przyszłości i Stanami Zjednoczonymi - podpisały na siebie wyrok śmierci. Dla Stirlitza cierpienie Mińska, Babiego Jaru czy Coventry było tym samym cierpieniem; ci, którzy walczyli z hitleryzmem, byli dla niego braćmi po orężu. Dwukrotnie z własnej inicjatywy ratował angielskich wywiadowców w Holandii i Belgii - nie miał w tej sprawie żadnych poleceń. Ratował po prostu towarzyszy walki, wypełniał swój żołnierski obowiązek. Był dumny z chłopców Eisenhowera i Montgomery'ego, gdy ci przekroczyli La Manche i ocalili Paryż; był szczęśliwy, gdy Stalin przyszedł na pomoc sojusznikom w czasie hitlerowskiej

ofensywy w Ardenach. Wierzył, że obecnie ten olbrzymi i zarazem mały świat, zmęczony wojnami, zdradą, śmiercią i nienawiścią, w końcu osiągnie pokój i dzieci zapomną o szeleście papierowych zasłon zaciemniających okna, a dorośli o dziecięcych mogiłkach.

Stirlitz nie chciał uwierzyć w możliwość separatystycznej zмовы hitlerowców z sojusznikami - w jakikolwiek sposób byłaby ona wyrażona - dopóki sam twarzą w twarz się z nią nie zetknął. Mógł zrozumieć, co pchało do takiej zмовы Schellenberga i wszystkich, którzy stali za nim: chęć ocalenia życia, strach przed odpowiedzialnością i inne czysto osobiste motywy, maskowane wzniosłymi słowami o ocaleniu cywilizacji zachodniej, o przeciwstawieniu się hordom bolszewickim. Wszystko to Stirlitz rozumiał i uważał działanie Schellenberga za rozsądne i jedynie możliwe dla nazistów. Ale nie mógł zrozumieć, choć starał się być obiektywnym, stanowiska Dullesa, który przez sam fakt rozmów godził w jedność sojuszników. A jeśli Dulles nie jest politykiem, jeśli nie jest nawet politykiem? rozmyślał Stirlitz. Siedział zgarbiony na ławeczce nad jeziorem naciśnawszy na oczy kapelusz, bardziej niż zwykle odczuwając własną samotność. A jeśli on jest po prostu ryzykanckim graczem? Można oczywiście nie lubić Rosji i bać się bolszewików, ale powinien przecież rozumieć, że zderzenie Ameryki ze Związkiem Radzieckim grozi światu taką straszliwą wojną, jakiej jeszcze nie było w historii ludzkości. Czyż zoologiczna nienawiść jest tak silna u ludzi jego pokolenia, że patrzą na świat poprzez pryzmat przestarzałych pojęć? Czyżby zgrzybiali politycy i starzy szpiedzy mogli doprowadzić do konfliktu między sojusznikami?

Stirlitz wstał, od jeziora dął przenikliwy wiatr; poczuł dreszcze i wrócił do samochodu.

Pojechał do pensjonatu „Wirginia”, w którym zatrzymał się profesor Pleischner; tamten napisał na pocztówce: *Wirgiński tytoń jest tu świetny*. W „Wirginii” było pusto, prawie wszyscy stali goście wyjechali w góry. Kończył się sezon narciarski, opalenizna o tej porze była jakaś wyjątkowa, czerwonobrazowa, i trzymała się długo, dlatego kto tylko miał możliwość, wyjeżdżał w góry; leżał tam jeszcze śnieg.

- Czy mogę przekazać profesorowi ze Szwecji, zapomniałem jego nazwiska, parę książek? - zapytał portiera.

- Profesor ze Szwecji wyskoczył z okna i zabił się.

- Kiedy?

- Na trzeci dzień po przyjeździe, zdaje się, rano. Wyszedł, wie pan, taki wesoły, i nie wrócił.

- To straszne... A mój przyjaciel, też uczony, prosił, żeby przekazać mu książki. I odebrać te, które profesor poprzednio wypożyczył.

- Proszę zadzwonić na policję. Zabrali wszystkie jego rzeczy. Oddadzą panu książki, jeśli pan udowodni, że pańskie.

- Dziękuję - powiedział Stirlitz. - Zrobię, jak pan radzi.

Przejechał ulicą, przy której znajdował się konspiracyjny lokal. W oknie stał kwiat - sygnał alarmu. Stirlitz zrozumiał wszystko. A ja uważałem go za tchórza, pomyślał. Nagle wyobraził sobie, jak profesor rzuca się z okna, niewielkiego wzrostu, słaby, spokojny człowiek. Jaki lęk musiał odczuwać w ostatnich minutach swego życia, jeżeli zdecydował się na taki krok tutaj, na wolności, wyrwawszy się z Niemiec? Oczywiście, ścigało go gestapo. Albo też sami zorganizowali mu to samobójstwo, zrozumiawszy, że będzie milczał...

*15.3.1945 (godzina 18 minut 19)*

Gdy tylko Kät z dziećmi zasnęła w pokoju hotelowym, Stirlitz, zażywszy dwie tabletki kofeiny - ostatnio prawie zupełnie nie sypiał - pojechał, umówiwszy się uprzednio telefonicznie, na spotkanie z pastorem Schlagiem.

Pastor zapytał:

- Rano nie miałem odwagi o tym mówić. Ale teraz muszę zapytać: co z siostrą?

- Pamięta pan jej charakter pisma?

- Oczywiście.

Podał pastorowi kopertę. Schlag przeczytał krótki list: *Drogi Bracie, dziękuję za Twoją wielkoduszną troskliwość. Jesteśmy w górach i nie wiemy, co to koszmarnie bombardowań.. Mieszkamy u chłopskiej rodziny, dzieci pomagają paść krowy. Jesteśmy syci i czujemy się w pełni bezpiecznie. Modlimy się do Boga, żeby nieszczęścia, które zwały się na Ciebie, szybko się skończyły.*

*Twoja Anna.*

- Jakie nieszczęścia? - zapytał pastor. - Co ona ma na myśli?

- Musiałem jej powiedzieć, że jest pan aresztowany... Odwiedziłem ją nie jako Stirlitz, ale jako pański parafianin. Oto ich adres - gdy to wszystko się skończy, odszuka ich pan. Proszę fotografię. Powinna pana przekonać ostatecznie.

Stirlitz podał pastorowi małą odbitkę: zrobił parę zdjęć w górach, ale było pochmurno, dlatego jakość zdjęć pozostawiała wiele do życzenia. Pastor długo oglądał fotografię, później powiedział:

- Ja wierzę panu nawet bez tego... Dlaczego pan tak mizernie wygląda?

- Bóg raczy wiedzieć. Zmęczyłem się trochę. No? Jakie są jeszcze nowiny?

- Nowiny są, ale ocenić ich nie jestem w stanie. Albo trzeba przestać wierzyć całemu światu, albo stać się cynikiem. Amerykanie zaczęli rozmowy z SS. Uwierzyli Himmlerowi.

- Fakty?

- Co?

- Jakimi danymi pan dysponuje? Od kogo je pan otrzymał? Jakie pan ma dokumenty? Jeśli przekazuje pan jedynie plotki, możemy stać się ofiarami zręcznie spreparowanego kłamstwa.

- Niestety - odpowiedział pastor. - Bardzo chciałbym wierzyć, że Amerykanie nie prowadzą rozmów z ludźmi Himmlera. Ale czytał pan to, co już panu przekazałem. A teraz to...  
- podał Stirlitzowi parę kartek papieru zapisanych jego okrągłym pismem.

„*Wolf*: Dzień dobry panom.

*Głosy*: Dzień dobry, dzień dobry.

*Dulles*: Moi koledzy przybyli tu po to, żeby kierować rokowaniami.

*Wolf*: Jestem bardzo zadowolony, że nasze rozmowy będą się toczyły w tak reprezentacyjnym wariacie.

*Hawernic*: To bardzo trudno przetłumaczyć na angielski, reprezentacyjny wariant...

*Wolf* (śmiejąc się): Mogłem przynajmniej ustalić, że pan Hawernic spełnia na tym spotkaniu rolę tłumacza...

*Dulles*: Myślę, że nie ma na razie potrzeby podawania prawdziwych nazwisk moich kolegów. Jednak muszę powiedzieć, że i na mnie, i na moich przyjaciółach wywarła jak najlepsze wrażenie ta okoliczność, iż wyższy oficer SS w rozmowach z przeciwnikiem nie wysuwa żadnych osobistych żądań.

*Wolf*: Moje osobiste żądanie to pokój dla Niemiec.

*Nie ustalony głos*: Oto odpowiedź godna żołnierza.

*Dulles*: Co nowego zdarzyło się u pana w tym czasie?

*Wolf*: Kesselring został wezwany do Kwatery Führera. Tę najbardziej nieprzyjemną nowinę.

*Dulles*: Sądzi pan...

*Wolf*: Nie oczekuję nic dobrego po pilnych wezwaniach do Kwatery Führera.

*Dulles*: A według naszych danych Kesselring został odwołany do Berlina, gdzie ma otrzymać nową nominację: na dowódcę frontu zachodniego.

*Wolf*: Ja też o tym słyszałem, ale na razie to się nie potwierdza.

*Dulles*: Potwierdzi się. W bardzo krótkim czasie.

*Wolf*: W takim razie może wymieni pan następcę Kesselringa?

*Dulles:* Tak. Mogę wymienić jego następcę. Jest nim generał pułkownik Wittinhof.

*Wolf:* Znam go.

*Dulles:* Pańska opinia o nim?

*Wolf:* To wykonujący polecenia służbista.

*Dulles:* Według mnie taką charakterystykę można dać przygniatającej większości generałów wehrmachtu.

*Wolf:* Nawet Bockowi i Rommlowi?

*Dulles:* To byli prawdziwi patrioci Niemiec.

*Wolf:* W każdym razie bezpośrednich i szczerych kontaktów z generałem Wittinhofem nie miałem.

*Dulles:* A Kesselring miał?

*Wolf:* Jako zastępca Göringa do spraw luftwaffe feldmarszałek miał kontakt prawie ze wszystkimi wojskowymi dowódcami Rzeszy w stopniu Wittinhofa.

*Dulles:* A jakby odniósł się pan do naszej propozycji udania się do Kesselringa i poproszenia go, aby skapitulował on na froncie zachodnim otrzymawszy zgodę Wittinhofa na równoczesną kapitulację we Włoszech?

*Wolf:* To ryzykowny krok.

*Dulles:* A czy my nie ryzykujemy?

*Nie ustalony głos:* W każdym razie pański kontakt z Kesselringiem na froncie zachodnim pozwoliłby nam się zorientować, czy zgodzi się on na kapitulację, czy nie.

*Wolf:* Zgodził się na nią we Włoszech, dlaczego ma się nie zgodzić tam?

*Dulles:* Kiedy będzie pan mógł go odwiedzić na zachodnim froncie?

*Wolf:* Wzywano mnie do Berlina, ale odłożyłem wyjazd, ponieważ umówiliśmy się na to spotkanie...

*Dulles:* A więc poleci pan do Berlina zaraz po powrocie do Włoch?

*Wolf:* Tak. W zasadzie jest to możliwe. Ale...

*Dulles:* Rozumiem pana. Rzeczywiście ryzykuje pan bardzo, znacznie bardziej niż my wszyscy. Ale innego wyjścia z sytuacji, która się wytworzyła, nie widzę.

*Nie ustalony głos:* Wyjście jest.

*Hawernic:* Jest pan inicjatorem rozmów, ale prawdopodobnie ma pan określone poparcie w Berlinie. To pozwoli panu znaleźć pretekst dla wizyty u Kesselringa.

*Dulles:* Jeśli troszczy się pan przede wszystkim o los Niemiec, to ten los w pewnym stopniu znajduje się w naszych rękach.

*Wolf:* Oczywiście, ten argument nie może być dla mnie obojętny.



*Dulles:* Czy można liczyć na to, że uda się pan na zachodni front do Kesselringa?

*Wolf:* Tak.

*Dulles:* I wydaje się panu możliwe skłonienie Kesselringa do kapitulacji?

*Wolf:* Jestem o tym przekonany.

*Dulles:* A więc generał Wittinhof pójdzie za jego przykładem?

*Wolf:* Po moim powrocie do Włoch.

*Hawernic:* I w razie jakichkolwiek wahań Wittinhofa będzie pan mógł wpłynąć na bieg wydarzeń tutaj?

*Wolf:* Tak. Oczywiście, gdy zajdzie potrzeba, będziemy musieli spotkać się z generałem Wittinhofem: tutaj albo we Włoszech.

*Dulles:* Jeśli będzie pan to uważał za celowe, zgodzimy się na takie spotkanie z Wittinhofem. Kiedy można oczekiwać pańskiego powrotu od Kesselringa?

*Wolf:* Trzeba odpukać w nie malowane drewno.

*Dulles:* Trzeba odpukać w nie malowane drewno.

*Nie ustalony głos:* Trzeba odpukać w nie malowane drewno.

*Wolf:* Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócę za tydzień i przywiozę panom oraz Wittinhofowi dokładną datę kapitulacji wojsk Rzeszy na Zachodzie. W tym samym czasie skapituje nasza Grupa we Włoszech.

*Hawernic:* Proszę powiedzieć, ilu więźniów znajduje się w waszych obozach koncentracyjnych?

*Wolf:* W obozach koncentracyjnych Rzeszy we Włoszech znajduje się kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

*Dulles:* Co się z nimi stanie w najbliższym czasie?

*Wolf:* Nadszedł rozkaz zlikwidowania ich.

*Hawernic:* Czy ten rozkaz może być wykonany w czasie pańskiej nieobecności?

*Wolf:* Tak.

*Dulles:* Czy istnieją jakieś możliwości, żeby nie dopuścić do wykonania tego rozkazu?

*Wolf:* Pułkownik Dolmann będzie mnie zastępował. Ufam mu jak sobie samemu. Daję słowo dżentelmena, że ten rozkaz nie zostanie wykonany.

*Hawernic:* Panowie, przejdźmy na taras, widzę, że stół jest już nakryty. Będzie tam przyjemniej kontynuować rozmowę, tutaj jest bardzo duszno...”

*16.3.1945 (godzina 23 minut 28)*

Tej samej nocy Kät z dziećmi wyjeżdżała do Paryża. Dworzec był pusty, cichy. Padał deszcz. Sennie sapał parowóz. Na mokrym asfalcie niewyraźnie lśniły refleksy lamp. Kät cały czas płakała, bo dopiero teraz, gdy minęło straszne napięcie tamtych dni, wróciła myśl o Erwinie. Widziała go wciąż w tej samej sytuacji. Siedział w kącie za radioaparatami, które tak lubił reperować w te dni, gdy nie miał seansów łączności z Moskwą.

Stirlitz siedział w dworcowej kawiarence przy dużym oknie. Widział stąd pociąg.

- Monsieur? - zapytała uśmiechnięta kelnerka.

- Poproszę o śmietanę i filiżankę kawy.

- Z mlekiem?

- Nie, czarną kawę.

Kelnerka przyniosła mu bitą śmietanę i kawę.

- Wie pani - powiedział Stirlitz uśmiechając się przepaszająco - ja nie jem bitej śmietany. To u mnie od dzieciństwa. Prosiłem o zwyczajną śmietanę, po prostu pół szklanki śmietany.

Kelnerka powiedziała: - O przepraszam, monsieur... - Otworzyła kartę i szybko ją przejrzała. - Mamy śmietanę ośmiu rodzajów, jest i bita, i z konfiturami, i z serem, ale zwyczajnej śmietany u nas nie ma. Proszę mi wybaczyć. Pójdę do kucharza i poproszę, żeby wymyślił coś dla pana. U nas nie pije się zwykłej śmietany, ale postaram się coś zrobić...

U nich nie pije się zwykłej śmietany, pomyślał Stirlitz. A u nas marzą o zwykłej skórcie od chleba. Tutaj kraj neutralny: osiem gatunków śmietany, lubią bitą. Dobrze jest w kraju neutralnym. Dobrze i dla jednostki, i dla państwa... Tylko po latach nagle zrozumiesz, że wtedy gdy zachowywałeś neutralność i jadłeś bitą śmietanę - ominęło cię to, co najważniejsze. Nie, to straszne - za wszelką cenę być neutralnym. Jaka to zresztą neutralność? Gdybyśmy nie złamali Hitlera pod Stalingradem, okupowałyby tę Szwajcarię i z neutralności nic by nie zostało, razem z tą ich bitą śmietaną.

- Monsieur, proszę zwykłą śmietanę. Będzie kosztowała trochę drożej, bo takiej nie ma w karcie.

Stirlitz nagle się roześmiał. - Dobrze - powiedział. - To nieważne. Dziękuję pani.

Pociąg powoli ruszył. Stirlitz patrzył we wszystkie okna, ale twarzy Kat nie dostrzegł. Na pewno schowała się w przedziale jak myszka ze swoimi małymi, siedzi i czeka, kiedy zobaczy swoich...

Odprowadził oczami odjeżdżający pociąg i wstał zza stolika. Śmietanę w końcu zostawił, wypił kawę.

Mołotow zaprosił ambasadora Wielkiej Brytanii sir Archibalda Kerra na Kreml na godzinę ósmą wieczór. Nie zaprosił ambasadora USA Harrimana, wiedząc, że Kerr jest doświadczonym kadrowym wywiadowcą i można z nim będzie prowadzić rozmowę bez tej nerwowej atmosfery, którą zwykle wprowadzał Harriman.

Trzykrotnie ścisnąwszy dużym i wskazującym palcem kartonowy ustnik kazbeka, Mołotow zapalił: znany był jako namiętny palacz, chociaż nigdy się nie zaciągał.

Przyjął wobec Kerra ostentacyjnie oschłą postawę i jego ciemne oczy błyszczały przenikliwie zza szkieł binokli.

Rozmowa była krótka. Kerr przejrząwszy notę, przekazaną mu przez tłumacza Pawiowa, powiedział, że natychmiast przekaże jej tekst do wiadomości rządu Jego Królewskiej Mości...

*Potwierdzając odbiór Pańskiego listu na temat rozmów w Bernie między niemieckim generałem Wolfem i oficerami ze sztabu feldmarszałka Alexandra, muszę stwierdzić, że rząd radziecki traktuje tę sprawę nie jako nieporozumienie, ale jako coś znacznie gorszego. Z listu Pana z dnia 12 marca, jak i z dołączonego do niego telegramu z dnia 1 marca od marszałka polnego Alexandra do zjednoczonego sztabu wynika, że niemiecki generał Wolf i towarzyszące mu osoby przybyły do Berna celem przeprowadzenia z przedstawicielami dowództwa anglo-amerykańskiego rozmów o kapitulacji niemieckich wojsk w północnych Włoszech. Gdy rząd radziecki oświadczył o konieczności uczestniczenia w tych rozmowach przedstawiciele radzieckiego dowództwa wojskowego, odpowiedziano mu na to odmową.*

*W ten sposób w Bernie, za plecami Związku Radzieckiego, ponoszącego główny ciężar wojny z Niemcami, prowadzone są przez dwa tygodnie rozmowy między przedstawicielami niemieckiego dowództwa wojskowego z jednej strony a przedstawicielami angielskiego i amerykańskiego dowództwa - z drugiej. Rząd radziecki uważa to za całkowicie niedopuszczalne...*

*W. Mołotow*

Reakcja Bormanna na doniesienia Stirlitza o szczegółach rozmów Wolfa i Dullesa była nieoczekiwana: ogarnęło go uczucie mściwej radości. Psycholog łatwo by ustalił, że jego radość była podobna do tej, która charakteryzuje starzejące się zawistne kobiety.

Bormann wierzył w psychoterapię. Prawie nigdy nie przyjmował lekarstw. Rozbierał się do naga i kierował ładunek woli do chorej części organizmu. Likwidował anginę w ciągu jednego dnia, nie kładł się do łóżka przy przeziębieniach. Umiał leczyć zawiść, zwalczać w

sobie tęsknotę, nikt nie wiedział, że od wczesnej młodości nawiedzały go straszne ataki hipochondrii. W ten sam sposób pokonywać umiał i taką oto gwałtownie ogarniającą go radość.

- Tu Bormann - powiedział reichsleiter do słuchawki. - Dzień dobry, Kaltenbrunner. Niech pan zaraz do mnie przyjedzie.

Tak, myślał. Działać trzeba ostrożnie, przez Kaltenbrunnera. I jemu też nic nie powiem. Poproszę go tylko, żeby powtórnie wezwał Wolfa do Berlina; powiem mu, że Wolf według moich informacji zdradza sprawę reichsführera. I poproszę go, żeby nic nie mówił „mojemu przyjacielowi” Himmlerowi, żeby nie denerwował go na próżno. Polecę Kaltenbrunnerowi aresztować Wolfa i wydusić z niego całą prawdę. A dopiero potem, jak Wolf złoży zeznania i zostaną one zaprotokołowane i osobiście położone przez Kaltenbrunnera na moim biurku, pokażę je führerowi i z Himmlerem będzie koniec. Wtedy zostanę sam przy Hitlerze. Goebbels to histeryk, nie liczy się, a poza tym nie wie tego, co ja wiem. On ma ideę, ale nie ma pieniędzy. A mnie zostaną ich idee i pieniądze partii. Nie powtórzę ich błędów i zostanę zwycięzcą.

Jak każdy aparatczyk, który przepracował „pod führerem” wiele lat, Bormann w swoich konkluzjach popełniał jeden tylko błąd: sądził, że wszystko może, wszystko umie i rozumie wszystko lepiej niż rywale. Uważając siebie za ideologicznego organizatora ruchu narodowosocjalistycznego, Bormann pogardliwie odnosił się do detali, szczegółów, jednym słowem do wszystkiego tego, co składa się na pojęcie profesjonalizmu.

To go właśnie zawiodło. Kaltenbrunner oczywiście nic nie powiedział Himmlerowi - takie było polecenie reichsleitiera. Rozkazał natychmiast wezwać z Włoch Karla Wolfa. W olbrzymim aparacie RSHA nie działo się nic, co mogłoby wypaść z pola widzenia Müllera i Schellenberga. Radiotelegrafista przy sztabie Kaltenbrunnera, zwerbowany przez ludzi Schellenberga, doniósł swojemu drugiemu kierownictwu o ściśle tajnej depeszy skierowanej do Włoch: *Dopilnować odlotu Wolfa do Berlina*. Schellenberg zrozumiał - alarm! Dalej było łatwiej: wywiadowi nie sprawiało specjalnej trudności ustalenie dokładnej daty przylotu Wolfa. Na lotnisku Tempelhof czekały na niego dwa samochody: jeden więzienny, z opancerzonymi drzwiami i trzema drabami ze straży gestapo, w drugim siedział brigadeführer SS, szef wywiadu politycznego Rzeszy, Walter Schellenberg. I do trapu samolotu szło trzech drabów w czarnych mundurach ze zdegenerowanymi twarzami oraz inteligentny, przystojny, ubrany na tę okazję w generalski mundur Schellenberg. Do drzwi dorniera podwieźli trap i chłodna ręka Wolfa, zamiast w kajdankach, spoczęła w silnych dłoniach Schellenberga.

Strażnicy w tej sytuacji nie zaryzykowali aresztowania Wolfa. Poddali jedynie obserwacji samochód Schellenberga. Brigadeführer SS odwiózł obergruppenführera SS Wolfa

do mieszkania generała Fegeleina, osobistego przedstawiciela Himmlera w Kwaterze Führera. To, że znajdował się tam już Himmler, nie powstrzymałoby Bormanna.

Powstrzymało go natomiast co innego: Fegelein był ożeniony z siostrą Ewy Braun, należał więc do rodziny Hitlera. Hitler niekiedy zwracał się nawet do niego przy herbacie: „mój miły szwagrze”...

Himmler, włączywszy na cały regulator radio, krzyczał do Wolfa: - Zawalił pan operację i mnie wystawił na cios, czy to jest dla pana jasne? W jaki sposób Bormann i Kaltenbrunner dowiedzieli się o pańskich rozmowach?! Jak to się stało, że psy gończe tego łajdaka Müllera mogły wszystko wywąchać?!

Schellenberg poczekał, aż Himmler skończy krzyczeć, a potem cicho i bardzo spokojnie powiedział:

- Reichsführerze, pan na pewno pamięta: wszystkie szczegóły tej operacji powinienem był przygotować ja. I wszystko jest u mnie w porządku z jej osłoną. Wymyśliłem dla Wolfa pewną wersję: dostał się w szeregi spiskowców, którzy rzeczywiście w Bernie szukają dróg do zawarcia separatystycznego pokoju. Szczegóły omówimy tutaj. I tutaj właśnie pod moje dyktando Wolf napisze raport na pańskie nazwisko o tych zdemaskowanych przez nas, przez wywiad SS, rozmowach z Amerykanami.

Bormann zrozumiał, że przegrał, gdy Himmler i Schellenberg wyszli z Wolfem od Führera. Ściskając rękę Wolfowi i wyrażając mu „szczerą wdzięczność za męstwo i wierność”, Bormann myślał, czy warto wzywać tu Stirlitza i urządzać konfrontacje z tym łajdakiem, który zaprzedał Führera w Bernie. Rozmyślał o tym i później, gdy Himmler zabrał swoją bandę, uspokojony zwycięstwem nad nim, Bormannem. Nie mógł podjąć konkretnej decyzji. I wówczas przypomniał sobie o Müllerze. Tak, zdecydował, powinienem wezwać tego człowieka. Z Müllerem omówię wszystkie możliwości: porozmawiam z nim i o Stirlitzu. Mimo wszystko mam szansę: informacje Stirlitza. Mogą być dowodem w czasie partyjnego sądu nad Wolfem.

- Mówi Bormann - powiedział telefoniście. - Niech pan wezwie do mnie Müllera.

*Osobiste i tajne od premiera J. W. Stalina*

*do prezydenta USA Pana F. Roosevelta*

*1. Nigdy nie wątpiłem w Pańską uczciwość i stałość, podobnie jak nie wątpiłem w uczciwość i stałość pana Churchilla. Mówię o tym, gdyż w toku korespondencji między nami ujawniła się różnica poglądów na temat tego, na co może sobie pozwolić sojusznik w stosunku do sojusznika, a na co nie powinien sobie pozwalać. My, Rosjanie, sądzimy, że w obecnej*

*sytuacji na frontach, gdy wróg stoi w obliczu kapitulacji, przy jakimkolwiek spotkaniu z Niemcami przedstawiciele jednego z sojuszników powinni być obecni przedstawiciele drugiego sojusznika. W każdym razie jest to niezbędne, gdy ów sojusznik zabiega o uczestnictwo w takim spotkaniu. Amerykanie i Anglicy sądzą inaczej, uważając rosyjski punkt widzenia za błędny. Wychodząc z tego założenia odmówili Rosjanom prawa uczestnictwa w takim spotkaniu. Nadal uważam rosyjski punkt widzenia za jedynie słuszny, ponieważ wyklucza on wszelką możliwość wzajemnych podejrzeń i nie daje przeciwnikowi szansy siania między nami niezgody.*

*2. Trudno zgodzić się z opinią, że brak oporu ze strony Niemców na froncie zachodnim tłumaczy się jedynie tym, że zostali oni rozbici. Niemcy mają na froncie wschodnim 147 dywizji. Mogliby bez szkody dla siebie wycofać z frontu wschodniego 15-20 dywizji i przerzucić je na pomoc swoim wojskom na froncie zachodnim. Jednak Niemcy nie zrobili tego i nie zrobią. Walczą z zaciętkością z Rosjanami o jakąś mało znaną miejscowość Ziemanica w Czechosłowacji, która tak jest im potrzebna jak umarłemu kadzidło, ale bez oporu oddają takie ważne miasta w centrum Niemiec, jak Osnabrück, Mannheim, Kassel. Zgodzi się Pan z tym, że zachowanie się Niemców jest bardzo dziwne i niezrozumiałe.*

*3. Jeśli zaś chodzi o moich informatorów, to zapewniam Pana, że to bardzo uczciwi i skromni ludzie, którzy dobrze wypełniają swe obowiązki i nie mają zamiaru obrażać kogokolwiek. Ci ludzie wielokrotnie byli sprawdzani w pracy...*

Stirlitz otrzymał polecenie od Schellenberga powrotu do Rzeszy: musi osobiście złożyć meldunek Führerowi o pracy, której dokonał, w celu udaremnienia „knowań zdrajcy Schlaga” w Bernie.

Stirlitz nie mógł wyjechać do Berlina, gdyż lada dzień oczekiwał łącznika z centrali: nie można kontynuować pracy, nie mając niezawodnej łączności. Przybycie łącznika oznaczałoby także, że z Kät wszystko w porządku, że jego doniesienie dotarło do Państwowego Komitetu Obrony i Biura Politycznego. Kupował radzieckie gazety i dziwił się: tam w domu wszystkim zdaje się, że dni Rzeszy są policzone, i żadnych niespodzianek nikt nie oczekuje.

A on jak nikt inny, szczególnie teraz, gdy dotarł do tajemnicy rokowań z Zachodem, znając od podszewki potencjalną siłę armii niemieckiej i przemysłu, bał się tragicznych niespodzianek - a im dłużej to trwało, tym bardziej się bał.

Wiedział, że wracając do Berlina wkłada głowę w pętlę. Wracać tam po to, żeby zginąć, to żaden interes. Stirlitz nauczył się patrzeć na swoje życie z boku, jak na coś istniejącego niezależnie od niego. Wrócić tam, mając niezawodną łączność, która zapewniłaby

natychmiastowy i pewny kontakt z Moskwą, miało natomiast sens. W przeciwnym wypadku można było wyjść z gry: on swoje już zrobił.

*17.3.1945 (godzina 22 minut 47)*

Spotkali się w nocnym barze - jak było uzgodnione. Jakaś narwana dziewczyna przyczepiła się do Stirlitza. Dziewczyna była pijana, tęga i rozpasanie ładna. Cały czas szeptała mu: - O nas, matematykach, mówią, że jesteśmy sztywniacy! Kłamstwo! W miłości jestem Einsteinem! Chcę być z panem, piękny siwowłoso!

Stirlitz nie mógł się od niej odczepić; rozpoznał już łącznika po fajce, teczce i portfelu, powinien nawiązać z nim kontakt, ale nie mógł się pozbyć matematyczki.

- Wyjdź na ulicę - powiedział do dziewczyny - zaraz za tobą wyjdę.

- Naprawdę?

- Tak, tak...

- Niech skonam - burknął Stirlitz. - Idź, napisz parę formuł. Idź.

Łącznik przekazał, że centrala nie może żądać, by wrócił do Niemiec, rozumiejąc, jak jest to skomplikowane w sytuacji, która się wytworzyła, i czym to może grozić. Jeżeli jednak Justas czuje się na siłach, to oczywiście centrala chętnie by widziała jego powrót do Niemiec. Centrala pozostawia ostateczną decyzję w tej sprawie towarzyszowi Justasowi, komunikując przy tym, że dowództwo zwróciło się do Państwowego Komitetu Obrony i Prezydium Rady Najwyższej z wnioskiem o przyznanie mu tytułu Bohatera Związku Radzieckiego za rozpracowanie operacji „Surprise Crossword”. Jeśli towarzysz Justas widzi możliwość powrotu do Niemiec, wówczas przekazana mu zostanie łączność: dwóch radiotelegrafistów ulokowanych w Poczdamie i w Wedding przejdzie do jego dyspozycji. Punkty są pewne, radiotelegrafiści zostali „zamrożeni” dwa lata temu.

Stirlitz zapytał łącznika:

- Jak u was z czasem?

- A co?

- Ile macie czasu? - zmarszczywszy się powtórzył Stirlitz. - Jeśli macie dziesięć minut, napiszę krótką karteczkę.

- Dziesięć minut mam, zdążę na pociąg paryski. Ale...

- Napiszę po francusku - Stirlitz uśmiechnął się - lewą ręką i bez adresu. Adres znajdą w centrali, przekażą.

- Z wami aż strach rozmawiać - zauważył łącznik. - Wy jak jasnowidz.

- Jaki tam ze mnie jasnowidz...

Łącznik zamówił szklanę soku pomarańczowego i zapalił. Pali nieumiejętnie, zauważył Stirlitz, widocznie niedawno zaczął i nie przyzwyczyił się jeszcze do papierosów bez ustnika: ugniatał palcami tytoń, jakby to była gilza. Obrazi się, jeżeli mu powiem? pomyślał Stirlitz wyrwawszy z notatnika trzy maleńkie karteczki. Niech się obrazi, ale trzeba mu powiedzieć.

- Przyjacielu - zaczął - gdy palicie papierosa bez ustnika, pamiętajcie, że różni się on od papierosa z ustnikiem.

- Dziękuję - odpowiedział łącznik - ale tam, gdzie teraz mieszkam, papierosy bez ustnika palą właśnie tak.

- No cóż - Stirlitz uśmiechnął się. - Daliście mi dobrą lekcję. Zuch z was. Nie gniewajcie się.

- Nie gniewam się. Przeciwnie, cenię sobie wysoko waszą troskliwość.

- Troskliwość? - zapytał Stirlitz. Przestraszył się, gdyż nie od razu przypomniał sobie, co to słowo znaczy po rosyjsku.

*Kochanie moje - zaczął pisać - myślałem, że zobaczymy się z Tobą w tych dniach, ale prawdopodobnie...*

Gdy poprosił łącznika, aby ten poczekał, wiedział, że napisze teraz do Saszeńki. Przed jego oczami przemknął obraz z przeszłości, pierwsze spotkanie z nią we władystockiej restauracji „Wersal” i spacer nad brzegiem zatoki, pierwszy ich spacer w duszny sierpniowy dzień, kiedy to od rana zbierało się na deszcz i niebo zrobiło się ciężkie, liliowe, z bardzo jasnym, przejrzystym horyzontem, który wyglądał jak przedłużenie morza.

Zatrzymali się koło rybaków - barki mieli pomalowane na japońską modłę w niebiesko-czerwono-żółte kwiaty, tylko zamiast smoków na dziobach były portrety jasnowłosych piękności z niebieskimi oczami.

Rybacy dopiero co wrócili z morza i czekali na wóz z bazaru. Ryby złowili tęponose, tłuste - tuńczyki. Czternastoletni chłopak gotował uche. Płomień ogniska był żółtawy - lepki upał zmieniał kolory trawy, morza i nieba, a nawet ogniska.

- Dobra będzie ucha? - zapytał wówczas.

- Tłusta ucha - odpowiedział kierownik artelu - zieleni człowieka.

- Co to znaczy? - zapytała zdziwiona Saszeńka. - Co to znaczy „zieleni”?

- Młody się od niej robisz - odpowiedział kierownik. - Zdrowy... A jak człowiek młody, to i zielony. Nie pogardzicie naszą ucha?

Wydobył zza cholewy drewnianą łyżkę i podał Saszeńce. Isajew napreżył się wówczas wewnętrznie, obawiając się, że delikatna córka pułkownika sztabu generalnego, poetka,



odmówi skosztowania uchy albo popatrzy z obrzydzeniem na nie umytą łyżkę, ale Saszeńka, podziękowawszy, spróbowała, przymrużyła oczy i rzekła:

- Boże, jakie to smaczne.

Zapytała starego rybaka:

- Można jeszcze?

- Jedzcie, panienko, jedzcie - odpowiedział stary. - My do niej przyzwyczajeni, nas morze psuje.

- Bardzo ciekawie mówicie - zauważyła Saszeńka dmuchając na gorącą uchę. - Bardzo ładnie, dziadku.

- Co też panienka... - Stary zaśmiał się obnażając rząd żółtych mocnych zębów. - Mówię po prostu, jak słyszę u siebie w środku.

- Dlatego wasze słowa są takie duże, nie starte - powiedziała poważnie Saszeńka.

Rybak znów się zaśmiał.

- Czy słowa można zetrzeć? To kopiejkę zetrzesz, podając ją z ręki do ręki, a słowo... ono przecież niby powietrze, lata sobie i nic nie waży.

Tego wieczoru poszli z Saszeńką na wernisaż: otwierano wystawę obrazów z siedemnastego wieku: fabrykanci Brynner i Pawłowski kupili te arcydzieła za bezcen w Irkuckiej i Czytyńskiej Galerii. Na otwarciu przyjechał brat premiera, minister spraw zagranicznych Nikołaj Dionizewicz Merkułow. Oglądał uważnie obrazy, cmokał z zachwytem, a później powiedział:

- Różni tacy u nas wypisują, że byliśmy dzicy i nieuczeni! A popatrzcie, takie obrazy już dwieście lat temu rysowali! Takie i temu podobne, i każdy detal widać, i jeśli już jest pole namalowane, to pachnie żytem, a nie dzwonkowym waltem!

- Waletem - machinalnie poprawiła go Saszeńka. Powiedziała to bardzo cicho, jakby do siebie, ale Isajew usłyszał ją i lekko uścisnął jej palce.

Gdy minister odjechał, wszyscy, rozmawiając głośno przeszli do sąsiedniej sali, gdzie stały nakryte stoły dla prasy i dyplomatów.

- A mówią, że inteligentnych władców nie mamy! - dowodził któryś z dziennikarzy. - Przecież Merkułow to kulturalny człowiek! Dobrze wychowany, wykształcony! Inteligent!

Stirlitz chciał napisać jej o tym, że do tej pory pamięta noc w tajdze, gdy siedziała w chatce przy maleńkim oknie z miki, był olbrzymi księżyc, przekształcający lodowe rysunki w coś pluszowego, spokojnego. Nigdy dotąd nie doznawał tego uczucia spokoju, jaki podarował mu los w ową niespokojną, tragiczną noc...

Chciał powiedzieć, że często próbował rysować jej twarz: i ołówkiem, i akwarelami. Raz chciał namalować ją olejnymi farbami, ale zaraz po pierwszym dniu podarł płótno. Widocznie osobowość Saszeńki kłóciła się z gęstą konsystencją oleju, który zakłada dokładne wykończenie portretu, a Saszeńkę Stirlitz odkrywał dla siebie na nowo po każdym dniu rozstania. Przypomniawszy sobie jej słowa, gdy miała siedemnaście lat, i był wstrząśnięty głębią jej myśli i delikatnością uczuć, jakimś nieśmiałym szacunkiem w stosunku do rozmówcy - kimkolwiek by on był. Nawet do żandarmów powiedziała wówczas: „Wstydzę się za was, panowie, wasze podejrzenia są niemoralne”.

Stirlitz chciał napisać jej, że raz w Paryżu na straganach z książkami przeczytał przypadkowo w zniszczonej książeczce: „chcę wrócić do domu, w ogrom mieszkania niosącego smutek. Wejdę, zdejmę palto, opamiętam się, oświetlą mnie znów ognie ulic...”

Przeczytawszy te słowa Stirlitz po raz drugi w życiu zapłakał. Pierwszy raz zapłakał, gdy po powrocie ze swej pierwszej czekistowskiej wyprawy za granicę zobaczył grób ojca. Staruszek zaczynał jeszcze z Plechanowem. Zarabiali go Kozacy jesienią dwudziestego roku. Syn zapłakał, gdy został sam, płakał po dziecinnie, żałośnie chlipiąc, ale nie wstydział się tego, po prostu wydawało mu się, że ból powinien istnieć w nim jako pamięć. Maksym Iwanowicz należał do wielu ludzi, ale pamięć o „tatusiu” należała tylko do niego, i to była szczególna pamięć, i dostępu do niej Stirlitz nie chciał dać nikomu. A wtedy w Paryżu przy straganach z książkami zapłakał nieoczekiwanie dla samego siebie, bo w tych wierszach dojrzał to, czego tak mu było potrzeba, czego w ciągu całego swojego życia nie przeżył i nie doznał. Za wierszami tymi zobaczył wszystko to, co sobie wyobrażał, o czym marzył, ale co nie było jego udziałem nawet przez minutę. I jak napisać teraz Saszeńce o tym wydarzeniu jesienią - dokładnie pamięta dzień i godzinę, siedemnasty październik czterdziestego roku - kiedy przechodził przez Friedrichstrasse i nagle ją zobaczył. Złodowaciały mu ręce i poszedł za Saszeńką, zapominając na moment, że nie wolno mu tego robić, i kiedy usłyszał jej głos i zrozumiał, że to nie ona, mimo to szedł nadal za tą kobietą, szedł, dopóki dwa razy się nie obejrzała - ze zdziwieniem, a potem ze złością.

Jak jej napisać, że wtedy trzykrotnie prosił centralę, aby go odwołali; obiecano mu to, ale wybuchła wojna. Czy może więc teraz wszystkie obrazy, jakie przemknęły mu przed oczami, ująć w słowa?

I zaczął tłumaczyć strofy Pasternaka na francuski, i pisał je jak prozę, ale potem zrozumiał, że nie może tego robić, że mądry wróg i te wiersze może wykorzystać jako dowód przeciwko towarzyszowi, który pije sok pomarańczowy i pali papierosa w taki sposób, w jaki pali się papierosy w jego stronach. I wsunął kartkę do kieszeni (machinalnie pomyślał, że spalić

ją będzie najporęczniej w samochodzie), i dopisał do słów, którymi zaczął list: *nastąpi to w najbliższym czasie*.

Jak napisać jej o spotkaniu w Krakowie w lecie zeszłego roku? Jak powiedzieć, że chłopiec jest teraz w Pradze? Jak jej powiedzieć, że jego serce należy do niej i do Saszy-maleńkiego, który bez niego stał się Saszą-dużym? Jak jej powiedzieć o swojej miłości, o bólu, że nie ma jej przy nim, i o tym, że czeka dnia, kiedy będzie mógł ją zobaczyć? Słowa są potężne wówczas, gdy jest ich wiele i gdy złożą się na *Biblię* czy *Puszkina*... A tak - są tylko śmiechem. Stirlitz zakończył list: *Całuję Cię i kocham*.

Łącznik spojrział na zegarek.

- Tak, tak - powiedział Stirlitz. - Widzę.

- Mam jeszcze parę minut.

Jak można słowami wyrazić tęsknotę i miłość? myślał. Moje słowa są wytarte jak stare monety. Ona mnie kocha i dlatego uwierzy w te wytarte grosze...

Nie wolno mi tak do niej pisać. Zbyt krótko byliśmy razem i zbyt długo żyje wspomnieniem tamtych dni, gdy byliśmy razem. Ona kocha mnie tamtego, odległego, czy mogę do niej pisać w ten sposób?

- Wiecie co - powiedział Stirlitz chowając karteczkę do kieszeni. - Macie rację, nie warto tego wieść przez trzy granice, Macie rację, przepraszam, że zająłem wam tyle czasu.

*18.3.45 (godzina 16 minut 33)*

Silnik horcha grał mocno i równo. Biało-niebieski drogowskaz przy autostradzie pokazywał: Berlin 247 kilometrów. Śnieg już stopniał. Ziemia była usłana rdzawymi liśćmi dębów. Powietrze w lesie stało gęste, granatowe.

„Siedemnaście mgnień kwietnia - śpiewała przez radio Marika Röck - pozostanie w moim sercu. Wierzę, że zawsze będzie muzyka wokół nas i drzewa będą krążyły w takt walca, i tylko mewa, pochwycona przez nurt, utonie i nie potrafisz jej pomóc”.

Stirlitz gwałtownie zahamował. Ruchu na szosie nie było, nie zjechał więc na pobocze. Wszedł do sosnowego lasu i usiadł na ziemi. Przebijała się gdzieniegdzie nieśmiało jasnozielona trawa. Stirlitz ostrożnie pogładził ziemię ręką. Długo tak siedział i gładził ziemię ręką. Wiedział, ile ryzykuje, gdy wyraził zgodę na powrót do Berlina. Dlatego miał prawo długo siedzieć na wiosennej, chłodnej ziemi i gładzić ją ręką...